RODZINA ROKESBY – WSTĘP DO SERII

BRIDGERTONOWIE

JULIA QUINN

AMBER

MAŁŻEŃSTWO ZE SNU

Romans historyczny

Julia Quinn

Małżeństwo ze snu

Przekład
Agnieszka Dębska
Katarzyna Przybyś-Preiskorn

AMBER

Korekta
Renata Kuk
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© VJ Dunraven/Fotolia
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
The Girl with the Make-Believe Husband

Copyright © 2017 by Julie Cotler Pottinger
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6569-8

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Nanie Vaz de Castro,
która tak umie inspirować.
To chyba dobrze, że w USA
w sieci Bob's nie mogę dostać
czekoladowych shake'ów Ovomaltine.

A także Paulowi.
Jest w tym jakaś ironia, że napisałam
powieść o pozornym mężu,
kiedy ty wyjechałeś na trzy miesiące,
żeby wspiąć się na Mount Everest.
Tylko że ta góra jest prawdziwa. Tak jak ty.
Tak jak my.

1

Manhattan
Czerwiec 1779

Bolała go głowa.

Poprawka, potwornie bolała go głowa.

Nie potrafił jednak określić, co to za ból. Może dostał postrzał kulą z muszkietu? Wydawało się to prawdopodobne, skoro był akurat w Nowym Jorku (a może w Connecticut?) i służył jako kapitan w armii Jego Królewskiej Mości.

Trwała chyba jakaś wojna, z czego niejasno zdawał sobie sprawę.

Ale ten szczególny łoskot – jakby ktoś grzmocił w jego czaszkę armatą (uwaga, nie kulą armatnią, ale całą armatą) – zdawał się wskazywać, że rąbnięto go w głowę czymś o wiele cięższym niż kula.

Może kowadłem, zrzuconym z drugiego piętra.

Jeśli jednak spojrzeć na to z pozytywnej strony, taki ból oznaczał, że żyje, a to było nie najgorszym losem, zważywszy wszystko, co kazało mu uważać, że do niego strzelono.

Na wojnie, o której pomyślał… ludzie ginęli.

Z przerażającą regularnością.

Nie umarł zatem. To było dobre. Nie wiedział jednak dokładnie, gdzie się znajduje. Należało oczywiście otworzyć oczy, ale nawet mimo zaciśniętych powiek, zdawał sobie sprawę, że jest dzień, a choć lubił patrzeć na coś z

metaforycznej, pozytywnej strony, był również całkiem pewny, że z tej dosłownej blask okaże się oślepiający.

A więc nie otwierał oczu.

Tylko słuchał.

Nie był sam. Nie mógł uchwycić sensu rozmowy, lecz docierał do niego stłumiony dźwięk słów i czuł, że ktoś się wokół niego krząta. Ludzie chodzili, stawiali jakieś rzeczy na stołach, przesuwali krzesło po podłodze.

Ktoś jęczał z bólu.

Większość głosów należała do mężczyzn, lecz w pobliżu była przynajmniej jedna kobieta. Na tyle blisko niego, że słyszał szmer jej oddechu. To, czym się zajmowała, wywoływało ciche dźwięki; wkrótce zrozumiał, że okrywa go kocem i dotyka jego czoła dłonią.

Podobały mu się ciche dźwięki, ledwie dosłyszalne pomruki i westchnienia, które zapewne wydawała nieświadomie. I przyjemnie pachniała, trochę cytryną, a trochę mydłem.

A trochę ciężką pracą.

Znał tę woń. I on ją wydzielał, choć zwykle zmieniała się już po chwili w wyraźny smród.

W jej przypadku była jednak wcale przyjemna. No, może tylko trochę zbyt intensywna. Ciekawiło go, kim jest ta kobieta, która czuwa nad nim tak troskliwie.

– Jak on się dziś miewa?

Edward zesztywniał. Ten męski głos był nowy, a on nie był pewien, czy chce, żeby ktokolwiek wiedział o jego powrocie do świadomości.

Chociaż nie był pewny dlaczego.

– Tak samo – padła odpowiedź kobiety.

– Martwi mnie to. Jeśli się wkrótce nie ocknie…

– Wiem – odparła kobieta z lekką irytacją w głosie, która wydała mu się dziwna.

– Czy zdołała pani podać mu bulion?

– Tylko parę łyżek. Z obawy, żeby się nim nie zakrztusił, gdybym próbowała dać mu więcej.

Mężczyzna wydał pomruk świadczący o uznaniu.

– Niech mi pani przypomni, od jak dawna leży w tym stanie.

– Od tygodnia. Cztery dni przed moim przyjazdem i trzy potem.

Tydzień. Edward zastanawiał się nad tym. Tydzień oznaczał, że teraz musi być… Marzec? Kwiecień?

Nie, chyba tylko luty. A tu jest zapewne Nowy Jork, nie Connecticut.

Nie wyjaśniało to jednak, czemu głowa go tak piekielnie boli. Najwyraźniej miał jakiś wypadek. A może go zaatakowano?

– Wciąż nie ma zmiany? – spytał mężczyzna, chociaż kobieta już to przecież powiedziała.

Musiała jednak mieć dużo więcej cierpliwości niż Edward, bo odparła cichym, czystym głosem:

– Nie, żadnej.

Mężczyzna wydał jakiś dźwięk, który wcale nie był pomrukiem. Edward jednak nie umiałby go określić.

– Ehm… – kobieta odkaszlnęła. – Czy wie pan coś o moim bracie?

Jej brat? Kto był jej bratem?

– Obawiam się, że nie, pani Rokesby.

Pani Rokesby?

– Upłynęły już prawie trzy miesiące – powiedziała cicho.

Pani Rokesby? Edward gorąco pragnął, żeby wrócili do tego tematu. W Ameryce Północnej był, jak się orientował, tylko jeden Rokesby. On sam. Jeśli więc ona jest panią Rokesby…

– Myślę – odrzekł męski głos – że lepiej byłoby, by skupiła się pani raczej na pielęgnowaniu męża.

Męża?

– Zapewniam pana – odparła, znów z odcieniem irytacji w głosie – że czuwam nad nim jak najpilniej.

Mąż? Oni go nazywali jej mężem? Czyżby się ożenił? Nie mógł być żonaty. Jakże mógłby poślubić kogoś i nie pamiętać o tym?

Kim była ta kobieta?

Serce zaczęło mu gwałtownie łomotać. Co się z nim u diabła stało?

– Czy on się teraz nie poruszył? – spytał mężczyzna.

– Nie… nie sądzę.

Podeszła szybko ku niemu. Dotknęła ręką jego policzka, potem piersi, lecz mimo jawnego zaniepokojenia było w tych jej ruchach coś kojącego, niezaprzeczalnie trafnego.

– Edwardzie? – spytała, biorąc go za rękę. Pogładziła ją kilkakrotnie, muskając lekko palcami jego skórę. – Czy mnie słyszysz?

Powinien był odpowiedzieć. Martwiła się o niego. Jakiż dżentelmen nie chciałby złagodzić kobiecego niepokoju?

– Boję się, że możemy go stracić – rzekł mężczyzna dużo mniej łagodnie, niż Edward uznałby za właściwe.

– Wciąż jednak oddycha – odparła stanowczym tonem kobieta.

Mężczyzna nic nie odrzekł, ale musiał mieć minę pełną litości, bo kobieta powtórzyła, głośniej tym razem:

– Wciąż jednak oddycha.

– Pani Rokesby…

Edward poczuł, że palce kobiety zaciskają się wokół jego ręki. Potem położyła na niej drugą dłoń, dotykając lekko stawów. Był to ledwie cień uścisku, ale on odczuł go całą swoją istotą.

– Wciąż oddycha, pułkowniku – powiedziała spokojnym zdecydowanym głosem. – A póki oddycha, ja zostanę przy nim. Może nie jestem zdolna pomóc Thomasowi, ale…

Thomas. Thomas Harcourt. To się ze sobą łączyło. A więc musi być jego siostrą, Cecilią. Znaną mu dobrze.

Albo może i nie. Nigdy jej jeszcze nie spotkał, lecz czuł się tak, jakby ją znał. Pisywała do brata z pilnością niemającą sobie równiej w regimencie.

Thomas dostawał dwa razy tyle listów co Edward, choć Edward miał czworo rodzeństwa, a Thomas tylko jedną siostrę.

Cecilia Harcourt. Cóż ona u licha robi w Ameryce Północnej? Powinna być w Derbyshire, w tym miasteczku, które Thomas tak skwapliwie opuścił. Miejscowość z ciepłymi źródłami. Matlock. Nie, Matlock Bath.

Edward nigdy tam nie był, uważał jednak, że musi to być urocze miejsce. Choć Thomas sądził inaczej, rzecz jasna: lubił hałaśliwe miejskie życie i nie mógł się doczekać nominacji oficerskiej oraz wyjazdu. Cecilia różniła się jednak od niego. W jej listach małe miasteczko z Derbyshire było jak żywe; Edward niemal czuł, że mógłby rozpoznać jej sąsiadów, gdyby się tam wybrał z wizytą.

Miała żywy, błyskotliwy umysł. O Boże, jak bardzo żywy. Thomas tak się zwykle zaśmiewał jej listami, że Edward w końcu poprosił go, by mu je czytał na głos.

Pewnego dnia, kiedy Thomas ślęczał nad odpowiedzią, Edward tyle razy mu przerywał, że Thomas w końcu odsunął krzesło i odłożył pióro.

– Napisz sam do niej – powiedział.

No i Edward to zrobił.

Nie bezpośrednio, rzecz jasna. Nigdy by tak nie uczynił, byłoby to coś krańcowo niestosownego. Nie pozwoliłby sobie obrazić jej w ten sposób. Dopisywał jednak po kilka słów na końcu listów Thomasa, a w jej odpowiedziach zawsze było kilka przeznaczonych dla niego linijek.

Thomas miał jej miniaturę i choć mówił, że namalowano ją kilka lat temu, Edward często się jej przyglądał. Patrzył uważnie na portrecik młodej kobiety i zastanawiał się, czy jej włosy rzeczywiście mają tak złocisty kolor i czy naprawdę uśmiecha się w ten sposób, z tajemniczo zaciśniętymi wargami.

Sądził zresztą, że tak nie jest. Nie wydawała mu się kobietą pełną sekretów. Uśmiech jej winien więc być pogodny i szczery. Sądził nawet, że

spotka ją być może, kiedy ta przeklęta wojna wreszcie się skończy. Nigdy jednak nie powiedział nic Thomasowi.

Byłoby to dziwne.

A teraz Cecilia była tutaj. W koloniach. Nie miało to wcale sensu, ale co z tego? Edward został ranny w głowę, Thomas, jak się wydawało, zaginął bez wieści, a…

Edward starał się z całej siły, żeby myśleć.

…a on się najwyraźniej ożenił z Cecilią Harcourt.

Uniósł powieki, usiłując skoncentrować wzrok na wpatrzonej w niego zielonookiej kobiecie.

– Cecilio?

Cecilia miała całe trzy dni, by wyobrazić sobie, co Edward Rokesby powie, kiedy się w końcu ocknie. Zastanawiała się nad różnymi możliwościami, a najprawdopodobniejszą z nich były słowa:

– Kim do diabła pani jest?

Albowiem wbrew temu, co myślał pułkownik Stubbs i wszyscy inni w tym raczej skromnie wyposażonym szpitalu wojskowym, nie nazywała się Cecilia Rokesby, tylko Cecilia Harcourt i bynajmniej nie była żoną całkiem przystojnego, ciemnowłosego mężczyzny leżącego obok na łóżku.

A całe to nieporozumienie miało coś wspólnego z tym, że podała się za żonę owego mężczyzny wobec jego dowódcy, dwóch żołnierzy i jednego urzędnika.

Wtedy wyglądało to na dobry pomysł.

Niełatwo jej przyszło wyruszyć do Nowego Jorku. Zdawała sobie dobrze sprawę z niebezpieczeństw podróży do targanych wojną kolonii, nie mówiąc już o przepłynięciu burzliwego północnego Atlantyku. Ale ojciec jej zmarł, później zaś otrzymała wiadomość, że Thomas został ranny, a jej wstrętny kuzyn zaczął się kręcić koło Marswell…

Nie mogła pozostać w Derbyshire.

Nie miała jednak dokąd się udać.

A zatem podjęła jedyną zapewne raptowną decyzję w jej życiu, spakowała manatki, zakopała srebra w ogrodzie i zapłaciła za rejs z Liverpoolu do Nowego Jorku. Gdy tam jednak przybyła, nigdzie nie było ani śladu Thomasa.

Odnalazła jego regiment, nikt jednak nie potrafił jej udzielić odpowiedzi, co się z nim stało, a kiedy wciąż się dopytywała, wojskowi przepędzali ją jak uprzykrzoną muchę. Ignorowano ją lub traktowano z góry, a zapewne też okłamywano. Wydała niemal wszystkie pieniądze, jadła tylko raz dziennie i mieszkała w pensjonacie dla kobiet razem z inną jego lokatorką, która mogła być prostytutką; albo może i nie.

(Z pewnością odwiedzali ją jacyś mężczyźni, pytanie tylko, czy jej za te wizyty płacili. Cecilia musiała przyznać, że raczej miała taką nadzieję, gdyż cokolwiek owa niewiasta robiła, robiła to bardzo pilnie.)

Wreszcie po blisko tygodniu bezskutecznych starań Cecilia usłyszała, jak jeden żołnierz mówił drugiemu, że kilka dni wcześniej przywieziono do szpitala mężczyznę rannego w głowę i nieprzytomnego. Nazywał się Rokesby.

Musiał to być Edward Rokesby.

Cecilia nigdy go nie widziała, lecz był najlepszym przyjacielem jej brata, czuła się więc tak, jakby go znała. Wiedziała na przykład, że pochodził z Kent, że był drugim synem hrabiego Manstona i że miał jednego młodszego brata we flocie, a drugiego w Eton oraz zamężną, lecz bezdzietną siostrę, i że najbardziej mu brakowało na obczyźnie musu z agrestu, jaki robiła jego kucharka.

Starszy brat miał na imię George – i Cecilię zaskoczyło, gdy Edward przyznał w listach, że wcale mu nie zazdrości pozycji dziedzica majątku. Pewnego razu napisał, że hrabiowski tytuł jest czymś, co nieznośnie odbiera człowiekowi swobodę, a on wiedział, że jego miejsce jest w wojsku, by mógł się bić za króla i ojczyznę.

Cecilia sądziła, że ktoś z zewnątrz mógłby być zaszokowany wielką zażyłością widoczną w korespondencji, wiedziała jednak, że wojna zmienia ludzi w filozofów. Może właśnie dlatego Edward Rokesby zaczął dopisywać na końcu listów Thomasa po kilka zdań przeznaczonych dla niej? Wymiana myśli z nieznajomą mogła być pewną pociechą. Nietrudno zdobyć się na bezpośredniość wobec kogoś, kto nigdy nie zasiądzie razem z tobą przy obiedzie.

Tak się przynajmniej domyślała. Może zresztą pisał te same rzeczy w listach do swojej rodziny i przyjaciół w hrabstwie Kent? Wiedziała od brata, że był „praktycznie już zaręczony" z sąsiadką. Z pewnością pisywał również i do niej.

Nie wyglądało to zresztą tak, jakby Edward naprawdę z nią korespondował. Zaczęło się od krótkich wzmianek Thomasa „Edward mówi to i to" lub „zastanawia mnie, że kapitan Rokesby uważa…"

Kilka z tych wzmianek było niezwykle zabawnych i Cecilia, tkwiąc w Marswell wśród coraz wyższych rachunków i obojętności ojca, z chęcią się nieoczekiwanie uśmiechała przy ich lekturze. Zaczęła więc z grzeczności dodawać po kilka słów do własnych listów: „powiedz, proszę, kapitanowi Rokesby'emu…", a później: „z pewnością kapitan Rokesby ucieszy się, słysząc, że…".

Pewnego zaś dnia w liście brata znalazła cały ustęp napisany inną ręką. Były to zwięzłe pozdrowienia, kilka słów o polnych kwiatach i podpis:

„Z oddaniem,

kapitan Edward Rokesby".

Z oddaniem.

Uśmiechnęła się wtedy niemądrze, jakby była osobą całkowicie pozbawioną rozumu. Marzyła o mężczyźnie, którego nigdy nie spotkała!

No i pewnie nigdy nie spotka.

Nic jednak nie mogła poradzić na swój smutek. Nieważne, że letnie słońce błyszczało na wodzie jezior – bez brata w Derbyshire zawsze jej dni

były szare. Przemijały z wolna, jeden za drugim, prawie bez różnicy. Prowadziła dom, układała budżet i troszczyła się o ojca, mimo że on wcale tego nie zauważał. Od czasu do czasu odbywały się jakieś zabawy, lecz niemal połowa mężczyzn w jej wieku zaciągnęła się do wojska i na tych balach zawsze bywało dwa razy więcej dam niż dżentelmenów.

Skoro więc syn hrabiego napisał do niej o polnych kwiatach…

Poczuła drgnienie serca.

Doprawdy, było to od lat coś najbardziej zbliżonego do flirtu.

Gdy jednak podjęła decyzję o podróży do Nowego Jorku, myślała o bracie, nie o Edwardzie Rokesby. A gdy nadszedł list z wiadomością od dowódcy Thomasa…

Był to najgorszy dzień w jej życiu.

List zaadresowano, rzecz jasna, do ojca. Cecilia podziękowała posłańcowi i upewniła się, czy dano mu coś do zjedzenia, nie wspominając ani słowem, że Walter Harcourt zmarł niespodziewanie trzy dni wcześniej. Zabrała złożony list do swojego pokoju, zamykając drzwi na klucz, a potem patrzyła na niego przez całą długą minutę, nim zebrała się na odwagę, żeby podważyć palcem woskową pieczęć.

Pierwszą jej reakcją była ulga. Przedtem sądziła, że list mówi o śmierci Thomasa i że ona nie ma już nikogo na świecie. Wiadomość, że został ranny, była zatem istnym błogosławieństwem.

Potem zjawił się jednak kuzyn Horace.

Cecilia nie była zaskoczona jego obecnością na pogrzebie ojca. W końcu ludzie tak robią, jeśli nawet nie łączy ich bliska przyjaźń z krewnym. Ale potem Horace został na miejscu. O Boże, jakiż był nudny. Wciąż coś gadał i gadał, a Cecilia nie mogła się nigdzie ruszyć, by zaraz nie szedł za nią, mówiąc, jak bardzo zależy mu na jej dobrobycie.

Co gorsza, zaczął robić aluzje do Thomasa i do tego, że bardzo niebezpiecznie jest służyć jako żołnierz w koloniach. I że wszyscy odetchną z ulgą, jeśli Thomas wróci na należne mu miejsce jako właściciel Marswell.

A tym, czego nie mówił, było rzecz jasna przekonanie, że jeśli Thomas nie wróci, to on, Horace, odziedziczy cały majątek.

Przeklęty, nonsensowny majorat! Cecilia wiedziała, że powinna szanować przodków, lecz gdyby mogła cofnąć czas i stanąć oko w oko ze swoim dziadkiem, chętnie by mu skręciła kark. Kupił ziemię, wybudował na niej dom i łudząc się mirażem dynastycznej wielkości, uczynił majątek majoratem, Marswell przechodziło więc z ojca na syna, a jeśli syna nie było, to na najbliższego męskiego krewnego. Nieważne, że Cecilia mieszkała w tym domu całe życie, że znała wszystkie jego zakamarki, że służba ufała jej i szanowała ją. Gdyby Thomas zmarł, kuzyn Horace z miejsca by przybył z Lancashire i objął wszystko w posiadanie.

Cecilia próbowała utrzymać go w niewiedzy o ranie Thomasa, ale takiej wiadomości nie dało się ukryć. Jakiś życzliwy sąsiad musiał coś powiedzieć, bo Horace dzień po pogrzebie oświadczył, iż jako najbliższy męski krewny Cecilii musi zadbać o jej dobrobyt.

No i oczywiście powiedział, że powinni się pobrać.

Nie, pomyślała sobie Cecilia. Nie, stanowczo nie powinni.

– Musisz liczyć się z faktami – rzekł, robiąc krok w jej kierunku. – Zostałaś sama. Nie możesz długo mieszkać w Marswell bez przyzwoitki.

– Pojadę do naszej starej ciotki – powiedziała.

– Do Sophie? – spytał lekceważąco. – Przecież ona ledwie sobie zdaje sprawę, co się wokół niej dzieje.

– To do drugiej. Do Dorcas.

Zmrużył oczy.

– Nie znam jej zbyt dobrze.

– Nic dziwnego – odparła Cecilia. – To ciotka mojej matki.

– A gdzież ona mieszka?

Dorcas była wprawdzie tworem wyobraźni Cecilii, ale wiedziała, że babka była Szkotką, więc powiedziała:

– W Edynburgu.

– Chciałabyś zostawić dom?

Jeśli oznaczało to uniknięcie małżeństwa z kuzynem, odpowiedź brzmiała „tak”.

– Nauczę ja cię rozumu – mruknął i nim zdołała się zorientować, co miał zamiar zrobić, pocałował ją.

Cecilia nabrała gwałtownie tchu, gdy ją puścił, a potem dała mu w twarz.

Horace odwzajemnił się jej tym samym, a tydzień później Cecilia wyruszyła do Nowego Jorku.

Podróż trwała pięć tygodni, więcej niż potrzebowała, by gruntownie przemyśleć swoją decyzję. Nie miała jednak pojęcia, co jej pozostawało. Nie wiedziała, dlaczego Horace koniecznie chciał ją poślubić, skoro i tak by odziedziczył Marswell. Mogła tylko przypuszczać, że miał kłopoty finansowe i musiał gdzieś zamieszkać. Gdyby ożenił się z nią, zaraz by się tam wprowadził w nadziei, że Thomas nigdy nie wróci.

Cecilia wiedziała, że małżeństwo z kuzynem byłoby rozsądnym wyborem. Gdyby Thomas zmarł, mogłaby zostać w ukochanym domu dzieciństwa. Mogłaby też przekazać go własnym dzieciom.

Tylko że, niestety, te dzieci byłyby również dziećmi Horace’a, a myśl o dzieleniu łoża z tym człowiekiem… o życiu z tym człowiekiem…

Nie mogła tak zrobić. Marswell nie było tego warte.

Znalazła się w niełatwej sytuacji. Horace nie mógł co prawda zmusić jej do zgody na swoje zaloty, ale potrafił uprzykrzyć jej życie, no i miał też rację pod jednym względem: nie mogła pozostać w Marswell na czas nieokreślony bez przyzwoitki. Miała ledwie dwadzieścia dwa lata, a przyjaciele i sąsiedzi daliby jej pewną swobodę manewru ze względu na okoliczności, ale samotna młoda kobieta była zachętą do plotek. Jeśli Cecilia miała dbać o swoją reputację, musiała przygotowywać się do wyjazdu.

Było w tym tyle ironii, że chciało się jej krzyczeć. Miała zachować dobre imię, wyruszając w samotną podróż za ocean. Musiała jedynie zadbać, by

nikt w Derbyshire o tym nie wiedział.

Thomas był jej starszym bratem, opiekunem i najbliższym przyjacielem. Ze względu na niego zamierzała zdecydować się na podróż, choć dobrze wiedziała, że będzie ryzykowna i być może bezowocna. Mężczyźni umierali od zakażeń dużo częściej niż od ran odniesionych na polu walki. Zdawała sobie sprawę, że brat może już nie żyć, gdy ona wyląduje w Nowym Jorku.

Tylko że nie spodziewała się, by rzeczywiście umarł.

Właśnie w tym wirze rozterek i braku nadziei usłyszała o ranie Edwarda. Gorąco pragnęła pomóc komukolwiek i właśnie ta chęć pomocy zawiodła ją do szpitala. Jeśli nie może czuwać nad bratem, niech przynajmniej zrobi to dla jego najlepszego przyjaciela. Podróż do Nowego Świata nie może spełznąć na niczym.

Szpital okazał się kościołem zajętym przez armię brytyjską, co już samo w sobie było osobliwe, a kiedy spytała, czy może zobaczyć Edwarda, dano jej niedwuznacznie do zrozumienia, że nie jest tam mile widziana. Kapitan Rokesby był oficerem, jak poinformował ją wartownik ze szpiczastym nosem. A także synem hrabiego, czyli kimś o wiele zbyt ważnym, by przyjmować wizyty różnych niżej postawionych osób.

Cecilia wciąż próbowała wyobrazić sobie, co właściwie wartownik przez to rozumie, gdy spojrzał na nią wyniośle i powiedział, że kapitana Rokesby’ego mogą odwiedzać tylko wojskowi i rodzina.

A wtedy Cecilia palnęła:

– Jestem jego żoną!

Gdy to powiedziała, nie było już odwrotu.

Nie wpuszczono by jej wprawdzie nawet i wtedy, zapewne zostałaby więc bezlitośnie wyrzucona ze szpitala, gdyby nie obecność dowódcy Edwarda. Pułkownik Stubbs nie był najserdeczniejszym z ludzi, lecz wiedział o przyjaźni Edwarda i Thomasa, nie zdziwiła go zatem wiadomość, że Edward poślubił siostrę swojego przyjaciela.

Nim Cecilia zdołała choćby pomyśleć, snuła już całą opowieść o zalotach podczas korespondencji i o zawarciu małżeństwa *per procura* na statku.

Choć było to zdumiewające, wszyscy jej uwierzyli.

Nie żałowała jednak swego kłamstwa. Nie można było zaprzeczyć, że stan Edwarda polepszył się pod jej opieką. Zwilżała mu gąbką czoło, gdy gorączkował, i przewracała z boku na bok najlepiej, jak potrafiła, zapobiegając odleżynom. Prawda, że oglądała przy tej okazji więcej jego ciała, niż wypadało to robić damie, ale wymogi obyczajności muszą ulec złagodzeniu podczas wojny.

No i nikt przecież nie znał prawdy.

Powtarzała to sobie niemal co godzinę. Znajdowała się pięć tysięcy mil od Derbyshire. Każdy, kogo znała, sądził, że wyjechała do ciotki. Prócz tego Harcourtowie nie obracali się w tych samych kręgach, co rodzina Rokesbych. Może Edward mógł stać się przyczyną plotek w dobrym towarzystwie, ale Cecilia z pewnością nie – i nie istniała możliwość, by plotki o drugim synu hrabiego Manstona zdołały dotrzeć do mieściny takiej jak Mattlock Bath.

Co miała zrobić, gdy on w końcu odzyska przytomność?

No cóż, uczciwie mówiąc, nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Nieważne, co by się wtedy stało. Wśród mnóstwa rozpatrywanych przez nią możliwości żadna nie przewidywała, by ją rozpoznał.

– Cecilio? – powiedział. Spojrzał na nią, mrugając powiekami, a ona w oszołomieniu wpatrywała się jak zahipnotyzowana w jego zdumiewająco błękitne oczy.

Powinna była wiedzieć, jaki mają kolor.

Po chwili zrozumiała, że to wprost groteskowe. Nie miała żadnego powodu, żeby znać ich barwę.

A jednak w jakiś dziwny sposób… powinna była ją znać.

– Odzyskałeś przytomność? – odezwała się niemądrze. Usiłowała powiedzieć coś więcej, lecz słowa utknęły jej w gardle. Walczyła o oddech,

ogarnięta uczuciem, którego nie potrafiła nazwać. Wyciągnęła drżącą dłoń i dotknęła jego czoła, nie wiedząc, czemu to robi; nie miał już gorączki od ponad dwóch dni. Przepełniała ją jednak chęć, żeby go dotknąć, poczuć pod palcami to, na co patrzyła.

Odzyskał świadomość.

Był żywy.

– Proszę się cofnąć – zażądał pułkownik Stubbs – i wezwać doktora.

– Niech pan sam wzywa doktora! – parsknęła, odzyskując nieco rozsądku. – Jestem jego żo…

Urwała. Nie mogła jawnie kłamać wobec Edwarda.

Pułkownik Stubbs pojął jednak, co chciała powiedzieć, i mruknąwszy niezrozumiale coś nieprzyzwoitego, wycofał się, żeby poszukać lekarza.

– Cecilio? – powtórzył Edward. – Skąd się tu wzięłaś?

– Wyjaśnię ci za chwilę – wyszeptała pospiesznie. Pułkownik miał wkrótce wrócić, a ona wolała nie wyjaśniać niczego w obecności innych osób. Ale Edward nie mógł jej kazać, żeby odeszła, dodała więc jedynie: – Na razie…

– Gdzie ja jestem? – przerwał jej.

Chwyciła za koc, Edwardowi przydałaby się dodatkowa poduszka, ale w jej braku koc musiał wystarczyć. Pomagając mu podsunąć się wyżej na łóżku, wsunęła koc z tyłu za niego i powiedziała:

– W szpitalu.

Rozejrzał się nieufnie po sali. Architektura świadczyła, że to budowla sakralna.

– Z witrażami?

– No bo przedtem był to kościół. A teraz szpital.

– Ale gdzie? – spytał z pewnym zniecierpliwieniem.

Ręce jej znieruchomiały. Coś tu było nie w porządku. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– W Nowym Jorku.

Zmarszczył brwi.

– A ja sądziłem, że…

Czekała, lecz nie skończył zdania.

– A ty myślałeś, że gdzie jesteś? – spytała.

Przez chwilę wpatrywał się w nią bezmyślnie, a potem powiedział:

– Nie wiem. Byłem… – urwał i twarz mu się boleśnie skrzywiła, jakby sprawiało mu ból intensywne myślenie. – Chyba w Connecticut – powiedział w końcu.

Cecilia wyprostowała się powoli.

– Udałeś się do Connecticut.

Rozchylił wargi.

– Udałem się?

– Tak. Byłeś tam ponad miesiąc.

– Co takiego? – Coś błysnęło w jego oczach. Cecilia uznała, że to może lęk.

– Nie przypominasz sobie? – spytała.

Zaczął mrugać powiekami dużo szybciej niż normalnie.

– Mówisz, że ponad miesiąc?

– Tak mi powiedziano. Jestem tu od niedawna.

– Ponad miesiąc – powtórzył znowu. A potem potrząsnął głową. – Jak to możliwe…

– Nie wolno ci się zanadto wysilać – powiedziała, zbliżając się, żeby znów wziąć go za rękę. Zdawało się go to uspokajać. A na pewno uspokajało ją samą.

– Nie pamiętam… czy naprawdę byłem w Connecticut. – Spojrzał na nią gniewnie i ścisnął ją boleśnie za rękę. – Jakże zdołałem wrócić do Nowego Jorku?

Wzruszyła bezradnie ramionami. Nie znała odpowiedzi, którą pragnął usłyszeć.

– Nie wiem. Szukałam Thomasa i usłyszałam, że ty tu jesteś. Znaleziono cię koło Kip’s Bay z raną w głowie.

– Szukałaś Thomasa – powtórzył za nią, a ona niemal widziała, jak mąci mu się w myślach. – Dlaczego szukałaś Thomasa?

– Dostałam list, że został ranny, ale teraz gdzieś zniknął i…

Edward zaczął ciężko dyszeć.

– Kiedy wzięliśmy ślub?

Cecilia otwierała już usta, żeby mu odpowiedzieć, ale zdołała tylko wyjąkać kilka bezużytecznych sylab. Czy on naprawdę myśli, że są małżeństwem? Przecież nigdy jej nie widział.

– Nie pamiętam – jęknął.

Cecilia spytała, dobierając ostrożnie słowa:

– Czego nie pamiętasz?

Spojrzał na nią półprzytomnie.

– Nie wiem.

Wiedziała, że powinna go jakoś pocieszyć, ale mogła jedynie wpatrywać się w niego. Oczy miał puste, a skóra, i tak już blada z powodu choroby, wydawała się teraz wręcz szara. Chwycił za skraj łóżka, jakby to był brzeg szalupy ratunkowej, a ona miała chęć zrobić to samo. Sala zaczęła wirować wokół niej, zwężając się w ciasny, wąski tunel.

Ledwie mogła oddychać.

A on wyglądał tak, jakby miał lada chwila rozlecieć się na kawałki.

Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy, i zadała jedno jedyne pytanie:

– Czy przypominasz sobie cokolwiek?

2

Koszary w Hampton Court Palace są, jak uważam, znośne, a nawet bardziej niż znośne, choć nie dorównują ani trochę wygodom w domu. Oficerów ulokowano po dwóch w dwuosobowych pomieszczeniach, mamy zatem nieco prywatności. Mieszkam więc razem z innym porucznikiem nazwiskiem Rokesby. On jest synem hrabiego, czy uwierzysz?…

Z listu Thomasa Harcourta do siostry Cecilii

Edward walczył o oddech. Jego serce najwyraźniej chciało wyskoczyć mu z piersi i mógł myśleć jedynie o tym, że powinien zleźć z tego polowego łóżka. Musiał zrozumieć, o co tu chodzi. Musiał…

– Leż spokojnie! – krzyknęła Cecilia, z trudem usiłując powstrzymać go przed wypadnięciem z łóżka. – Uspokój się!

– Pozwól mi wstać! – upierał się, choć jakaś niewielka, rozumna cząstka jego umysłu usiłowała uzmysłowić mu, że nie wie, dokąd ma pójść.

– Proszę cię, uspokój się! – błagała Cecilia, trzymając go z całej siły za oba nadgarstki. – Poczekaj, nabierz tchu!

Spojrzał na nią, ciężko dysząc.

– Co się tu dzieje?

Przełknęła ślinę i rozejrzała się wokoło.

– Myślę, że powinniśmy poczekać na doktora.

Ale on był zbyt wzburzony, żeby czekać.

– Jaki dziś dzień? – spytał.

Zdumiała się, zaskoczona.

– Piątek.

– Pytam o datę! – parsknął.

Nie odpowiedziała od razu, ale kiedy to już zrobiła, odparła powoli i ostrożnie:

– Dwudziesty piąty czerwca.

Serce Edwarda znów zaczęło wściekle łomotać.

– Co takiego?!

– Gdybyś tylko poczekał na…

– Niemożliwe. – Edward dźwignął się na łóżku i siadł nieco prościej. – Mylisz się.

Pokręciła z wolna głową.

– Nie.

– Niemożliwe. Niemożliwe! – Rozejrzał się gorączkowo po sali. – Pułkowniku! – krzyknął donośnie. – Doktora! Jakiegokolwiek!

– Edwardzie, przestań! – zawołała, usiłując uniemożliwić mu wstanie z łóżka, ale on zesunął już nogi na ziemię. – Błagam cię, poczekaj, póki lekarz cię nie obejrzy!

– Hej, ty tam! – wrzasnął, wskazując drżącą ręką na czarnoskórego mężczyznę, który zamiatał podłogę. – Którego mamy dzisiaj?

Mężczyzna wytrzeszczył oczy na Cecilię, bez słów prosząc ją o jakąś wskazówkę.

– Którego mamy dzisiaj? – powtórzył Edward. – Jaki to miesiąc? Powiedz mi, jaki teraz jest miesiąc.

Mężczyzna znów zerknął na Cecilię, ale tym razem odpowiedział:

– Czerwiec, sir. Koniec czerwca.

– Nie! – stęknął Edward, opadając z powrotem na łóżko. – Nie!

Zamknął oczy, próbując zebrać myśli mimo pulsującego w czaszce huku. Musi być jakiś sposób, żeby to ustalić. Jeśli zdoła się należycie skupić na ostatniej rzeczy, jaką zapamiętał…

Otworzył raptownie oczy i spojrzał na Cecilię.

– Nie przypominam sobie ciebie.

Szyja jej zadrgała. Edward wiedział, iż powinien się wstydzić, bo niemal doprowadził ją do płaczu. A ona była damą. Była jego żoną. Z pewnością mu wybaczy. Musiał jednak zrozumieć… musiał wiedzieć, co się z nim stało.

– Wypowiedziałeś moje imię – szepnęła – kiedy odzyskałeś przytomność.

– Wiem, kim jesteś – odparł. – Tylko że ja cię nie znam.

Usta jej drgnęły, gdy wstała. Wsunęła pasmo włosów za ucho, nim zacisnęła dłonie. Denerwowała się, co mógł bez trudu dostrzec. A potem błysnęła mu krańcowo zaskakująca myśl – Cecilia wyglądała trochę inaczej niż na miniaturze należącej do jej brata. Usta miała szersze i pełniejsze, niepodobne do słodkich i tajemniczych usteczek widniejących na portreciku. Włosy też nie były wcale tak cudownie złociste, jak je ukazał malarz, tylko raczej ciemnoblond, podobnie jak włosy Thomasa, choć bez rudawego odcienia.

Przypuszczał, że nie przebywała zbyt często na słońcu.

– Ty jesteś Cecilią Harcourt, prawda? – spytał, bo zorientował się w końcu, że nigdy tego nie potwierdziła.

Kiwnęła głową.

– Tak, oczywiście.

– Tutaj, w Nowym Jorku? – Wpatrywał się uważnie w jej twarz. – Dlaczego?

Zobaczył, że patrzyła teraz w bok, całkiem jakby potrząsnęła przedtem głową.

– To skomplikowane.

– Ale myśmy się pobrali? – Sam nie był pewien, czy to stwierdzenie, czy pytanie.

Nie był też pewien, czy chce, żeby to było stwierdzenie, czy też może pytanie.

Przysiadła ostrożnie na łóżku. Edward nie miał jej za złe wahania. Rzucał się przecież jak schwytane w pułapkę zwierzę. Musiała być dosyć mocna, skoro zdołała sobie z nim poradzić.

A może to on stał się bardzo słaby?

Cecilia znowu przełknęła ślinę, jakby przygotowując się do czegoś trudnego.

– Muszę ci powiedzieć, że…

– Co się tu dzieje?!

Odwróciła się gwałtownie i obydwoje spojrzeli na pułkownika Stubbsa, który szedł pospiesznie przez kaplicę, prowadząc ze sobą doktora.

– Czemu koce leżą na podłodze? – spytał.

Cecilia ponownie wstała i odsunęła się na bok, tak by doktor mógł zająć jej miejsce przy Edwardzie.

– Rzucał się – wyjaśniła. – Nie wie, co się z nim dzieje.

– Wiem, co się ze mną dzieje! – prychnął Edward.

Doktor spojrzał na niego, ale Edward chętnie by go chwycił za gardło. Czemu patrzy na Cecilię? Przecież właśnie on jest pacjentem!

– Zdaje mu się, że… – Cecilia przygryzła wargę, wciąż spoglądając to na niego, to na doktora. Nie widziała, co ma mówić. Edward nie mógł jej o to winić.

– Pani Rokesby… – upomniał ją lekarz.

Znów to samo. Pani Rokesby. Był więc żonaty. Kiedyż, u diabła, się ożenił?

– No cóż – odparła bezradnie, usiłując znaleźć właściwe słowa, by wyjaśnić niesłychaną sytuację. – Sądzę, że on nie pamięta…

– Wyduś to wreszcie z siebie, kobieto! – warknął pułkownik Stubbs.

Edward niemal zerwał się z łóżka, nim zdał sobie sprawę, o co mu chodzi.

– Jakim tonem pan do niej mówi!

– Nie, nie – pospiesznie uspokoiła go Cecilia – wszystko w porządku, pułkownik nie chciał mnie obrazić. Wszyscy jesteśmy w rozterce.

Edward prychnął ze złością i byłby przewrócił oczami, gdyby ona właśnie w tym momencie nie położyła mu łagodnie ręki na ramieniu. Miał na sobie cienką, niemal przetartą koszulę, poczuł więc, jak jej palce chwyciły go z pełną chłodu i spokoju siłą.

Ochłonął. Gniew nie opuścił go całkowicie w jakiś magiczny sposób, ale mógł już nabrać głęboko tchu – na tyle, by powstrzymać się od złapania pułkownika za gardło.

– Nie wiedział, jaki dziś jest dzień – wyjaśniła Cecilia pewniejszym już głosem. – Sądził, zdaje się, że to… – Spojrzała na niego.

– Nie czerwiec! – parsknął.

Doktor zmarszczył brwi i ujął go za nadgarstek, jakby chcąc zmierzyć puls. Kiedy to zrobił, spojrzał mu w jedno oko, a potem w drugie.

– Moje oczy są w porządku – wymamrotał Edward.

– Jaka jest ostatnia rzecz, którą pan zapamiętał, kapitanie Rokesby? – spytał doktor.

Edward rozchylił usta, pragnąc odpowiedzieć, ale w głowie miał tylko pełno szarej mgły. Jakby znalazł się na stalowosinym oceanie, nienaturalnie spokojnym, bez jednej fali.

Bez żadnych wspomnień.

Chwycił gwałtownie garścią za pościel. Jakże, u diabła, miał odzyskać pamięć? Nie był nawet pewien, co się z nim przedtem działo.

– Spróbuj pan sobie przypomnieć, Rokesby – burknął pułkownik.

– Przecież próbuję! – odparł gniewnie. Czy oni myślą, że jest idiotą? Że nie zdaje sobie z niczego sprawy? Nie wiedzą, co dzieje się w jego głowie, a miał tam tylko przeogromną pustkę zamiast pamięci. – Nie wiem nic –

odparł w końcu. Powinien był zebrać wszystkie siły. Jest przecież żołnierzem; uczono go, jak zachować spokój w obliczu niebezpieczeństwa. – Myślę, że… chyba… miałem się udać do kolonii Connecticut.

– No i udał się pan tam – powiedział pułkownik. – Pamięta pan to?

Edward pokręcił głową. Próbował sobie przypomnieć… ale nic z tego – wiedział tylko niejasno, że ktoś kazał mu wyruszyć właśnie tam.

– To była ważna podróż – podkreślił pułkownik. – Powinien nam pan powiedzieć o wielu rzeczach.

– Teraz chyba nie dam rady – odparł z goryczą.

– Niechże pan nie wywiera na niego takiej presji – wtrąciła się Cecilia. – Dopiero co oprzytomniał.

– Pani troska jest godna szacunku – odparł Stubbs – ale tu chodzi o bardzo ważne rzeczy z wojskowego punktu widzenia i nie można ich odłożyć na później z powodu bolącej głowy. – Spojrzał na stojącego obok żołnierza i skinął głową w kierunku drzwi. – Wyprowadź stąd panią Rokesby. Może wrócić, kiedy skończymy przesłuchiwać kapitana.

Och, nie. Nie mogli mu tego zrobić.

– Moja żona zostanie przy mnie! – uciął Edward.

– Nie wolno jej poznać tak istotnych informacji.

– Cóż z tego, skoro nie potrafię ich panu udzielić.

Cecilia weszła pomiędzy pułkownika a łóżko.

– Musi pan dać mu czas na odzyskanie pamięci.

– Pani Rokesby ma słuszność – stwierdził lekarz. – Przypadki tego typu są rzadkie, ale najpewniej kapitan przypomni sobie większość rzeczy, choć może nie wszystkie.

– Kiedy? – spytał pułkownik.

– Nie potrafię powiedzieć. A na razie musimy zapewnić mu największy spokój, jak to możliwe w tych niełatwych okolicznościach.

– Nie! – odezwał się Edward, bo spokój i cisza były ostatnimi rzeczami, jakich potrzebował. Całkiem jak wszystko inne w jego życiu. Jeśli chciał w

czymś osiągnąć sukces, musiał ciężko pracować i ćwiczyć, ćwiczyć.

Nie mógł leżeć w łóżku, pragnąc spokoju i ciszy.

Spojrzał ku Cecylii. Znała go. Mógł nie pamiętać jej twarzy, lecz przez ponad rok korespondowali ze sobą. Znała go i wiedziała, że nie mógł leżeć bezczynnie.

– Cecilio – powiedział – z pewnością ty to zrozumiesz.

– Sądzę, że doktor ma rację – odparła spokojnie. – Gdybyś tylko chciał odpocząć…

Ale Edward z miejsca pokręcił głową. Oni wszyscy się mylili. Oni nie…

Niech to diabli.

Przenikliwy ból przeszył mu czaszkę.

– Moja głowa! – jęknął. Nie mógł nią poruszać zbyt szybko. Czuł się tak, jakby mózg rozsypał mu się z trzaskiem na kawałki.

– Czy pamięta pan coś? – spytał znów pułkownik.

– Nie, ty przeklęty… – Edward zdołał urwać, nim powiedział coś niewybaczalnie grubiańskiego. – Czuję tylko ból.

– Dosyć tego! – oświadczyła Cecilia. – Nie pozwolę, żeby go dłużej wypytywano!

– Nie pozwoli pani, żebym… co robił? – odparował pułkownik. – Jestem jego dowódcą!

Szkoda, że Edward nie mógł się zmusić do otwarcia oczu, bo chętnie by zobaczył, jak wygląda twarz pułkownika, gdy Cecilia parsknęła:

– Ale nie moim!

– Może ja bym coś powiedział? – wtrącił lekarz.

Edward usłyszał, jak ktoś zbliża się o krok, a potem poczuł, że materac ugina się, gdy doktor siada koło niego.

– Czy może pan otworzyć oczy?

Edward pokręcił głową, ale tym razem wolniej. Czuł, że jedynym sposobem walki z bólem było zaciśnięcie powiek.

– Bywa tak przy tego rodzaju ranach – stwierdził łagodnym tonem doktor. – Mogą potrzebować czasu, żeby się zagoić, a podczas tego procesu często bywają bardzo bolesne. Obawiam się, że przynaglanie nic tutaj nie da.

– Rozumiem – powiedział Edward. Nie podobało mu się to, lecz pojął, że nie może być inaczej.

– Nie można od nas, ludzi medycyny, zbyt wiele żądać – ciągnął doktor. Głos jego brzmiał teraz ciszej, jakby odwrócił się w stronę kogoś innego. – Nie wiemy wielu rzeczy tyczących uszkodzeń mózgu. Idę o zakład, że więcej o nich nie wiemy, niż udało nam się dowiedzieć.

Edward nie uznał tego za uspokajające.

– Żona pielęgnowała pana z największą troskliwością – i lekarz poklepał go przy tych słowach po ramieniu. – Radzę, żeby nadal to robiła, ale jeśli można, już poza szpitalem.

– Poza szpitalem? – powtórzyła Cecilia.

Edward wciąż nie otwierał oczu, ale dosłyszał w jej głosie nutę przerażenia.

– Nie ma już gorączki – zwrócił się do niej doktor – a rana goi się dobrze. Nie widzę oznak infekcji.

Edward dotknął głowy i skrzywił się.

– Lepiej tego nie robić – ostrzegł go lekarz.

Edward otworzył w końcu oczy i spojrzał na swoje palce. Niemalże spodziewał się ujrzeć na nich krew.

– Przecież nie mogę zabrać go ze szpitala – powiedziała Cecilia.

– Poradzi sobie pani świetnie – uspokajał ją doktor. – On nie mógłby marzyć o lepszej opiece niż ze strony małżonki.

– Nie zrozumiał mnie pan – odparła. – Nie mam gdzie go zabrać.

– Gdzie zamieszkałaś? – spytał Edward. Przypomniał sobie nagle, że była jego żoną i że to on odpowiada za jej bezpieczeństwo oraz dobrobyt.

– Wynajęłam pokój. Niedaleko stąd. Ale tam jest tylko jedno łóżko.

Po raz pierwszy, odkąd odzyskał przytomność, Edward poczuł, że na jego twarzy maluje się uśmiech.

– Jedno małe łóżko – uściśliła. – Ledwie go starczy dla mnie. Stopy wystawałyby ci na zewnątrz. – A potem, gdy nikt nie powiedział nic na tyle szybko, by złagodzić jej wyczuwalne zakłopotanie, dodała:

– To tylko pensjonat dla kobiet. Nie przyjęto by go tam.

Edward zwrócił się ku pułkownikowi i spytał z rosnącym niedowierzaniem:

– Moja żona zatrzymała się w pensjonacie?

– Nie wiedzieliśmy o tym – odpowiedział Stubbs.

– Musiał pan wiedzieć. Przecież jest tu już trzeci dzień.

– Skoro tam się zatrzymała…

Zaczęła w nim wzbierać furia. Wiedział, czym są takie pensjonaty w Nowym Jorku. Nieważne, że nie mógł sobie przypomnieć zaślubin. Cecilia była jego żoną i już.

A wojsko pozwoliło jej przebywać w tak podejrzanym miejscu?

Edward został wychowany jako dżentelmen i pewnych zniewag nie potrafił ścierpieć. Zapomniał o bólu w głowie, a nawet o tym, że jego żona, kobieta, którą przysiągł szanować, została haniebnie zaniedbana przez tych samych towarzyszy broni, którym poświęcił ostatnie trzy lata swojego życia.

Głosem twardym jak stal zażądał:

– Ma pan jej znaleźć jakieś właściwsze miejsce.

Stubbs uniósł brwi. Obydwaj wiedzieli, kto z nich był pułkownikiem, a kto tylko kapitanem.

Ale Edward nie pozwolił się pohamować. Przez większą część wojskowej kariery nie dbał o swoje wysokie pochodzenie, teraz jednak poniechał powściągliwości.

– Ta kobieta – powiedział – jest panią Edwardową Rokesby.

Pułkownik Stubbs już otwierał usta, chcąc coś powiedzieć, lecz Edward mu nie pozwolił.

– Ona jest moją żoną i synową hrabiego Manstona – ciągnął głosem lodowatym dzięki całym pokoleniom arystokratycznego wychowania. – Nie powinna przebywać w miejskim pensjonacie.

Cecilia, najwyraźniej czując się niepewnie, próbowała coś wtrącić.

– Było mi tam bardzo dobrze – powiedziała prędko. – Zapewniam cię.

– Nie jestem pewien – odparł, nie spuszczając wzroku z pułkownika Stubbsa.

– Znajdziemy jej jakieś bardziej odpowiednie miejsce – odparł pułkownik z niechęcią.

– Dzisiejszego wieczoru – uściślił Edward.

Mina pułkownika mówiła wyraźnie, że uważa to za nierozsądne żądanie, ale po pełnej napięcia chwili dodał:

– Możemy ją umieścić w Devil’s Head.

Edward skinął głową. W tym zajeździe mieszkali głównie oficerowie brytyjscy. Uważano go za najlepszą oberżę tego rodzaju w Nowym Jorku. Nie było to wiele, ale prócz umieszczenia Cecilii w domu prywatnym, Edward nie mógł trafić lepiej. Nowy Jork był rozpaczliwie przeludniony i chyba połowa środków, jakimi dysponowała armia, szła na zapewnienie żołnierzom kwatery. Gospoda Devil’s Head nie byłaby może czymś odpowiednim dla samotnie podróżującej damy, ale jako żona oficera Cecilia miałaby tam zapewniony szacunek i bezpieczeństwo.

– Monthy opuszcza nas jutro – powiedział pułkownik. – Jego pokój wystarczy wam obojgu.

– Proszę go umieścić z jakimś innym oficerem – zażądał Edward. – Ona będzie potrzebować pokoju jeszcze tej nocy.

– Wystarczyłoby mi jutro – powiedziała Cecilia.

Edward zignorował jej słowa.

– Dzisiejszego wieczoru.

Pułkownik kiwnął głową.

– Pomówię z Monthym.

Edward również kiwnął głową. Znał kapitana Monthy’ego. Również i on, podobnie jak wszyscy inni oficerowie, w mgnieniu oka ustąpiłby mu, skoro chodziło o bezpieczeństwo dobrze urodzonej niewiasty.

– A tymczasem – rzekł doktor – nasz chory musi mieć spokój i nie ruszać się. – Potem zaś zwrócił się do Cecilii: – Nie można go niczym niepokoić.

– Trudno sobie wyobrazić, żebym czuł się bardziej zaniepokojony niż teraz – odparł Edward.

Doktor uśmiechnął się.

– Zachował pan poczucie humoru? To bardzo dobry znak.

Edward postanowił nie okazywać, że wcale nie żartował.

– Powinniśmy przenieść tam pana jutro – powiedział pospiesznie Stubbs, a potem zwrócił się do Cecilii: – Przez ten czas niech mu pani przypomina wszystko, czego zapomniał. Może pobudzi to jego pamięć.

– Znakomity pomysł – odparł doktor. – Jestem pewien, że mąż chętnie się dowie, jak pani przybyła do Nowego Jorku.

Cecilia usiłowała się uśmiechnąć.

– Oczywiście.

– Niech pani tylko pamięta, żeby go niczym nie denerwować… – i doktor spojrzał porozumiewawczo ku Edwardowi, dodając: – …potem.

Pułkownik Stubbs omówił zwięźle z Cecilią przeprowadzkę, a później razem z doktorem odszedł, zostawiając Edwarda samego z żoną. Całkiem jakby mogli być sami w kościele pełnym chorych żołnierzy.

Edward spojrzał na Cecilię, stojącą lękliwie koło jego łóżka.

Jego żona. Do diaska.

Nadal nie rozumiał, jak do tego doszło, ale musiało to być prawdą. Pułkownik najwyraźniej jej uwierzył, a zawsze był człowiekiem godnym zaufania. Prócz tego była przecież Cecilią Harcourt, siostrą jego

najlepszego przyjaciela. Gdyby miał zamiar ożenić się z kobietą, której nigdy przedtem nie spotkał, jego wybór padłby pewnie na nią.

A jednak powinien był coś takiego zapamiętać.

– Kiedy wzięliśmy ślub? – spytał.

Wpatrywała się w koniec transeptu. Nie miał pewności, czy go usłyszała.

– Cecilio…

– Kilka tygodni temu – odparła, odwracając się, żeby stanąć twarzą do niego. – Powinieneś teraz spać.

– Nie jestem znużony.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się niepewnie i usiadła na krześle koło łóżka. – Bo ja jestem wyczerpana.

– Przepraszam – powiedział z miejsca. Czuł, że powinien się podnieść. Podać jej dłoń.

Być dżentelmenem.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał.

– Nie miałeś za wiele sposobności, żeby to zrobić – odparła suchym tonem.

Otworzył usta zaskoczony, a potem pomyślał: oto Cecilia Harcourt, którą znał tak dobrze. Lub myślał, że zna ją tak dobrze. Prawdę mówiąc, nie potrafił sobie przypomnieć nawet tego, czy widział jej twarz. Ale to, co mówiła, przypominało jej listy, a on podczas najgorszych chwil wojny czuł, że jej słowa są bliskie jego sercu.

Czasami zdumiewało go, że wyczekiwał jej listów do Thomasa bardziej niż tych od własnej rodziny.

– Przepraszam cię – powiedziała. – Mam zgoła nieodpowiednie poczucie humoru.

– Ale mnie się ono podoba – odparł.

Spojrzała na niego, a on pomyślał, że ujrzał w jej wzroku pewną wdzięczność.

Miała oczy w ciekawym kolorze zielonej morskiej wody, o tak jasnym odcieniu, że w dawnych wiekach z pewnością uznano by ją za czarownicę. Wydawało się to jednak błędne, bo była trzeźwiejsza i rzetelniejsza niż jakakolwiek inna osoba, którą spotkał.

Lub myślał, że spotkał.

Na wpół świadomie dotknęła swojego policzka.

– Czy mam coś na twarzy? – spytała.

– Nie, po prostu przyglądam ci się – powiedział.

– Nie ma tam wiele do oglądania.

Rozbawiło go to.

– Wcale tak nie uważam.

Zarumieniła się, a on zdał sobie sprawę, że flirtuje z własną żoną. Dziwne.

A jednak była to zapewne najmniej dziwna rzecz w tym dniu.

– Chciałbym sobie przypomnieć… – zaczął.

Spojrzała na niego.

Chciał przypomnieć sobie, kiedy się po raz pierwszy spotkali. Chciał przypomnieć sobie ich ślub.

Chciał sobie przypomnieć, jak ją całował.

– Edwardzie?… – spytała przyciszonym głosem.

– …wszystko – powiedział, choć zabrzmiało to nieco ostrzej, niż zamierzał.

– Z pewnością sobie przypomnisz. – Uśmiechnęła się szeroko, ale coś w tym uśmiechu było niewłaściwego. Nie widział go w jej oczach. A potem zdał sobie sprawę, że nie spojrzała w jego własne. Ciekaw był tego, czego mu nie mówiła. Czy ktoś powiedział jej coś więcej o jego stanie, a ona nie chciała mu tego wyjawić? Nie wiedział, kiedy mogliby to zrobić; nie opuszczała go przecież, odkąd tylko odzyskał świadomość.

– Przypominasz z wyglądu Thomasa – powiedział nagle.

– Tak sądzisz? – Spojrzała na niego w dziwny sposób. – Nikt inny jakoś tego nie dostrzegł. No chyba że chodzi o moje włosy. – Dotknęła ich, zapewne nie zdając sobie sprawy, że to robi. Były zebrane w niezręcznie spięty szpilkami węzeł, a kilka luźnych pasm opadło jej na policzki. Ciekaw był, jakiej te włosy są długości i jak mogą wyglądać rozpuszczone na plecy. – Przypominam podobno matkę – powiedziała – a przynajmniej tak mi mówiono. Nie pamiętam jej. Thomas jest podobny raczej do ojca.

Edward pokręcił głową.

– Nie chodzi mi o rysy, tylko o wyraz twarzy.

– Przepraszam, nie zrozumiałam, co miałeś na myśli…

– O, właśnie! – Uśmiechnął się i wyglądał dzięki temu o wiele lepiej niż chwilę wcześniej. – Robisz taką samą minę. Kiedy powiedziałaś „przepraszam”, przechyliłaś głowę dokładnie w taki sam sposób, jak on.

Uśmiechnęła się dziwnie.

– Czy on tak często mówi „przepraszam”?

– Nie tak często, jak powinien.

Wybuchnęła śmiechem.

– Och, dziękuję – powiedziała, wycierając oczy. – Nie śmiałam się od… – pokręciła głową – …nie mogę sobie nawet przypomnieć, od jak dawna.

Ujął ją za rękę.

– Nie miałaś zbyt wielu powodów do śmiechu – powiedział spokojnie.

Szyja znowu jej drgnęła, gdy skinęła głową, i przez jedną przerażającą chwilę myślał, że Cecilia się rozpłacze. A jednak nie potrafił zamilknąć.

– Co się stało z Thomasem? – spytał.

Nabrała głęboko tchu, a potem odetchnęła z wolna.

– Otrzymałam wiadomość, że został ranny i dochodzi do zdrowia w Nowym Jorku. Niepokoiłam się o niego, bo jak sam się przekonałeś – wskazała dłonią na salę – nie ma tu zbyt wielu chętnych do pielęgnowania rannych żołnierzy.

Edward zastanowił się nad jej słowami.

– Dziwi mnie, że ojciec pozwolił ci na tę podróż.

– Mój ojciec zmarł.

Do diabła.

– Przepraszam cię – powiedział. – Najwyraźniej utraciłem poczucie taktu razem z pamięcią. – Tylko że, prawdę mówiąc, nie mógł o tym wiedzieć. Miała na sobie różową suknię i nie widział żadnych oznak żałoby.

Zauważyła, że przygląda się materiałowi jej rękawa w bladoróżowym odcieniu.

– Wiem – powiedziała, wydymając dolną wargę – że powinnam nosić czarny strój. Mam jednak tylko jedną inną suknię, uszytą z wełnianej bombazyny. Upiekłabym się w niej z gorąca, gdybym nosiła ją tutaj.

– Nasze mundury też są raczej niewygodne w letnich miesiącach – zgodził się z nią Edward.

– Istotnie. Thomas również o tym wspominał w listach. Właśnie z powodu jego opisu tutejszego lata nie wzięłam jej ze sobą.

– Na pewno bardziej ci do twarzy w różowym – przyznał.

Zaskoczył ją ten komplement. Nie zdziwił się wcale. Zrobił wrażenie czegoś nie na miejscu, zważywszy, gdzie się znajdowali.

W kościele.

W samym środku wojny. A także to, że utracił pamięć, a znalazł żonę – nie, doprawdy, nie powinien był się spodziewać, że spotka go coś jeszcze osobliwszego.

– Dziękuję – odparła Cecilia i po odkaszlnięciu ciągnęła dalej: – Ale pytałeś o mego ojca. Masz słuszność. Nigdy by mi nie pozwolił na podróż do Nowego Jorku. Nie był zbyt troskliwym rodzicem, lecz nawet on by mi się przeciwstawił. Chociaż… – roześmiała się niewesoło – nie wiem, jak prędko by zauważył moją nieobecność.

– Zapewniam cię, że każdy by ją zauważył.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Nie znałeś mojego ojca. Tak długo, jak tylko dom jest, przepraszam, był prowadzony bez zakłóceń, niczego by nie zauważył.

Powoli skinął głową. Thomas nie mówił mu wiele o Walterze Harcourcie, ale to, czego się od niego dowiedział, potwierdzało słowa Cecilii. Niejeden raz jego przyjaciel narzekał na ojca, zbyt zadowolonego z tego, że zrobił z Cecilii darmową gospodynię. Thomas mówił, że powinna znaleźć sobie kogoś, kto by ją poślubił. Powinna też była opuścić Marswell i żyć własnym życiem.

Czy Thomas zamierzał zabawić się w swata? Edward nie myślał wówczas o tym w ten sposób.

– Czy to był wypadek? – spytał.

– Nie, ale zmarł niespodziewanie. Poszedł uciąć sobie drzemkę w gabinecie. – Wzruszyła lekko ramionami. – No i nie obudził się więcej.

– Serce?

– Doktor powiedział, że nie można mieć całkowitej pewności. Zresztą to nieważne.

Spojrzała na niego z wyrazem twarzy świadczącym o bólu, a Edward dałby słowo, że go odczuł. Było coś szczególnego w jej oczach – ich kolor, ich przejrzystość – i gdy spojrzała w jego własne, poczuł, że całe powietrze ucieka mu z płuc.

Czy zawsze tak będzie?

Czy dlatego się z nią ożenił?

– Wyglądasz na znużonego – powiedziała i dodała, nim mógł jej przerwać: – Wiem, powiesz, że jest inaczej, ale twój wygląd świadczy o czymś innym.

Edward nie chciał jednak spać. Nie mógł znieść myśli, że pozwoli swemu umysłowi znów osunąć się w nieświadomość. Stracił już zbyt wiele czasu. Powinien był go odzyskać. Każdą jego chwilę. Każde wspomnienie.

– Nie powiedziałaś mi, co się stało z Thomasem – przypomniał jej.

Ujrzał na jej twarzy żal.

– Nie wiem – odparła zdławionym głosem. – Najwyraźniej nikt nie wie, gdzie on jest.

– Jak to możliwe?

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Mówiłaś z pułkownikiem Stubbsem?

– Oczywiście.

– A z generałem Garthem?

– Nie pozwolono mi się z nim zobaczyć.

– Co takiego? – To było coś nie do zniesienia. – Jako moja żona…

– Nie mówiłam im, że jestem twoją żoną.

Utkwił w niej wzrok.

– Dlaczego, u licha?

– Nie wiem. – Podniosła się raptownie z krzesła i objęła rękami. – Pewnie dlatego, że jestem, no cóż, po prostu jego siostrą.

– Przecież z pewnością powiedziałaś, jak się nazywasz.

Przygryzła wargę, nim się odezwała ponownie.

– Nie sądzę, żeby ktoś połączył jedno z drugim.

– Generał Garth miałby nie być świadomym, że pani Edwardowa Rokesby to moja żona?

– Przecież już ci mówiłam, że się z nim nie widziałam. – Podeszła ku niemu i zaczęła otulać go kocem. – Zanadto się denerwujesz. Możemy pomówić o tym jutro.

– Na pewno! – mruknął gniewnie.

– Albo pojutrze.

Spojrzał jej w oczy.

– Będzie to zależało od twojego zdrowia.

– Cecilio…

– Nie będę się z tobą kłócić – ucięła. – Może nie jestem teraz w stanie zrobić czegoś dla mojego brata, ale tobie mogę pomóc. A jeśli znaczy to, że trzeba cię zmusić, żebyś się, do licha, powstrzymał od…

Wpatrywał się w nią uważnie. Usta miała zaciśnięte i jedną nogę nieznacznie wysunęła w przód, jakby gotowała się do walki. Mógł ją sobie niemal wyobrazić wymachującą mieczem nad głową, z okrzykiem wojennym.

Była niczym Joanna d'Arc, niczym Boudika. Jak każda kobieta pragnęła stanąć w obronie swojej rodziny.

– Moja ty dumna wojowniczko – mruknął.

Spojrzała na niego gniewnie.

Nie przeprosił jej.

– Powinnam już iść – powiedziała nagle. – Pułkownik Stubbs ma posłać kogoś, żeby zabrał mnie z pensjonatu wieczorem. Muszę spakować rzeczy.

Nie był pewien, czy wiele zdołała ich zgromadzić po przybyciu do Ameryki Północnej, lecz nie chciał stawać pomiędzy nią a jej kuferkiem podróżnym.

– Dasz sobie radę beze mnie? – spytała.

Przytaknął.

Zaniepokoiło ją to.

– Pewnie byś mi i tak nie powiedział, gdyby było inaczej, prawda?

Zdobył się na krzywy uśmiech.

– Jasne, że tak.

Przewróciła oczami.

– Wrócę tutaj rano.

– Będę na to czekał.

No i czekał. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem czekał na coś z większą niecierpliwością.

Rzecz jasna, niczego w tym rodzaju sobie nie przypominał.

Ale wciąż czekał.

3

Syn hrabiego? Doprawdy, w wielkim świecie się znalazłeś, braciszku! Mam nadzieję, że on nie jest nieznośny z powodu swego urodzenia.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Kilka godzin później, gdy Cecilia szła za pogodnym, młody porucznikiem, któremu polecono ją eskortować w drodze do zajazdu Devil's Head, zastanawiała się, kiedy wreszcie serce przestanie jej bić jak oszalałe. Dobry Boże, ileż razy kłamała tego popołudnia! Starała się, żeby jej odpowiedzi były jak najbliższe prawdy, zarówno po to, by ulżyć własnemu sumieniu, jak i dlatego, że nie miała pojęcia, co dalej ma robić.

Powinna była powiedzieć Edwardowi prawdę i trzeba uczciwie przyznać, że o mało tego nie zrobiła. Tylko że akurat wtedy wrócił pułkownik Stubbs razem z doktorem. No i nie było sposobu, żeby powiedziała o tym w ich obecności. Wyrzucono by ją niewątpliwie ze szpitala, a tymczasem Edward wciąż jej potrzebował.

Ona zaś wciąż potrzebowała jego.

Znalazła się zupełnie sama w bardzo dziwnym kraju. Prawie bez pieniędzy. Teraz zaś, gdy powód, dla którego to wszystko zrobiła, odzyskał świadomość, mogłaby w końcu przyznać się sobie samej, że jest nieprzytomna ze strachu.

Gdyby Edward ją odtrącił, wkrótce znalazłaby się na ulicy. Nie miałaby wyboru, musiałaby wrócić do Anglii, a tego nie mogła zrobić bez wyjaśnienia, co stało się z jej bratem. Zbyt wiele poświęciła, żeby odbyć tę podróż, która wyczerpała całą jej odwagę. Nie mogła się teraz poddać.

Jakże jednak mogła nadal go okłamywać? Edward Rokesby był dobrym człowiekiem. Nie zasługiwał na to, by czerpać z tego korzyść w tak jawnie bezwstydny sposób. Co więcej, był najlepszym przyjacielem Thomasa. Obydwaj spotkali się, gdy wstąpili do wojska, i jako oficerowie z tego samego regimentu zostali jednocześnie wysłani do Ameryki Północnej. Od tego czasu, jak wiedziała, służyli w wojsku razem.

Wiedziała również, że Edward potraktował ją życzliwie. Gdyby mu wyznała prawdę, z pewnością zrozumiałby, dlaczego skłamała, i zechciałby jej pomóc. Ale czy na pewno?

Wszystko to nie miało jednak nic do rzeczy. Albo przynajmniej należało odłożyć wyznanie do następnego dnia. Do oberży Devil’s Head było niedaleko, a poza tym cieszyła ją obietnica ciepłego łóżka i solidnego posiłku. Na tyle z pewnością zasługiwała.

Cel, jaki sobie wyznaczyła na obecny dzień, brzmiał: nie czuć się winną. A przynajmniej nie podczas porządnego obiadu.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedział z uśmiechem porucznik.

Cecilia kiwnęła głową. Nowy Jork był doprawdy dziwnym miejscem. Zdaniem kobiety, która prowadziła pensjonat, ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców tłoczyło się na niewielkiej przestrzeni południowego krańca wyspy Manhattan. Cecilia nie wiedziała dokładnie, ilu żyło tam przed wojną, ale mówiono jej, że ich liczba wzrosła, odkąd armia brytyjska uczyniła to miasto swoją główną kwaterą. Szkarłatnie odziani żołnierze byli wszędzie i każdy nadający się do użytku budynek zobowiązany był ich przymusowo gościć. Stronnicy Kongresu Kontynentalnego od dawna opuścili Nowy Jork, a ich miejsce zajęli bardzo liczni Lojaliści, uchodzący z pobliskich kolonii w poszukiwaniu brytyjskiej opieki.

Najdziwniejszym widokiem – przynajmniej jej zdaniem – byli jednak Murzyni. Nigdy przedtem nie widziała nikogo o równie ciemnej skórze i zdumiewało ją, że tak wielu ich było w rojącym się od ludzi porcie.

– Zbiegli niewolnicy – wyjaśnił porucznik, idąc za jej spojrzeniem. Cecilia patrzyła właśnie na czarnoskórego mężczyznę wychodzącego od kowala po drugiej stronie ulicy.

– Co to znaczy?

– Przybywają tutaj całymi setkami. – Porucznik wzruszył ramionami. – Generał Clinton nadał im wolność w zeszłym miesiącu, ale żadna z Patriotycznych Ziem nie usłuchała tego rozkazu, więc ich niewolnicy uciekają do nas. – Zmarszczył czoło. – Co prawda nie mamy tu dla nich, prawdę mówiąc, dosyć miejsca. Nie można jednak potępiać kogoś za to, że chce być wolny.

– Nie można – mruknęła Cecilia, oglądając się przez ramię. Gdy znów odwróciła się ku porucznikowi, byli już przed wejściem do oberży Devil’s Head.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział, otwierając przed nią drzwi.

– Dziękuję.

Weszła do środka, a potem odsunęła się na bok, żeby mógł zorientować się, gdzie jest oberżysta. Trzymając kurczowo przed sobą skromną torbę podróżną, Cecilia wkroczyła do głównego pomieszczenia oberży i zarazem pubu. Wygląd miał bardzo podobny do jego brytyjskich odpowiedników – był słabo oświetlony, zatłoczony i ze śliską podłogą pełną kałuż czegoś, co Cecilia chciała uważać za mocne piwo. Młoda kobieta z bujnym biustem uwijała się między stołami, zręcznie stawiając na nich jedną ręką kufle, a drugą zbierając talerze. Za szynkwasem jakiś mężczyzna z gęstymi wąsami manipulował kurkiem od beczki, przeklinając, gdy mu się wymykał z ręki.

Byłoby tam całkiem jak w Anglii, gdyby niemal wszystkich stolików nie zajmowali żołnierze w szkarłatnych mundurach.

Nie było między nimi zbyt wielu kobiet, ale Cecilia uznała, że sądząc z ich ubioru i zachowania, są to osoby godne szacunku. Może żony oficerów? Słyszała, że niektóre z nich towarzyszyły mężom w Nowym Świecie. Uznała też, że sama stała się taką żoną, przynajmniej na jeden dzień.

– Panno Harcourt!

Cecilia odwróciła się zaskoczona ku stołowi pośrodku sali. Jeden z żołnierzy – mężczyzna w średnim wieku z przerzedzonymi brązowymi włosami – zerwał się na nogi.

– Panno Harcourt! – powtórzył. – Co za niespodzianka ujrzeć panią tutaj!

Otwarła usta ze zdumienia. Znała tego człowieka. A także nienawidziła go. Był pierwszą osobą, którą odszukała, usiłując odnaleźć Thomasa, krańcowo protekcjonalną i najbardziej niechętną do pomocy ze wszystkich.

– Witam, majorze Wilkins! – powiedziała, składając mu uprzejmy ukłon, choć w duchu była pełna niepokoju. Znów będzie musiała wymyślić jakieś kłamstwo, i to szybko.

– Czy dobrze się pani czuje? – spytał obcesowo, jak to było w jego zwyczaju.

– Dobrze. – Rozejrzała się za porucznikiem, który gawędził teraz z innym żołnierzem. – Dziękuję za troskę.

– Sądziłem, że zamierza pani wrócić do Anglii.

Uśmiechnęła się niepewnie i wzruszyła ramionami zamiast odpowiedzi. Ani myślała wdawać się z nim w rozmowę. Nigdy mu też nie mówiła, że zamierza pozostać w Nowym Jorku.

– Pani Rokesby! Ach, tu pani jest.

Cecilia pomyślała z wdzięcznością, że młody porucznik ją uratował. Torował sobie ku niej drogę z dużym mosiężnym kluczem w ręce.

– Rozmawiałem z oberżystą – powiedział – i…

– Pani Rokesby? – wtrącił się major Wilkins.

Porucznik zasalutował, widząc majora.

Wilkins odsunął go na bok.

– Nazwał pan ją panią Rokesby?

– Czyż nie tak się pani nazywa? – spytał porucznik.

Cecilia usiłowała rozluźnić obręcz, która zdawała się zaciskać wokół jej serca.

– Ja…

Major odwrócił się ku niej, marszcząc brwi.

– Sądziłem, że nie jest pani mężatką.

– Byłam! – parsknęła. – To znaczy… – Do diabła, znalazła się w niełatwym położeniu. Nie mogła przecież wyjść za mąż w ciągu trzech dni. – Byłam niezamężna. Jakiś czas temu. To znaczy, skoro jestem teraz mężatką, to przedtem…

Nawet nie próbowała skończyć. Dobry Boże, plecie głupstwa jak ostatnia kretynka.

– Pani Rokesby jest żoną kapitana Rokesby’ego – przyszedł jej z pomocą porucznik.

Major Wilkins obrócił się ku niej gwałtownie.

– Kapitana Edwarda Rokesby’ego?

Cecilia skinęła głową. Wiedziała, że nie istniał żaden inny kapitan Rokesby, ale skoro już się tak uwikłała w kłamstwa, uznała, że najlepiej będzie nie pogarszać sytuacji fałszywymi wyjaśnieniami.

– Jak u licha… – major odsapnął. – Przepraszam. Czemuż pani tego nie powiedziała?

Cecilia przypomniała sobie rozmowę z Edwardem. Trzymaj się tych samych kłamstw, upomniała w duchu samą siebie.

– Pytałam pana o mego brata – wyjaśniła. – Wydawało mi się, że pokrewieństwo jest ważniejsze.

Major spojrzał na nią tak, jakby straciła rozum. Cecilia bardzo dobrze wiedziała, co sobie myślał. Edward Rokesby był synem hrabiego. Musiała nie mieć rozumu, żeby nie powołać się na te właśnie koneksje.

Nastała chwila przykrej ciszy, podczas której major usiłował przybrać minę świadczącą o szacunku, a potem odkaszlnął i powiedział:

– Bardzo mi miło słyszeć, że pani mąż powrócił do Nowego Jorku. – Zmarszczył jednak podejrzliwie brwi. – Przez pewien czas był zaginiony, prawda?

Oznaczało to wyraźnie: „Dlaczego nie szukała pani męża?”

Cecilia wyprostowała się wyniośle.

– Wiedziałam już o jego powrocie, kiedy pytałam pana o los brata.

Nie było to prawdą, ale major Wilkins nie musiał o tym wiedzieć.

– Rozumiem. – Major wyglądał nawet na nieco zawstydzonego. – Przepraszam panią.

Cecilia złożyła mu iście królewski ukłon, jaki jej zdaniem mógł pasować do hrabiny. Albo do synowej hrabiny.

Major Wilkins znów odchrząknął, a potem powiedział:

– Postaram się zasięgnąć ponownie wiadomości w sprawie miejsca pobytu pani brata.

– Ponownie? – powtórzyła Cecilia. Nie wydawało się jej, by zrobił to wcześniej.

Major poczerwieniał.

– Czy pani mąż szybko wyjdzie ze szpitala?

– Jutro.

– Jutro, mówi pani?

– Tak – odparła z wolna, z trudem opierając się chęci dorzucenia: „jak już mówiłam”.

– I zatrzymacie się państwo właśnie tutaj?

– Kapitan i pani Rokesby zajmą pokój po kapitanie Monthym – porucznik znów przyszedł jej z pomocą.

– Ach, jak to uprzejmie z jego strony. Dobry z niego człowiek, dobry człowiek.

– Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy mu kłopotu – dodała Cecilia. Rozejrzała się wśród stołów, ciekawa, czy wyeksmitowany kapitan Monthy nie siedzi czasem przy jednym z nich. – Powinnam mu podziękować, jeśli to będzie możliwe, za ustąpienie nam miejsca.

– Z pewnością zrobił tak bardzo chętnie – oświadczył major Wilkins, choć nie było sposobu, by można uznać to za pewnik.

– Rozumiem – powiedziała Cecilia, spoglądając z utęsknieniem ku schodom, które, jak przypuszczała, prowadziły do jej sypialni. – Miło mi było pana znów ujrzeć, ale mam za sobą bardzo męczący dzień.

– Oczywiście – odrzekł major, kłaniając się jej energicznie. – Wrócę tu z wiadomością jutro.

– Wróci pan… z wiadomością?

– Z nowinami o pani bracie. A jeśli nawet nie zdołam przynieść nowin, to przynajmniej przedstawię wyniki śledztwa.

– Dziękuję panu – powiedziała Cecilia, zaskoczona jego nieoczekiwaną troską.

Major Wilkins zwrócił się do porucznika:

– O jakiej porze spodziewa się pan jutro przybycia kapitana Rokesby’ego?

Czemuż to on wypytywał porucznika?

– Po południu – powiedziała ostrym tonem, choć nie miała pojęcia, kiedy można go będzie tam przenieść. Poczekała, póki major Wilkins nie odwrócił się ku niej, i dodała:

– Porucznik nie wie dokładnie, kiedy to nastąpi.

– Pani Rokesby ma rację – powiedział pogodnie porucznik. – Otrzymałem tylko rozkaz, żeby eskortować ją do nowego miejsca pobytu. Jutro wracam do Haarlemu.

Cecilia pożegnała majora bladym uśmiechem.

– No oczywiście – mruknął major. – Proszę mi wybaczyć, pani Rokesby.

– Nieważne – odparła. Mimo że chętnie powiedziałaby mu coś przykrego, zdawała sobie sprawę, że nie powinna go sobie zrażać. Nie wiedziała dokładnie, czym się właściwie zajmuje, choć domyślała się, że do jego zadań należy rejestracja i nadzorowanie kwaterowanych tu żołnierzy.

– Czy pani i kapitan Rokesby będziecie tutaj o wpół do piątej? – spytał.

Spojrzała mu w oczy.

– Jeśli przyniesie mi pan wieści o bracie, to na pewno.

– Doskonale. Dobranoc pani. – Kiwnął energicznie głową, pożegnał eskortującego ją porucznika, a potem wrócił do stołu, pozostawiają Cecilię z porucznikiem, który zawołał: „Och!”, nim powiedział:

– Prawie o tym zapomniałem. To pani klucz.

– Dziękuję – odparła Cecilia, biorąc klucz od niego. Obróciła go w dłoni.

– Pokój numer dwanaście – wyjaśnił porucznik.

– Tak – powiedziała, patrząc na duże „12” wyryte w metalu. – Pójdę już na górę.

Porucznik skinął z wdzięcznością głową; był młody i najwyraźniej nie odpowiadała mu myśl eskortowania damy aż na sam próg sypialni, nawet mężatki.

Mężatka. Dobry Boże. Jakże się wyplączе z tej sieci kłamstw? A także, co było jeszcze ważniejsze, kiedy? Nie jutro. Mogła się podawać za żonę Edwarda, by móc pozostać przy nim i pielęgnować go, póki nie wyzdrowieje, ale było przeraźliwie wręcz jasne, że żonie kapitana Rokesby’ego dużo bliżej jest do majora Wilkinsa niż skromnej pannie Harcourt.

Cecilia wiedziała, że ze względu na Edwarda powinna zakończyć tę farsę najszybciej, jak tylko można, ale tu wchodził w grę los jej brata.

Powinna powiedzieć mu prawdę. Koniecznie.

Tylko nie jutro. Jutro będzie musiała nadal być panią Rokesby. A potem…

Z westchnieniem wsunęła klucz do zamka jej pokoju i przekręciła go. Obawiała się, że będzie musiała być panią Rokesby, póki nie odnajdzie brata.

– Wybacz mi – wyszeptała.

Może to wystarczy.

Edward jak najbardziej miał zamiar wstać, włożyć mundur i być gotowym do ruszenia w drogę, gdy Cecilia przyszła do szpitala następnego dnia. Zamiast tego leżał w łóżku, miał na sobie tę samą koszulę, którą nosił nie wiadomo od kiedy, i spał tak głęboko, że Cecilia z początku sądziła, iż znów zapadł w śpiączkę.

– Edwardzie! – usłyszał, jak do niego szeptała, choć był ledwie przytomny. – Edwardzie!

Wymamrotał coś. A może burknął. Nie był pewien różnicy między jednym a drugim. Zapewne zależało to od jego nastawienia.

– Och, dzięki Bogu – szepnęła, a on raczej wyczuł, niż usłyszał, że siadła na krześle przy jego łóżku.

Zapewne powinien się był zbudzić na dobre.

Może, gdyby otworzył oczy, cały świat wróciłby ponownie do niego. Byłby czerwiec i miałoby sens, że to czerwiec. Byłby żonaty – i to również miałoby sens, zwłaszcza gdyby sobie przypomniał, co czuł, całując ją.

Albowiem naprawdę lubiłby ją całować. Właśnie o tym myślał całą poprzednią noc. Albo przynajmniej przez większą część nocy. Co najmniej zaś przez jej połowę. Buzowało w nim to pragnienie zwłaszcza teraz, gdy wiedział, że się z nią ożenił, ale dotkliwie czuł własny smród i tym, do czego naprawdę tęsknił, była kąpiel.

Boże święty, jak on śmierdział.

Leżał bez ruchu przez kilka minut, a jego mózg wypoczywał sobie za zamkniętymi powiekami. Było coś całkiem przyjemnego w tym bezruchu.

Nie musiał nic robić, tylko myśleć. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni cieszył się takim luksusem.

Ale był w pełni świadom, że nie może sobie przypomnieć niczego z ostatnich trzech miesięcy. Wciąż miał zupełną pewność, że nie spędził ich na spokojnym przeglądzie własnych myśli, wsłuchując się w stłumione dźwięki wydawane przez siedzącą koło niego żonę. Przypomniał sobie o tych momentach dzień wcześniej, a o niektórych tuż przed otwarciem oczu. Słyszał też jej oddech. Było to jednak czymś innym, choć teraz wiedział, kim ona jest. Dźwięki brzmiały tak samo, ale były inne.

Dziwna rzecz. Nigdy by nie uwierzył, że pewnego dnia będzie tak bardzo zadowolony, leżąc w łóżku i słuchając szmeru kobiecego oddechu. Wzdychała jednak częściej, niżby mu się podobało. Była zmęczona. A może coś ją martwiło. Zapewne jedno i drugie.

Powinien jej powiedzieć, że się obudził. Był już najwyższy czas.

Ale wtedy usłyszał, jak mruknęła:

– No i co ja mam z tobą zrobić?

Doprawdy, nie mógł się temu oprzeć. Otworzył oczy.

– Ze mną?

Krzyknęła i zerwała się tak szybko z krzesła, że cudem tylko nie przebiła sufitu.

Edward zaczął się śmiać. Donośnym śmiechem z samych głębi trzewi, który wstrząsnął jego żebrami i wcisnął mu się w płuca, mimo że Cecilia spiorunowała go wzrokiem, z ręką na bijącym mocno sercu. A on śmiał się i śmiał.

I podobnie jak tuż przedtem wiedział, że było to coś, czego nie robił od dłuższego czasu.

– Zbudziłeś się już wcześniej – powiedziała z wyrzutem jego żona.

– Nie – odparł – ale ktoś zaczął wtedy szeptać moje imię.

Wzruszył ramionami. Nie czuł skruchy.

– Wyglądasz dziś lepiej – powiedziała.

Uniósł brwi.

– Jesteś trochę mniej… szary na twarzy.

Dobrze, że nikt mu nie podał lusterka.

– Muszę się ogolić – powiedział, pocierając podbródek.

Ile dni liczył sobie jego zarost? Przynajmniej ze dwa tygodnie. Zapewne bliżej trzech. Zmarszczył brwi.

– O co chodzi? – spytała.

– Czy ktoś wie, od ilu dni byłem nieprzytomny?

Pokręciła głową.

– Nie sądzę. Nikt nie ma pojęcia, jak długo to trwało, zanim cię znaleziono, ale nie przypuszczam, żeby bardzo długo. Mówiono mi, że rana na twojej głowie była świeża.

Skrzywił się. „Świeżość” to słowo, które lubi się w odniesieniu do poziomek, a nie rozbitych czaszek.

– W takim razie zapewne nie dłużej niż osiem dni – zdecydowała. – Czemu o to pytasz?

– Moja broda – powiedział. – Musiało upłynąć dużo więcej czasu niż tydzień, odkąd się po raz ostatni goliłem.

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Nie jestem pewna, czy to istotne – stwierdziła w końcu.

– Ja też nie – przyznał. – Ale jest warte uwagi.

– Masz służącego?

Spojrzał na nią z pogardą.

– Nie patrz na mnie w ten sposób. Dobrze wiem, że wielu oficerów podróżuje ze służącymi.

– Ale nie ja.

Po chwili powiedziała:

– Musisz być bardzo głodny. Podam ci trochę bulionu, ale nie za dużo.

Edward położył dłoń na swoim tułowiu. Kości biodrowe były tak mocno zaznaczone, jak za czasów dzieciństwa.

– Zdaje się, że trochę schudłem.

– Czy jadłeś coś wczoraj po moim odejściu?

– Niewiele. Byłem zgłodniały, ale potem źle się poczułem.

Kiwnęła głową, patrząc na swoje dłonie, nim powiedziała:

– Nie miałam sposobności, żeby ci to powiedzieć wczoraj, ale pozwoliłam sobie napisać do twojej rodziny.

Do jego rodziny. Dobry Boże. A on nawet o niej nie pomyślał.

Spojrzał jej w oczy.

– Dowiedzieli się, że zaginąłeś – wyjaśniła. – Generał Garth napisał do nich kilka miesięcy temu.

Edward przeciągnął ręką po twarzy, przesłaniając oczy. Mógł sobie wyobrazić reakcję matki. Pewnie nie przyjęła tego dobrze.

– Napisałam, że zostałeś ranny, ale nie wchodziłam w szczegóły. Uznałam za najważniejsze, by się dowiedzieli, że cię odnaleziono.

– Odnaleziono mnie – powtórzył za nią. Było to celne słowo. Nie wrócił ani nie uciekł. Zamiast tego odnaleziono go koło Kip’s Bay. Diabli wiedzą, jak się tam znalazł. – Kiedy przypłynęłaś do Nowego Jorku? – spytał nagle. Lepiej pytać o to, czego nie wiedział, niż zadręczać się tym, czego nie pamiętał.

– Prawie dwa tygodnie temu.

– Żeby mnie odszukać?

– Nie – przyznała. – Nie szukałam cię, to znaczy nie byłabym tak niemądra, żeby po przebyciu oceanu szukać mężczyzny uznanego za zaginionego.

– A jednak znalazłaś się tutaj.

– Thomas został ranny – przypomniała mu. – Potrzebował mnie.

– Przybyłaś tu więc dla brata.

Posłała mu szczere, otwarte spojrzenie, jakby się zastanawiała, czy to jest może przesłuchanie.

– Doszłam do wniosku, że znajdę go w szpitalu.

– W przeciwieństwie do mnie.

Przygryzła dolną wargę.

– No, tak. Ja nie… to znaczy… nie wiedziałam, że zaginąłeś.

– Generał Garth nie napisał do ciebie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie sądzę, żeby wiedział o małżeństwie.

– Zaraz… poczekaj. – Zmrużył oczy, a potem otworzył je. Czuł się bardzo zaniepokojony. Coś tu nie miało sensu. Nie zgadzało się w czasie. – Czy wzięliśmy ślub tutaj? Nie, nie moglibyśmy tego zrobić, skoro zaginąłem.

– To… to było małżeństwo *per procura*. – Zaczerwieniła się i wyglądała na bardzo zakłopotaną, gdy o tym mówiła.

– Wziąłem z tobą ślub *per procura*? – spytał zdumiony.

– Thomas tego pragnął – wyjąkała.

– Czy takie małżeństwo jest w ogóle prawomocne?

Oczy się jej rozszerzyły, a on natychmiast poczuł się winny. Ta kobieta pielęgnowała go przez trzy dni, kiedy leżał nieprzytomny, a tymczasem on jej daje do zrozumienia, że mogą nie być małżeństwem. Nie zasłużyła sobie na taki brak szacunku.

– Zapomnij o tym, co powiedziałem – powiedział szybko. – Możemy to wszystko załatwić później.

Skinęła głową z wdzięcznością, a potem ziewnęła.

– Czy wypoczęłaś wczoraj? – spytał.

Wargi jej wygięły się w nieznacznym, pełnym znużenia uśmiechu.

– Myślałam, że takie pytania to raczej moja specjalność.

Skrzywił się ponownie.

– Z tego, co wiem, ja nie robiłem nic innego, tylko bez przerwy odpoczywałem przez ostatnie kilka dni.

Milcząco przyznała, że miał rację.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – przypomniał jej. – Czy wypoczęłaś?

– Co nieco. Sądzę, że raczej straciłam w tym wprawę. No i nie przywykłam jeszcze do tego pokoju. – Pasmo włosów spadło jej na twarz. Zmarszczyła brwi, nim założyła je za ucho. – Zawsze trudno mi zasnąć przez pierwszą noc w nowym otoczeniu.

– Założę się, że nie spałaś dobrze od kilku tygodni.

Uśmiechnęła się.

– Prawdę powiedziawszy, spałam na statku bardzo dobrze. Fale mnie kołysały.

– Zazdroszczę ci. Kiedy jestem na morzu, przeważnie cierpię na chorobę morską.

Stłumiła śmiech.

– Przepraszam.

– Dobrze, że cię tam nie było. Nie wyglądałem wtedy na mężczyznę, którego chciałoby się złapać na męża. – Zastanowił się nad tym. – A teraz też chyba nie przypominam kogoś takiego.

– Och, nie bądź…

– Nieumyty, nieogolony…

– Edwardzie…

– Śmierdzący – urwał. – Widzę, że mi nie przeczysz.

– No cóż, masz… że tak powiem… pewien specyficzny zapach.

– Nie zapomnij też, że brakuje mi czegoś w głowie.

Zesztywniała z miejsca.

– Nie powinieneś mówić takich rzeczy.

Powiedziała to lekkim tonem, lecz on spojrzał na nią i odparł:

– Gdybym nie potrafił dopatrzyć się w tym czegoś śmiesznego, zostałby mi tylko płacz.

Nic nie powiedziała.

– W znaczeniu przenośnym – powiedział, bo zrobiło mu się jej żal. – Nie martw się. Nie zaleję się nagle łzami.

– Gdybyś tak zrobił – powiedziała z wahaniem – wcale nie miałabym o tobie gorszego zdania. Ja… ja chciałabym…

– Troszczyć się o mnie? Opatrywać moje rany? Osuszać moje łzy?

Rozchyliła usta, nie sądził jednak, żeby była jego słowami zaskoczona, co najwyżej zmieszana.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo odpowiada ci sarkazm – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Wcale nie jestem tego pewien.

Uznała, że posunęła się może zbyt daleko, a na jej czole zarysowały się zmarszczki, tak wysoko uniosła brwi. Znieruchomiała na kilka sekund i dopiero gdy ujrzał, jak gwałtownie wciągnęła powietrze ustami, zrozumiał, że zaparło jej dech. Zdołała go jednak ponownie nabrać, wydając przy tym jakiś słaby dźwięk.

– Poddajesz mnie analizie? – spytał.

Nie zaprzeczyła.

– To bardzo ciekawe – powiedziała – że pewne rzeczy sobie przypominasz, a innych nie.

– Trudno mi to uważać za akademicką kwestię – powiedział, choć bez rozgoryczenia. – Ale oczywiście tobie wolno tak robić. Ucieszyłbym się, gdyby nastąpił tu jakiś przełom.

Podniosła się z krzesła.

– Przypomniałeś sobie coś nowego?

– Od wczoraj?

Przytaknęła.

– Nie. A przynajmniej tak nie myślę. Trudno to powiedzieć, skoro nie mogę wiedzieć, czego nie pamiętam. Nie mam nawet pewności od jakiego momentu.

– Powiedziano mi, że wyruszyłeś do Connecticut na początku marca. – Przechyliła głowę na bok, a nieposłuszne pasmo włosów znów wysunęło się jej zza ucha. – Czy to sobie przypominasz?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Nie – przyznał. – Niejasno pamiętam, że powiedziano mi, żebym tam się udał, lub raczej pamiętam, że mi o tym powiedziano. – Przesunął dłonią po oczach. – Ale czy to w ogóle coś znaczy? – Spojrzał na Cecilię. – Choć nie mam pojęcia dlaczego.

– W końcu przypomnisz to sobie – odparła. – Doktor powiedział, że po uderzeniu w głowę mózg potrzebuje czasu, żeby wrócić do dawnego stanu.

Zmarszczył czoło.

– Do stanu, w jakim byłeś, zanim straciłeś przytomność – wyjaśniła.

– Aha.

Milczeli oboje przez chwilę, a potem Cecilia ostrożnie wyciągnęła ku niemu dłoń i spytała:

– Czy cię to boli?

– Jak wszyscy diabli.

Podniosła się.

– Mogę ci dać laudanum.

– Nie – powiedział pospiesznie. – Dziękuję. Wolałbym zachować jasność myśli. – Po chwili zrozumiał, jak groteskowo to zabrzmiało, zważywszy całą jego sytuację. – No, przynajmniej chciałbym myśleć jasno na tyle, żeby sobie przypomnieć, co się ze mną działo przez ostatni dzień.

Wargi jej drgnęły,

– No, dalej – powiedział. – Zaśmiej się wreszcie.

– Doprawdy, nie powinnam – powiedziała. Ale zrobiła to. Zaśmiała się, choć bardzo niepewnie.

Był to jednak czarujący dźwięk.

A potem ziewnęła.

– Prześpij się – zażądał.

– Och, nie mogę. Przecież nie zrobię tego tutaj.

– Nikomu nie powiem.

Spojrzała na niego ze złością.

– A komu byś powiedział?

– Punkt dla ciebie – ustąpił. – Ale tak czy owak najwyraźniej potrzeba ci snu.

– Wyśpię się w nocy. – Zmieniła pozycję na krześle, próbując usadowić się wygodniej. – Chciałabym tylko dać odpocząć oczom.

Zaśmiał się z cicha.

– Nie żartuj sobie ze mnie – upomniała go.

– Czego ty chcesz? Nigdy nawet nie widziałaś, jak drzemię.

Otwarła jedno oko.

– Mam wyjątkowo szybki refleks.

Edward roześmiał się ponownie, patrząc, jak Cecilia znów przybiera znużoną minę. Ziewnęła po raz drugi, tym razem nie próbując nawet tego ukrywać.

Czy tak właśnie wygląda to w małżeństwie? Że można bezkarnie ziewać? Edward przypuszczał, że nawet jest to godne pochwały.

Patrzył, jak Cecilia „daje odpocząć oczom”. Doprawdy, była śliczna. Thomas mówił, że jego siostra jest ładna, ale robił to w taki niezobowiązujący, braterski sposób. Widział to, co – jak przypuszczał Edward – widział też on sam, patrząc na własną siostrę, Mary: miała buzię ze wszystkimi rysami na właściwym miejscu. Thomas pewnie nigdy by nie zauważył, że rzęsy Cecilii są nieco ciemniejsze od jej włosów albo że kiedy ma zamknięte oczy, tworzą one dwa delikatne łuki, niemal przypominające kształtem księżyc, którego powoli przybywa po nowiu.

Wargi miała pełne, choć nie wyglądały niby pączek róży, jak lubią to chętnie ujmować poeci. Kiedy spała, rozchylały się nieznacznie, a on mógł sobie wtedy wyobrazić, jak wydobywa się z nich lekki oddech.

– Czy sądzisz, że będziesz w stanie przenieść się dziś po południu do Devil’s Head? – spytała.

– Sądziłem, że śpisz.

– Mówiłam ci już, że chcę dać odpocząć oczom.

Wcale nie kłamała. Uniosła przy tych słowach jedynie rzęsy.

– Powinienem sobie poradzić. Tylko że doktor chce mnie jeszcze obejrzeć, nim stąd wyjdę. Mam nadzieję, że pokój jest wygodny?

Skinęła głową, wciąż z zamkniętymi oczami.

– Może ci się tylko wydać nieduży.

– Ale tobie nie?

– Nie wymagam za wiele.

– Ja również.

Otwarła oczy.

– Przepraszam. Nie chciałam ci wcale dać do zrozumienia, że z tobą jest inaczej.

– Wiele nocy spałem na gołej ziemi. Każde pomieszczenie z łóżkiem wyda mi się luksusem. No, może prócz tego – powiedział, spoglądając na prowizoryczny szpital. Kościelne ławki odsunięto od ściany, a chorzy leżeli na zbieraninie łóżek polowych i zwykłych. Niektórzy nawet wprost na posadzce.

– Jakie to przygnębiające – szepnęła.

Zgodził się z nią. Powinien być wdzięczny losowi. Nie stracił przecież żadnej części ciała. Może jest osłabiony, ale to minie. Niektórzy z innych pacjentów w tej sali mieli dużo mniej szczęścia.

Chciał stąd wyjść. Jak najprędzej.

– Głodny jestem – oświadczył nagle.

Spojrzała na niego, a on stwierdził, że raczej go ucieszyło zaskoczenie w tych jej niesamowitych oczach.

– Jeśli doktor chce mnie obejrzeć, to niech się… – odchrząknął i dokończył: – Niech się pofatyguje do Devil’s Head.

– Jesteś pewien? – spojrzała na niego zaskoczona. – Może to niedobrze, że chcę, żeby…

Przerwał jej, wskazując na stos szkarłatnych i brązowych mundurów przewieszonych przez pobliski klęcznik.

– Zdaje się, że mój leży na samym wierzchu. Może zechcesz mi go przynieść?

– Ale doktor…

– W takim razie ostrzegam cię: zrobię to sam. A jestem na wpół nagi pod tą koszulą.

Policzki jej poczerwieniały – nie tak bardzo, by upodobniły się do munduru, ale prawie, a jemu nagle przyszło coś na myśl.

Małżeństwo *per procura*.

Spędził kilka miesięcy w Connecticut.

A ona dwa tygodnie w Nowym Jorku.

Nic dziwnego, że nie rozpoznał jej twarzy. Nigdy jej przedtem nie widział.

A ich małżeństwo?

Nigdy nie zostało skonsumowane.

4

Porucznik Rokesby wcale nie jest nieznośny. W gruncie rzeczy to całkiem przyzwoity człowiek. Myślę, że polubiłabyś go. Pochodzi z Kentu i praktycznie zaręczył się ze swoją sąsiadką. Pokazałem mu twoją miniaturę. Powiedział, że jesteś bardzo ładna.

Z listu Thomasa Harcourta do siostry Cecilii

Edward uparł się, że włoży mundur samodzielnie, tak więc Cecilia miała czas, żeby rozejrzeć się na zewnątrz za czymś do zjedzenia. Spędziła większą część ostatniego tygodnia w tym rejonie miasta, dlatego znała tutaj każdy sklep i witrynę. Najoszczędniejszą opcją – a więc jej wyborem – były bułeczki z rodzynkami sprzedawane na straganie przez niejakiego Mathersa. Okazały się względnie smaczne, choć, jak przypuszczała, ich niska cena miała coś wspólnego z tym, że w środku każdej znajdowały się najwyżej trzy rodzynki.

Pan Lowell, trochę dalej, sprzedawał bułeczki z rodzynkami posypane cukrem, z dobrze wyrośniętego ciasta, i z cynamonem. Cecilia nigdy nie policzyła, ile w nich jest rodzynek, bo zjadła tylko jedną, dawno temu, i pochłonęła ją o wiele za szybko, by zdolna była do czegoś poza jękiem zadowolenia, gdy lepki cukier rozpływał się jej na języku.

Ale za rogiem znalazła sklep pana Rooijakkersa, holenderskiego piekarza. Cecilia wstąpiła do niego tylko raz, bo nie stać jej było na jego wyroby, a poza tym szybko by się po nich stała w krótkim czasie gruba jak beczka.

Jeśli jednak kiedykolwiek zyskała okazję do ekstrawagancji, to właśnie teraz, gdy Edward oprzytomniał i zdrowiał. Cecilia miała w kieszeni dwie monety, dosyć jak na jeden zakup, no a poza tym nie musiała się już martwić o zapłatę za pokój w pensjonacie. Oczywiście musiała oszczędzać, bo Bóg jeden wie, co się z nią stanie później – ale nie potrafiła zmusić się do oszczędzania na jedzeniu. Nie tego dnia.

Pchnęła drzwi, uśmiechając się na widok zawieszonego nad nimi dzwonka, a potem westchnęła z zachwytu, czując niebiański zapach, jaki dochodził z kuchni na zapleczu.

– Czym mogę służyć? – spytała rudowłosa kobieta stojąca za ladą. Była niewiele młodsza od niej i mówiła z bardzo nieznacznym obcym akcentem, którego pochodzenia Cecilia nie potrafiłaby określić, gdyby nie to, że miała już do czynienia ze sklepikarzami przybyłymi z Holandii.

– Poproszę ten okrągły bochenek – powiedziała, wskazując rząd trzech ładnych, krągłych chlebów na półce, ze złocistą skórką, niepodobnych do żadnego pieczywa w jej własnym kraju. – Czy wszystkie kosztują tyle samo?

– Przedtem tak – odparła kobieta, spoglądając ku nim – ale teraz, kiedy pani spytała, widzę, że ten po prawej wygląda na trochę mniejszy. Może go pani kupić o pół centa taniej.

Cecilia zastanawiała się już, gdzie pójść po ser lub masło do chleba, ale spytała jeszcze:

– Co tak wspaniale pachnie?

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– *Speculaas*. Świeżo upieczone. Próbowała ich pani kiedy?

Cecilia pokręciła głową. Była strasznie głodna. Ostatni porządny posiłek zjadła poprzedniego wieczoru, ale on tylko jej przypomniał, jak fatalnie traktuje swój żołądek. A choć stek i placek z cynaderkami w oberży Devil's Head były dobre, ślinka jej wręcz napływała do ust na myśl o czymś słodkim.

– Złamała mi się jedna, gdy kładłam je na tacy – powiedziała kobieta. – Może ją pani dostać gratis.

– Och, nie mogłabym…

Kobieta machnęła lekceważąco ręką.

– Skoro nigdy ich pani nie jadła… Nie mogę od pani brać pieniędzy za samo spróbowanie.

– W rzeczywistości mogłaby pani to zrobić – powiedziała Cecilia z uśmiechem – ale nie będę się spierać.

– Nie widziałam nigdy pani w naszym sklepie – powiedziała kobieta przez ramię, kierując się do kuchni.

– Już raz tutaj byłam – Cecilia pominęła fakt, że nic wówczas nie kupiła. – W zeszłym tygodniu. Sprzedawał tu wtedy jakiś starszy mężczyzna.

– Mój ojciec – powiedziała kobieta.

– W takim razie pani jest panną Rooey… ehm, Roojak… Dobry Boże, jak to się wymawia?

– Rooijakkers – odparła kobieta z uśmiechem, wyłaniając się zza drzwi. – Ale tak naprawdę jestem panią Leverett.

– Dzięki Bogu – powiedziała z ulgą Cecilia. – Choć wypowiedziała pani już to nazwisko, nie sądzę, bym potrafiła je powtórzyć.

– Często mówię mężowi, że właśnie dlatego za niego wyszłam – zażartowała pani Leverett.

Cecilia śmiała się, póki nie przypomniała sobie, że nazwisko jej męża też miało swoje znaczenie. Jednakże w jej przypadku chodziło o to, by major Wilkins zrobił wreszcie, co powinien był zrobić.

– Holenderski nie jest łatwym językiem – powiedziała pani Leverett – lecz jeśli zamierza pani pozostać w Nowym Jorku przez jakiś czas, warto byłoby nauczyć się kilku zdań.

– Nie wiem, jak długo tu zabawię – odparła szczerze Cecilia. Miała nadzieje, że niezbyt długo. Póki nie odnajdzie brata.

A także póki nie przekona się, czy Edward naprawdę odzyskał siły. Nie mogła odjechać, nie upewniając się o tym.

– Pani angielszczyzna jest znakomita – powiedziała do sprzedawczyni.

– Urodziłam się już tutaj. Moi rodzice również, ale w domu mówimy po holendersku. No, proszę – i podała jej dwa kawałki płaskiego, brązowego jak karmel ciastka – niech pani spróbuje.

Cecilia podziękowała jej po raz wtóry i złożyła obie połówki, tak by odzyskały pierwotny, podłużny kształt, nim włożyła jedną z nich do ust.

– Och, jej! To po prostu boskie! – zawołała.

– A więc smakuje pani? – Ruda kobieta otworzyła szeroko oczy z zachwytu.

– Jakże mogłoby być inaczej?

Ciasto pachniało trochę kardamonem, trochę goździkami, a trochę karmelem. Choć było obce, wywołało u Cecilii tęsknotę za domem. Może dlatego, że jednocześnie mogła prowadzić rozmowę? Przedtem miała głowę zbyt zaprzątniętą czym innym, by zdać sobie sprawę ze swego osamotnienia.

– Niektórzy oficerowie mówią, że są za cienkie i łatwo się kruszą – powiedziała pani Leverett.

– Chyba zbzikowali – odparła Cecilia z pełnymi ustami. – Choć przyznam, że byłyby znakomite do herbaty.

– Obawiam się, że teraz o nią niełatwo.

– Istotnie – odparła ze smutkiem Cecilia. Wiedziała o tym i zabrała jej trochę ze sobą, ale zbyt mało, i zużyła dwie trzecie zapasu podczas podróży.

W ostatnim tygodniu zaparzała ją dwukrotnie i ograniczyła o połowę porcje wsypywane do imbryczka.

– Nie powinnam się skarżyć – powiedziała pani Leverett. – Wciąż możemy dostać cukier, a on jest o wiele ważniejszy przy wypieku ciasta.

Cecilia przytaknęła i skubnęła tylko kawałek drugiej połowy ciastka. Chciała, by wystarczyło choć na trochę dłużej.

– Oficerowie mają herbatę – ciągnęła pani Leverett. – Nie za wiele, ale więcej niż inni.

Edward był oficerem. Cecilia nie chciała wprawdzie z tego korzystać, ale gdyby mógł dla niej zdobyć trochę herbaty…

Pomyślała, że chętnie oddałaby część własnej duszy za jedną porządną jej filiżankę.

– Nie mówiła mi pani, jak się nazywa – powiedziała pani Leverett.

– Och, bardzo przepraszam. Strasznie dziś jestem roztargniona. Panna Har… Przepraszam. Pani Rokesby.

Kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Świeżo poślubiona?

– Och, prawda. – Cecilia wolała nie wyjaśniać, w jakim stopniu jest to prawda. – Mój mąż – spróbowała nie zacinać się przy tym słowie – jest oficerem. W randze kapitana.

– Tak przypuszczałam – zauważyła pani Leverett. – Z innego powodu nie przybyłaby pani do Nowego Jorku w samym środku wojny.

– Dziwna rzecz – zastanawiała się Cecilia – jakoś wcale nie czuje się tu wojny. Gdybym nie widziała rannych żołnierzy… – urwała, uświadamiając sobie, co właśnie mówi. Nie była wprawdzie świadkiem rzeczywistych zmagań wojennych na tej brytyjskiej placówce, lecz świadectwa walki i niedostatków widniały wszędzie. Port był pełen starych okrętów służących za więzienia, a gdy przepływał koło nich jej statek, pasażerów ostrzeżono, by zeszli z pokładu.

Albowiem płynący stamtąd smród, jak usłyszała, był nie do wytrzymania.

– Przepraszam panią – powiedziała do swojej rozmówczyni – wyraziłam się bardzo nieodpowiednio. Jest tu więcej oznak wojny niż na froncie bitewnym.

Pani Leverett uśmiechnęła się, lecz ze smutkiem.

– Nie trzeba przepraszać. Przez dwa lata było tu względnie spokojnie. Oby Bóg sprawił, by tak się nadal działo.

– Istotnie – szepnęła Cecilia. – Chyba już sobie pójdę, ale przedtem proszę mi zapakować pół tuzina *speculaas*. – Zmarszczyła czoło, dokonując w pamięci obliczeń. W kieszeni miała wystarczająco dużo pieniędzy. – Nie, cały tuzin.

– Cały tuzin? – pani Leverett uśmiechnęła się z pewną ironią. – Mam nadzieję, że znajdzie pani herbatę.

– Ja również mam taką nadzieję. Muszę coś uczcić. Mój mąż… – znów o mało się nie potknęła na tym słowie – dzisiejszego dnia opuszcza szpital.

– Och, przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy. Jak sądzę, znaczy to, że wyzdrowiał?

– Prawie – odparła Cecilia i pomyślała o Edwardzie, tak bardzo wychudzonym i bladym. Nawet go nie widziała, gdy wstawał z łóżka. – Wciąż jeszcze trzeba mu odpoczynku, żeby nabrał sił.

– Jakie to szczęście, że ma żonę przy sobie.

Cecilia przytaknęła, ale ze ściśniętym gardłem. Chętnie by uznała, iż właśnie z powodu *speculaas* chce jej się pić, ale miała wyraźną świadomość, że przyczyną są wyrzuty sumienia.

– Wie pani – powiedziała sprzedawczyni – mimo bliskości wojny w Nowym Jorku mnóstwo ludzi się bawi. Wyższe warstwy wciąż urządzają przyjęcia. Oczywiście, ja tam nie bywam, ale od czasu do czasu widuję wystrojone damy.

– Naprawdę? – brwi Cecilii uniosły się do góry.

– Och, tak. No i mają, zdaje się, wystawić w przyszłym tygodniu *Makbeta* w John Street Theatre.

– Chyba pani żartuje?

Pani Leverett uniosła dłoń.

– Daję słowo! Klnę się na piekarnik mojego ojca!

Cecilia parsknęła śmiechem.

– Może i ja się tam wybiorę? Od bardzo dawna nie byłam w teatrze.

– Nie mogę ręczyć za jakość spektaklu – powiedziała pani Leverett – bo zdaje się, że większość ról będą grali brytyjscy oficerowie.

Cecilia próbował wyobrazić sobie pułkownika Stubbsa lub majora Wilkinsa na scenicznych deskach. Nie był to przyjemny obraz.

– Moja siostra poszła tam, kiedy dawali *Otella* – ciągnęła pani Leverett. – Mówiła, że dekoracje były bardzo pięknie malowane.

Cecilia domyśliła się, że pod pozorem wątpliwej pochwały pani Leverett skryła krytykę. Ale ubodzy nie mogą wybredzać, a ona doprawdy nieczęsto widywała Szekspira w Derbyshire. Może powinna pójść na to przedstawienie?

Gdyby Edward też się zdecydował.

Gdyby wciąż jeszcze byli „małżeństwem”.

Cecilia westchnęła.

– Powiedziała pani coś?

Cecilia pokręciła przecząco głową, ale pytanie musiało być czysto retoryczne, bo pani Leverett owijała już *speculaas* w płótno.

– Niestety, nie mamy papieru – powiedziała z miną wyrażającą przeprosiny. – Brakuje go, podobnie jak herbaty.

– To znaczy, że muszę tu przyjść ponownie, żeby zwrócić pani tkaninę – odparła Cecilia. A gdy zdała sobie sprawę, jak ucieszyła ją już sama możliwość porozmawiania z kobietą równą jej wiekiem, dodała: – Na imię mi Cecilia.

– A mnie Beatrix – odparła sprzedawczyni.

– Cieszę się, że mogłam panią poznać – rzekła Cecilia. – No i dziękuję za… och, zaraz. Jak jest po holendersku „dziękuję”?

Beatrix uśmiechnęła się szeroko.

– *Dank u*.

Cecilia aż zamrugała ze zdziwienia.

– Naprawdę?

– Spytała pani o łatwą rzecz – Beatrix wzruszyła ramionami. – Gdyby chciała się pani dowiedzieć, jak brzmi „proszę”…

– Och, niech pani lepiej nie mówi – powiedziała Cecilia, choć wiedziała, że mimo wszystko chce poznać ten zwrot.

– *Alstublieft* – uśmiechnęła się Beatrix. – Tylko proszę nie mówić, że to brzmi jak kichnięcie.

Cecilia roześmiała się.

– Wolę *dank u*. Przynajmniej jak na razie.

– Niech już pani wraca do męża – odparła Beatrix.

Znowu to słowo. Cecilia uśmiechnęła się na pożegnanie, ale niepewnie. Co by sobie pomyślała Beatrix Leverett, gdyby wiedziała, że Cecilia jest po prostu oszustką?

Wyszła ze sklepu, nim łzy zdołały potoczyć się jej po policzkach.

– Mam nadzieję, że lubisz słodycze, bo kupiłam… och.

Edward spojrzał na nią. Jego żona powróciła z małym zawiniątkiem i pewnym siebie uśmiechem.

Niewystarczająco jednak pewnym, bo zniknął, gdy tylko ujrzała go siedzącego z opuszczonymi bezwładnie ramionami na skraju łóżka.

– Czy dobrze się czujesz?

Niezupełnie. Zdołał się samodzielnie ubrać, ale tylko dlatego, że położyła mu mundur na pościeli, nim wyszła. Edward nie był pewien, czy zdołałby samodzielnie przejść przez salę. Wiedział, że jest osłabiony, ale

nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo, póki nie spuścił nóg z łóżka i nie spróbował wstać.

Był żałośnie słaby.

– Całkiem dobrze – wyjąkał.

– No oczywiście – mruknęła bez przekonania. – Ja… ach… chciałbyś może zjeść ciastko?

Patrzył na jej smukłe dłonie, gdy rozwijała paczuszkę.

– *Speculaas* – powiedział, rozpoznając je natychmiast.

– Jadłeś je już przedtem? Och, na pewno. Zapomniałam, że jesteś tu od dawna.

– Nie od dawna – zaprzeczył, biorąc w palce jeden z cienkich herbatników. – W Massachusetts spędziłem prawie rok. A potem byłem na Rhode Island. – Nadgryzł *speculaas*. – No i najwyraźniej także w Connecticut, choć nie mogę sobie tego przypomnieć.

Cecilia siadła na końcu łóżka – a raczej na jego twardym jak żerdź brzegu. Miała wygląd kogoś, komu nie zależy na zbytniej wygodzie.

– Czy Holendrzy osiedlili się we wszystkich koloniach?

– Zwłaszcza tutaj. – Skończył jedną *speculaas* i sięgnął po następną. – To miasto już ponad sto lat nie nazywa się Nowym Amsterdamem, ale większość Holendrów została w nim, kiedy wyspa zmieniła właściciela. – Zmarszczył brwi. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy wielu ich tu zostało, ale gdy chodził po mieście, zadowolony był z tego. Holenderskie wpływy wszędzie były widoczne, od charakterystycznych zygzakowatych fasad po *speculaas* i chrupiący chleb w piekarniach.

– Nauczyłam się, jak jest po holendersku „dziękuję” – powiedziała.

Poczuł, że się uśmiechnął.

– Bardzo to ambitne z twojej strony.

Spojrzała na niego ze złością.

– Założę się, że ty także znasz ten zwrot.

Wziął kolejną *speculaas*.

– *Dank u*.

– Cieszy mnie, że ci smakują – powiedziała z pewną ironią – ale może powinieneś zwolnić tempo. Nie wiem, czy to dobrze jeść tyle naraz.

– Zapewne niedobrze – zgodził się, ale *speculaas* zjadł.

Czekała cierpliwie, póki nie skończył jeść, a następnie z tą samą cierpliwością przypatrywała mu się, gdy siadł na brzegu łóżka, usiłując zebrać siły.

Jego żona była cierpliwą kobietą. No i powinna nią być, skoro siedziała przez trzy dni przy jego nieszczęsnym łóżku. Niewiele można zdziałać przy nieprzytomnym mężu.

Pomyślał o jej podróży przez Atlantyk. Podjętej, żeby dowiedzieć się, jaki jest los brata. I potem, gdy zdecydowała się na jego pielęgnowanie, cały czas wiedząc, że może to trwać miesiącami…

To również świadczyło o cierpliwości.

Ciekaw był, czy czasami nie miała chęci krzyczeć z desperacji.

Będzie musiała zdobyć się na cierpliwość jeszcze przez pewien czas, pomyślał z przygnębieniem. Nogi miał jak z galarety. Ledwie mógł chodzić. Do diabła, już samo stanięcie na nich było wyzwaniem, a żeby ich małżeństwo uczynić ważnym pod każdym względem…

To musiało poczekać.

No i było tym bardziej żałosne.

Chociaż przyszło mu na myśl, że wciąż jeszcze mogli, gdyby tylko tego chcieli, zrezygnować z tego związku. Anulowanie małżeństwa z powodu jego nieskonsumowania było zręcznym manewrem prawnym, ale po to właśnie zawiera się je *per procura*. Jeśli nie chciał się żenić, miał pewność, że nie musi tego robić.

– Edwardzie…

Głos Cecilii dotarł do niego jakby z daleka, ale on był zbyt pogrążony w myślach, żeby jej odpowiedzieć. Czy chciał się z nią żenić? Jeśli nie, to stanowczo nie mógł towarzyszyć jej do Devil’s Head. Może nie był na tyle

silny, żeby wziąć ją do łóżka, jak należy, lecz jeśli mieli dzielić ze sobą pokój choćby przez jedną noc, byłaby całkowicie skompromitowana.

– Edwardzie?

Odwrócił się powoli i zmusił do koncentracji. Przyglądała mu się z troską, ale nawet to nie mogło zakłócić zaskakującej jasności jej spojrzenia.

Położyła mu dłoń na ręce.

– Czy jesteś pewien, że masz tyle sił, żeby wyjść dzisiaj ze szpitala? Czy mam wezwać doktora?

Spojrzał jej w twarz.

– Czy chcesz wyjść za mnie?

– Co takiego? – Coś bliskiego przerażeniu przemknęło przez jej twarz. – Nie rozumiem cię.

– Nie musisz za mnie wychodzić – powiedział ostrożnie. – Nie skonsumowaliśmy naszego małżeństwa.

Rozchyliła wargi i, dziwna rzecz, mógł dostrzec, że zaparło jej dech.

– Myślałam, że nic nie pamiętasz – szepnęła.

– Nie musiałem niczego pamiętać. To tylko logika. Kiedy tu przybyłaś, przebywałem w Connecticut. Nigdy nie dzieliliśmy ze sobą łoża, nim przyszłaś do szpitala.

Przełknęła ślinę, a on wpatrywał się w szyję żony, w jej delikatny łuk, w puls bijący tuż pod skórą.

Boże, jak ogromnie chciał ją pocałować.

– Czego pragniesz, Cecilio?

Powiedz, że mnie – pomyślał.

Myśl ta błysnęła mu nagle w mózgu. Nie chciał, żeby Cecilia go opuściła. Ledwie mógł stanąć o własnych siłach. Upłynie wiele tygodni, nim odzyska choćby połowę swojej siły. Potrzebował jej.

A także jej pragnął.

Najbardziej pragnął jednak tego, żeby i ona pragnęła jego.

Cecilia milczała przez parę sekund. Cofnęła dłoń i objęła się rękami. Zdawała się patrzeć na żołnierza po drugiej stronie kościoła, gdy spytała:

– Czy chcesz ze mnie zrezygnować?

– Jeśli ty będziesz tego chciała.

Powoli zwróciła wzrok ku niemu.

– Ale czego ty będziesz chciał?

– To nieistotne.

– Ja myślę, że raczej istotne.

– Jestem dżentelmenem – odparł oschłym tonem. – Przychylę się do twoich życzeń pod tym względem.

– Ja… – przygryzła dolną wargę. – Ja… nie chcę, żebyś czuł się schwytany w pułapkę.

– Nie czuję się tak wcale.

– Naprawdę? – Wydawała się szczerze zaskoczona.

Wzruszył ramionami.

– W końcu muszę się kiedyś ożenić.

Jeśli uznała, że to zbyt nieromantyczne, nie było tego po niej widać.

– Oczywiście, zgodziłem się na małżeństwo – powiedział. Kochał Thomasa Harcourta jak brata, lecz nie wyobrażał sobie, co mogłoby go skłonić do zgody na małżeństwo, gdyby nie chciał tego związku. Jeśli poślubił Cecilię, z całą pewnością jednak chciał.

Przyjrzał się jej.

Czy rozważała, co ma wybrać? Próbowała może podjąć decyzję, czy naprawdę chce być żoną mężczyzny, którego mózg nie był całkiem w porządku? Mógł przecież pozostawać w tym stanie do końca życia. Wiedzieli, że nie tylko jego pamięć mogła ulec uszkodzeniu. Co będzie, gdy zbudzi się pewnego dnia niezdolny do mówienia? Albo do sprawnego poruszania się? Byłaby wtedy zmuszona do opiekowania się nim jak dzieckiem.

Mogło się tak zdarzyć. Nie było sposobu, żeby to przewidzieć.

– Czego pragniesz, Cecilio? – spytał, świadomy, że mówi to z pewnym zniecierpliwieniem.

– Ja… – przełknęła ślinę, a jej głos zabrzmiał teraz trochę bardziej pewnie. – Ja myślę, że powinniśmy o tym pomówić w Devil’s Head. Nie chciałabym prowadzić takiej rozmowy w tym miejscu.

– Nic się nie zmieni przez najbliższe pół godziny.

– Mimo wszystko winieneś spożyć jakiś posiłek, który nie składałby się jedynie z mąki i cukru. A także wykąpać się. No i ogolić. – Wstała, lecz nie tak szybko, by nie zauważył jej zaróżowionych policzków. – Mogę zapewnić ci prywatność podczas tych dwóch ostatnich czynności.

– Bardzo to miłe z twojej strony.

Nie skomentowała cierpkiego tonu Edwarda. Zamiast tego sięgnęła po jego płaszcz, który leżał jak szkarłatna plama w nogach łóżka. Uniosła go.

– Mamy po południu spotkanie. Z majorem Wilkinsem.

– W jakim celu?

– Może przyniesie jakieś nowiny o Thomasie. Albo przynajmniej da nam jakąś nadzieję. Widziałam się z nim w oberży zeszłego wieczoru. Powiedział, że będzie się dowiadywał o niego.

– Nie zrobił tego do tej pory?

Wyglądała na nieco zakłopotaną, gdy powiedziała:

– Posłuchałam twojej rady i powiadomiłam go o naszym małżeństwie.

Ach, teraz wszystko stało się jasne. Potrzebowała go. Edward zmusił się do uśmiechu przez zaciśnięte zęby. Nie po raz pierwszy jakaś dama uznała nazwisko, które nosił, za jego najbardziej atrakcyjną cechę. Tylko że przynajmniej motywy tej właśnie damy nie były egoistyczne.

Podała mu płaszcz. Wstał z pewnym wysiłkiem i pozwolił, żeby mu pomogła go nałożyć.

– Będzie ci za gorąco – ostrzegła go.

– W końcu mamy, jak mówiłaś, czerwiec.

– Nie przypomina czerwca w Derbyshire – szepnęła z cicha.

Pozwolił sobie na uśmiech. O tak, letnie powietrze w koloniach miało pewną bardzo niemiłą cechę. Przypominałoby mgłę, gdyby ją rozgrzano do temperatury bliskiej ludzkiemu ciału.

Spojrzał ku drzwiom i nabrał głęboko tchu.

– Będziesz musiała… mi pomóc.

– Wszystkim nam tego trzeba – odparła ze spokojem. Ujęła go pod ramię, a potem powoli, w milczeniu, wyszli na ulicę, gdzie czekał już powóz, żeby ich zawieźć do położonego niezbyt daleko zajazdu Devil’s Head.

5

Pokazałeś mu moją miniaturę? Czuję się ogromnie zakłopotana. Co ty sobie myślałeś? Oczywiście, że musiał nazwać mnie ładną. Nie mógł zrobić inaczej. W końcu jesteś moim bratem! Nie mógł skomplementować mojego wielkiego, pełnego piegów nosa.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Godzinę później Cecilia siedziała we frontowej sali Diabelskiego Łba, metodycznie kończąc swój lunch, podczas gdy Edward kartkował świeży egzemplarz „Royal Gazette". Również i ona zaczęła posiłek z gazetą w ręce, ale tak ją zbulwersował paragraf ogłaszający sprzedaż „Jednego Murzyna, dobrego kucharza, niemającego skłonności do choroby morskiej", że odłożyła ją i wpatrzyła się w swój talerz pełny wieprzowiny z ziemniakami.

Edward natomiast przeczytał ją od deski do deski, a potem, po zapytaniu oberżysty, czy ma numer z poprzedniego tygodnia, ponownie pogrążył się w lekturze. Nie pofatygował się z wyjaśnieniem, ale dla Cecilii było jasne, że usiłował wypełnić luki w pamięci. Nie miała pewności, czy mu to pomoże; raczej wątpiła, by znalazł coś o jego pobycie w Connecticut w oficjalnej gazecie. Z pewnością mu to jednak nie szkodziło, a poza tym wyglądał na kogoś, kto chce być na bieżąco z aktualnymi nowinami.

Przypominał w tym Thomasa. Jej brat nigdy nie wstawał od stołu ze śniadaniem, póki nie skończył czytać „London Timesa”. Był to zawsze numer sprzed paru dni, bo dopiero wtedy mógł dotrzeć do Matlock Bath, ale Thomasowi jakoś to nie przeszkadzało. Często mawiał, że lepiej jest poznać jakąś wiadomość późno niż wcale, a prócz tego nic nie można było na to opóźnienie poradzić.

„Zmień, co możesz, ale pogódź się z tym, czego zmienić nie możesz”, powtarzał jej nieraz. Ciekawa była, co też by Thomas myślał o jej obecnym zachowaniu. Czuła, że stanowczo uznałby swoją ranę i zniknięcie w jej następstwie za coś, z czym trzeba się pogodzić.

Prychnęła nieznacznie, z niechęcią. Było już trochę na to za późno.

– Czy coś mówiłaś? – spytał Edward.

Pokręciła głową.

– Myślałam po prostu o Thomasie – odparła, bo starała się teraz nie kłamać, jeśli tylko było to możliwe.

– Znajdziemy go – powiedział. – Albo poznamy jakieś wieści o nim. W taki czy inny sposób.

Cecilia przełknęła ślinę, usiłując przezwyciężyć uczucie dławienia w gardle, a potem energicznie skinęła głową z wdzięcznością. Nie była osamotniona w swoich poszukiwaniach. Wciąż czuła się zraniona, pełna niepokoju i zwątpienia w siebie, ale już nie sama.

Zadziwiające, jaka to była różnica.

Edward miał zamiar powiedzieć coś więcej, ale przerwała mu młoda kobieta, która wcześniej przyniosła im jedzenie. Cecilia uznała ją za zmęczoną i przepracowaną, podobnie jak wszystkich innych w Nowym Jorku.

A także za zgrzaną. Cecilia nie pojmowała, jak tutejsi ludzie mogą wytrzymać w lecie. W jej kraju nigdy nie było wtedy tak duszno i wilgotno, choćby nawet padał deszcz.

Słyszała, że w zimie pogoda miała tu jeszcze bardziej krańcowy charakter. Modliła się w duchu, by nie było jej już tutaj, kiedy spadnie pierwszy śnieg. Jeden z żołnierzy w szpitalu powiedział jej, że ziemia zamarza wtedy na kość, a wiatr jest taki, że mógłby urwać człowiekowi głowę.

– Proszę pana – odezwała się młoda niewiasta, dygnąwszy pospiesznie – kąpiel jest już gotowa.

– Potrzebujesz jej teraz jeszcze bardziej – zauważyła Cecilia, patrząc na jego palce poplamione farbą drukarską. Było oczywiste, że nikt w Devil's Head nie miał zamiaru fatygować się, by usunąć jej nadmiar gorącym żelazkiem.

– Właśnie takie rzeczy sprawiają, że tęskni się za wygodami domowymi – mruknął, patrząc na swoje końce palców.

Zmarszczyła brwi.

– Naprawdę? Tego ci najbardziej brakuje? Dobrze wyprasowanej gazety?

Spojrzał na nią niechętnie, ale Cecilia uznała, że raczej lubił, kiedy się z nim przekomarzała. Nie był typem mężczyzny pragnącego, żeby go traktowano jak inwalidę, wokół którego należy chodzić na palcach i liczyć się ze słowami. A kiedy odłożył gazetę i spojrzał ku wyjściu, wolała go nie pytać, czy chciał, by mu pomogła wejść po schodach, bo wstał i bez słowa podał jej ramię. Widziała, jak wiele go kosztowała prośba o pomoc po wyjściu ze szpitala.

Pewne rzeczy lepiej robić, nic nie mówiąc.

W zasadzie była mu wdzięczna, że podczas posiłku poświęcił uwagę gazecie, a nie jej. Wciąż ją wytrącała z równowagi jego propozycja, by zrezygnowała z ich małżeństwa. Nigdy by się tego nie spodziewała z jego strony. Uznała, że dobrze się złożyło, iż nogi się pod nią nie ugięły, kiedy to usłyszała. Stała tam akurat z paczką *speculaas*, a Edward nagle wystąpił z czymś takim!

Całkiem jakby to on wpędził ją w pułapkę.

Powinna była tę propozycję przyjąć. Próbowała okłamywać samą siebie i wmawiać sobie, iż owszem, zrobiłaby to, tylko że…

Ten wyraz jego twarzy.

Nie drgnął na niej ani jeden mięsień. Nie wyglądał wcale, jakby zamarł, tylko siedział bez słowa i tyle.

Pomyślała, że chyba wstrzymał wtedy dech.

Pomyślała, że może nie zdawał sobie sprawy z tego, że go wstrzymał.

Że nie chciał, żeby od niego odeszła.

Cecilia nie wiedziała, skąd czerpała tę pewność, nie miała powodu, by znać każdy wyraz jego twarzy i być zdolną do interpretowania uczuć ukrytych w głębi jego szafirowych oczu. Znała go przecież tak naprawdę tylko przez jeden dzień.

Nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego chciał, żeby przy nim została, z wyjątkiem tego, że potrzebował kobiety, która by go pielęgnowała, a ona nadawała się do tego. On jednak robił wrażenie kogoś, kto chce nadal pozostać jej mężem.

Ironia tej sytuacji stawała się coraz wyraźniejsza.

Tylko że, jak sobie przypomniała, nie mogła ryzykować ujawnienia mu prawdy przed spotkaniem z majorem Wilkinsem. Czuła wyraźnie, że kapitan Edward Rokesby był kryształowo uczciwy i nie wiedziała, czy chciał lub nawet mógł zmusić się do okłamania swego dowódcy. Mógłby poczuć się wtedy zmuszony do wyjawienia mu, że choć pragnąłby pomóc pannie Cecilii Harcourt w poszukiwaniach brata, to jednak w rzeczywistości nie jest jej mężem.

Cecilia nie potrafiła sobie wyobrazić, co by wynikło z tej rozmowy.

Nie, jeśli ma wyznać swoje kłamstwo Edwardowi, zrobi to dopiero po ich spotkaniu z majorem.

Mówiła sobie, że to jest możliwe do przyjęcia.

A potem usiłowała o tym nie myśleć.

– Schody są wąskie – powiedziała do Edwarda, gdy się do nich zbliżali – a ich stopnie strome.

Wymruczał słowo podziękowania za ostrzeżenie i podtrzymywany przez nią pod ramię wszedł jakoś na górę. Nie mogła sobie wyobrazić, czym dla niego była tak wielka zależność od kogoś innego. Nigdy nie widziała go w pełni zdrowia, ale był wysoki, zapewne mierzył pełne sześć stóp, a jego barki wyglądałyby na mocne i szerokie, gdyby miał na nich trochę więcej mięśni.

Nie był mężczyzną nawykłym do pomocy przy wchodzeniu po schodach.

– Pokój jest położony tuż nad holem – powiedziała, zwracając głowę w lewo, kiedy stanęli na podeście. – Numer dwanaście.

Kiwnął głową, a kiedy podeszli do drzwi, puściła jego ramię i podała mu klucz. Niby nie było to wiele, ale chodziło o coś, co mógł dla niej zrobić samodzielnie, a ona wiedziała, że dzięki temu poczułby się trochę lepiej, nawet gdyby nie zdawał sobie z tego sprawy.

Ale w ostatniej chwili, nim wsunął klucz do dziurki, odezwał się:

– To twoja ostatnia szansa.

– Nie rozumiem.

Klucz obrócił się w zamku, a jego zgrzytnięcie zabrzmiało w holu donośnie.

– Jeśli chcesz anulować nasz związek – stwierdził i głos mu przy tym nawet nie drgnął – musisz się na to zdecydować teraz.

Cecilia chciała coś powiedzieć, naprawdę chciała, lecz poczuła, że ma serce w gardle, a palce rąk i nóg prawie nic nie czują, jakby nagle zostały pozbawione nerwów. Nie przypuszczała, że tak ją zaskoczą jego słowa. Albo że spowodują jej panikę.

– Nie będę tego powtarzał po raz drugi – odezwał się Edward, a jego stanowczość jawnie kontrastowała z pandemonium, jakie rozpętało się wewnątrz niej. – Gdy tylko wejdziesz do tego pokoju, małżeństwo stanie się faktem.

Z gardła Cecilii wydobył się nerwowy śmiech.

– Nie mów głupstw. Nie dałbyś rady mnie zniewolić dzisiejszego popołudnia. – Potem przyszło jej jednak na myśl, że w ten sposób ubliżyła jego męskości. – A przynajmniej nie przed twoją kąpielą.

– Wiesz równie dobrze, jak ja, że nic nie znaczy, kiedy wezmę cię do łóżka – odparł i spojrzał na nią z gniewem. – Odkąd wejdziemy razem do tego pokoju jako para małżeńska, ryzykujesz kompromitację.

– Nie możesz skompromitować własnej żony – próbowała zażartować.

Zaklął, wypowiadając tylko jedno brzydkie słowo z pełnym rozdrażnienia pomrukiem. Przekleństwo nie było zbyt wulgarne, a jednak zaskoczyło Cecilię, która cofnęła się o krok.

– Nie należy z czegoś takiego żartować – powiedział. Znowu wydawał się zachowywać absolutny spokój, ale tym razem zdradziła go żyła pulsująca z furią na jego szyi. – Daję ci sposobność, żebyś się mogła wycofać.

Poczuła, że w głowie się jej kręci.

– Ale dlaczego?

Rozejrzał się po całym holu, nim syknął:

– Bo zostałem solidnie okaleczony.

Gdyby nie znajdowali się w publicznym miejscu, zabrzmiałoby to jak głośny krzyk, Cecilia była tego pewna. Intensywność brzmienia jego głosu wryła się jej w pamięć na całą wieczność.

A także złamała jej serce.

– Nie, Edwardzie – próbowała go zapewnić – nie wolno ci myśleć w ten sposób. Jesteś…

– Utraciłem część mojego umysłu! – uciął.

– Nie, nie! – Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

Chwycił ją za ramiona, jego palce wpiły się jej w skórę.

– Musisz zrozumieć, Cecilio, że nie jestem taki sam jak przedtem.

Chciała mu zaprzeczyć. Chciała powiedzieć, że niczego mu nie brakuje, a ona jest oszustką.

Że ogromnie żałuje, iż wykorzystała jego stan.

Że nigdy nie zdoła się pogodzić z tym, co mu zrobiła.

Odepchnął ją gwałtownie.

– Nie jestem już mężczyzną, którego poślubiłaś.

– A ja być może nie jestem kobietą, która za ciebie wyszła – wyjąkała.

Wpatrywał się w nią tak długo, że aż skóra zaczęła ją palić.

– Myślałam, że… – wyszeptała, ledwie rozumiejąc, co mówi, gdy tylko wypowiedziała te słowa – …myślałam, że może ty mnie pragniesz.

– Jezu Chryste, Cecilio, nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo!

A potem, na samym środku korytarza, porwał ją w ramiona i pocałował.

Nie zamierzał tego robić. Na litość boską, próbował jedynie zachować się, jak należy. Ale ona tylko wpatrywała się w niego oczami koloru morskiej wody, a potem wyszeptała, że wolno mu jej pragnąć…

Jedyną rzeczą, która mogła sprawić, by stało się jeszcze gorzej, byłyby jej słowa, że ona pragnie jego.

Nie miał siły. Stracił dużo na wadze i nie mógł nawet wspiąć się na schody o własnych siłach, ale na Boga, był w stanie pocałować własną żonę.

– Edwardzie! – wykrztusiła.

Wciągnął ją do środka.

– Przecież się pobraliśmy – powiedział.

– Och, Boże…

Nie miał pojęcia, co przez te słowa rozumiała, ale nie sądził, by musiał się tym przejmować.

Pokój był mały, łóżko zajmowało niemal połowę wnętrza, bez trudności znalazł zatem brzeg materaca i usiadł tam, pociągając ją za sobą.

– Edwardzie, ja…

– Sza! – rozkazał, ujmując jej twarz w obie dłonie. – Chcę ci się przyjrzeć.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się.

– Bo jesteś moja.

Wargi ułożyły się jej zachwycająco w kształt litery „o”, a on uznał to za znak zesłany z nieba i pocałował ją ponownie. Z początku nie zareagowała, ale nie odepchnęła go od siebie. Doznał raczej wrażenia, że całkowicie znieruchomiała, wstrzymując dech i czekając, żeby się przekonać, czy ten moment jest czymś rzeczywistym.

A potem, akurat wtedy, gdy pomyślał, że to on musi się teraz cofnąć, ujrzał ledwo dostrzegalne poruszenie jej warg i niemal przez skórę poczuł, że wydała cichy jęk.

– Cecilio – wyszeptał. Nie wiedział, co robił przez ostatnie kilka miesięcy, ale czuł, że nie było to coś czystego i pięknego, z czego mógłby być dumny i co widział, patrząc w jej oczy.

Kiedy ją pocałował, poczuł smak obietnicy odkupienia.

Musnął jej wargi tak miękko swoimi, jakby chodziło tylko o szept. Ale nie było mu tego dosyć, a kiedy wydała cichy pomruk pożądania, delikatnie ujął zębami jej górną wargę.

Chętnie przez całe popołudnie leżałby koło niej na łóżku i czcił ją jak boginię, którą była. Chodziło jedynie o pocałunek – nie był zdolny do niczego więcej – ale o pocałunek trwający bez końca, miękki, powolny i głęboki, a każda kolejna pieszczota stapiała się z następną.

Jakie to było dziwne – pożądanie bez pośpiechu. Uznał, że na razie je lubi. Kiedy będzie mocniejszy, kiedy znów poczuje, że jest taki sam jak dawniej, będzie ją kochał całą swoją duszą. A wiedział wystarczająco wiele o sobie i o niej, by to doświadczenie przywiodło go na sam kraj wytrzymałości.

A potem go odepchnęło od niego.

– Jesteś piękna – mruknął, a później, ponieważ wydawało mu się bardzo ważne, by wiedziała, że widział również jej wewnętrzne piękno, powiedział: – I jaka dobra.

– Musimy to przerwać – powiedziała i choć dosłyszał w jej głosie żal, nie dosłuchał się też w nim determinacji.

Westchnął. Pragnął jej. Czuł, że to pragnienie coraz bardziej w nim narasta, ale nie mógł przecież kochać się z nią w swoim obecnym stanie – nieumyty i wyczerpany. Zasługiwała na dużo więcej, a prawdę mówiąc, on również.

– Woda ci wystygnie – powiedziała.

Spojrzał na wannę. Nie była duża, ale wystarczająco obszerna, a on także wiedział, że para wkrótce przestanie się nad nią unosić.

– Powinnam teraz zejść na dół – powiedziała, wstając z zakłopotaniem z łóżka. Miała na sobie suknię w delikatnym, jasnym odcieniu różu, a jej dłoń, którą kurczowo mięła tkaninę, wtapiała się w tę barwę.

Wyglądała na niesłychanie zgnębioną, a on nie mógł jej w niczym pomóc, lecz uznał, że wygląda z tym zachwycająco.

– Nie powinnaś czuć się zażenowana – upomniał on. – Przecież jestem twoim mężem.

– Jeszcze nie teraz – wyjąkała. – I nie w ten sposób.

Czuł, że narasta w nim rozbawienie.

– Naprawdę powinnam już wyjść – powiedziała, ale nie zrobiła ani kroku.

Rozbawienie przerodziło się w jawny śmiech.

– Nie rób tego ze względu na mnie. Podobno w średniowieczu kąpanie męża uważano za ważny obowiązek żony.

Przewróciła oczami. Jakaż była zabawna z tym zakłopotaniem, ale jeszcze bardziej lubił, kiedy usiłowała mu się przeciwstawić.

– Mógłbym się utopić, wiesz? – powiedział.

– Och, przestań.

– Naprawdę mógłbym. Jestem strasznie zmęczony. A gdybym tak zasnął w wannie?

Zatrzymała się i przez kilka sekund myślał już, że może naprawdę mu uwierzyła.

– Nie masz chyba zamiaru tego zrobić – powiedziała w końcu.

Westchnął dramatycznie, jakby to miało znaczyć: „Nigdy nie wiadomo!”, ale zrobiło mu się jej żal i powiedział tylko:

– Wróć tu za dziesięć minut.

– Tylko dziesięć?

– Czy to aluzja do grubej warstwy mojego brudu?

– Tak – odparła całkiem szczerze.

Zaśmiał się głośno.

– Jesteś bardzo zabawna, czy wiesz o tym, Cecilio Rokesby?

Znowu przewróciła oczami i podała mu ręcznik, który leżał równo złożony w nogach łóżka.

Udał, że wzdycha.

– Powiedziałbym, że się właśnie dlatego z tobą ożeniłem, ale obydwoje wiemy, że to nieprawda.

Odwróciła się i spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Coś ty powiedział?

Wzruszył ramionami, ściągając płaszcz.

– Że najwyraźniej nie pamiętam, po co się z tobą ożeniłem.

– Och, myślałam, że masz na myśli…

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Nieważne.

– Nie, powiedz mi.

Ale jej twarz stała się cała czerwona.

– Myślałam, że chodzi ci o…

Czekał. Nie dokończyła zdania.

– O pocałunek? – podsunął jej.

Nie przypuszczał, by jej skóra mogła przybrać jeszcze głębszy odcień czerwieni, ale tak się właśnie stało. Przeszedł dwoma krokami niewielką przestrzeń, która ich dzieliła, i ujął ją za podbródek na tyle mocno, żeby zwróciła się ku niemu.

– Jeśli całowałem cię przed naszym ślubem – powiedział cicho – to bez wątpienia teraz też mam do tego prawo, skoro nasze małżeństwo nadal trwa.

Zmarszczyła brwi ze zmieszania, co uznał za urocze.

Musnął jej usta wargami, a potem powiedział, z twarzą przy jej policzku:

– Gdybym wiedział, czym jest całowanie cię, nie pozwoliłbym, żeby armia wysłała mnie gdzieś daleko.

– Że też powiedziałeś coś takiego – odparła z ustami tuż koło jego ucha.

Cofnął się z uśmiechem pełnym rozbawienia.

– Przecież nie mogłeś odmówić wykonania rozkazu.

– Twojego? Nigdy.

– Przestań – powiedziała, udając, że go odpycha. – Wiesz dobrze, że nie to miałam na myśli.

Ujął jej dłoń i złożył na niej wytworny pocałunek. Niech to licho, poczuł się groteskowo romantyczny.

– Zapewniam, pani Rokesby, że chętnie bym znalazł czas na noc poślubną.

– Musisz się najpierw wykąpać.

– Och…

– Chyba że lubisz kąpiel w zimnej wodzie.

A już zaczął myśleć, że przydałaby mu się zimna woda, żeby ochłonąć.

– Punkt dla ciebie. Ale mógłbym dodać jeszcze coś do tej rozmowy…

– Dlaczego muszę myśleć, że zaczerwienię się za chwilę jak rak?

– Już się zaczerwieniłaś – powiedział jej z wielkim rozbawieniem – a ja po prostu chciałbym powiedzieć, że…

– Idę na dół! – zawołała i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Edward śmiał się jak opętany, kiedy mógł już widzieć jedynie wewnętrzną stronę drzwi swojej sypialni.

– A ja chciałem tylko powiedzieć – zawołał na cały głos, tak bardzo rozweselony, że wszystko, co mówił, wydawało mu się wyjątkowo zabawne – że byłby to imponujący widok!

Naprawdę imponujący, pomyślał, gdy ściągnął z siebie resztę odzienia i zanurzył się w wannie.

I to już wkrótce, jeśli tylko on będzie miał z tym coś wspólnego.

6

Co ty, u licha, napisałaś? Wcale nie masz wielkiego, piegowatego nosa!

Z listu Thomasa Harcourta do siostry Cecilii

Edward powiedział, że potrzeba mu dziesięciu minut, ale Cecilia odczekała solidne dwadzieścia pięć, nim powróciła do pokoju pod numerem dwunastym. Zamierzała pozostać na dole przez całe pół godziny, lecz potem przypomniała sobie nagle, że wciąż był strasznie osłabiony. A gdyby trudno mu było wydostać się z wanny?

Woda musiała już do tego czasu wystygnąć. Mógł się zaziębić. Zasługiwał wprawdzie na zachowanie prywatności, a ona z pewnością chciała mu to umożliwić, ale nie kosztem jego zdrowia.

Prawda, że widywała go w bardzo niestosowny sposób podczas pielęgnowania w szpitalu, ale w końcu… nie całego. Nauczyła się w tym celu odpowiednio manewrować pościelą w taki czy inny sposób – i zawsze mógł dzięki temu zachować godność.

A ona swoją skromność.

Wszyscy w Nowym Jorku mogli uważać ją za mężatkę, ale wciąż była pod wieloma względami osobą niewinną, nawet jeśli jeden pocałunek kapitana Edwarda Rokesby'ego pozbawił ją tchu.

Czy rzeczywiście pozbawił ją tchu?

Już raczej rozumu.

Doprawdy powinno się zabronić mężczyznom posiadania oczu w takim kolorze, jakby pośrednim między akwamaryną a szafirem. Potrafiły hipnotyzować jednym spojrzeniem. Owszem, zamknęła oczy podczas pocałunku, ale nie miało to wielkiego znaczenia, skoro potrafiła zapamiętać tylko tyle, że był to ostatni moment, zanim jego wargi dotknęły jej ust. Pomyślała wtedy, że mogłaby wprost zatonąć w głębokim błękicie jego spojrzenia.

Cecilii zawsze się podobały własne oczy, dumna była z ich bladozielonego koloru, który wyróżniał ją z tłumu. Ale Edward…

Był bezsprzecznie pięknym mężczyzną.

Mógł się wszakże śmiertelnie zaziębić. Lub raczej marznąć, póki się nie zaziębi, a Bóg jeden wie, czyby go to nie zabiło.

Pospiesznie ruszyła ku schodom.

– Edwardzie! – zawołała, pukając cicho do drzwi. A zaraz potem pomyślała: czemu robi to tak dyskretnie?

Zapukała mocniej.

– Edwardzie!

Nie było odpowiedzi.

Poczuła lekki niepokój. Chwyciła za klamkę i przekręciła ją.

Znów zawołała go po imieniu, gdy drzwi otwarły się na oścież. Weszła do środka, odwracając oczy. Kiedy i tym razem nie odpowiedział, podeszła w końcu do wanny.

– Zasnąłeś w wodzie! – zawołała głośno, nim przyszło jej na myśl, że może lepiej byłoby nie budzić go w tak energiczny sposób.

– Uch! – Edward ocknął się z głośnym okrzykiem i pluskiem, woda prysnęła naokoło, a Cecilia odskoczyła od wanny z niejasnego dla niej samej powodu.

Nie mogła stać tuż przed nim. Był nagi.

– A mówiłeś, że nie chcesz zasnąć w kąpieli – powiedziała z wyrzutem, odwrócona plecami.

– Nie, to ty tak powiedziałaś – odciął się.

Do licha, miał rację.

– No cóż – odezwała się tonem, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że sama nie wie, jak powinna się zachować – chyba woda ci całkiem wystygła.

A potem nastała chwila ciszy, po której odparł:

– Jest jeszcze letnia.

Przestąpiła z nogi na nogę, a potem dała sobie z tym spokój i skrzyżowała ręce ciasno na piersi. Nie była zła; raczej nie wiedziała, co ma począć ze swoim ciałem.

– Nie chciałabym, żebyś się zaziębił – powiedziała do własnych stóp.

– Nie.

Nie? Tylko tyle zamierzał powiedzieć? Nie?

– Cecylio… ehm…

Mruknęła coś na znak, że go słyszy.

– Czy nie mogłabyś zamknąć drzwi?

– O Boże! Przepraszam! – zawołała pospiesznie.

Przebiegła przez pokój, co nie było specjalnie wdzięcznym zadaniem, zważywszy jego niewielkie rozmiary – i zatrzasnęła drzwi znacznie energiczniej, niż było trzeba.

– Jesteś wciąż tutaj? – spytał. Cecilia zbyt późno zrozumiała, że on jej nie może zobaczyć. Siedział plecami do drzwi, a wanna była o wiele za mała, by mógł się wygodnie odwrócić.

– Taak – powiedziała, lecz wypadło to bardziej jak pytanie, choć nie miała pojęcia dlaczego.

Potem nastąpiła krótka pauza, podczas której on się zapewne namyślał nad najlepszą repliką na tak groteskową odpowiedź. W końcu jednak spytał:

– Jak sądzisz, czy mogłabyś podać mi ręcznik?

– Och, oczywiście. Natychmiast. – Wciąż odwrócona plecami do wanny, sięgnęła po ręcznik leżący na łóżku. Wystarczyło jej teraz wykręcić rękę do tyło, żeby mu go wręczyć.

Wziął go, a potem powiedział:

– Nie mówiłem ci tego, żeby cię nie przyprawiać o zakłopotanie…

Co oznaczało, że zostałaby wtedy upokorzona.

– …i doceniam twoje starania, by nie urazić mojej skromności, ale czy nie oglądałaś już mnie w zeszłym tygodniu, podczas pielęgnowania?

– Ale nie w taki sposób – wyjąkała.

Znów nastąpiła kolejna pauza, a Cecilia mogła sobie podczas niej wyobrażać, jak on unosi brwi tak wysoko, że łączą się ze sobą, kiedy zastanawiał się nad jej odpowiedzią.

– Przykrywałam cię prześcieradłem – powiedziała w końcu.

– Za każdym razem?

– Miałam silną motywację.

Parsknął śmiechem, słysząc, co powiedziała.

– Myślę, że wrócę na dół – zaproponowała, kierując się z powrotem ku drzwiom. – Chciałam tylko sprawdzić, czy się nie przeziębisz.

– W czerwcu?

– W końcu byłeś chory – powiedziała z powagą.

– No i wciąż jeszcze jestem – westchnął.

Cecilia zacisnęła wargi, zbierając się na odwagę. Miał rację, a jego zdrowie było ważniejsze niż jej przesadna wrażliwość. Nabrała tchu.

– Czy trzeba ci pomóc przy wyjściu z wanny?

– Nie – odparł spokojnie. – A przynajmniej mam taką nadzieję.

– Mogę zostać? – spytała, zbliżając się trochę bardziej ku drzwiom. – Tylko w chwili, kiedy będziesz wychodził z wody. W razie gdybyś mnie potrzebował.

Miała nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. Ręcznik nie był zbyt duży.

Chwilę później usłyszała, że wychodzi z wanny, a zaraz potem plusk wody uderzającej o jej ściankę.

– Czy ty…

– W porządku – mruknął zwięźle.

– Przepraszam. – Nie powinna była pytać. Edward był dumny. Ale przecież doglądała go przez kilka dni; trudno więc było uniknąć pewnych widoków, mimo że desperacko starała się odwracać wzrok.

– To nie twoja wina.

Kiwnęła głową, choć wcale nie wiedziała, czy on na nią w ogóle patrzy.

– Możesz się teraz odwrócić.

– Na pewno?

– Już się przykryłem – powiedział, choć takim tonem, jakby miał po dziurki w nosie jej pruderii.

– Dziękuję ci. – Odwróciła się, ale powoli. Nie była pewna, co rozumiał przez „przykrycie się”.

Leżał już w łóżku, wsparty na poduszkach, z kołdrą podciągniętą wysoko, ale pierś miał gołą. Nie bardziej niż przedtem, kiedy zwilżała go gąbką w szpitalu, ale wyglądało to teraz inaczej, bo miał oczy szeroko otwarte i czujne.

– Lepiej wyglądasz – stwierdziła. Była to prawda. Umył sobie włosy, a jego skóra nabrała zdrowszego odcienia.

Uśmiechnął się ze smutkiem i dotknął podbródka.

– Ale się nie ogoliłem.

– W porządku – zapewniła go. – Nie ma pośpiechu.

– Nie sądzę, żebym się poczuł zupełnie czysty, póki tego nie zrobię.

– Och, dobrze… – Cecilia wiedziała, że powinna mu się zaofiarować z wykonaniem tego. Była to jedyna rzecz, którą mogła dla niego zrobić, żeby mu wyraźnie pomóc, ale też bardzo intymna. Jedynym mężczyzną, którego goliła, był jej ojciec. Nie miał lokaja, a kiedy artretyzm odebrał mu sprawność rąk, ona musiała przejąć ten obowiązek.

– Nie musisz tego robić – powiedział Edward.

– Nie, nie, poradzę sobie z tym. – Była niemądra i dziecinna. Przepłynęła samotnie przez Atlantyk. Stanęła twarzą w twarz z pułkownikiem Zacharym Stubbsem z armii Jego Królewskiej Mości i okłamała go zuchwale, żeby ratować życie tego mężczyzny. Z pewnością więc mogła go też ogolić.

– Powinienem był pewnie spytać cię najpierw, czy kiedykolwiek goliłaś kogoś – mruknął.

Uśmiechnęła się cierpko oraz rozejrzała za brzytwą i pędzlem.

– Wydaje się, że to rozsądne pytanie, zanim pozwolisz mi przyłożyć ostrze do twojego gardła.

Zaśmiał się.

– W moim kuferku jest małe skórzane puzderko. Znajdziesz tam wszystko, czego trzeba.

No oczywiście. Jego kuferek. Zachowano rzeczy Edwarda, mimo że zaginął. Pułkownik Stubbs zadbał zaś o to, by je przywieziono do Devil’s Head wcześniej tego samego dnia.

Cecilia pogrzebała w kuferku wśród starannie złożonych ubrań, książek i papierów. Było coś niesłychanie intymnego w tych poszukiwaniach wśród jego rzeczy. Co mężczyzna zabiera ze sobą do obcego kraju? Nie wydało się jej to dziwnym pytaniem. W końcu ona też się pakowała, wyruszając w podróż przez ocean. Tylko że w przeciwieństwie do Edwarda nigdy nie zamierzała przebywać tu dłużej. Zabrała ze sobą tylko to, co najważniejsze; wspomnienia o domu nie miały pierwszeństwa. Jedyną pamiątką była miniatura przedstawiająca brata, i to tylko dlatego, że mogła jej zapewnić pomoc w odnalezieniu go, gdy znajdzie się już w Ameryce Północnej.

Upomniała siebie samą w duchu. Sądziła przedtem, że może potrzebować pomocy przy szukaniu Thomasa w szpitalu. Nie miała pojęcia, że musiałaby w tym celu przeszukać całą kolonię.

– Znalazłaś je? – spytał Edward.

– Hm, jeszcze nie – mruknęła, odkładając na bok miękką koszulę z białego lnu. Była mocno zużyta i najwyraźniej wiele razy prana, ale Cecilia znała się nieźle na szyciu, stwierdziła więc, że jest znakomicie wykonana. Thomas nie miał takiej wytwornej bielizny. Czy zachowała się w równie dobrym stanie jak ta? Próbowała wyobrazić sobie brata naprawiającego swoją odzież i nie udało się jej. Zawsze robiła to za niego. Narzekała, ale robiła.

Ileż by dała za to, żeby znów móc naprawiać jego odzienie.

– Cecilio…

– Przepraszam… już je mam. – Wypatrzyła róg skórzanego puzderka i wyciągnęła je. – Zamyśliłam się.

– Mam nadzieję, że nad czymś ciekawym.

Odwróciła się w jego stronę.

– Myślałam o moim bracie.

Edward spoważniał.

– No oczywiście. Przepraszam.

– Chętnie bym mu pomogła przy pakowaniu kuferka – powiedziała. Spojrzała przez ramię na Edwarda. Nie odpowiedział, ale skinął w milczeniu głową, na znak, że ją rozumiał. – Nie zjawił się w domu przed wyjazdem do Ameryki – ciągnęła Cecilia. – Nie wiem, czy mu ktoś wtedy pomógł. – Podniosła wzrok. – A tobie?

– Moja matka – przyznał się Edward. – Nalegała na to. Ale ja zdołałem odwiedzić dom przed podróżą. Crake House nie znajduje się daleko od wybrzeża. Na szybkim wierzchowcu można tam dotrzeć w dwie godziny.

Cecilia skinęła głową ze smutkiem. Regiment Thomasa i Edwarda wyruszył do Nowego Świata z tętniącego życiem portu Chatham w hrabstwie Kent. Do Derbyshire było zbyt daleko, by Thomas zastanawiał się nad wizytą w domu.

– Thomas był u mnie kilka razy – powiedział Edward.

– Naprawdę? – Cecilia czuła się zaskoczona satysfakcją, jaką jej sprawiły te słowa. Relacje Thomasa dotyczące koszarów były raczej przygnębiające. Cieszyło ją, że zyskał szansę spędzenia czasu w przyzwoitym domu, z przyzwoitą rodziną. Spojrzała znów na Edwarda i z lekkim uśmiechem potrząsnęła głową, mówiąc: – Nigdy o tym nie wspomniał.

– A ja myślałem, że mówiliście sobie wszystko.

– Nie wszystko – sprostowała, choć głównie własne myśli. Z pewnością nie pisała do Thomasa, jak ją cieszyła lektura dopisków Edwarda do jego listów. Czy gdyby miała szansę mówić z bratem twarzą w twarz, wyznałaby mu, że niemal się zakochała w jego przyjacielu?

Sądziła, że nie. Pewnych rzeczy się nie wyjawia nawet ukochanemu bratu.

Zdusiła skurcz narastający jej w gardle. Thomas zawsze lubił mówić, że jest jej ukochanym bratem, a ona zawsze odpowiadała, że przecież innego nie ma. A wówczas jej ojciec, który nigdy nie miał wielkiego poczucia humoru, wciąż tylko burczał, że słyszał to już przedtem, i pytał, czy oboje nie mogliby w końcu więcej tego nie powtarzać.

– O czym myślisz? – spytał Edward.

– Przepraszam. Znów o Thomasie. – Zacisnęła wargi. – Czy wyglądam na smutną?

– Nie. Raczej na szczęśliwą.

– Och. – Zamrugała kilka razy powiekami. – Chyba tak.

Edward wskazał na otwarty kuferek.

– Mówiłaś, że chętnie byś mu pomogła przy pakowaniu?

Zamyśliła się i w jej oczach pojawił się smutek.

– Pewnie tak. Lubiłabym go sobie wyobrażać ubranego w te rzeczy.

Edward kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Niekoniecznie zresztą – powiedziała nagle, odwracając się, żeby nie dostrzegł łez w jej oczach. – Ale mimo wszystko byłoby to miłe.

– W gruncie rzeczy nie potrzebowałem wcale pomocy matki – powiedział cicho Edward.

Cecilia odwróciła się z wolna i spojrzała na tę twarz, która stała się jej tak droga w tak krótkim czasie. Nie wiedziała, jak wygląda jego matka, ale zdołała jakoś sobie wyobrazić tę scenę. Edward, wysoki, silny i sprawny, udawał zapewne, że nie potrafi się spakować, żeby matka mogła dać wyraz swojej troskliwości.

Spojrzała mu w oczy z szacunkiem.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Edwardzie Rokesby.

Przez chwilę wyglądał niemal na zaskoczonego tym komplementem, a potem zaczerwienił się, choć z powodu zarostu nie było tego wyraźnie widać. Schyliła głowę, żeby ukryć uśmiech. Nie będzie się już dłużej krył za swoimi baczkami.

– W końcu to moja matka – wymamrotał.

Cecilia otworzyła wieczko puzderka.

– Sam potwierdziłeś tymi słowami, że jesteś dobry.

Znowu się zaczerwienił. Nie mogła tego zobaczyć, bo już się odwróciła, ale dałaby słowo, że to wyczuła.

Ogromnie lubiła, kiedy się czerwienił.

A także to, że ona była przyczyną jego rumieńca.

Uśmiechając się do siebie, przesunęła palcem po skraju kuferka. Jak wszystkie jego rzeczy, był znakomicie wykonany, z pięknego drewna i metalu, i miał na wieczku inicjały Edwarda ułożone z małych metalowych ćwieków.

– Co znaczy to „G”?

– Jakie „G”?

– Twoje inicjały to E.G.R.

– Ach, George.

– No oczywiście. – Pokiwała głową.

– Czemu powiedziałaś „oczywiście”?

Spojrzała na niego.

– A o jakież inne imię mogło chodzić?

Przewrócił oczami.

– Gregory, Geoffrey…

– Nie – odparła z nieznacznym uśmieszkiem.

– Gawajn.

Tym razem ona przewróciła oczami.

– Błagam, zostań przy „George”.

– Mój brat ma tak na imię – uściślił.

– Ale i ty?

Wzruszył ramionami.

– To rodzinne imię. – Przyglądał się, jak otwiera puzderko i wyjmuje brzytwę. – A jak ty masz na drugie?

– Moje drugie imię? Esmeralda.

– Naprawdę?

Roześmiała się.

– Nie. To prawdziwe jest dużo mniej egzotyczne: Anne. Po matce.

– Cecilia Anne. Jak to ślicznie brzmi.

Policzki ją zapiekły, co uznała za dziwaczne, zważywszy, jak wiele innych, o wiele bardziej wartych rumieńca rzeczy zdarzyło się jej tego dnia.

– Jakże się goliłeś, będąc w Connecticut? – spytała, bo brzytwa była najwyraźniej zapakowana razem z resztą jego rzeczy. Nie mógł mieć jej ze sobą, kiedy odnaleziono go w Kip’s Bay.

Zamrugał kilkakrotnie.

– Nie wiem.

– Och, przepraszam. Jaka jestem niemądra. Przecież nie pamiętasz tego.

– Tylko że – powiedział Edward najwyraźniej po to, żeby położyć kres jej zażenowaniu – miałem dwie brzytwy. Ta, którą trzymasz w ręce, należała do mojego dziadka. Drugą kupiłem tuż przed wyjazdem. Na ogół

właśnie ją brałem ze sobą podczas podróży. – Zmarszczył czoło. – Ciekawe, co się z nią stało.

– Nie przypominam sobie, żebym ją widziała wśród twoich rzeczy w szpitalu.

– A czy w szpitalu były jakieś moje rzeczy?

Zastanowiła się.

– Teraz, kiedy zapytałeś, myślę, że nie. Tylko odzienie, które miałeś na sobie, jak mi powiedziano. No i to, co znaleziono w kieszeniach. Nie było mnie tam, kiedy cię przywieziono.

– Rozumiem. – Potarł podbródek. – Przypuszczam, że właśnie dlatego nie mogę zostać ogolony moją dobrą brzytwą.

– Ta jest bardzo porządna – mruknęła Cecilia. Rączkę miała z kości słoniowej, pięknie rzeźbioną. Nabierała ciepła, gdy się ją trzymało w dłoni. Ostrze zrobiono z najlepszej stali z Sheffield.

– Dostałem imię właśnie po dziadku – powiedział Edward. – Na rączce są jego inicjały. Właśnie dlatego mi dał tę brzytwę.

Cecilia spojrzała na nią. Istotnie E.G.R. wyryto delikatnie na samym końcu rączki.

– Mój ojciec miał podobną – powiedziała, podchodząc do umywalki. Była pusta, zaczerpnęła więc wodę z wanny. – Nie miała tak wytwornej rączki, ale stal identyczną.

– Czy jesteś znawczynią stalowych ostrzy?

Spojrzała na niego surowo.

– Boisz się?

– Myślę, że powinienem.

Roześmiała się.

– Każdy, kto żyje tak blisko Sheffield, zna się na stali. Kilku mieszkańców mojego miasteczka opuściło je w ostatnich latach, żeby pracować przy wytopie.

– Chyba nie jest to przyjemne zajęcie.

– Istotnie. – Cecilia pomyślała o swoich sąsiadach, a właściwie o byłych sąsiadach. Wszyscy byli młodymi mężczyznami, synami farmerów dzierżawców. Ale żaden z nich nie wyglądał młodo po roku lub dwóch pracy przy wytopie. – Mówiono mi, że płaca jest tam znacznie wyższa niż w rolnictwie – powiedziała – i mam nadzieję, że to prawda.

Przytaknął jej, a ona wzięła talerzyk i rozrobiła trochę mydła na pianę pędzlem, który znalazła przy brzytwie. Podeszła z nim do łóżka i zmarszczyła brwi.

– O co chodzi? – spytał.

– Twój zarost jest bardzo długi.

– Zwykle nie jestem taki niechlujny.

– Dłuższy niż kiedykolwiek u mojego ojca.

– Czy na nim się wprawiałaś?

– Codziennie przez dwa ostatnie lata mojego życia. – Pochyliła głowę, niby artysta oceniający uważnie własne płótno. – Byłoby lepiej, gdyby się go przycięło.

– Niestety, nie mam narzędzi do strzyżenia.

Cecilię naszła nagle wizja ogrodnika strzygącego go nożycami do żywopłotów. Musiała zdusić śmiech.

– Z czego się śmiejesz? – spytał.

– Och, nie musisz wiedzieć. – Ujęła za grzebień. – Zaczynajmy.

Edward uniósł podbródek i pozwolił jej pokryć lewą połowę twarzy rozrobionym mydłem. Nie było tak gęste, jak pragnęła, ale mogło ujść. Goliła go ostrożnie, jedną ręką naciągając skórę, a drugą przesuwając ostrze w dół, od policzka do podbródka. Za każdym razem spłukiwała brzytwę w wodzie, patrząc, jak gęstnieje od usuniętego zarostu.

– Masz sporo rudych włosów w brodzie – zauważyła. – Czy to po którymś z rodziców?

Potrząsnął głową na znak, że nie.

– Nie ruszaj się!

Spojrzał na nią zezem.

– To nie zadawaj mi pytań.

– Masz rację, zawiniłam.

– Moja matka jest blondynką – powiedział, gdy spłukała brzytwę. – A ojciec szatynem. Lub raczej był nim, bo posiwiał. Albo też posrebrzyło go, jak woli mówić. – Zamyślił się, a w jego oczach pojawiło się coś, co wyglądało wyraźnie na żal. – Pewnie będzie miał dużo więcej siwych włosów, kiedy go znów zobaczę.

– Siwych włosów? – spytała, starając się, żeby to zabrzmiało beztrosko.

– No właśnie. – Dotknął podbródka końcami palców, kiedy zabrała się do szyi. – Raz jeszcze dziękuję ci, że napisałaś do nich.

– Chciałabym, żeby istniał jakiś sposób na szybsze dostarczenie im listu. – Udało się jej wysłać go najbliższym statkiem, ale i tak musiały upłynąć co najmniej trzy tygodnie, nim przesyłka dotrze do Anglii. A potem następne pięć, nim można było spodziewać się odpowiedzi.

Zamilkli, a Cecilia kontynuowała swoją pracę. Okazało się, że jest dużo trudniejsza niż golenie ojca. Bokobrody Edwarda były co najmniej o cal dłuższe – co je różniło od jednodniowego zarostu, do jakiego przywykła.

Nie mówiąc już o tym, że to był Edward. I że dopiero co ją całował.

A jej się to podobało. Ogromnie.

Kiedy się do niego zbliżała, powietrze wokół niej zdawało się zmieniać – i wibrowało jak naładowane elektrycznością, zapierając jej dech i powodując mrowienie skóry. A gdy wreszcie udawało się jej zaczerpnąć powietrza, miała wrażenie, że razem z nim wdycha coś z niego. Uznała, że pachniał zachwycająco, co właściwie nie miało sensu, bo przecież była to woń mydła. Ale i mężczyzny.

A także ciepła.

Dobry Boże, chyba pomieszało się jej w głowie. Przecież nie można pachnieć ciepłem! A zapach mydła wcale nie był nadzwyczajny. Tylko że wszystko zdawało się tracić sens, gdy stała tak blisko Edwarda

Rokesby’ego. Pozbawiał ją rozumu, a jej płuca oddechu… albo jeszcze czegoś.

Doprawdy, prawdziwy cud, że mogła ruszać swobodnie ręką.

– Czy możesz zwrócić nieco głowę w drugą stronę? – spytała. – Muszę wygolić miejsce pod uchem.

Usłuchał jej, a ona znalazła się jeszcze bliżej niego. Musiała trzymać brzytwę pod kątem, żeby go nie zadrasnąć. Stała teraz tak blisko, że mogła dojrzeć, jak jego włosy falują pod jej oddechem. Jakże łatwo byłoby teraz westchnąć, wtopić się w niego, zetknąć swoje ciało z jego własnym.

– Cecilio?

Słyszała jego głos, ale nie mogła na niego zareagować. Czuła się niczym zawieszona w przestrzeni, jak gdyby powietrze zgęstniało na tyle, aby ją utrzymać w tej pozycji. A potem, tak jakby jej umysł potrzebował dodatkowej chwili do zjednoczenia się z ciałem, cofnęła się, na wpół oślepiona czymś, co – jak przypuszczała – było pożądaniem.

– Przepraszam – powiedziała z trudem. – Zamyśliłam się.

Nie było to kłamstwo.

– Nie musisz się starać, żeby wszystko wyszło idealnie – powiedział stłumionym głosem. – Usuń tylko nadmiar mydła. Jutro sam się ogolę dokładniej.

– Oczywiście – odparła, cofając się niepewnie o krok. – Ja… ach, to potrwa o wiele krócej. A ty jesteś zmęczony.

– Zgadza się.

– Czy nie… ehm… – zamrugała kilkakrotnie, bo jego nagi tors bardzo ją rozpraszał. – Czy nie zechciałbyś włożyć koszuli?

– Może kiedy już skończymy. W przeciwnym razie zamoczy się.

– No rzeczywiście – przyznała. Spojrzała na jego pierś. Drobina piany zwisała na małej kępce włosów, tuż nad brodawką piersiową. Chciała ją zetrzeć, ale gdy tylko dotknęła jego skóry, chwycił ją za przegub.

– Nie – powiedział.

Było to ostrzeżenie.

Pragnął jej.

Może nawet bardziej niż ona jego.

Zwilżyła wargi językiem, bo przeraźliwie wyschły.

– Nie rób tego! – parsknął.

Spojrzała w jego oczy i wprost ją zelektryzowała intensywność tego błękitnego spojrzenia. Poczuła, że coś w jej piersi pulsuje i przez chwilę nie mogła nic mówić. Czuła ciepło jego ręki na swojej skórze, ale był to dotyk nieoczekiwanie czuły.

– Nie mogę cię tak zostawić – powiedziała.

Wpatrzył się w nią, nic nie rozumiejąc. A może, pomyślał, się przesłyszał.

Goliła teraz jego brodę po prawej stronie, lewa była już całkiem pozbawiona zarostu.

– Wyglądasz jak niedopieczony.

Dotknął swojej skóry dokładnie w tym miejscu, gdzie stykały się z nią baczki, i prychnął z rozbawieniem.

– Wyglądasz śmiesznie – powiedziała.

Pogładził jedną stronę twarzy, potem drugą.

Cecilia uniosła brzytwę i pędzel.

– Chyba powinnam to skończyć?

Uniósł lewą brew, która utworzyła perfekcyjny łuk.

– Chyba nie sądzisz, że powinienem spotkać się z majorem Wilkinsem w tym stanie?

– Chętnie bym zapłaciła, żeby tylko to zobaczyć. – Przeszła na drugą stronę łóżka; ulżyło jej, bo napięcie zdawało się słabnąć. – Gdybym miała pieniądze.

Edward przesunął się na materacu, żeby znaleźć się bliżej jego brzegu, a potem znieruchomiał, gdy go namydlała.

– To ty nie masz pieniędzy? – spytał.

Cecilia przerwała na chwilę golenie, zastanawiając się, jak wiele powinna mu powiedzieć. Wreszcie zdecydowała się na następujące wyznanie:

– Podróż okazała się znacznie kosztowniejsza, niż początkowo przypuszczałam.

– Pewnie tak bywa z większością podróży.

– Już to słyszałam. – Znów wypłukała brzytwę. – Pierwszy raz wybrałam się dalej niż na odległość dwudziestu mil od Derbyshire.

– Naprawdę?

– Nie ruszaj się – upomniała go. Zbliżała właśnie brzytwę do jego szyi, kiedy spytał zaskoczony:

– Naprawdę? Pierwszy raz?

Wzruszyła ramionami, znów płucząc brzytwę.

– A gdzież miałam jechać?

– Na przykład do Londynu.

– Nie miałam żadnego powodu. Harcourtowie byli szanowaną rodziną, ale nie tak zamożną, by mogli sobie pozwolić, żeby wysłać córkę do stolicy na sezon. Poza tym ojciec nie cierpiał miast. Narzekał już wtedy, gdy musiał jechać do Sheffield. Kiedy pewnego razu udał się w interesach do Manchesteru, lamentował przez kilka dni. Zresztą nikt mnie do miast nie zabierał.

– Ja cię zabiorę.

Dłoń jej znieruchomiała. Myślał, że są małżeństwem. Uznał więc, że może zabrać ją kiedyś do Londynu.

– Oczywiście, jeśli będziesz chciała – dodał, nie rozumiejąc jej wahania.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Byłoby to wspaniałe.

– Poszlibyśmy do teatru – powiedział i ziewnął. – Albo może do opery. Lubisz operę?

Nagle zapragnęła rozpaczliwie, żeby skończyć tę rozmowę. W głowie miała pełno wizji przyszłości, która zawierała obydwie te możliwości – przyszłości, kiedy naprawdę nazywałaby się Rokesby i żyła w uroczym domu, w hrabstwie Kent, z dwojgiem malutkich dzieci, mających podobnie jak ich ojciec niesłychanie błękitne oczy.

Była to zachwycająca przyszłość. Tylko że jej nie dotyczyła.

– Cecilio?

– Skończyliśmy – powiedziała trochę za głośno.

– Już? – Jego brwi utworzyły kształt litery „V”, gdy dotknął prawego policzka. – Ogoliłaś tę stronę dużo szybciej niż drugą.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie doszłam do wprawy.

Nie ogoliła go po prawej stronie tak samo starannie, ale nie było tego dokładnie widać, póki nie spojrzało się na niego z bliska. A on zresztą powiedział, że ma zamiar ogolić się sam następnego dnia.

– Powinieneś odpocząć. Jesteś zmęczony, a my mamy potem to spotkanie.

– Nie musisz odchodzić ode mnie.

Zrobiła to jednak. Ze względu na samą siebie.

– Przeszkadzam ci – powiedziała.

– Nie wtedy, kiedy śpię. – Znów ziewnął, potem się uśmiechnął, a Cecilia niemal musiała się cofnąć, tak na nią oddziałała jego uroda. – Co ci jest? – spytał i dotknął twarzy. – Czy zostawiłaś jakieś miejsce nieogolone?

– Wyglądasz teraz zupełnie inaczej – stwierdziła. A może wyszeptała?

Uśmiechnął się niezbyt mądrze.

– Chyba dużo przystojniej.

O wiele przystojniej, a nie przypuszczała, żeby to było możliwe.

– Muszę iść. Trzeba, żeby ktoś zajął się wodą i…

– Zostań – powiedział po prostu. – Lubię, jak jesteś tutaj.

A gdy pospiesznie siadła po drugiej stronie łóżka, wydawało się czymś niemożliwym, by nie usłyszał, jak jej pęka serce.

7

Och, na miłość boską, wiem, że nie mam wielkiego, upstrzonego piegami nosa. Chciałam po prostu dać ci coś do zrozumienia. Nie możesz się spodziewać, by porucznik Rokesby był szczery, mówiąc o powierzchowności twojej siostry, bo musi prawić komplementy. Myślę, że to taka niepisana umowa między mężczyznami, nieprawdaż?

A jak wygląda porucznik Rokesby?

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Kiedy zeszli tego popołudnia na dół o wpół do piątej, major Wilkins czekał już na nich w jadalni; siedział przy ścianie, a przed nim stał duży kufel piwa i talerz pełen chleba z serem. Edward skłonił się przed nim lekko, gdy major wstał, by się z nimi przywitać. Edward nie stykał się z nim zbyt często, ale ich drogi nieraz się krzyżowały. Major był czymś w rodzaju administratora brytyjskiego garnizonu w Nowym Jorku i z pewnością to właśnie tam należało zacząć poszukiwania zaginionego żołnierza.

Edward zawsze miał go za kogoś nieco nadętego, ale za to ściśle przestrzegającego reguł i porządku, co uważał za niezbędną cechę wojskowego administratora. No i, prawdę mówiąc, sam nie miałby najmniejszej ochoty pełnić takiej funkcji.

Cecilia nie traciła czasu; gdy tylko usiedli, spytała:

– Czy wiadomo panu coś o moim bracie?

Major Wilkins zmierzył ją spojrzeniem, które Edward uznałby za protekcjonalne.

– Działania wojskowe toczą się na rozległym terenie, droga pani. Nie możemy się spodziewać, że znajdziemy kogoś tak szybko. – Przesunął talerz na środek stołu. – Może sera?

Cecilię zaskoczyła ta nagła zmiana tematu, ale szybko odzyskała kontenans.

– Przecież to armia! – zaprotestowała. – Brytyjska armia. Czyż nie mamy najnowocześniejszego, najlepiej zorganizowanego wojska na świecie?

– Oczywiście, ale…

– Jakże można nie wiedzieć, co się z nim stało?

Edward położył jej łagodnie dłoń na ramieniu.

– Chaos wojenny może dotkliwie zaszkodzić nawet najlepszym siłom wojskowym. Nawet ja sam zaginąłem na całe miesiące.

– Ale przecież on nie zaginął podczas misji!

Edward przyglądał się uważnie Cecilii. Chciał włączyć się w rozmowę, by ją wesprzeć, ale wydawała się panować nad całą sytuacją. A jeśli nie nad sytuacją, to w każdym razie nad sobą samą.

– Miałam na myśli – ciągnęła, mierząc majora Wilkinsa tak lodowatym spojrzeniem, że powinno go było przestraszyć – iż Thomas znajdował się tutaj, w Nowym Jorku. W szpitalu. A potem zniknął. Wcale nie na polu bitwy. Nie zapuścił się też na teren nieprzyjaciela jako zwiadowca.

Edward drgnął, słysząc te słowa. Czy właśnie on wyruszył jako zwiadowca do Connecticut? Było to najbardziej prawdopodobne przypuszczenie. Ale dlaczego? Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek robił to poprzednio.

– No cóż, w tym właśnie rzecz – odparł major. – Nie mogę znaleźć żadnych świadectw, że pani brat był w szpitalu.

– Co takiego? – Cecilia gwałtownie spojrzała na Edwarda, a potem znów na majora. – Niemożliwe.

Wilkins wzruszył ramionami.

– Kazałem jednemu z moich ludzi przejrzeć rejestry. Zapisuje się w nich nazwisko i rangę każdego żołnierza przyjętego do szpitala. Odnotowujemy dzień, w którym się tam znalazł, i datę… ehm… kiedy go wypisano.

– Wypisano? – powtórzyła Cecilia.

– Albo datę zgonu – Wilkins miał na tyle przyzwoitości, by wypowiedzieć te słowa z niejakim zakłopotaniem. – Ale nie mogliśmy znaleźć żadnego zapisu odnoszącego się do pani brata.

– Przecież został ranny! – zaprotestowała Cecilia. – Dostaliśmy zawiadomienie! – Odwróciła się znów ku Edwardowi, jawnie przejęta. – Mój ojciec otrzymał list od generała Gartha, który napisał, że Thomas odniósł ranę, ale nie śmiertelną, i że przychodzi do zdrowia w szpitalu. Czy jest tu jakiś inny szpital?

Edward spojrzał na majora Wilkinsa.

– Nie w tej części wyspy.

– Nie w tej części? – spytała zaskoczona.

– Jest jeszcze coś na kształt infirmerii w Haarlemie – odparł Wilkins z westchnieniem świadczącym, że wolałby o tym nie wspominać. – Nie nazwałbym jej szpitalem. – Spojrzał wymownie na Edwarda. – Nie chciałbym się tam znaleźć, jeśli pojmuje pan, co mam na myśli.

Cecilia zbladła.

– Na litość boską! – parsknął Edward – mówi pan w końcu z jego siostrą!

Major zwrócił się do Cecilii z pełną skruchy miną.

– Bardzo mi przykro, madame.

Skinęła głową. Konwulsyjnie drgnęła jej szyja, gdy gwałtownie przełknęła ślinę.

– Ledwie można nazwać to miejsce infirmerią – wyjaśnił jej major. – Pani brat jest oficerem. Nie umieszczono by go tam.

– Ale jeśli tak było najłatwiej…

– Jego rana nie zagrażała życiu. Zostałby więc stamtąd przeniesiony.

Edwardowi nie podobało się zbytnio, że żołnierze zmuszeni byli przychodzić do zdrowia w fatalnych warunkach jedynie z powodu ich rangi, ale w szpitalu na południowym krańcu Manhattanu liczba miejsc była ograniczona.

– On ma rację – zwrócił się do Cecilii. – Armia zawsze umieszcza oficerów w lepszych miejscach.

– Może Thomas miał jakieś powody, żeby odmówić przeniesienia go gdzie indziej – podsunęła mu. – Jeśli znajdował się tam razem ze swoimi ludźmi, nie chciał ich być może opuszczać.

– Wszystko to działo się miesiąc temu – odparł Edward, nienawidząc w duchu siebie samego za odbieranie jej w ten sposób nadziei. – Nawet gdyby tak było, z pewnością już by go przeniesiono tutaj.

– Och, bez wątpienia – dodał trzeźwo major Wilkins. – Po prostu nie ma żadnego powodu, by miał się znajdować w Haarlemie.

– Trudno w ogóle nazwać Haarlem miastem – wyjaśnił Edward Cecilii. – Jest tam Morris Mansion, ale prócz niego tylko garść porzuconych kolonialnych obozowisk.

– Ale czy przebywają tam jacyś nasi ludzie?

– Tylko tylu, by nie pozwolić Haarlemowi wpaść z powrotem w łapy wroga – wyjaśnił major. – Ale dobra tam ziemia. Mamy w Haarlemie pola gotowe już do żniw.

– Mamy? – Edward nie potrafił powstrzymać się od tego pytania.

– Farmerzy Haarlemu są wierni królowi – odparł zdecydowanym tonem Wilkins.

Edward nie był tego całkiem pewien, ale w takiej chwili wolał nie dyskutować z majorem o lokalnych tendencjach politycznych.

– Przewertowaliśmy rejestry szpitalne z ostatnich sześciu miesięcy – ciągnął Wilkins, sprowadzając rozmowę na właściwy temat i ukroił sobie

kolejną kromkę chleba z serem, krzywiąc się, bo cheddar niełatwo dał się kroić. – Nie znaleźliśmy żadnej wzmianki o pani bracie. Całkiem jakby nigdy nie istniał.

Edward z trudem stłumił gniewne parsknięcie. Doprawdy, ten człowiek nie miał żadnego taktu.

– Ale będzie pan szukał dalej? – spytała Cecilia.

– Oczywiście, oczywiście. – Major spojrzał na Edwarda. – Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Tylko tyle – mruknął Edward.

Major Wilkins wyprostował się gwałtownie.

– Przepraszam, co pan przez to rozumie?

– Dlaczego nie powiedział pan tego wszystkiego mojej żonie tydzień temu? – spytał Edward.

Major zamilkł, a jego ręka z chlebem zatrzymała się wpół drogi.

– Nie wiedziałem, że jest pańską żoną.

Edward chętnie by go udusił.

– A cóż to za różnica?

Major Wilkins spojrzał na niego przeciągle.

– Była przecież siostrą kapitana Harcourta. Zasługiwała na respekt i względy niezależnie od swego stanu cywilnego.

– Nie mamy zwyczaju odpowiadać na pytania członków rodziny – odparł oschłym tonem major.

Edward chętnie by mu udzielił z pół tuzina różnych odpowiedzi, uznał jednak, że nic nie zyska, nastawiając majora przeciw sobie. Zwrócił się więc do Cecilii:

– Czy masz ten list od generała Gartha?

– Oczywiście. – Sięgnęła ku kieszeni. – Stale noszę go przy sobie.

Edward wziął go z jej szczupłej dłoni, rozłożył i przeczytał w milczeniu, a potem podał kartkę majorowi.

– Czy coś jest nie w porządku? – spytała Cecilia.

Krzaczaste brwi majora niemal złączyły się ze sobą. Nie podnosił początkowo wzroku znad listu, aż wreszcie przemówił:

– To mi nie wygląda na list generała Gartha.

– O co tu chodzi? – Cecilia znów odwróciła się w stronę Edwarda. – Co major ma na myśli?

– Coś tu nie gra – odparł Edward – choć nie mogę się połapać co.

– Po cóż ktoś inny wysłałby mi taki list?

– Nie wiem. – Edward przycisnął palce do skroni, gdzie znów poczuł ból.

Cecilia zrozumiała to natychmiast.

– Czy dobrze się czujesz?

– Tak.

– Przecież moglibyśmy…

– Przyszliśmy tu z powodu Thomasa – odparł ostro. – Nie z mojego. – Nabrał gwałtownie tchu. Wytrzyma jakoś do końca. Wróci potem do łóżka, weźmie nawet laudanum, które mu proponowała, ale najpierw skończy to przeklęte spotkanie z majorem Wilkinsem.

Nie był aż tak bardzo do niczego.

Podniósł wzrok i dostrzegł, że zarówno Cecilia, jak major wpatrują się w niego z troską.

– Mam nadzieję, że rana nie dokucza panu zanadto – mruknął major.

– Boli jak diabli – odparł Edward przez zaciśnięte zęby – ale żyję, próbuję więc być z tego rad.

Cecilia spojrzała na niego z zaskoczeniem. Nie mógł jej zbytnio winić. Zazwyczaj nie był taki zgryźliwy.

Wilkins odchrząknął.

– No cóż, w porządku. Bardzo mi jednak ulżyło, kiedy się dowiedziałem o pańskim powrocie do zdrowia.

– Przepraszam – westchnął Edward. – Tracę cierpliwość, kiedy głowa boli mnie bardziej niż zazwyczaj.

Cecilia spytała cicho:

– Może wrócimy na górę?

– To zbędne – mruknął, oddychając coraz gwałtowniej, w miarę jak ból w skroni się nasilał. – Ale nie teraz. – Znów skierował wzrok na Wilkinsa, który ze zmarszczonym czołem odczytywał ponownie list generała. – Co się w nim panu nie podoba? – spytał Edward.

Major poskrobał się po podbródku.

– Dlaczego właściwie Garth… – Pokręcił głową. – Zresztą to nieważne.

– Nie – powiedziała pospiesznie Cecilia. – Niech pan mi zaraz powie.

Major Wilkins zawahał się, jakby szukał sposobu najdokładniejszego wyrażenia swoich myśli.

– Widzę tu jakieś dziwne informacje – wyjaśnił w końcu.

– Cóż to znaczy? – spytała Cecilia.

– Nie pisze się zwykle w ten sposób do rodziny żołnierza – odparł major i spojrzał na Edwarda, szukając u niego potwierdzenia.

– Przypuszczam – powiedział Edward, wciąż pocierając skroń, co niezbyt mu pomagało, ale nie mógł się powstrzymać od tego ruchu – że sam bym również nie napisał takiego listu.

– Mówiłeś, że coś z nim jest nie w porządku – przypomniała mu.

– Nic szczególnego – wyjaśnił. – Mam tylko pewne wrażenie. Znam generała Gartha. Nie mogę zrozumieć dlaczego, ale nie wygląda mi to na coś, co on by sam napisał.

– Ale ja pisałem takie listy – powiedział major Wilkins – Wiele razy.

– No i?… – nalegała Cecilia.

Wilkins zaczerpnął tchu.

– I nigdy bym w nich nie napisał, że ktoś został ranny, ale rana nie zagraża jego życiu. Tego nie można przewidzieć. Cały miesiąc trwa, nim list dotrze do adresata. A w tym czasie mnóstwo rzeczy może się zdarzyć.

Cecilia skinęła głową ze zrozumieniem, a major ciągnął dalej:

– Widziałem już więcej ludzi umierających z powodu jakiegoś zakażenia niż samych ran. W zeszłym miesiącu straciłem jednego człowieka z

powodu pęcherzy. – Spojrzał na Edwarda wzrokiem wyrażającym zdumienie. – Z powodu pęcherzy!

Edward przeniósł szybko wzrok na Cecilię. Zachowywała milczenie jak istny wzorzec brytyjskiego stoicyzmu, ale w oczach miała zgrozę. Przeraziła go myśl, że rozpadłaby się na kawałki, gdyby jej teraz dotknął.

A tymczasem on rozpaczliwie chciał chwycić ją mocno w objęcia, by temu zapobiec. I trzymać ją w nich, póki nie wchłonie w siebie wszystkich jej zmartwień i lęków.

Chciał wchłonąć jej ból.

Chciał dodać jej siły.

A potem przyrzekł sobie, że właśnie tak będzie. Chciał wrócić do zdrowia i być dla niej mężem, na jakiego zasługiwała.

A on zasługiwał na to, by takim właśnie mężem zostać.

– Miał pęcherze na nogach – wyjaśnił major, całkiem obojętny na rozterkę Cecilii. – Pończochy musiały mu widocznie obetrzeć skórę, kiedy przedzierał się przez bagno, bo, widzi pani, nie sposób wtedy uchronić stóp przed wilgocią.

Cecilia zdołała jakoś ze współczuciem kiwnąć głową.

Major Wilkins ujął kufel piwa, ale nie uniósł go do ust. Wydawał się zgnębiony, jakby to wspomnienie było dla niego bolesne.

– No i te przeklęte pęcherze musiały mu pęknąć, bo następnego dnia wdało się zakażenie, a po tygodniu już nie żył.

Cecilia przełknęła nerwowo ślinę.

– Przykro mi bardzo z powodu pańskiej straty – powiedziała i spojrzała ku swoim dłoniom, wspartym o stół, a Edward odniósł wyraźne wrażenie, że próbuje powstrzymać ich drżenie. Całkiem jakby można było nakazać im to spojrzeniem.

Miał żonę o wielkiej sile woli. Ciekaw był, czy ona zdaje sobie z tego sprawę.

Major zamrugał nagle oczami, jakby go zaskoczyły jej słowa.

– Dziękuję pani – powiedział. – Bo… to rzeczywiście była strata.

– Wszystkie śmierci są stratą – rzekł cicho Edward i przez chwilę obaj z majorem, choć mieli ze sobą tak mało wspólnego, poczuli się towarzyszami broni.

Minęła dłuższa chwila, nim ktokolwiek z nich się odezwał. Wreszcie major Wilkins odkaszlnął i spytał:

– Czy mogę to zatrzymać? – Wyciągnął rękę ku listowi generała Gartha.

Cecilia jedynie leciutko drgnęła, lecz Edward wyczuł jednak, w jak wielkim jest napięciu. Cofnęła podbródek, choć tylko nieznacznie, a dolna warga zadrżała jej, nim zdołała ją przygryźć. List od generała był jedyną więzią łączącą ją z bratem i najwyraźniej nie chciała się z nim rozstać.

– Zgódź się – powiedział, gdy spojrzała ku niemu, prosząc bez słów o radę. Wilkins, mimo że gbur, był dobrym żołnierzem. Potrzebował tego listu, jeśli miał im pomóc w poszukiwaniu Thomasa.

– Zachowam go z całą ostrożnością – zapewnił ją major, wsuwając złożony list do wewnętrznej kieszeni i klepiąc się po niej. – Daję słowo.

– Dziękuję – powiedziała Cecilia. – A także przepraszam, jeśli wydałam się panu niewdzięczną. Cenię sobie pańską pomoc.

Było to niemało, jak uznał Edward, zwłaszcza że major w niczym im jak dotąd nie pomógł.

– No, będę się już zbierał – i Wilkins wstał, żegnając się z Cecilią krótkim ruchem głowy, a potem zwrócił się do Edwarda: – Mam nadzieję, że pańska rana się zagoi.

Edward również odpowiedział na te słowa skinieniem głowy.

– Proszę mi wybaczyć, że nie wstanę.

Poczuł się nagle bardzo źle i z przerażeniem pomyślał, że gdyby próbował teraz wstać, wyciekłaby z niego cała zawartość brzucha.

– Oczywiście, oczywiście – burknął major na swój zwykły, prostacki sposób. – Niech pan się nie przejmuje.

– Proszę zaczekać! – zawołała Cecilia, wstając gwałtownie.

Odwrócił ku niej głowę.

– O co chodzi, madame?

– Zabierze mnie pan jutro do Haarlemu?

– Co takiego?! – Edward mimo bólu brzucha również zerwał się na nogi.

– Chciałabym pójść do tej infirmerii.

– Ja cię tam zabiorę! – uciął Edward.

– Nie sądzę, żebyś był w stanie…

– Zabiorę cię tam i już.

Wilkins przenosił wzrok z Edwarda na Cecilię, ledwie skrywając rozbawienie, nim wzruszył lekko ramionami.

– Nie mogę sprzeciwić się woli męża.

– Ależ ja muszę tam pójść! – zaprotestowała. – Thomas może być…

– Już ustaliliśmy, że to nieprawdopodobne, by się znajdował w Haarlemie – odrzekł Edward. Uchwycił się kurczowo rogu stołu, mając nadzieję, że nie będzie to zbyt widoczne. Poczuł gwałtowny zawrót głowy, gdy nagle wstał.

– Ale mógł tam być – odparła Cecilia. – A jeśli tak, ktoś go może będzie pamiętał.

– Zabiorę cię tam – powtórzył znowu Edward. Haarlem znajdował się ledwie dziesięć mil dalej, ale odkąd Brytyjczycy stracili (i ponownie odzyskali) ten teren w 1776 roku, miał on raczej charakter zaniedbanej placówki niż holenderskiej wioski, jaką był uprzednio. Nie był bynajmniej miejscem odpowiednim dla samotnej damy, a że Edward wątpił, by major Wilkins zdołał zapewnić Cecilii bezpieczeństwo, uznał to za swój obowiązek jako męża.

– Jeśli pani pozwoli, pójdę już sobie – powiedział major, składając jej ponownie ukłon.

Odpowiedziała mu krótkim dygnięciem, ale Edward miał zupełną pewność, że jej gniew wcale nie kieruje się ku Wilkinsowi. No i rzeczywiście, gdy tylko odszedł, rzuciła, unosząc wysoko podbródek:

– Muszę pójść do tej infirmerii.

– W takim razie pójdziesz – Edward opadł na krzesło. – Tylko nie jutro.

– Ależ…

– W ciągu jednego dnia nic się nie zmieni – powiedział zbyt wyczerpany, by się z nią kłócić. – Wilkins przeprowadzi śledztwo. Zdobędzie dużo więcej informacji od *attaché* generała Gartha, niż my oboje po podróży do Haarlemu.

– Z pewnością lepiej byłoby, gdybyśmy to śledztwo prowadzili na własną rękę – odparła, siadając przy nim.

– Nie będę się z tobą o to spierał. – Przymknął oczy, walcząc z falą zmęczenia, która spadła na niego niby ciężka zasłona. Westchnął, a potem ciągnął dalej: – Nic nie stracimy, czekając dzień czy dwa. Obiecuję ci.

– Jak możesz obiecywać?

Doprawdy, była niesłychanie zawzięta. Edward chętnie by podziwiał jej upór, gdyby nie czuł się tak okropnie.

– No, dobrze! – prychnął. – Nie mogę obiecać. Z tego, co mi wiadomo, armia Waszyngtona może się tu zjawić już jutro i zginiemy, nim zdołamy dotrzeć do infirmerii. Ale mogę ci obiecać jedno: wiem, choć z pewnością niewiele, ale więcej od ciebie, że kilka dni nie uczyni żadnej różnicy.

Spojrzała na Edwarda oniemiała. Przyszło mu na myśl, że być może nie powinien był poślubiać kobiety z tak zdumiewającymi oczami. Gdy bowiem wpatrzyła się w niego, musiał użyć całej swojej siły, by nie zwijać się z bólu na krześle.

Gdyby miał jakieś skłonności do metafizyki, pomyślałby, że to jej spojrzenie przeniknęło go do głębi duszy.

– Major Wilkins mógłby mnie tam zabrać – powiedziała wyzywająco.

Stłumił w sobie jęknięcie.

– Czy naprawdę chciałabyś spędzić z nim choć jeden dzień?

– Pewnie, że nie, ale…

– A gdybyś musiała spędzić i noc? Liczysz się z taką możliwością?

– Przepłynęłam na własną rękę Atlantyk, Edwardzie. Z pewnością wytrzymałabym jedną noc w Haarlemie.

– Ale nie powinnaś! – zawołał gniewnie. – Wyszłaś za mnie, Cecilio. Na litość boską, pozwól, żebym cię chronił!

– Tylko że nie możesz.

Edward zakręcił się wkoło na krześle. Cecilia powiedziała to łagodnie, lecz gdyby nawet rąbnęła go pięścią w kark, nie mogłaby wymierzyć mu gorszego ciosu.

– Przepraszam – powiedziała pospiesznie. – Nie miałam na myśli…

– Wiem, co miałaś na myśli.

– Nie sądzę, byś wiedział.

Gniew, który w nim narastał, domagał się ujścia.

– Masz słuszność – powiedział zachrypniętym głosem. – Nie wiem. A wiesz dlaczego? Bo cię nie znam. Ożeniłem się z tobą lub tak mi powiedziano…

Cofnęła się gwałtownie.

– …ale choć jestem w stanie sobie wyobrazić wszelkie powody, dlaczego ten związek mógł dojść do skutku, ani rusz nie potrafię sobie przypomnieć żadnego z nich.

Nic nie powiedziała ani nie poruszyła się, tylko nieznacznie drgnęły jej wargi.

– Jesteś moją żoną, prawda? – spytał, lecz tonem tak ostrym, że wycofał się natychmiast. – Wybacz mi – wyjąkał. – Nie powinienem był tak mówić.

Patrzyła na niego przez kilka sekund, z twarzą całkiem bez wyrazu. Była jednak niezwykle blada, gdy się odezwała:

– Myślę, że powinieneś odpocząć.

– Wiem o tym – powiedział z irytacją. – Czy myślisz, że nie czuję, co się dzieje z moją głową? Całkiem jakby ktoś tłukł młotem w moją czaszkę. Od środka na zewnątrz.

Pochyliła się nad stołem i położyła dłoń na jego ręce.

– Nie jest ze mną za dobrze – przyznał. Krótkie słowa, ale jakże trudno mu je było wypowiedzieć. A jednak poczuł się dużo lepiej, gdy to zrobił.

Nie, nie lepiej. Poczuł ulgę, co – jak sądził – równało się czemuś lepszemu.

– Trzymasz się znakomicie – odparła. – Nie zapominaj, że dopiero dzień wcześniej odzyskałeś przytomność.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Tylko mi nie mów, że nie od razu Rzym zbudowano.

– Za nic – przyrzekła, a on wyczuł, że ją to rozbawiło.

– Czuję się lepiej dzisiejszego wieczoru – powiedział. Słabym głosem, prawie tak cienkim, według niej, jak u dziecka.

– Lepiej? Czy zdrowiej?

– Zdrowiej – przyznał. – Choć kiedy cię pocałowałem…

Uśmiechnął się. Kiedy ją całował, czuł się niemal całkiem zdrów.

Cecilia wstała i delikatnie ujęła go za rękę.

– Chodźmy na górę.

Nie miał siły się z nią spierać.

– Powiem, żeby przyniesiono nam kolację do pokoju – powiedziała, gdy ruszyli ku schodom.

– Ale niezbyt obfitą. Mój żołądek… nie wiem, czy zdołam w nim coś utrzymać.

Spojrzała na niego uważnie. Zapewne po to, by sprawdzić, jak bardzo zzieleniał.

– Bulion – powiedziała. – Musisz coś zjeść. W przeciwnym razie nigdy nie odzyskasz sił.

Przytaknął jej skinieniem głowy. Bulionowi dałby jakość radę.

– No i może trochę laudanum.

– Ale niewiele.

– Bardzo niewiele, obiecuję.

Kiedy weszli już na piętro, wyjął klucz z kieszeni i podał jej bez słowa, a potem oparł się o ścianę, gdy otwierała drzwi.

– Pomogę ci zdjąć buty – powiedziała, a on poczuł, że wprowadza go do pokoju i sadza na łóżku, ale nie zdawał sobie niemal z tego sprawy. – Pamiętaj, że nie wolno ci się zbytnio wysilać – upomniała go, ściągając mu jeden but – ale czuję, że robiłeś to dziś ze względu na Thomasa.

– A także ze względu na ciebie – dodał.

Jej ręce znieruchomiały, ale tylko na chwilę. Nie zauważyłby tego, gdyby nie był tak niesłychanie wyczulony na jej dotyk.

– Dziękuję ci – powiedziała, chwytając za drugi but i pociągając za niego mocno. Edward wsunął się pod kołdrę, a ona otuliła go nią starannie. – Przygotuję laudanum – powiedziała.

Zamknął oczy. Nie czuł wcale senności, ale z jego głową było lepiej, kiedy ich nie otwierał.

– Zastanawiam się, czy nie powinieneś był zostać w szpitalu jeszcze przez jeden dzień. – Usłyszał jej głos tuż przy sobie, a także dźwięk potrząsania buteleczką.

– Nie – sprzeciwił się. – Wolałbym mieć cię nadal przy sobie.

Znów znieruchomiała. Nie musiał jej widzieć, żeby o tym wiedzieć.

– Szpital był nie do wytrzymania – powiedział. – Niektórzy z tych mężczyzn…

Nie wiedział, jak wiele jej ma powiedzieć ani jak wiele już wiedziała. Czy spędziła noc przy nim, kiedy leżał bez przytomności? Czy wiedziała, co to znaczy chcieć zasnąć, kiedy ktoś obok jęczy w agonii, wzywając matki?

– Zgadzam się – przyznała, pomagając mu usiąść w bardziej pionowej pozycji. – Tutaj jest o wiele przyjemniej zdrowieć. Ale doktor został w szpitalu.

– Tak sądzisz? – spytał ze słabym uśmiechem. – Założę się, że popija właśnie na dole. A może u Fraunces. Myślę, że mają tam lepsze piwo.

– Jeśli już mowa o trunkach – powiedziała z uroczą mieszaniną rzeczowości i dobrego humoru w głosie – masz tutaj swoje laudanum.

– Co nieco mocniejsze niż piwo – przyznał, otwierając oczy. Nie było już jasno. Cecilia zaciągnęła zasłony.

Przytknęła mu kubek do warg, ale odsunął jej rękę, mówiąc:

– Mogę to zrobić sam.

– Dawka jest bardzo niewielka – zapewniła go.

– Doktor dał ci wskazówki?

– Tak, a ja mam zresztą doświadczenie. Mój ojciec miewał nieraz migreny.

– Nie miałem pojęcia – mruknął.

– Ale nie za często się to zdarzało.

Wypił medykament, krzywiąc się, bo był gorzki.

– Wiem, że to ma paskudny mak – powiedziała, choć bez wielkiego współczucia.

– Nie sądzisz, że alkohol by go poprawił?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Myślę, że poprawiłaby go tylko nadzieja na ulgę w bólu.

Potarł skroń.

– To boli, Cecilio.

– Wiem.

– Chciałbym wreszcie poczuć się jak przedtem.

Skrzywiła się lekko.

– Wszyscy tego chcemy.

Ziewnął, choć było jeszcze za wcześnie, by laudanum zaczęło działać.

– Musisz mi wreszcie powiedzieć… – rzekł, wsuwając się głębiej pod kołdrę.

– Co?

– Hm… – zastanowił się, myśląc nad tym – …wszystko.

– Wszystko? Czy to nie za wiele?

– Mamy czas.

– Naprawdę? – Wydawała się rozbawiona.

Skinął głową i poczuł, że narkotyk już działa, bo miał niesłychanie dziwne wrażenie, że jest zbyt zmęczony, żeby ziewnąć. Nadal jednak był w stanie powiedzieć kilka słów.

– Pobraliśmy się. Mamy przed sobą całą resztę życia.

8

Edward Rokesby wygląda po prostu jak mężczyzna – i tylko tyle. Doprawdy, Cecilio, powinnaś mieć na tyle rozumu, żeby nie żądać ode mnie opisu innego mężczyzny. Ma brązowe włosy. Cóż jeszcze mogę tu dodać?

Co więcej, jeśli już musisz wiedzieć, pokazuję twoją miniaturę każdemu. Wiem, że nie jestem tak uczuciowym człowiekiem, jakbyś tego chciała, ale kocham cię i czuję się dumny, że mogę cię nazywać swoją siostrą. Prócz tego jesteś dużo bardziej gorliwą korespondentką niż ktokolwiek piszący listy do mych tutejszych kolegów – i cieszy mnie, że budzę w nich zazdrość.

Zwłaszcza Edward cierpi z powodu tego zielonookiego potwora, kiedy przynoszę mu pocztę. Ma trzech braci i jedną siostrę, a tymczasem ty piszesz do mnie częściej niż oni wszyscy razem wzięci.

Z listu Thomasa Harcourta do siostry Cecilii

Trzy godziny później Cecilia wciąż jeszcze rozpamiętywała słowa:

„Pobraliśmy się. Mamy przed sobą całą resztę życia”.

Siedziała przy małym okrągłym stoliku w kącie ich pokoju w Devil’s Head, podpierając głowę obiema rękami. Musi powiedzieć mu całą prawdę.

Musi mu powiedzieć dosłownie wszystko.

Ale jak?

A co było jeszcze pilniejszą kwestią: kiedy?

Powtarzała sobie, że musi poczekać do końca spotkania z majorem Wilkinsem. No cóż, stało się tak, ale Edward najwyraźniej poczuł się po nim gorzej. Nie mogła go teraz niepokoić. Wciąż jej potrzebował.

Och, przestań się okłamywać, powiedziała do siebie. Wcale jej nie potrzebował. Mogła ułatwić mu rekonwalescencję, a nawet ją przyspieszyć, lecz gdyby zniknęła nagle z jego życia, nie pogorszyłoby to wcale jego stanu.

Potrzebował jej, kiedy leżał bez przytomności. A teraz, kiedy ją odzyskał, nie była mu już niezbędna.

Spojrzała na niego. Spał spokojnie w łóżku. Ciemne włosy opadły mu na czoło. Należało je przystrzyc, ale uznała, że ładniej mu tak, z rozwichrzoną czupryną. Nadawało mu to wygląd zbliżony do zuchwałego awanturnika, co nie zgadzało się wcale z jego prostolinijnym charakterem, ale miało swoisty urok. Zmierzwione włosy przypominały jej, że ten godny szacunku mężczyzna miał przewrotne, sarkastyczne poczucie humoru i że mógł doświadczać rozterek lub gniewu.

Nie był idealny.

Był autentyczny.

W jakiś dziwny sposób poczuła się po tym stwierdzeniu jeszcze gorzej.

Wyjawię mu wszystko, przyrzekła sobie.

Chybaby jej wybaczył.

Ale coraz trudniej przychodziło jej wyobrazić sobie, że byłoby to możliwe. Miał niezłomne poczucie honoru – i to właśnie przekonało ją, by poczekać z wyznaniem kłamstwa, póki nie spotkają się z majorem Wilkinsem – choć zarazem też oznaczało, że ma przed sobą nowy dylemat.

Uznałby bowiem, że ją skompromitował.

Mimo że nie doszło do konsumpcji małżeństwa, spali jednak w tej samej sypialni. Gdyby się dowiedział, że nie jest jego żoną, nalegałby na małżeństwo. Był przede wszystkim dżentelmenem i honor dżentelmena nie pozwoliłby mu uczynić inaczej.

A choć Cecilia nie umiała powstrzymać się od marzeń o zostaniu panią Rokesby, jakżeby mogła żyć ze świadomością, iż w gruncie rzeczy podstępnie zmusiła go do małżeństwa?

Odepchnąłby ją. Nie – znienawidziłby ją.

Nie! Nie znienawidziłby jej, tylko nigdy by jej nie wybaczył.

Westchnęła. Nigdy by jej nie zdołał wybaczyć.

– Cecilio?

Drgnęła gwałtownie.

– Zbudziłeś się?

Uśmiechnął się do niej sennie.

– Prawie że.

Cecilia wstała i podeszła do łóżka. Edward usnął w ubraniu, uznała więc, że po godzinnej drzemce poczuł się niewygodnie, i zdjęła mu halsztuk. Po zażyciu laudanum ledwie się mógł ruszać.

– Jak się czujesz? – spytała.

Zastanowił się, a ona uznała to za dobry znak.

– Lepiej – powiedział, ale zaraz poprawił się, krzywiąc nieco usta: – No, może trochę lepiej.

– Jesteś głodny?

Musiał się zastanowić nawet i nad tą odpowiedzią.

– Owszem, choć nie mam pewności, czy dobrze bym się poczuł, gdybym coś zjadł.

– Spróbuj bulionu. – Wstała i ujęła w ręce niedużą wazę, którą przyniosła z kuchni dziesięć minut wcześniej. – Jeszcze ciepły.

Podsunął się wyżej na łóżku.

– Jak długo spałem?

– Prawie trzy godziny. Laudanum szybko zadziałało.

– Trzy godziny – mruknął zaskoczony.

– Zastanawiasz się, czy głowa wciąż cię boli? – spytała z uśmiechem.

– Nie – odparł szczerze – bo stanowczo dokucza mi mniej.

– Och. – Sama nie wiedziała, co na to rzec, więc tylko dodała: – Przepraszam, że cię spytałam.

– Czuję jednak różnicę.

Postawiła bulion na stoliku koło łóżka i usiadła przy nim.

– Różnicę?

– Ból nie jest już przeszywający. Raczej tępy.

– A więc to z pewnością jakaś poprawa.

Dotknął lekko skroni i mruknął:

– Myślę, że tak.

– Potrzeba ci pomocy? – spytała, wskazując na bulion.

Uśmiechnął się słabo.

– Poradzę sobie, ale przydałaby mi się łyżka.

– Och! – Cecilia poderwała się. – Przepraszam! Wyobraź sobie, chyba zapomnieli mi ją dać.

– Nieważne. Mogę go wypić.

Uniósł wazę do ust i pociągnął łyk.

– Dobre? – spytała, kiedy westchnął z zadowoleniem.

– Wcale niezły. Dziękuję, że mi go przyniosłaś.

Czekała, póki nie wypił kilku następnych łyków, a potem powiedziała:

– Doprawdy, wyglądasz lepiej niż podczas spotkania z majorem Wilkinsem.

Poczuła, że jego zdaniem ona zaraz zacznie mówić, żeby zabrał ją jak najszybciej do Haarlemu, więc dodała:

– Nie na tyle jednak lepiej, żebym się jutro wybierała na północ.

Najwyraźniej uznał to za zabawne.

– Może pojutrze?

– Pewnie nawet i wtedy tego nie zrobię. – Westchnęła. – Miałam czas, żeby się zastanowić nad naszym spotkaniem z majorem. Mówił, że zasięgnie języka w tej infirmerii. Wciąż chcę tam wprawdzie pójść sama, ale na razie dam sobie z tym spokój. – Nie była wcale pewna, kogo właściwie z nich dwojga próbuje uspokoić, gdy oświadczyła: – Będę cierpliwa.

No bo jakiż miała wybór?

Odstawił wazę z bulionem na stolik i ujął ją za dłoń.

– Pragnę odnaleźć Thomasa tak samo jak ty.

– Wiem. – Cecilia wpatrzyła się w ich splecione palce. Dziwne, jak dobrze zdawały się do siebie pasować. Miał duże, kanciaste dłonie z ogorzałą i stwardniałą skórą. A jej ręce też nie były już takie białe i gładkie jak przedtem, czuła jednak dumę z pokrywających je teraz odcisków. Zdawały się świadczyć, że może pokierować swoim losem. Czuła w nich siłę, o którą się przedtem nie posądzała.

– Znajdziemy go – powiedział Edward.

Spojrzała na niego.

– A może nie.

Oczy Edwarda, niemal granatowe w słabnącym świetle, spojrzały prosto na nią.

– Muszę się liczyć z rzeczywistością – dodała.

– Z rzeczywistością tak, ale nie z fatalizmem.

– Istotnie. – Zmusiła się do uśmiechu. – Nie jestem fatalistką.

W każdym razie jeszcze nie była nią teraz.

Milczeli przez chwilę, ale to milczenie, z początku przyjazne, stało się ciężkie i niezręczne, gdy Cecilia zrozumiała, że Edward usiłuje znaleźć najlepszy sposób, by znów poruszyć niewygodny temat. Wreszcie, po kilkakrotnym odchrząknięciu, powiedział:

– Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o naszym małżeństwie.

Serce jej zamarło. Wiedziała, że takie pytanie padnie, ale na krótką chwilę zaparło jej dech.

– Nie chcę przeczyć twoim słowom – zaczął – jesteś jednak siostrą Thomasa i spodziewam się, że nie uznasz za zbytnią śmiałość tego, co ci powiem: od dawna czułem, że poznałem cię dzięki twoim listom.

Musiała odwrócić wzrok.

– Chciałbym jednak wiedzieć, jak do tego małżeństwa doszło.

Cecilia miała dobre kilka dni na wymyślenie jakiejś historii, ale rozmyślanie o kłamstwie okazało się czymś innym niż wypowiedzenie go na głos.

– Thomas życzył sobie tego – odparła. Było to w gruncie rzeczy prawdą, a przynajmniej tak sądziła. Z pewnością brat pragnął, by przyjaciel poślubił jego siostrę. – Martwił się o mnie – dodała.

– Z powodu śmierci waszego ojca?

– Nie wiedział o niej – przyznała uczciwie. – Ale wiem, że od dawna martwiła go moja przyszłość.

– Mnie też o tym mówił – przyznał Edward.

Zaskoczyło ją to.

– Naprawdę?

– Wybacz, nie chciałbym mówić źle o zmarłych, ale Thomas zwierzył mi się, że twój ojciec mniej dbał o twoją przyszłość niż o swoją teraźniejszość.

Cecilia poczuła, że dusi ją w gardle. Ojciec był człowiekiem dobrym, lecz do szpiku kości samolubnym. Kochała go jednak i wiedziała, że on również ją kocha.

– Byłam dla niego pociechą – powiedziała, dobierając jak najładniej brzmiące słowa, całkiem jakby brnęła przez łąkę pełną kwiatów. Przeżywała przecież i przyjemne chwile, a teraz czuła się tak, jakby układała z nich bukiet. – Dawało mi to jakiś cel w życiu.

Edward patrzył na nią uważnie, gdy mówiła, a kiedy spojrzała mu w oczy, ujrzała w nich coś w rodzaju dumy, zabarwionej jednak

sceptycyzmem. Potrafił czytać między wierszami, ale darzył ją uznaniem za to, co powiedziała.

– W każdym razie – stwierdziła, usiłując przybrać lżejszy ton – Thomas wiedział, że ojciec niedomagał.

Edward przechylił głowę na bok, jakby z niedowierzaniem.

– Myślałem, że zmarł nagle.

– Istotnie – potwierdziła szybko. – Zdaje mi się, że często tak bywa. Powolne niedomaganie, a potem szybki zgon.

Edward milczał.

– A może i nie – ciągnęła. Dobry Boże, uznała, że mówi niczym kretynka, ale nie mogła już zamilknąć. – Nie miałam właściwie żadnego doświadczenia w tej kwestii. Nie widziałam niczyjej śmierci prócz jego.

– Ani ja – odparł. – Przynajmniej jeśli chodzi o śmierć z naturalnych przyczyn.

Cecilia spojrzała na niego. Oczy mu pociemniały.

– No jasne, że nie. – Nie chciała nawet myśleć o tym, co on w tej chwili widzi. Śmierć młodych mężczyzn w samej wiośnie życia była czymś innym niż kogoś takiego, jak jej ojciec.

Edward znów upił łyk bulionu, a ona uznała to za znak, że ma mówić dalej.

– A wtedy kuzyn oświadczył mi się – powiedziała.

– Wnioskuję z twojego tonu, że nie były to miłe oświadczyny.

Zacisnęła mocno usta.

– Rzeczywiście.

– A ojciec nie odmówił mu twojej ręki? Czekaj! – Edward uniósł palec, jakby chciał na coś wskazać. – Czy to się stało przed jego śmiercią, czy po niej?

– Przed nią – odparła. Serce jej drgnęło mocno. Właśnie w ten sposób zaczynają się kłamstwa. Horace zaczął jej zagrażać dopiero po śmierci ojca, a Thomas wcale nie wiedział, że kuzyn wywiera na nią presję.

– No oczywiście, stało się właśnie tak, bo… – Edward zamyślił się, puścił jej dłoń i potarł podbródek. – Może to wina mojej chorej głowy, ale nie potrafię sobie uzmysłowić kolejności zdarzeń. Może byś mi to wszystko napisała?

– Oczywiście – odpowiedziała, choć narastało w niej poczucie winy. Nie mogła wprost pojąć, że pozwala Edwardowi uważać się za przyczynę wszystkich trudności w tej historii. Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie była pewna, czy zdoła z tego wyjść coś więcej niż nieznaczne skrzywienie warg. – Mnie też trudno w to uwierzyć.

– W co?

Powinna była wiedzieć, że musi wyjaśnić to pytanie.

– Po prostu trudno mi uwierzyć, że jestem tutaj, w Nowym Jorku.

– Razem ze mną.

Spojrzała na tego honorowego mężczyznę, na którego nie zasługiwała.

– Razem z tobą.

Ujął jej rękę i uniósł do warg. Cecilia poczuła wzruszenie mimo wyrzutów sumienia. Czemuż ten człowiek jest tak przeraźliwie miły?

Nabrała tchu.

– Marswell jest majoratem, a Horace chciał odziedziczyć majątek w razie, gdyby coś się stało Thomasowi.

– Czy dlatego ci się oświadczył?

Spojrzała na niego z rozdrażnieniem.

– Nie sądzisz, że go zauroczył mój wdzięk i uroda?

– Nie, to ja bym ci się oświadczył z tego powodu. – Uśmiech Edwarda szybko przerodził się w grymas. – Bo ja ci się oświadczyłem, prawda?

– Zrobiłeś coś w tym rodzaju… – Cecilia poczuła, że twarz jej płonie – …nawet i więcej… – a potem dała mu jedyną możliwą odpowiedź: – Oczywiście Thomas zajął się większością przygotowań.

Edward nie wydawał się z tego zbyt zadowolony.

– Po prostu nie mogło być inaczej – zakończyła.

– Gdzie się odbyła ceremonia?

Cecilia miała już wcześniej obmyśloną odpowiedź.

– Na statku.

– Naprawdę? – Edward wyglądał na szczerze zaskoczonego tym wszystkim. – Jakże więc ja…

– Nie jestem pewna – powiedziała.

– Jeśli ty byłaś na statku, to kiedy ja…

– To miało miejsce tuż przed twoim wyjazdem do Connecticut – skłamała.

– Czyżbym uczestniczył w ceremonii trzy miesiące wcześniej niż ty?

– Ceremonie wcale nie nastąpiły jednocześnie – powiedziała, świadoma, że grzęźnie w kłamstwie coraz bardziej. Obmyśliła już wcześniej kilka wyjaśnień, że proboszcz w jej miasteczku odmówił zgody na udzielenie jej ślubu *per procura* lub że ona nie chciała złożyć przysięgi ślubnej, póki nie stanie się to absolutną koniecznością, tak by Edward mógł wycofać się z małżeństwa, gdyby zmienił zdanie. Nim jednak zdołała skłamać po raz kolejny, poczuła, że Edward dotyka jej palca dokładnie w tym miejscu, gdzie powinna była tkwić ślubna obrączka.

– Nie masz nawet pierścionka – powiedział.

– Nie trzeba mi go – odparła pospiesznie.

Zmarszczył brwi tak mocno, że złączyły się w jedną linię.

– Ale powinnaś mieć.

– Można z tym poczekać.

Wtedy Edward – ruchem tak nagłym, że nie przypuszczała, by był do tego zdolny w swoim obecnym stanie – usiadł prosto i dotknął jej podbródka.

– Pocałuj mnie – powiedział.

– Co takiego?! – niemal krzyknęła.

– Pocałuj mnie.

– Oszalałeś?

– Możliwe – odparł – ale myślę, że każdy całkiem zdrowy na umyśle mężczyzna chciałby cię pocałować.

– Każdy – powtórzyła, wciąż próbując zrozumieć, co to oznacza.

– No, może nie każdy. – Udał, że się nad tym zastanawia. – Bo myślę, że ze mnie niezgorszy zazdrośnik, byłoby to więc z ich strony niemądre.

Pokiwała głową i przewróciła oczami, a potem zrobiła jeszcze raz jedno i drugie.

– Musisz wypocząć.

– Najpierw pocałunek.

– Edwardzie!

Naśladując znakomicie jej pełen zgorszenia ton, zawołał:

– Cecilio!

Otwarła szeroko usta ze zdziwienia.

– Robisz do mnie słodkie oczy?

– A czy to działa?

Tak, pomyślała.

– Nie! – zawołała.

Chrząknął niedowierzająco.

– Nie jesteś zręczną kłamczuchą.

Och, nie miał o tym pojęcia.

– Skończ swój bulion – nakazała mu, daremnie próbując powiedzieć to surowym tonem.

– Czy zamierzasz dać mi do zrozumienia, że nie mam dość siły, by cię pocałować?

– Och, jesteś niemożliwy!

Jedna z jego brwi uniosła się, tworząc idealnie arogancki łuk.

– Bo uświadamiam ci, że ośmieliłbym się to zrobić?

Zacisnęła wargi, daremnie próbując ukryć uśmiech.

– Co w ciebie wstąpiło?

Wzruszył ramionami.

– Szczęście.

Było to tylko jedno słowo, a jednak zdołało sprawić, że zabrakło jej tchu. Pod maską przyzwoitości Edward Rokesby krył usposobienie żartownisia pierwszej klasy. Nie powinna się była temu dziwić. Poznała je przecież dzięki jego listom.

Odrobina radości wystarczyła, żeby to ujawnić.

– Pocałuj mnie – powtórzył.

– Powinieneś wypoczywać.

– Dopiero co spałem całe trzy godziny.

Usłyszała siebie samą mówiącą: „Zgoda, jeden pocałunek”, choć wszystko zdawało się ostrzegać ją, żeby tego nie robiła.

– Tylko jeden – zgodził się, a potem dodał: – Kłamię, rzecz jasna.

– Nie wiem, czy można to uważać za kłamstwo, skoro mówisz jedno i drugie jednocześnie.

Dotknął palcem policzka, przynaglając ją.

Cecilia przygryzła wargę. Z pewnością jeden pocałunek to nic takiego. Zwłaszcza w policzek. Nachyliła się.

Przekręcił głowę w bok i ich usta się zetknęły.

– Oszukałeś mnie!

Objął jej głowę.

– Naprawdę?

– Wiesz, że tak.

– Czy sobie zdajesz sprawę – wymruczał, a ona poczuła jego ciepły, uwodzicielski oddech w kąciku ust – że kiedy coś mówisz tuż przy moich wargach, to tak, jakbyś mnie całowała?

O mało nie jęknęła. Nie potrafiła mu się oprzeć. Nie wtedy, gdy był taki jak teraz – zabawny, czuły, a także wyraźnie zadowolony, że się z nią ożenił.

Zbliżył swoje wargi ku jej ustom, przesuwając je powoli w pozornie niewinnym pocałunku. Nie było jednak nic niewinnego w sposobie, w jaki

jej ciało wygięło się ku niemu, prosząc o więcej. Była już na wpół zakochana w tym mężczyźnie, nim go jeszcze ujrzała, a teraz jej ciało dawało świadectwo temu, czego jej umysł nie chciał przyznać: pragnęła go rozpaczliwie.

Gdyby nie był chory, gdyby nie był wciąż jeszcze słaby, nie wiadomo, do czego by doszło. Nie była bowiem pewna, czy zdołałaby powstrzymać go przed skonsumowaniem małżeństwa, które nie istniało.

– Jesteś najlepszym lekarstwem – mruknął tuż przy jej ciele.

– Nie lekceważ laudanum – próbowała zażartować.

– Wcale go nie lekceważę – odparł, odsuwając się od niej na tyle tylko, by zajrzeć jej w oczy. – Dziękuję ci, że namówiłaś mnie, bym je zażył. Myślę, że mi pomogło.

– Nie ma za co – powiedziała z pewnym wahaniem. Zmiana tematu zbiła ją nieco z tropu.

Pogładził ją po policzku.

– Nieprzypadkowo powiedziałem, że jesteś najlepszym lekarstwem. Rozmawiałem z ludźmi w szpitalu. Wczoraj, kiedy już sobie poszłaś.

Nie była pewna, co zamierzał przez to powiedzieć.

– Powiedzieli mi, z jakim oddaniem nade mną czuwałaś. A także o tym, że nalegałaś, żeby się mną staranniej zajęto.

– No… oczywiście – wyjąkała. Nie miało to nic wspólnego z byciem jego żoną. Zrobiłaby to tak czy inaczej.

– Jeden z nich mówił mi nawet, że tylko dzięki tobie odzyskałem przytomność.

– Z pewnością to nieprawda – odpowiedziała, bo nie mogła przypisywać sobie tej zasługi. nie mogła też pozwolić, żeby myślał, że jest jej coś za to winien.

– Dziwna rzecz – mruknął. – Nie przypominam sobie, żebym myślał wiele o ożenku. A już z pewnością nie o tym, żebym się ożenił. Ale myślę, że małżeństwo mi się podoba.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wyciągnął rękę i starł je.

– Nie płacz – szepnął.

– Wcale nie płaczę – powiedziała, choć właśnie to robiła.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

– Chyba po raz pierwszy doprowadziłem do łez całowaną przeze mnie dziewczynę.

– Jak Georgie Porgie – zażartowała, nawiązując do znanej dziecięcej piosenki, gdzie pewien niedobry chłopiec właśnie tak robi.

Wydawał się rozbawiony.

– Mam przecież George na drugie imię.

Cofnęła się, pragnąc, żeby nie byli tak blisko siebie, ale jego ręka osunęła się z jej policzka na ramię, a potem jeszcze niżej, na dłoń. Nie chciał pozwolić jej odejść. W głębi duszy wiedziała, że ona także tego nie chce.

– Robi się późno – powiedział.

Spojrzała ku oknu. Wcześniej zaciągnęła już zasłony, ale przez szparę dostrzegła, że zapadł zmierzch i wkrótce nadejdzie noc.

– Pójdziesz dziś spać?

Wiedziała, o co ją pytał. Czy będzie spać w tym łóżku.

– Nie musisz się niczego obawiać. Choć chciałbym, żeby było inaczej, nie jestem dziś w stanie kochać się z tobą.

Twarz zaczęła ją palić. Nic nie mogła na to poradzić.

– Mówiłeś, zdaje się, że nie jesteś dłużej zmęczony – wyjąkała.

– Ja nie. Ale ty tak.

Miał rację. Była wyczerpana. Spałaby podobnie jak on, czuła jednak, że powinna nad nim czuwać. Jak fatalnie wyglądał, kiedy kładła go do łóżka tego wieczoru! Niemalże gorzej niż wtedy, gdy był w szpitalu.

Gdyby coś się mu stało po tym wszystkim, co przecierpiał…

Nie była w stanie sobie tego wyobrazić.

– Jadłaś coś? – spytał.

Kiwnęła głową. Zjadła lekki posiłek, kiedy zeszła na dół po bulion.

– Dobrze. Nie chcę, żeby moja pielęgniarka stała się pacjentką. Zapewniam cię, że nie mógłbym pełnić tej funkcji tak skutecznie, jak ty. – Spoważniał. – Musisz odpocząć.

Wiedziała o tym. Nie pojmowała tylko, jakim sposobem byłoby to możliwe.

– Na pewno nadal życzyłabyś sobie skromności – powiedział z pewnym zakłopotaniem. Cecilia wyraźnie poczuła, że on również zdaje sobie sprawę z niestosowności ich sytuacji. – Daję ci słowo, że odwrócę się w drugą stronę – zapewnił ją.

Spojrzała tylko na niego bez słowa.

– No, kiedy będziesz wkładać nocną bieliznę – wyjaśnił.

– Och, oczywiście. – Boże, zrobiła z siebie idiotkę.

– A nawet naciągnę kołdrę na głowę.

Wstała. Nogi jej drżały.

– To nie będzie konieczne.

Po wymownej pauzie dodał schrypniętym głosem:

– Może i nie.

Cecilia niemal stęknęła z zaskoczenia, a potem pospiesznie podeszła do szafy, gdzie ułożyła przedtem swoją skromną bieliznę. Wybrała praktyczną koszulę nocną z białej bawełny, bez żadnych koronek i falbanek. Nie taką, jaką dama mogłaby włożyć do kufra z wyprawą ślubną.

– Pójdę sobie tylko do kąta – oznajmiła.

– A ja już się przykryłem.

No i rzeczywiście to zrobił. Kiedy szukała nocnej koszuli, osuwał się coraz niżej na łóżku, póki nie legł całkiem na wznak, i naciągnął kołdrę na twarz.

Zaśmiałaby się, gdyby nie była tak zgnębiona.

Szybkimi ruchami ściągnęła odzienie i pospiesznie narzuciła na siebie koszulę nocną. Zakryła jej ciało od głowy do pięt, równie skutecznie jak

każda z jej sukien dziennych, a z pewnością dokładniej niż wieczorowa, ale Cecilia wciąż czuła się na wpół obnażona.

Zwykle przed pójściem do łóżka pięćdziesiąt razy przeciągała szczotką po włosach, ale teraz wydało się jej to przesadą, zwłaszcza że Edward ciągle zakrywał głowę kołdrą, zamiast tego splotła je więc w luźny warkocz. A co do zębów… Spojrzała na szczoteczkę i proszek zabrane z Anglii, a potem znów na łóżko. Edward ani drgnął.

– Odpuszczę sobie dziś mycie zębów – powiedziała. Może dzięki temu byłby mniej chętny do całowania jej rankiem?

Odłożyła szczoteczkę do szafy i szybko podeszła do łóżka od drugiej strony. Ostrożnie, żeby jak najmniej poruszyć pościel, uniosła kołdrę i wsunęła się pod nią.

– Możesz już otworzyć oczy – oznajmiła.

Odkrył twarz.

– Leżysz bardzo daleko – stwierdził.

Cecilia wciągnęła do łóżka prawą nogę, która wciąż jeszcze na wpół z niego zwisała.

– Myślę, że tak jest najlepiej – odparła. Położyła się i zdmuchnęła świecę, pozwalając ciemności ogarnąć pokój.

Ani trochę jednak nie traciła świadomości, że koło niej leży mężczyzna.

– Dobranoc, Cecilio – powiedział.

– Dobranoc. – Obróciła się ostrożnie plecami do niego. Zazwyczaj w tej właśnie pozycji spała, na prawym boku, z dłońmi pod policzkiem, złożonymi jak do modlitwy. Ale tym razem nie udało się jej ułożyć wygodnie, a już na pewno nie czuła swobody.

Nigdy chyba nie zdoła teraz zasnąć. Nigdy.

A jednak, jakimś dziwnym sposobem, tak się właśnie stało.

9

Podziękuj porucznikowi Rokesby'emu i zapewnij go, że jego rodzeństwo nie pisze tak często jak ja, bo wiedzie o wiele ciekawsze życie ode mnie. W Derbyshire jest strasznie nudno o tej porze roku. Och, cóż ja napisałam? W Derbyshire zawsze panuje nuda i tylko nuda. A jednak to dobra rzecz, bo wolę życie pozbawione gwałtownych wydarzeń.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Następnego ranka Edward budził się powoli, niechętnie przytomniejąc po czymś, co było wyjątkowo przyjemnym snem. Leżał w łóżku, rzecz sama w sobie warta odnotowania, bo miał całkowitą pewność, że od miesięcy nie spał na takim właśnie sprzęcie. A także było mu ciepło. Przyjemnie ciepło, a nie gorąco, jak podczas męczących, upalnych dni lata w Nowym Jorku.

Zabawne, że w tym jego śnie właściwie działo się niewiele; było mu wygodnie, jakby spoczywał na jakiejś chmurce, a jego ciało zdawało się pławić w tym przyjemnym wrażeniu. Zbudził się wprawdzie zesztywniały, jak często bywało, ale bez deprymującej świadomości, że nie wie, co teraz się stanie. Albowiem we śnie przylgnął do uroczego tyłeczka, ciepłego, miękkiego, z kuszącym rowkiem, całkiem jakby wtulony był w kobiece objęcia.

Ukradkiem wyciągnął dłoń i objął nią jeden z jej policzków.

Aż westchnął. Czysta perfekcja.

Zawsze lubił kobiety, podobały mu się miękkie linie ich ciał, skóra jaśniejsza i delikatniejsza niż jego własna. Nigdy nie był rozpustnikiem ani kimś pozbawionym skrupułów. Wiele lat temu ojciec wziął go na stronę i wpoił mu wówczas zbożny lęk oraz strach przed zarazą. Dlatego też, choć Edward bywał w burdelach z kompanami, nigdy sam nie korzystał z tamtejszych usług. Tak było dużo bezpieczniej, a jego zdaniem o ileż przyjemniejsze wydawało mu się leżenie w łóżku z kobietą już mu wcześniej znaną. Przeważnie z jakąś dyskretną wdówką. Czasami ze śpiewaczką operową.

Ale o dyskretne wdówki i śpiewaczki operowe trudno było w amerykańskich koloniach i już od dawna nie miał okazji zaznać błogości kobiecych lędźwi.

A on lubił czuć ciepło kobiety koło siebie. Pod sobą. Wokół siebie.

Przygarnął mocniej tę idealną damę ze swoich snów, a wtedy…

Obudził się.

Wrócił do rzeczywistości.

O Chryste!

To nie tajemniczą kobietę ze snu trzymał w ramionach, tylko Cecilię, a jej koszula nocna przesunęła się w nocy ku górze, ukazując całkiem gołą i bardzo uroczą tylną część jej ciała.

On zaś był wciąż po większej części w odzieniu, bo dwukrotnie zasnął ubrany, ale jego przyrodzenie protestowało gwałtownie przeciw temu i doprawdy nie można go było winić, skoro leżał przyciśnięty do pośladków Cecilii.

Z pewnością żaden inny mężczyzna nie znalazł się nigdy w tak pełnej rozterki sytuacji. Była jego żoną. Niewątpliwie miał pełne prawo przygarnąć ją mocniej do siebie, nakryć ją swoim ciałem i całować, póki nie straci przytomności umysłu z pożądania. Zacząłby od jej ust, a potem

posuwałby się coraz niżej, od szyi o eleganckiej linii aż do dołeczka pod obojczykiem.

Stamtąd bez trudu ześlizgnąłby się zaś ku piersiom, których wciąż jeszcze nie widział, ale był całkiem pewien, że mają idealne wymiary i kształt jak najbardziej pasujący do jego rąk. Nie miał pojęcia, skąd o tym wie, ale pod każdym innym względem jej ciało okazało się idealne, czemu więc z piersiami miałoby być inaczej?

Czuł też wyraźnie, że w nocy ściskał w dłoni jedną z nich. Był tego pewien, jeśli nawet sobie nie przypominał, że to robił.

Przyrzekł jej jednak, że nie skorzysta z ich wymuszonej okolicznościami bliskości. Przyrzekł również sobie, że zapewni jej godną tego miana noc poślubną, a nie jakieś nieudolne, gwałtowne poczynania mężczyzny na wpół bezsilnego i osłabionego.

Kiedy się z nią będzie kochał, Cecilia doświadczy wielkiej romantycznej miłości, na co zasługiwała.

Teraz musiał się tylko wyplątać jakoś z tej sytuacji, nie budząc jej. Choć sprzeciwiało się temu całkowicie jego męskie ciało.

A niektóre części tego ciała bardziej niż inne.

Uznał, że przede wszystkim powinien cofnąć rękę.

Jęknął. Doprawdy nie był w stanie nią ruszyć.

Cecilia jednak wydała wówczas jakiś stłumiony dźwięk, jakby miała się zaraz obudzić, a to go gwałtownie przynagliło do działania. Powolnym, ostrożnym ruchem wycofał rękę, kładąc dłoń na własnym biodrze.

Wymruczała coś niewyraźnie przez sen, a potem westchnęła i wtuliła się w poduszkę.

Katastrofa nie nastąpiła. Odetchnął z ulgą.

Teraz musiał tylko wyciągnąć ramię spod jej ciała. Niełatwe zadanie, bo przytuliła je sobie do policzka niczym ulubioną szmacianą lalkę.

Próbował cofnąć je ostrożnie. Ani nie drgnęła.

Chciał uwolnić się trochę mocniejszym ruchem, ale zamarł, kiedy Cecilia wydała dźwięk świadczący o irytacji i jeszcze mocniej przywarła do jego ramienia.

No dobrze, powiedział sobie, czas już zabrać się do tego poważniej. Uniósł się i przycisnął całe ramię do materaca. Powstało w nim w ten sposób zagłębienie, dzięki czemu zdołał wysunąć ramię spod Cecilii, nie zmieniając jej pozycji.

Po uwolnieniu się zaczął odsuwać się stopniowo od śpiącej, ale udało mu się cofnąć ledwie o jakieś dwa cale. Okazało się, że to nie on w nocy przesunął się w łóżku, tylko ona. Najwyraźniej zaś niczego nie robiła połowicznie i w ten sposób Edward znalazł się niemal na samym skraju materaca.

Nie było rady, musiał wstać i rozpocząć jakoś dzień.

Dzień? Spojrzał w okno. Wyglądało to raczej na świt. Nic dziwnego, skoro poszli spać o dosyć wczesnej porze.

Spojrzał jeszcze raz na Cecilię, by się upewnić, że nadal śpi, a potem spuścił nogi z łóżka i wstał. Nie czuł się już taki słaby jak poprzedniego dnia, co było zrozumiałe. Nie jadł wprawdzie niczego poza bulionem, ale spożył solidny posiłek, gdy znaleźli się już w oberży Devil’s Head. Zdumiewające, jak bardzo może mężczyźnie pomóc trochę mięsa i ziemniaków.

Głowa też mniej mu jakby dawała się we znaki, choć coś go ostrzegało, żeby nie poruszał nią zbyt nagle i gwałtownie. Z pewnością nie dałby rady dziesięciomilowej wyprawie do Haarlemu, lecz Cecilia zgodziła się przecież na jej odłożenie. Wcale zresztą nie był przekonany, czy dowiedzieliby się tam czegoś o Thomasie, ale zabierze ją do tej infirmerii, gdy tylko w pełni wyzdrowieje. A tymczasem powinni nadal poszukiwać go tu, na miejscu.

Nie spocznie, póki obydwoje się nie przekonają, co się z nim stało. Przynajmniej tyle był winien przyjacielowi.

A także i Cecilii.

Przeszedł niewielką odległość dzielącą go od okna, nadal robiąc to powoli, i rozsunął co nieco zasłony. Nad Nowym Jorkiem wschodziło słońce, barwiąc niebo szerokimi smugami oranżu i różu. Pomyślał o swojej rodzinie w Anglii. Dla niej ten dzień już się rozpoczął. Czy jego bliscy jedzą teraz południowy posiłek? Czy jest na tyle ciepło, by można było odbyć konną przejażdżkę po rozległych ziemiach wokół Crake House? A może trwa tam jeszcze wiosna, przynosząc zimną, wietrzną pogodę?

Tęsknił za domem, za głęboką zielenią trawników i żywopłotów, za chłodnymi, mglistymi porankami. Za różanymi krzewami matki, choć nigdy nie lubił ich natrętnego zapachu. Czy wcześniej odczuwał nostalgię? Nie sądził, lecz chyba mogła zrodzić się w nim podczas tych miesięcy, które znikły z jego pamięci.

Może spowodowało to jednak coś nowego? Miał teraz żonę, a potem, jeśli Bóg da, pojawią się dzieci. Nigdy nie myślał o założeniu rodziny tutaj, w koloniach. Zawsze wyobrażał sobie siebie samego tylko w Kent, na własnych włościach, nie za daleko od pozostałych członków rodziny.

W tych niejasnych rojeniach nie było jednak konkretnej kobiety. Nigdy nie zalecał się na serio do żadnej, choć wszyscy uważali, że w końcu poślubi sąsiadkę, Billie Bridgerton. Nigdy nie starał się im tego wyperswadować, nie robiła tego również Billie, ale jako mąż i żona tworzyliby fatalną parę. Byli do siebie zbyt podobni, całkiem jak rodzeństwo, by choćby myśleć o małżeństwie.

Zaśmiał się, myśląc o niej. Jako dzieci dokazywali oboje iście po wariacku, wraz z jego bratem Andrew i siostrą Mary. Istny cud, że wszyscy dożyli wieku dorosłego bez uszczerbku na zdrowiu. Zdołał zwichnąć sobie ramię i wybił niejeden mleczny ząb przed ósmym rokiem życia. Andrew zawsze zaś potrafił się zranić tu czy tam. Tylko Mary zdawała się odporna na ciągłe zagrożenia, choć niemal na pewno nie zawdzięczała tego szczęściu, lecz o wiele większej wrażliwości.

No i oczywiście George. George nigdy nie wystawiał na próbę matczynej cierpliwości żadnymi złamaniami czy siniakami. Był jednak kilka lat starszy od nich. Miał o wiele ważniejsze rzeczy do roboty niż szaleńcze zabawy z młodszym rodzeństwem.

Czy Cecilia polubi jego rodzinę? Sądził, że chyba tak; wiedział też, że i ona by ją polubiła. Miał nadzieję, że nie będzie zbytnio tęsknić za Derbyshire, ale nie sądził, by wiele ją z nim łączyło. Thomas nie zdradzał zbytniego sentymentu względem miasteczka; Edward nie dziwiłby się, gdyby przyjaciel pozostał w armii i wydzierżawił komuś Marswell, gdy już zostanie jego właścicielem.

Oczywiście najpierw muszą go odszukać.

W głębi duszy Edward nie żywił pod tym względem optymizmu. Wobec Cecilii nadrabiał miną, ale zniknięcie Thomasa wyglądało zbyt fatalnie, aby wierzyć w szczęśliwe zakończenie.

Lecz z drugiej strony czyż w jego własnej historii nie było mnóstwa nieprawdopodobieństw i osobliwych zdarzeń? Utracił pamięć i znalazł żonę. Któż mógł zaręczyć, że Thomas będzie miał mniej szczęścia?

Ciepłe barwy nieba zaczęły blednąć i Edward zaciągnął z powrotem zasłony. Powinien się był ubrać – a raczej uporządkować swój ubiór – zanim Cecilia się zbudzi. Chyba nie będzie musiał wkładać nowych spodni, ale koszulę koniecznie należało zmienić. Kuferek stał przy szafie, Edward przeszedł więc spiesznie przez pokój i otworzył go, stwierdzając z zadowoleniem, że zawartość robi wrażenie nienaruszonej. Trzymał w nim głównie ubrania i ekwipunek, ale również kilka osobistych przedmiotów. Cienki tomik poezji, którą zawsze lubił, a także śmiesznego drewnianego królika, którego on i Andrew wspólnie wyrzeźbili kiedyś z drewna.

Uśmiechnął się pod nosem, a potem ni stąd, ni zowąd gorąco zapragnął go zobaczyć. Postanowili go wyrzeźbić po połowie, ale rezultat wypadł żałośnie. Był to chyba najbardziej niezgrabny królik na całej kuli ziemskiej. Billie oświadczyła, że gdyby króliki naprawdę tak wyglądały, mogłyby być

drapieżnikami, bo wszystkie inne zwierzęta pomdlałyby ze strachu przed nimi.

„A potem – oznajmiła z dramatyczną, jak zwykle, miną – króliki pozagryzałyby je tymi swoimi wstrętnymi ząbkami…”

Wtedy jego matka włączyła się nagle do rozmowy i położyła kres tym rozważaniom, oświadczając, że króliki są „łagodnymi stworzeniami”, a Billie może sobie…

No i właśnie dlatego Edward rzucił w nią tym królikiem, a wtedy wydała krzyk tak donośny i przenikliwy, że próbowali go potem naśladować całymi tygodniami.

Nikomu to się jednak nie udawało. Nawet Mary, a ta naprawdę umiała się drzeć. (Mając tylu braci, nauczyła się tego wcześnie.)

Edward przeglądał swoje rzeczy, szperając wśród koszul, spodni i pończoch, które nauczył się cerować. Natrafił na kanciasty brzeg królika, ale właśnie wtedy jego dłoń dotknęła małego pakietu starannie przewiązanego sznurkiem.

Zachował wszystkie przysłane z domu listy, choć nie dostał ich tyle, co Thomas. Ale ten mały plik symbolizował wszystko, co było mu drogie – matkę, z jej eleganckim pismem o dużych literach, i ojca, który nigdy nie pisał wiele, a mimo to potrafił przekazać wszystko, co czuł. Tylko jeden list napisał Andrew. Edward uważał, że trzeba mu to wybaczyć: młodszy brat służył w marynarce, a choć inne listy też z trudem docierały do Nowego Jorku, jeszcze trudniej było wysłać je z tych miejsc, gdzie nadawał je Andrew.

Z nostalgicznym uśmiechem grzebał nadal w pakiecie. Billie była okropną korespondentką, ale zdobyła się na kilka liścików. Mary, jego siostra, radziła sobie dużo lepiej, załączyła też do swoich listów kilka nagryzmolonych przez Nicholasa, najmłodszego z braci, którego Edward ledwie znał, do czego się z przykrością przyznawał. Dzieliła ich bardzo

duża różnica wieku, a obaj wiedli tak ruchliwe życie, że prawie nigdy nie znajdowali się jednocześnie w tym samym miejscu.

A na samym spodzie, między dwoma listami matki, Edward wyszukał najcenniejszą rzecz w swojej kolekcji.

List od Cecilii.

Nigdy nie napisała bezpośrednio do niego; obydwoje wiedzieli, że byłoby to wysoce niestosowne. Umieszczała jednak przeznaczone dla niego dopiski na końcu listów do brata, a Edward nawykł do wyczekiwania na nie z tak ukrywaną tęsknotą, że nigdy by się do niej nie przyznał przed samym sobą.

Thomas mówił wtedy: „Och, nadszedł list od mojej siostry", a Edward nie patrzył nawet na przesyłkę i odpowiadał: „To bardzo miłe, mam nadzieję, że dobrze się miewa". Tylko że serce biło mu wówczas trochę mocniej i czuł jakiś ucisk w piersi, a gdy Thomas od niechcenia przeglądał to, co napisała, Edward śledził go kątem oka, usiłując nie krzyknąć na głos: „No przeczytaj wreszcie ten przeklęty dopisek przeznaczony dla mnie!"

Nie, nigdy by się nie ośmielił przyznać, jak bardzo wyczekiwał listów od Cecilii.

Pewnego dnia, kiedy Thomasa nie było, a on odpoczywał w pokoju, który dzielili, przyłapał się na tym, że o niej myśli. Myślał o siostrze najlepszego przyjaciela dużo częściej, niż można by się spodziewać, choć nigdy się nie spotkali. Ale ponad miesiąc po jej ostatnim liście – strasznie mu się ten czas dłużył – Edward zaczął się o nią niepokoić, choć wiedział, że zwłokę niemal z pewnością spowodowały morskie wiatry i prądy. Poczta płynąca przez ocean nie była niezawodna.

Gdy leżał już wówczas w łóżku, zdał sobie sprawę, że nie może sobie dokładnie przypomnieć, co napisała w tym właśnie liście i z jakiegoś powodu bardzo mu to doskwierało. Czy opisała pewnego małomiasteczkowego plotkarza jako aroganckiego, czy też jako natrętnego? Nie pamiętał tego epitetu, a był on ważny. Zmieniał całe znaczenie i…

I nim sobie zdał sprawę, co robi, zaczął gmerać w rzeczach Thomasa, szukając listów Cecilii, żeby tylko móc przeczytać na nowo cztery zdania przeznaczone dla niego.

Dopiero potem zrozumiał, że głęboko naruszył prywatność przyjaciela.

Że zachował się fatalnie, z czego zdawał sobie potem sprawę przez cały czas.

Nie mógł się już jednak powstrzymać i po kryjomu czytywał listy Cecilii podczas nieobecności Thomasa. Był to jego haniebny, skrywany sekret, a gdy się dowiedział, że go wysyłają do Connecticut, postanowił ukradkiem zabrać ze sobą jej listy, ograniczając się tylko do takich, gdzie ostatnia kartka niemal w całości przeznaczona była dla niego. Thomas straciłby w ten sposób niewiele słów siostry, a Edward zyskałby…

Ano cóż, sądził, że zyskałby trochę spokojnego ducha. Może też trochę nadziei.

W końcu wziął tylko jeden z jej listów. Wolał zostawić resztę bezpiecznie w kuferku. Wydawało mu się to rozważnym planem. W szpitalu powiedziano mu, że nie miał ze sobą żadnych papierów ani w ogóle niczego, kiedy znaleziono go w Kip’s Bay. Bóg jeden wie, gdzie teraz był list Cecilii. Pewnie na dnie jeziora. Albo może posłużył komuś za podpałkę. Edward miał nadzieję, że znajdzie go jakiś wścibski ptak i użyje do budowy gniazda.

Uznał, że Cecilii by się to spodobało.

Jemu także. Niemal przestał się martwić stratą.

Sądził, że zapewni listowi bezpieczeństwo, trzymając go stale w kieszeni płaszcza. Dziwne, że…

Znieruchomiał. Akurat to zdołał sobie przypomnieć po odzyskaniu przytomności. Nic z tego, co robił czy mówił, tylko to jedno: że miał wtedy list od żony w kieszeni płaszcza.

Ale czy była już wówczas jego żoną? Kiedy właściwie zawarli małżeństwo? Pytał ją o to poprzedniego dnia, lecz poniechali tego tematu, a

potem – co już było wyłącznie jego winą – poprosił, żeby go pocałowała.

Jeśli nie otrzymał odpowiedzi, mógł winić wyłącznie samego siebie.

Tylko że list, który teraz trzymał w ręce, był najcenniejszy ze wszystkich. Po raz pierwszy zwróciła się w nim bezpośrednio do niego. Nie chodziło wcale o coś bardzo osobistego; instynktownie wiedziała, że najgoręcej ze wszystkiego potrzebował normalności. Zapełniła stronę przyziemnymi, pospolitymi szczegółami, pełnymi ironicznego dystansu.

Spojrzał przez ramię, chcąc się upewnić, że ona nadal śpi, a potem ostrożnie rozłożył list.

Drogi kapitanie Rokesby,

Pana opis polnych kwiatów w koloniach kazał mi zatęsknić za wiosną, lecz w Derbyshire przegrała ona zaciekłą walkę z zimą. Nie, mijam się z prawdą: walka nie była wcale zaciekła. Zima zdusiła wiosnę jak nędznego robaczka. Nie mogliśmy nawet cieszyć się świeżym, sypkim śniegiem. To, na co niecierpliwie oczekiwaliśmy, stało się potem brudnym, obrzydliwym błockiem i boję się, że zniszczyłam przez tę pogodę aż dwa buty. Lewy pantofel i prawy trzewik. Moja oszczędna duszyczka pragnęłaby, żebym z dwóch pozostałych złożyła jedną parę, lecz obawiam się, że rezultat nie wyglądałby najlepiej, nie mówiąc już o trudnościach w utrzymaniu równowagi. Obcas mojego trzewika jest o cały cal wyższy niż obcas pantofla i z pewnością potykałabym się o wszystko lub spadła ze schodów, a może nawet wybiłabym okno. Niech Pan spyta Thomasa, co się stało, kiedy zawadziłam nogą o dywanik w naszym salonie. Skończyło się to istną lawiną chorób.

Proszę dbać o bezpieczeństwo swoje i Thomasa, a ja błagam go o to samo. Będę często o Panu myślała i modliła się za Pana.

Pańska przyjaciółka Cecilia Harcourt.

Edward wpatrywał się w elegancki charakter pisma przez kilka sekund, kiedy już wszystko przeczytał. Przesunął lekko palcem po zawijasach przy

podpisie. Napisała „pańska przyjaciółka”. Naprawdę się nią stała, zanim ją jeszcze poznał.

Jego przyjaciółka.

A teraz jego żona.

Usłyszał za sobą dźwięki świadczące wyraźnie, że Cecilia się budzi. Pospiesznie złożył list i wsunął go między te od rodziny.

Usłyszał, że Cecilia mówi:

– Edwardzie…

Głos miała jeszcze senny, jakby w każdej chwili mógł zmienić się nieoczekiwanie w ziewnięcie.

– Dzień dobry – powiedział, odwracając się.

– Co czytałeś?

Poklepał się dłonią po udzie.

– List z domu.

– Aha. – Milczała przez chwilę, a potem powiedziała łagodnie: – Musisz ogromnie tęsknić za rodziną.

– Owszem… – odparł i w tejże chwili poczuł się znowu niedoświadczonym młodzieńcem naprzeciw pięknej dziewczyny – takiej, do której nikt nie miał odwagi się odezwać. Wrażenie komiczne i zarazem nonsensowne. Był dorosłym mężczyzną, a Cecilia nie przypominała kobiety, której widok odebrał mu mowę przed dziesięciu laty. Czuł się jednak tak, jakby został przyłapany na czymś żenującym.

Jeśli ona odkryje, że skradł jej list…

Czuł się upokorzony na samą myśl o tym.

– Czy coś jest nie w porządku? – spytała.

– Nie, nie, skądże. – Schował cały plik listów do kuferka. – Tylko… widzisz… myślałem o domu.

Skinęła głową i usiadła na łóżku, otulając się dokładnie kołdrą.

– Nie przeglądałem ich od… auuu! – krzyknął i zaklął kilkakrotnie, bo uderzył się w wielki palec od nogi kantem kuferka. Tak gorliwie chciał

ukryć dowód swojej niemądrej tęsknoty, że nie zważał, w którą stronę stawia stopę.

– Czy nic ci się nie stało? – spytała, szczerze zaskoczona jego reakcją.

Edward zaklął jeszcze raz, a potem natychmiast ją przeprosił. Od bardzo dawna nie znajdował się w obecności damy i jego maniery na tym straciły.

– Nie przepraszaj – powiedziała. – Nie ma nic gorszego od urażenia się w wielki palc. Pewnie klęłabym tak samo, gdyby mnie to spotkało.

– Billie właśnie tak zrobiła.

– Kto taki?

– Och, przepraszam. Billie Bridgerton. Moja sąsiadka.

A więc wciąż o niej myślał. Pewnie dlatego, że przeglądał listy z domu.

– Ach, pamiętam, że wspominałeś o niej w listach.

– Naprawdę? – spytał z roztargnieniem. Byli z Billie najlepszymi przyjaciółmi – co prawda dorastali razem. Chyba nie istniała nigdzie większa chłopczyca, a Edward nie był nawet pewien, czy ona jest naprawdę dziewczynką, póki nie skończył ośmiu lat.

Zaśmiał się, przypominając sobie o tym.

Cecilia odwróciła wzrok.

– Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego miałbym coś o niej do ciebie napisać.

– Nie ty. Thomas to zrobił.

– Thomas? – Wydało mu się to dziwne.

Wzruszyła obojętnie ramionami.

– Musiałeś z nim mówić o niej.

– Może i tak. – Sięgnął ponownie do kuferka, żeby wyjąć z niego czystą koszulę. Z tego powodu otworzył przecież przeklęty sprzęt. – Pozwolisz, że ją włożę – powiedział, ściągając koszulę przez głowę i wkładając świeżą.

– Och! – zawołała Cecilia. – Masz bliznę!

Spojrzał na nią przez ramię.

– Co takiego?

– Masz bliznę na plecach. Przedtem wcale jej nie zauważyłam. – Zmarszczyła brwi. – Zapewne nie mogłabym jej dostrzec. Bo kiedy cię pielęgnowałam, nigdy… No, nieważne. – Po chwili jednak zapytała: – Skąd się wzięła?

Wskazał na swoją lewą łopatkę.

– Czy o to ci chodzi?

– Tak.

– Spadłem z drzewa.

– Ostatnio?

Spojrzał na nią z pogardą.

– Kiedy miałem dziewięć lat.

Najwyraźniej ją to zaciekawiło. Zmieniła pozycję, siadając po turecku pod kołdrą.

– Jak do tego doszło?

– Spadłem z drzewa i tyle.

Jęknęła.

– Z pewnością było to coś innego!

– Bynajmniej – odpowiedział, wzruszając ramionami. – Prawie dwa lata kłamałem, że brat mnie popchnął, ale prawdę mówiąc, straciłem po prostu równowagę. No i uderzyłem o konar, kiedy leciałem w dół. Zdarł mi skórę przez koszulę.

Zaśmiała się.

– Musiałeś być utrapieniem dla swojej matki.

– I dla niej, i dla tego, kto zszywał koszulę. Choć myślę, że nie nadawała się już do naprawy.

– Lepiej, że chodziło o koszulę, a nie o ramię czy nogę.

– Och, i jedno, i drugie też ucierpiało.

– Dobry Boże!

Uśmiechnął się szeroko.

– A Billie złamała sobie obydwie ręce.

Oczy Cecilii niemal wyszły z orbit.

– W tym samym czasie?

– Na szczęście nie, ale Andrew i ja bawiliśmy się świetnie, wyobrażając sobie, co by to było, gdyby do tego doszło. Kiedy złamała drugą, obydwaj zawiesiliśmy jej tę zdrową na temblaku, po prostu żeby się przekonać, jak sobie z tym poradzi.

– Pozwoliła wam na to?

– Sama nas namówiła.

– Jest chyba dość szczególną osobą – powiedziała powściągliwie Cecilia.

– Billie? – Kiwnął głową na znak, że się zgadza. – Niepodobna do nikogo, niewątpliwie.

Cecilia spojrzała na łóżko, podciągając z wolna kołdrę.

– Co ona teraz robi? – spytała.

– Nie mam pojęcia – powiedział ze smutkiem. Bolała go rozłąka z bliskimi. Nie miał od nich żadnych wieści przez ponad cztery miesiące. Może sądzili, że już nie żyje.

– Przepraszam – powiedziała Cecilia. – Nie powinnam była pytać. Nie zastanowiłam się wcześniej.

– Nie szkodzi – odparł. Z pewnością nie było w tym jej winy. – Choć ciekaw jestem, czy nie nadeszły jakieś listy podczas mojej nieobecności. Możliwe, że rodzina pisała do mnie, zanim otrzymała wiadomość, że zaginąłem.

– Nie wiem. Ale z pewnością możemy się dowiedzieć.

Edward obciągnął mankiety – najpierw lewy, a potem prawy.

– Czy pisywali do ciebie często? – spytała z uśmiechem, który wyglądał na wymuszony. – A może po prostu się zmęczyła?

– Moja rodzina?

Przytaknęła.

– No i twoi przyjaciele.

– Nikt z nich nie pisał tak często jak ty do Thomasa – powiedział ze smutkiem. – Zawsze byłem o to zazdrosny. Wszyscy inni zresztą też.

– Naprawdę? – Tym razem jej uśmiech był szczery.

– Naprawdę – potwierdził. – Thomas otrzymywał więcej listów niż ja, a przecież pisywałaś do niego tylko ty.

– Niemożliwe.

– Zapewniam cię, że tak. No, może inaczej było z moją matką – przyznał. – Jakie to jednak smutne.

Zaśmiała się.

– Co masz na myśli?

– Matki powinny przecież pisywać do synów, prawda? Ale rodzeństwo i przyjaciele… nie muszą się już tak starać.

– Ojciec nigdy nie napisał do Thomasa – powiedziała Cecilia. – Czasami prosił mnie, żebym przekazała mu pozdrowienia, i tylko tyle. – Nie wydawała się przygnębiona. Może się z tym pogodziła? Przypomniał sobie nagle, jak przyjaciel od niechcenia strugał sobie z drewna laskę na jednym z ich wspólnych obozowisk. Thomas często wygłaszał aforyzmy, a jeden z jego ulubionych brzmiał: „Zmieniaj, co możesz, i pogódź się z tym, czego zmienić nie możesz”.

Całkiem dobrze pasowało to do jego siostry.

Przyglądał się jej uważnie przez chwilę. Była kobietą o wyjątkowej sile ducha, obdarzoną urokiem osobistym. Ciekaw był, czy zdawała sobie z tego sprawę.

Znów zaczął obciągać mankiety, choć leżały już całkiem dobrze, bo zanadto go korciło, żeby się jej przypatrywać. Może byłaby zakłopotana, gdyby to zauważyła, a on zapewne jeszcze bardziej. Chciał jednak patrzeć na nią. Chciał zyskać o niej wiedzę, poznać wszystkie jej sekrety, pragnienia, historyjki tyczące codzienności i drobne fragmenty z jej przeszłości, które niczym poszczególne części łamigłówki składały się na nią.

Jakże dziwne było to pragnienie pełnego poznania innej osoby. Nie przypominał sobie, by wcześniej miał kiedykolwiek ochotę zrobić coś takiego.

– Opowiadałem ci o swoim dzieciństwie – powiedział. Sięgnął do kuferka po czysty halsztuk i zaczął go wiązać na szyi. – Opowiedz mi teraz ty o twoim.

– A co chciałbyś wiedzieć? – spytała. Wydawała się zaskoczona, a nawet nieco rozbawiona.

– Czy lubiłaś dokazywać na dworze?

– Nie złamałam żadnej z rąk, jeśli o to pytasz.

– Nie o to, ale cieszy mnie, że nic ci się nie stało.

– Nie wszystkie możemy być jak Billie – zażartowała.

Zdumiał się i spytał, pewien, że się przesłyszał:

– Coś ty powiedziała?

– Nic takiego – odparła i pokręciła lekko głową, co oznaczało, że nie warto więcej o tym mówić. – Wyraziłam się niemądrze. Nie, nie dokazywałam na dworze. W każdym razie nie tak bardzo, jak ty. Wolałam siedzieć sobie w domu i czytać.

– Poezję? Prozę?

– Wszystko, co mi wpadło w ręce. Thomas lubił mnie nazywać molem książkowym.

– Już raczej pożeraczką książek.

Zaśmiała się.

– Czemu tak powiedziałeś?

– Masz w sobie o wiele za dużo siły ducha, żeby być jakimś tam molem.

Przewróciła oczami, nieco zażenowana, ale może też trochę dumna.

– Z pewnością nikt prócz ciebie nie uważał mnie nigdy za osobę pełną siły ducha.

– Przepłynęłaś ocean, żeby ratować brata. Uważam, że to właśnie dowód prawdziwej siły ducha.

– Być może – powiedziała, ale bez entuzjazmu.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Czemu nagle posmutniałaś?

– No, bo… – zastanawiała się przez chwilę, a potem westchnęła. – Kiedy jechałam do Liverpoolu, gdyż właśnie tam wsiadłam na statek, nie byłam pewna, czy popycha mnie do działania akurat to, że kochałam Thomasa.

Edward podszedł do łóżka i usiadł na jego brzegu, jakby chciał zaofiarować jej wsparcie, choć bez słów.

– Sądziłam… sądziłam, że robię to z desperacji. – Zwróciła twarz ku niemu, a Edward wiedział, że zapamięta na zawsze jej spojrzenie. Nie było w nim smutku ani strachu, tylko coś dużo gorszego, rezygnacja; jakby zajrzała w głąb siebie samej i znalazła tam pustkę. – Czułam się bardzo samotna – przyznała. – A także zraniona. Nie wiem, czy…

Nie skończyła zdania. Edward nadal nic nie mówił, jakby dzięki milczeniu chciał dodać jej odwagi.

– Nie wiem, czy wybrałabym się tutaj, gdybym nie czuła się taka samotna – dokończyła. – Wolałabym sądzić, że myślałam tylko o Thomasie i o tym, jak bardzo potrzeba mu mojej pomocy, ale nie jestem pewna, czy nie wyruszyłam w tę podróż bardziej ze względu na samą siebie.

– Nie ma w tym niczego nagannego.

Podniosła na niego wzrok.

– Naprawdę?

– Nie ma – potwierdził skwapliwie, ujmując ją za obie dłonie. – Jesteś dzielna i masz szczere, wspaniałe serce. Nie należy się wstydzić lęku i zmartwień.

Nie spojrzała mu jednak w oczy.

– Nie będziesz również osamotniona – zapewnił ją. – Przyrzekam ci. Nigdy więcej.

Czekał, żeby odezwała się i potwierdziła jego słowa, ale nie zrobiła tego. Widział, że stara się odzyskać panowanie nad sobą. Oddech jej z wolna

stawał się spokojniejszy, wysunęła też delikatnie jedną dłoń z jego uścisku, chcąc otrzeć zwilgotniałe oczy.

A potem powiedziała:

– Chciałabym się ubrać.

Najwyraźniej pragnęła dać mu do zrozumienia, że powinien teraz ją zostawić.

– Oczywiście – odparł, usiłując zignorować gwałtowne rozczarowanie.

Kiwnęła głową i podziękowała mu cicho, gdy wstał, zmierzając ku drzwiom.

– Edwardzie! – zawołała nagle.

Zawrócił, czując przypływ gwałtownej nadziei.

– Twoje buty! – upomniała go.

Spojrzał w dół. Wciąż miał na nogach tylko pończochy. Skłonił się przed nią – choć nie mógł w żaden sposób ukryć tego, że kark mu poczerwieniał – i chwycił je kurczowo, nim wyszedł na korytarz.

W końcu mógł te przeklęte buty włożyć nawet na schodach.

10

Życie bez gwałtownych zdarzeń to brzmi w tej chwili wspaniale. Coraz bliżej jest do naszego odpłynięcia, a ja nie cieszę się zbytnio na tę podróż. Czy wiesz, że trzeba co najmniej pięciu tygodni, żeby dotrzeć do Ameryki Północnej? Mówiono mi, że krócej trwa powrót, bo wiatry wieją głównie z zachodu na wschód, co przyspiesza rejs statku. Niewielka to jednak pociecha, bo nie podano nam wcale przewidywanej daty powrotu.

Edward kazał przekazać ci pozdrowienia, ale nie pozwolił wspomnieć, że bardzo źle znosi żeglowanie.

Z listu Thomasa Harcourta do siostry Cecilii

Kiedy Cecilia znalazła Edwarda w głównej sali oberży, jadł właśnie śniadanie. A także miał na nogach buty.

– Och, nie wstawaj – powiedziała, kiedy odsunął krzesło, żeby to zrobić. – Bardzo cię proszę.

Znieruchomiał na parę sekund, a potem skinął głową. Zrozumiała, że musiał przez nią zrezygnować ze swoich manier dżentelmena. Ale był chory. Zdrowiał, lecz wciąż był chory. Z pewnością miał prawo oszczędzać jak najbardziej swoje siły.

Powinna też była upewnić się, czy on tak robi. Mógł nie zdawać sobie sprawy, że to jej obowiązek, ale ona wiedziała o tym dobrze. Czerpała korzyści z jego szlachetnego charakteru i dobrego imienia. Musiała więc przynajmniej dbać o to, by wrócił do zdrowia.

Siadła naprzeciw niego i z zadowoleniem stwierdziła, że zjadł więcej niż poprzedniego dnia.

Z pewnością wciąż jeszcze był osłabiony, nie tyle wskutek rany, ile z tego powodu, że nic nie jadł przez cały tydzień.

Celem, jaki sobie wytyczyła tego dnia, było upewnienie się, czy Edward je tyle, ile trzeba.

Z pewnością był to cel łatwiejszy do osiągnięcia niż ten z dnia poprzedniego: żeby przestała tak strasznie kłamać.

– Czy ci smakuje? – spytała uprzejmie. Nie znała go na tyle dobrze, by wyczuć, w jakim jest nastroju, ale opuścił ich pokój z tak dziwnym pośpiechem, że nawet nie włożył butów. Prawda, powiedziała mu, że chciała się ubrać – co jak sądziła, wystarczająco dawało do zrozumienia, że potrzebuje prywatności – choć nie było to z pewnością nierozsądne żądanie.

Odłożył przeglądaną przez siebie gazetę, podsuwając jej talerz z jajkami i bekonem, a potem powiedział:

– Całkiem dobre jedzenie, dziękuję.

– Czy będzie herbata? – spytała z nadzieją.

– Obawiam się, że nie tego ranka. Ale – i wskazał ruchem głowy jakąś kartkę koło swojego talerza – otrzymaliśmy zaproszenie.

Cecilia dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, czym mogło być to proste stwierdzenie.

– Zaproszenie? – powtórzyła. – Do kogo jesteśmy zaproszeni?

A jeszcze istotniejsze było, kto je przysłał? Jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli, że oni są małżeństwem, było kilku oficerów, lekarz i człowiek zamiatający posadzkę w kościele służącym za szpital.

Lub raczej tylko ci ludzie sądzili, że o tym wiedzą.

Usiłowała się uśmiechnąć. Sieć jej kłamstw powikłała się od tej chwili jeszcze bardziej.

– Źle się czujesz? – spytał Edward.

– Nie – odparła trochę za prędko. – Nic mi nie jest. Dlaczego pytasz?

– Bo masz bardzo dziwny wyraz twarzy – wyjaśnił.

Odchrząknęła.

– Pewnie dlatego, że jestem trochę głodna. – O Boże, jaką straszliwą była kłamczuchą.

– Zaprasza nas gubernator Tryon – powiedział Edward i pchnął ku niej karteluszek przez stół. – Wydaje bal.

– Bal? Teraz? – Cecilia pokręciła głową ze zdumieniem. Kobieta w piekarni mówiła, że w Nowym Jorku wciąż kwitnie życie towarzyskie, było to jednak dziwne, skoro działania wojenne toczyły się tak blisko stąd.

– Jego córka kończy osiemnaście lat. Jak mi mówiono, gubernator nie chce, żeby ta okazja przeszła bez echa.

Cecilia wzięła do ręki karteczkę z welinu. O Boże, skąd ktoś wziął taki papier w Nowym Jorku? W końcu zdołała przeczytać, co na nim napisano. Rzeczywiście, kapitan Rokesby z żoną byli zaproszeni na tę uroczystość, która miała się odbyć za trzy dni.

Powiedziała to, co jej od razu przyszło do głowy.

– Nie mam się w co ubrać.

Edward wzruszył ramionami.

– Znajdziemy ci coś.

Przewróciła oczami. Co z niego za człowiek!

– W ciągu trzech dni?

– Nie brak tu szwaczek pragnących sobie dorobić.

– Tylko że ja nie mam pieniędzy.

Spojrzał na nią tak, jakby powiedziała coś niewiarygodnie głupiego.

– Ale ja je mam. A tym samym masz je i ty.

Cecilia nie mogła się z nim spierać, niezależnie od tego, jak strasznie wydała się sobie wyrachowana. A więc wyjąkała jedynie:

– Nie sądzisz, że mogli nas o tym powiadomić wcześniej?

Edward zamyślił się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że zaproszenie wystosowano już jakiś czas temu. A ja dopiero niedawno wróciłem z misji.

– Oczywiście – powiedziała pospiesznie. Och, Boże, cóż miała począć? Nie mogła pójść na bal wydawany przez królewskiego gubernatora Nowego Jorku. Mogła się wyplątać ze swojej fatalnej sytuacji tylko pod warunkiem, że ani jedna osoba się o niej nie dowie.

Przygryzła mocno wewnętrzną stronę policzka. Ani jedna osoba. A tu chodziło o gubernatora, jego żonę i inne czołowe osobistości lojalistów w tym mieście.

Które mogły w końcu wrócić do Anglii.

Gdzie mogły się spotkać z rodziną Edwarda.

I spytać o jego żonę.

Dobry Boże.

– Co ci jest? – spytał Edward. – Nad czymś się zastanawiasz?

– Czyżby? – Zdumiało ją szczerze, że nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Nie dał jej twierdzącej odpowiedzi, ale jego mina mówiła wyraźnie: „Ależ tak”.

Cecilia powiodła palcem po elegancko wypisanym tekście.

– Nie dziwi cię, że zaproszono również i mnie?

Machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Co też ty wygadujesz?”

– Jesteś moją żoną.

– Tak, ale skąd gubernator mógł o tym wiedzieć?

Edward odkroił kawałeczek bekonu.

– Spodziewam się, że wie od miesięcy.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

On też spojrzał na nią.

– Czy z jakiegoś powodu miałbym im nie mówić, że jesteśmy małżeństwem?

– To ty znasz gubernatora? – spytała, pragnąc, żeby głos się jej nie załamał.

Włożył kawałek bekonu do ust i żuł go przez pewien czas, nim odpowiedział:

– Moja matka przyjaźni się z jego żoną.

– Twoja matka… – powtórzyła w osłupieniu.

– Poznały się chyba w Londynie – wyjaśnił. Zamilkł na chwilę. – Była bardzo bogatą dziedziczką.

– Twoja matka?

– Pani Tryon.

– Aha.

– Moja matka też nią była, oczywiście, ale nie tak bardzo, jak ciotka Margaret.

Cecilia zdrętwiała.

– Ciotka… Margaret?

Znów machnął lekceważąco ręką, całkiem jakby mogło ją to uspokoić.

– Ona jest moją matką chrzestną.

Cecilia zdała sobie sprawę, że od kilku sekund trzyma bez ruchu dużą łyżkę z jedzeniem. Ręka jej osłabła i kawałki jajek spadły na talerz.

– Żona gubernatora jest twoją chrzestną matką?

Potwierdził to.

– A także mojej siostry. Oczywiście to nie rodzona ciotka, ale nazywamy ją w ten sposób, odkąd sięgnę pamięcią.

Cecilia poruszyła nieznacznie głową, jakby miało to być potwierdzającym skinieniem, a choć czuła, że ma szeroko otwarte usta, nie próbowała ich nawet zamknąć.

– Czy coś jest nie w porządku? – spytał. Był doprawdy bardzo niedomyślny.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby sklecić jakąś odpowiedź.

– Nie pomyślałeś o tym, żeby mi powiedzieć, że twoja matka chrzestna jest żoną królewskiego gubernatora Nowego Jorku?

– Jakoś nie było okazji.

Cecilia opadła na krzesło. Z każdą sekundą sieć kłamstw oplątywała ją coraz mocniej. Jednego była pewna: nie może pójść na ten bal i spotkać się tam z jego matką chrzestną. Matki chrzestne sporo wiedzą. Pani Tryon mogła na przykład wiedzieć, że Edward jest „prawie” zaręczony – i to nie z Cecilią.

Mogła nawet znać tę narzeczoną. No i z pewnością chciałaby wiedzieć, dlaczego Edward zrezygnował z wżenienia się w rodzinę Bridgertonów, żeby poślubić takie zero, jak Cecilię.

– Gubernator – powtórzyła, ledwie powstrzymując chęć chwycenia się za głowę.

– Gubernator jest tylko zwykłym człowiekiem.

– Czy tak mówi syn hrabiego?

– Co za okropna snobka z ciebie – powiedział i zaśmiał się łagodnie.

Zgorszyła się. Nie była idealna, a w ostatnich dniach stała się nawet nieuczciwa, ale snobizmu nie można jej było zarzucić.

– Co przez to rozumiesz?

– Zbyt wysoko cenisz jego pozycję – odparł, ciągle się uśmiechając.

– Nie! Jest całkiem odwrotnie. Nisko cenię własną.

Dołożył sobie jedzenia.

– Nie bądź niemądra.

– Jestem nikim.

– Ależ to – powiedział stanowczym tonem – zupełna nieprawda.

– Edwardzie…

– Jesteś moją żoną.

Właśnie to było zupełną nieprawdą. Cecilia musiała zatkać sobie usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Albo płaczem.

Albo i jednym, i drugim.

– Nawet gdybyśmy nie byli małżeństwem, chętnie by cię widziano jako gościa na tym balu.

– Skoro gubernator nie ma pojęcia o moim istnieniu, nie zostałabym zaproszona na ten bal.

– Spodziewam się, że wiedziałby, kim jesteś. Ma świetną pamięć do nazwisk, a ja wiem na pewno jedno: Thomas wspomniał, że ma siostrę.

Cecilia omal nie zadławiła się jajkiem.

– Czy Thomas poznał gubernatora?

– Kilkakrotnie był u niego na obiedzie. Razem ze mną – odparł Edward z miejsca.

– No, oczywiście – powiedziała. – Oczywiście.

Musiała temu położyć kres. Kłamstwo wymknęło się spod kontroli i wciąż rosło. To było… to było…

– W gruncie rzeczy mógłby nam pomóc.

– W czym?

– Nie wiem, czemu nie pomyślałem o tym wcześniej. – Podniósł wzrok znad talerza, a brwi złączyły się w jedną linię nad jego błękitnymi oczami. – Powinniśmy zwrócić się do gubernatora Tryona o pomoc w odszukaniu Thomasa.

– Czy sądzisz, że będzie coś wiedział?

– Prawie na pewno nie, ale za to wie, jak wywierać presję na właściwych ludzi.

Cecilia usiłowała powstrzymać łzy. Znowu to samo. Prosta prawda, od której nie mogła uciec. Kiedy w grę wchodziło odnalezienie jej brata, liczyło się tylko jedno: należało znać właściwych ludzi.

Zgnębienie musiało się wyraźnie uwidocznić na jej twarzy, bo Edward poklepał ją uspokajająco po ręce.

– Nie powinnaś się tam czuć nieswojo. Jesteś córką szlachcica, a teraz również synową hrabiego Manstona. Masz wszelkie prawo pójść na ten bal.

– Nie o to mi chodzi – odparła, choć w rzeczywistości było inaczej. Nie miała doświadczenia w przestawaniu z dostojnikami wysokiej rangi. Podobnie jak w przestawaniu z synami hrabiowskimi, choć tak się złożyło, że wyszła rzekomo za jednego z nich.

– Czy umiesz tańczyć? – spytał Edward.

– Oczywiście, że umiem! – niemal parsknęła.

– No to sobie świetnie dasz radę.

Spojrzała na niego ze złością.

– Nie masz o niczym pojęcia.

Edward wyprostował się w krześle i wydął lewy policzek, jakby wsunął pod niego język. Zdała sobie sprawę, że zrobił tak ze zbytniego zakłopotania. Nie była jednak całkiem pewna, co by to mogło znaczyć.

– O wielu rzeczach nie mam pojęcia – powiedział spokojnie, choć wcale spokoju nie czuł – na przykład o tym, co się ze mną działo przez ostatnie trzy miesiące. Dlaczego miałem w czaszce dziurę wielkości ptasiego jajka. No i jak się z tobą ożeniłem.

Cecilia wstrzymała dech.

– Wiem jednak z pewnością – ciągnął – że sprawiłoby mi wielką przyjemność kupienie ci ładnej sukni i pójście na wesołą zabawę razem z tobą. – Pochylił się ku niej, a w jego oczach błysnęło dziwne, niezrozumiałe okrucieństwo. – Czy masz pojęcie, jak bardzo pragnę czegoś całkowicie nieszkodliwego i normalnego?

Cecilia milczała.

– Myślę, że nie masz pojęcia – mruknął – pozwól więc, żebym ci kupił tę suknię.

Kiwnęła głową. Cóż mogła zrobić innego?

Okazało się jednak, że nie tak łatwo zapewnić kobiecie posiadanie odpowiedniej sukni wieczorowej w ciągu trzech dni. Szwaczka o mało się nie rozpłakała, słysząc, ile pieniędzy Edward chce na to wydać. Nie była w stanie uszyć jej na czas, wyznała mu ze łzami w oczach. Musiałaby mieć jeszcze ze cztery pary rąk do pomocy.

– Czy może pani zdjąć z niej miarę? – spytał Edward.

– Po co? – spytała z rozpaczą Cecilia.

– Żeby spełnić moją zachciankę – powiedział, po czym odprowadził ją do oberży, sam zaś wybrał się z wizytą do matki chrzestnej. Zawsze lubiła ładne suknie, zarówno gdy chodziło o nią, jak i o córkę; był też zupełnie pewien, że zdoła namówić ją do podzielenia się nimi z kimś.

Gubernator i pani Tryon mieszkali razem z córką na skraju miasta w domu, który wynajęli. Musieli to zrobić, bo w 1773 roku pałac gubernatora doszczętnie spłonął. Edwarda nie było wówczas w Nowym Jorku, ale dowiedział się wszystkiego o tym zdarzeniu od swojej matki, ona zaś od Margaret Tryon. Stracili wszystko, co posiadali, a niewiele brakowało, by również i córkę. Młodsza Margaret – powszechnie zwana May, dla odróżnienia od matki – przeżyła jedynie dzięki przytomności umysłu guwernantki, która wyrzuciła ją z okna drugiego piętra w śnieżną zaspę.

Edward zaczerpnął energicznie tchu, gdy kamerdyner wprowadził go do holu. Powinien był zachować przytomność umysłu. Margaret Tryon wcale nie była głupia, a on nie próbował nawet udawać, że jest w dobrym zdrowiu. Istotnie, gdy tylko wszedł do salonu, z miejsca powiedziała:

– Wyglądasz okropnie.

– Ciotko Margaret, jesteś jak zawsze szczera – odparł.

Wzruszyła jednym ramieniem, jak zawsze; nabrała tego zwyczaju, co stale mu powtarzała, przebywając wśród Francuzów – choć wcale nie był pewien, czy w ogóle kiedykolwiek miało to miejsce – a potem podsunęła mu policzek do pocałowania, co też posłusznie zrobił.

Cofnęła się, taksując go przenikliwym spojrzeniem.

– Byłabym niewarta szacunku jako twoja matka chrzestna, gdybym nie dostrzegła, że twarz ci poszarzała, masz zapadnięte oczy i straciłeś sporo na wadze.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby to przetrawić, a potem powiedział:

– Wyglądasz ślicznie.

Ucieszyła się z tego.

– Zawsze byłeś czarującym chłopcem.

Edward wolał nie dawać jej do zrozumienia, że wkroczył już w trzecią dekadę życia. Pewien był, że matkom chrzestnym wolno uważać swoich chrześniaków za chłopców i dziewczęta aż do grobowej deski.

Margaret zadzwoniła, żeby przyniesiono im herbatę, a potem spojrzała na niego gniewnie i rzekła:

– Strasznie jestem na ciebie zła.

Uniósł brwi i siadł na krześle naprzeciw niej.

– Czekałam na twoją wizytę. Wróciłeś do Nowego Jorku ponad tydzień temu, prawda?

– Przez osiem dni leżałem prawie bez przytomności – odparł nieco zaskoczony.

– Ach, tak? – Zacisnęła wargi, usiłując nie okazywać poruszenia. – Nie wiedziałam.

– Pewnie dlatego wyglądam tak strasznie, jak byłaś łaskawa to ująć.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

– W liście do twojej mamy nie będę szczegółowo opisywać twego wyglądu. A przynajmniej nie zrobię tego zbyt dokładnie.

– Doceniam to – odparł szczerze.

– W porządku – stwierdziła. Zabębniła palcami po poręczy fotela. Robiła tak, kiedy nie potrafiła poradzić sobie z własnymi emocjami. – Jak się teraz czujesz?

– Lepiej niż wczoraj. – Przypuszczał, że powinien być za to wdzięczny losowi.

Jego matce chrzestnej nie spodobała się jednak ta odpowiedź.

– To może znaczyć cokolwiek.

Edward zastanowił się nad stanem swojego zdrowia. Tępy ból w głowie towarzyszył mu tak niezmiennie, że niemal go już nie zauważał. O wiele bardziej niepokoił go własny brak wytrzymałości. Musiał przystanąć na dobrą minutę już w połowie schodów do drzwi matki chrzestnej. Nie chodziło tylko o nabranie tchu. Potrzebował czasu, żeby zmusić swoje nogi do działania i zebrać siły. A po wyprawie do krawcowej wraz z Cecilią poczuł się krańcowo wyczerpany. Zapłacił dorożkarzowi podwójnie za niezbyt prędkie przebycie długiej drogi od Diabelskiego Łba do domu Tryonów, żeby tylko móc podczas niej przymknąć oczy i trwać w zupełnym bezruchu.

Ciotka Margaret wcale jednak nie musiała o tym wiedzieć. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

– Mogę już chodzić bez niczyjej pomocy, a to znaczy, że mi się polepszyło.

Uniosła brwi.

– Wciąż jestem wyczerpany – przyznał – i boli mnie głowa. Ale zdrowieję, a także żyję, usiłuję się więc nie skarżyć.

Skinęła z wolna głową.

– Bardzo stoickie podejście z twojej strony. Pochwalam je.

Nim jednak i on zdążył skinąć głową na znak zgody, zmieniła temat, mówiąc:

– Nic mi nie powiedziałeś, że się ożeniłeś.

– Powiedziałem o tym bardzo niewielu ludziom.

Zmrużyła oczy.

– Uściślij, ilu ich było.

– No cóż, co do tego… – Edward odetchnął głęboko, usiłując znaleźć najlepszy sposób wyjaśnienia swojej sytuacji jednej z nielicznych osób w

Ameryce Północnej, która znała go, zanim przyjechał na ten kontynent. A także jedynej, która znała jego matkę, co było zapewne o wiele istotniejsze.

Margaret Tryon odczekała cierpliwie dziesięć sekund, a potem powiedziała:

– Wypluj to wreszcie z siebie.

Edward uśmiechnął się. Jego matka chrzestna słynęła z niewyparzonego języka.

– Najwyraźniej straciłem częściowo pamięć.

Pochyliła się ku niemu z otwartymi ze zdumienia ustami. Chętnie poczułby zadowolenie, że zdołał naruszyć jej absolutne opanowanie, gdyby powodem tego nie była jego fatalna rana.

– Fascynujące – powiedziała, a w oczach błysnęło jej coś, co można byłoby nazwać naukowym zainteresowaniem. – Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. No nie, przepraszam, oczywiście, że słyszałam. Ale to zawsze było takie tam gadanie, ktoś słyszał, jak ktoś inny mówił, że zetknął się z kimś, kto… Wiesz, o co mi chodzi.

Edward spojrzał na nią i udzielił jej jedynej możliwej odpowiedzi:

– No jasne, że wiem.

– Jak daleko sięga ta twoja utrata pamięci?

– Dotyczy, jak mi się wydaje, co najwyżej trzech albo czterech miesięcy – powiedział, wzruszając ramionami – tylko że nie potrafię zdać sobie sprawy, co zapamiętałem jako ostatnią rzecz.

Margaret wyprostowała się w krześle.

– Fascynujące – powiedziała jeszcze raz.

– Nie ma nic szczególnie fascynującego w tym, że własna pamięć nagle człowiekowi znika.

– Ależ oczywiście, wybacz mi. Z pewnością byłbyś jednak zafascynowany, gdyby to dotyczyło kogoś innego.

Edward wcale nie był tego pewny, lecz ona nie miała najmniejszych wątpliwości. Jego matka chrzestna zawsze interesowała się wszystkim, co

naukowe, do tego stopnia, że często wypominano jej niekobiecy typ umysłu. Jak się jednak należało spodziewać, ciotka Margaret uważała to za komplement.

– Powiedz mi – powiedziała trochę łagodniejszym głosem – co mogę zrobić, żeby ci pomóc?

– Obawiam się, że nic, jeśli chodzi o moją pamięć, ale za to mojej żonie potrzeba sukni.

– Na bal? Oczywiście może dostać jedną z moich. Albo jakąś toaletę May – dodała. – Rzecz jasna trzeba ją będzie dopasować, ale masz dosyć pieniędzy, żeby za to zapłacić.

– Dziękuję – odparł. – Właśnie na to liczyłem.

Margaret machnęła ręką.

– Drobiazg. Ale powiedz mi: czy ja znam tę dziewczynę?

– Nie, ale chyba zetknęłaś się z jej bratem, Thomasem Harcourtem.

– Nie przypominam sobie tego nazwiska. – Margaret zmarszczyła brwi.

– Przychodził ze mną na obiady, chyba pod koniec zeszłego roku.

– Ten twój jasnowłosy przyjaciel? Ach, tak. Dosyć miły chłopiec. Namówił cię, żebyś poślubił jego siostrę?

– Tak mi powiedziano.

Edward pożałował swoich słów już w chwili, kiedy je wypowiedział. Ciotka Margaret podchwyciła je skwapliwie jak pies gończy.

– Tak ci powiedziano? Cóż to u diabła znaczy?

– Zapomnij, co ci mówiłem – powiedział, choć ciotka oczywiście nie zrobiłaby tego.

– Zaraz mi się dokładnie wytłumacz, Edwardzie Rokesby, bo daję słowo, że kiedy napiszę do twojej matki, będzie ci dużo trudniej to zrobić.

Edward potarł czoło. Margaret nigdy nie spełniłaby swojej groźby; zanadto kochała jego matkę, żeby ją niepotrzebnie martwić. Nie wypuści go jednak z domu, póki on nie odpowie na jej pytania w zadowalający sposób.

A że był ostatnio osłabiony, dopięłaby pewnie swego, nawet gdyby doszło między nimi do kłótni.

Westchnął.

– Czy przypominasz sobie, co się działo w tamtych miesiącach? Tych, których ja nie pamiętam?

– Chcesz mi powiedzieć, że nie możesz sobie przypomnieć, czy się z nią ożeniłeś?

Edward zamarł z otwartymi ustami. Nie potrafił się zmusić do odpowiedzi.

– Dobry Boże, czy byli jacyś świadkowie?

Znów nie odpowiedział.

– Jesteś pewien, że w ogóle ją poślubiłeś?

Na to pytanie odparł stanowczo:

– Tak.

Uniosła gwałtownie ręce, jak istny obraz rozpaczy.

– Skąd ta pewność?

– Bo dobrze ją znam.

– Naprawdę?

Edward uchwycił się kurczowo brzegu krzesła. Uczuł gwałtowny przypływ gniewu i musiał dołożyć starań, żeby jego głos zabrzmiał spokojnie.

– Co ty mi chcesz wmówić, ciociu?

– Widziałeś jakiś dokument? Dopełniłeś małżeństwa?

– Nie powinno cię to obchodzić.

– Ale ty mnie obchodzisz! Obchodziłeś mnie od dnia, kiedy stałam przy twojej matce w katedrze Canterbury i przyrzekałam, że wprowadzę cię w chrześcijańskie życie. Czy o tym zapomniałeś?

– Przyznam, że nie pamiętam tego dnia zbyt dobrze.

– Edwardzie!

Jeśli ciotka miała stracić do niego cierpliwość, z nim na pewno byłoby podobnie. Odparł jednak bardzo opanowanym głosem:

– Muszę cię prosić, żebyś nie podawała w wątpliwość honoru i godności mojej żony.

Spojrzała na niego zwężonymi oczami.

– Co ona zrobiła? Uwiodła cię, prawda? Jesteś całkowicie pod jej urokiem.

– Dość tego! – uciął, wstając chwiejnie na nogi. – Do licha! – zaklął, bo musiał uchwycić się krzesła, żeby nie stracić równowagi.

– O Boże, z tobą jest gorzej, niż sądziłam – jęknęła Margaret. Podbiegła ku niemu i niemalże siłą posadziła go z powrotem na krześle. – No, tak. Zostaniesz u mnie.

Przez chwilę Edwarda kusiło, żeby się zgodzić. Z pewnością byłoby im tutaj wygodniej niż Pod Diabelskim Łbem. Ale w oberży mieli przynajmniej zapewnioną prywatność. Wprawdzie otaczali ich obcy ludzie, ale niewiele ich obchodziło, co oni robią. Tutaj natomiast, w domu Tryonów, każdy krok jego, a zwłaszcza Cecilii, byłby oceniany, analizowany, potem zaś opisany w cotygodniowym liście do jego matki.

Nie, nie miał ochoty przenieść się do ciotki.

– Czuję się całkiem dobrze tam, gdzie zamieszkałem – powiedział. – Ale cenię sobie twoje zaproszenie.

Margaret zachmurzyła się, najwyraźniej niezadowolona z niego.

– Pozwól, żebym cię o coś spytała.

Zgodził się.

– Skąd wiesz?

Czekał, żeby dokładniej wyjaśniła, o co jej chodzi, a kiedy tego nie zrobiła, zadał jej pytanie:

– Co niby miałbym wiedzieć?

– Skąd wiesz, że ona powiedziała ci prawdę?

Odparł bez chwili wahania:

– Bo ją znam.

No i rzeczywiście tak było. Może znał jej twarz dopiero od kilku dni, ale serce od bardzo dawna. Nie wątpił w nią. Nigdy by w nią nie zwątpił.

– Mój Boże! – powiedziała stłumionym głosem Margaret. – Ty ją kochasz!

Edward milczał. Nie mógł temu zaprzeczyć.

– No, dobrze – westchnęła. – Czy zdołasz wejść po schodach?

Spojrzał na nią zdumiony. O co jej właściwie chodzi?

– Potrzeba ci sukni, czyż nie? Nie wiem, co prawda, w czym byłoby do twarzy nowej pani Rokesby, i raczej nie zażądam, żeby moje służące wyjęły wszystko z szafy w moim salonie.

– Owszem, potrzeba mi sukni. Owszem, zdołam wejść po schodach.

Wolałby jednak, żeby miały poręcz.

11

Biedny kapitan Rokesby! Mam nadzieję, że podróż przez ocean nie była taka straszna, jak się obawiałeś. Powinien cię był nieco pocieszyć twój niedawny awans. Jestem bardzo dumna z tego, że obydwaj zostaliście mianowani kapitanami.

My tutaj w miasteczku żyjemy sobie spokojnie. Trzy dni temu poszłam na miejscową zabawę: tylko po jednym dżentelmenie przypadało tam na każdą z dam. Tańczyłam ledwie dwa razy, a za drugim – z proboszczem, co jak uważam, wcale się nie liczy.

Twojej biednej siostrze grozi los starej panny!

Ale nie martw się. Jestem najzupełniej zadowolona. A w najgorszym razie będę niezupełnie zadowolona. Czy to możliwe? Sądzę, że tak.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Tak samo było w przeddzień balu u gubernatora. Po południu Edward położył wielkie pudło na łóżku, które dzielił – choć nie pod każdym względem – ze swoją żoną.

– Czy coś kupiłeś? – spytała.

– Otwórz to i zobacz.

Spojrzała na niego nieco podejrzliwie, pochylając się nad materacem.

– Co tam jest?

– Czy nie wolno mi ofiarować prezentu własnej żonie?

Cecilia spojrzała na pudło, obwiązane dość odświętnie wyglądającą szeroką, czerwoną wstążką, a potem na niego.

– Nie spodziewałam się prezentu.

– Jeszcze jeden powód więcej, żeby ci jakiś ofiarować. – Przesunął pudło ku niej o kilka cali. – Otwórz je.

Rozsupłała szczupłymi palcami kokardę z wstążki, nim podniosła wieko.

Na chwilę straciła dech.

Uśmiechnął się. Miała powód, żeby go stracić.

– Podoba ci się? – spytał, choć było jasne, że tak właśnie jest.

Z ustami wciąż jeszcze rozchylonymi ze zdumienia wyciągnęła rękę, żeby dotknąć miękkiego jedwabiu. Miał kolor morza, nieco bardziej może niebieskawy od jej oczu. Kiedy Edward ujrzał tę suknię w garderobie May Tryon, od razu zrozumiał, że właśnie ją powinien wybrać.

Nie wiedział, czy May Tryon dowie się, że podarowała komuś tę jedwabną toaletę, bo nie było jej w domu, kiedy matka otwarła na oścież szafę córki. Edward zapamiętał sobie, że powinien podziękować May za szczodrość, nim zdoła przypadkowo odkryć brak sukni. Prócz tego, na ile znał Tryonów, May wolałaby ubrać się w coś nowego, efektownego i niezwykle kosztownego. Nie miałaby pretensji, że jej strój dopasowano do figury Cecilii.

– Gdzie to zdobyłeś? – spytała Cecilia.

– Mam swoje sekrety.

Dziwne, ale nie pytała o nic więcej. Wyjęła natomiast suknię z pudła i stanęła prosto, przymierzając ją do siebie.

– Nie mamy lustra – powiedziała, wciąż nieco oszołomiona.

– W takim razie powinnaś zaufać moim oczom – odparł. – Wyglądasz olśniewająco.

Prawdę mówiąc, Edward nie znał się zbytnio na damskich strojach. Ciotka Margaret uprzedziła go, że wybrana przez niego suknia nie jest ostatnim krzykiem mody, ale jemu wydała się najpiękniejszą ze wszystkich, jakie widział w londyńskich salach balowych.

Tylko że minęło już dobre kilka lat, odkąd bywał w tych salach, a podejrzewał, że dla Margaret Tryon moda zmieniała się raczej z miesiąca na miesiąc niż z roku na rok.

– Składa się z dwóch części – powiedział. – Jedna jest… ehm… pod spodem, a druga na wierzchu.

– To halka i suknia – szepnęła Cecilia. – No i jeszcze gors. Właściwie są tu trzy części.

Edward odchrząknął.

– Oczywiście.

Dotknęła z nabożną czcią srebrnego haftu, który falistą linią obiegał suknię dołem.

– Powiedziałabym, że ona jest zbyt piękna – szepnęła znowu.

– Nie powinnaś wcale tak mówić.

– Nigdy nie miałam czegoś równie wspaniałego.

Była to jego zdaniem prawdziwa tragedia, ale wyraźnie czuł, że nie wypada mu się wyrażać w ten przesadny sposób.

Cecilia spojrzała na niego raptownie, jakby nagle przyszło jej coś na myśl.

– Chyba nie pójdziemy na ten bal?

– Czemu tak sądzisz?

Zacisnęła usta.

– Bo nie mam się w co ubrać.

Roześmiał się, a Cecilia uświadomiła sobie absurdalność swoich słów, ledwie je wypowiedziała. Westchnęła.

– Jestem okropnie próżna.

– Dlatego, że lubisz piękne rzeczy? – Podszedł do niej tak blisko, że jego usta znalazły się niemal przy samym jej uchu. – A co należałoby powiedzieć o mnie? Pewnie to, że lubię widzieć piękne rzeczy na tobie.

Albo zdjęte z niej. Gdy patrzył, jak krawcowa wkładała suknię do pudła, nie mógł się powstrzymać od patrzenia na ten strój. Tej nocy jeszcze nie uczyni Cecilii w stu procentach swoją żoną, z czego niestety zdawał sobie sprawę. Wciąż był zbyt słaby, a także zanadto czuły na punkcie swego męskiego honoru, by ryzykować, że zawiedzie.

Ale pragnął jej mimo wszystko. Przyrzekł sobie, że pewnego dnia zedrze tę suknię z jej ciała, rozpakowując Cecilię niby prezent dla samego siebie. A potem legnie z nią w łóżku, rozchyli jej nogi i…

– Edwardzie!

Zaskoczony, zamrugał zamglonymi oczami. Kiedy znów zdołał ją wyraźnie ujrzeć, wyglądała na zaniepokojoną.

– Cały poczerwieniałeś – powiedziała i dotknęła wierzchem dłoni jego czoła. – Czy masz może gorączkę?

– Dziś jest bardzo gorąco – skłamał. – Nie sądzisz?

– Chyba nie.

– Bo nie nosisz szkarłatnej wełnianej kurtki. – Rozpiął ją i ściągnął z siebie. – Na pewno poczuję się lepiej, kiedy siądę koło okna.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, wciąż jeszcze trzymając bladoniebieską suknię tuż przed sobą. Gdy usiadł na krześle, spytała:

– Może otworzyć okno?

Bez słowa wstał i pchnął jego ramę.

– Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

– Ależ tak – zapewnił ją. Czuł, że jest ostatnim błaznem i pewnie wyglądał właśnie na błazna, ale było to warte widoku jej twarzy, kiedy patrzyła na suknię.

– Doprawdy jest przepiękna – powiedziała, przyglądając się jej z miną niemalże…

Pełną żalu?

Nie, to niemożliwe.

– Czy coś jest nie w porządku? – spytał.

– Nie – odparła z roztargnieniem, nie przestając patrzeć na suknię. – Nie – powtórzyła, a potem spojrzała na niego z ukosa. – Oczywiście, że nie. Ja tylko… muszę…

Patrzył na nią przez chwilę, zastanawiając się, co u licha mogło spowodować nagłą zmianę jej nastroju.

– O co ci chodzi?

– Potrzeba mi koniecznie czegoś – wyjaśniła. Jednakże brzmiało to raczej jak oświadczenie.

– W porządku – powiedział.

Chwyciła torebkę i pobiegła do drzwi, zatrzymując się z ręką na klamce.

– Wychodzę tylko na chwilę. Nie na dłużej.

– Nie pójdę stąd nigdzie, póki nie wrócisz – zapewnił ją.

Skinęła szybko głową, spojrzała ze smutkiem na suknię, leżącą teraz na łóżku, i wypadła pospiesznie z pokoju.

Edward spoglądał przez chwilę na drzwi, usiłując zrozumieć, co się właściwie stało. Ojciec zawsze mu powtarzał, że kobiety to istoty zagadkowe. Może Cecilia uznała, że musi kupić prezent jemu, skoro dostała ten od niego? Niemądra dziewczyna. Powinna mieć więcej rozsądku.

Wciąż jednak nie przestawał się zastanawiać, co też ją napadło.

Podniósł się z krzesła, przymknął okno i usiadł na łóżku. Wcale nie chciał zasnąć, ale gdy tak się w końcu stało, miał na twarzy niezbyt mądry uśmiech.

Och, żeby tylko… żeby tylko…

Cecilia biegła ulicą, modląc się w duchu, żeby wózek z owocami wciąż jeszcze stał na rogu Broad Street i Pearl, gdzie widziała go rano.

Sądziła, że sprawa balu u gubernatora została ostatecznie rozstrzygnięta dwa dni wcześniej, kiedy nie mogli znaleźć szwaczki zdolnej przygotować suknie na czas. Gdyby zaś jej nie miała, nie mogłaby pójść na bal. To całkiem proste.

A wtedy ten niemożliwy człowiek akurat musiał znaleźć jej najpiękniejszą suknię, jaka kiedykolwiek istniała. Aż się jej chciało płakać z powodu tej niesprawiedliwości losu, bo w gruncie rzeczy strasznie chciała włożyć ten strój.

Nie mogła jednak pójść na bal. Po prostu nie mogła i już. Byłoby tam za dużo ludzi. Nie mogłaby ograniczyć zasięgu swojego kłamstwa do małego kręgu osób, gdyby się pojawiła wśród nowojorskiej socjety.

Przygryzła wargę. Tylko jedna rzecz dawała gwarancję, że nie będzie musiała tam pójść. Chodziło o coś okropnego, ale była zdesperowana.

Do tego stopnia, że postanowiła zjeść truskawkę.

Wiedziała, co potem nastąpi. Nic ładnego. Najpierw dostanie wysypki. Tak wyraźnej, że kierownik portu na ten widok zażądałby poddania jej kwarantannie. Wysypka swędziałaby ją nieznośnie. Wciąż jeszcze miała dwie blizny na ramionach od ostatniego razu, kiedy przypadkowo zjadła truskawkę. Podrapała się wtedy do krwi. Nie mogła się powstrzymać.

A potem zbuntuje się jej żołądek. A że zjadła solidny posiłek tuż przed powrotem Edwarda z suknią, ten bunt przybierze niesłychane rozmiary.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny będzie zaś uosobieniem nędzy i rozpaczy. Spuchniętą nieszczęśnicą, nękaną swędzeniem i torsjami. Ale później to minie. Może przez kilka dni będzie jeszcze na wpół przytomna, potem jednak wyzdrowieje. Jeśli Edward kiedykolwiek uważał ją za atrakcyjną…

No cóż. Oduczy go tego.

Pospiesznie skręciła w Pearl Street, wypatrując na niej wózka z owocami. Owszem, stał tam nadal.

Och, dzięki Bogu. Niemal pędem przebiegła kilka ostatnich jardów i zatrzymała się raptownie przed wózkiem pana Hopchurcha.

Miała dziś jeden cel: zatruć się. Dobry Boże!

– Witam panią – powiedział sprzedawca. Cecilia uznała zatem, że nie wygląda na taką wariatkę, jak się jej zdawało, bo nie cofnął się przed nią z przerażeniem. – Czym mogę pani służyć?

Spojrzała na jego towar. Sprzedaż już się kończyła, nie miał go więc za wiele. Kilka skórzastych cukinii i parę kolb kukurydzy, która tak dobrze się tu udawała. A w samym rogu ogromna, okrągła, ohydna truskawka, najczerwieńsza, jaką kiedykolwiek widziała. Dziwne, że o tak późnej porze jeszcze tu tkwiła. Czy wszyscy inni jego klienci czuli to, o czym ona już wiedziała? Że ten czerwony owoc – niczym mała odwrócona piramida o nierównej, gruzłowatej powierzchni – to istna bomba, obraz nadchodzącej nędzy i rozpaczy?

Była w stanie zrobić to, co sobie zamierzyła.

– O, tam leży bardzo dorodna truskawka – powiedziała, spoglądając na nią z obrzydzeniem. Żołądek jej się skręcał na samą myśl o niej.

– Och, wiem! – zawołał Hopchurch z wielkim ożywieniem. – Widziała pani kiedy taką wielką? Moja żona słusznie się nimi chlubi.

– Kupię ją – powiedziała Cecilia, niemal dławiąc się tymi słowami.

– Nie może pani kupować jednej! – zaprotestował Hopchurch. – Sprzedaję je tylko po półtuzinie.

Pewnie dlatego jeszcze jej nie sprzedał. Desperacko skinęła głową.

– W takim razie poproszę sześć.

Sprzedawca sięgnął po wielką truskawkę i ujął ją za zielone listki.

– Ma pani koszyczek?

Spojrzała na swoje ręce. Jakże była głupia! Nie pomyślała o nim. Nie wahała się jednak.

– Nieważne – powiedziała. Nie potrzebowała wcale sześciu. Wystarczył jej ten truskawkowy kolos. – Zapłacę panu za sześć – oznajmiła – ale

potrzebna mi tylko jedna.

Hopchurch spojrzał na nią tak, jakby całkiem straciła rozum, ale był zbyt rozsądny, żeby się spierać. Wziął pieniądze i wręczył jej gigantyczny owoc.

– Prosto z ogrodu! Następnym razem proszę powiedzieć, czy smakowała.

Cecilia miała całkowitą pewność, że nie byłby zachwycony, gdyby to rzeczywiście zrobiła, ale skinęła uprzejmie głową i podziękowała, nim ruszyła ku cichemu zakątkowi za rogiem.

Dobry Boże, teraz będzie musiała ją zjeść.

Ciekawa była, czy nie tak właśnie czuła się Szekspirowska Julia, nim wypiła nasenny napój. Ciało Cecilii buntowało się przeciw spożyciu czegoś, co mu bardzo zaszkodzi. Jej ciało aż za dobrze wiedziało, że ta truskawka jest niewiele lepsza od cykuty.

Oparła się o ścianę i uniosła czerwony owoc do ust. A potem, mimo protestów żołądka, nosa – i właściwie każdej innej części ciała – nadgryzła ją.

O siódmej wieczorem Cecilia pragnęła umrzeć.

Edward wiedział o tym, bo powiedziała całkiem wyraźnie:

– Chcę umrzeć!

– Nie, nie umrzesz – stwierdził trzeźwo, choć czuł się całkiem inaczej. W gruncie rzeczy wiedział, że wyzdrowieje, że co najwyżej zaszkodziła jej nieświeża ryba lub zupa – choć jadł to samo, co ona, i nic mu się nie stało.

Tylko że cierpiał męki, widząc ją w takim stanie. Zwracała już jedzenie tyle razy, że teraz mogła wymiotować tylko jakąś różowożółtą masą. Jeszcze gorsze było to, że całą jej skórę pokryły gęsto czerwone plamy.

– Chyba powinniśmy wezwać doktora – uznał.

– Nie! – jęknęła. – Nie idź po niego!

Pokręcił głową.

– Jesteś zbyt chora.

Chwyciła go za rękę tak mocno, że się zdumiał.

– Nie potrzeba mi doktora.

– Owszem – odparł – trzeba.

– Nie. – Potrząsnęła głową, ale zaraz jęknęła.

– Co ci się stało?

Zamknęła oczy i leżała bez ruchu.

– Kręci mi się w głowie – wyszeptała. – Nie mogę nią poruszać.

A więc miała teraz zawroty głowy?

– Cecilio, doprawdy, myślę, że…

– Zaszkodziło mi coś, co zjadłam – przerwała mu słabym głosem. – Jestem całkiem pewna.

Zastanowił się. Również był tego zdania, ale jej stan pogarszał się z każdą chwilą.

– Jadłaś rybę na kolacje?

– Ojej! – zawołała, zakrywając oczy ręką, choć widział, że wcale nie były otwarte. – Nie wymawiaj tego słowa!

– Ryba?

– Przestań!

– O co ci chodzi?

– Przestań mówić o jedzeniu! – wyjąkała słabo.

Zastanowił się. Może istotnie zaszkodziło jej coś, co zjadła. Spojrzał na nią, raczej nieufnie niż z troską. Leżała nieruchomo na pościeli, z rękami ułożonymi prosto po bokach jak dwie idealnie równe laski. Wciąż miała na sobie tę samą co przedtem różową suknię, chociaż uważał, że należałoby ją już uprać. Nie było na niej co prawda plam żółci, ale Cecilia pociła się obficie. Może powinien rozluźnić jej gorset, rozpiąć guziki lub w ogóle zrobić cokolwiek, by poczuła się wygodniej?

– Cecilio…

Nawet nie drgnęła.

– Cecilio!

– Nie jestem martwa.

– Wiem – powiedział, usiłując się nie roześmiać. – Widzę, że wcale nie umarłaś.

– Po prostu leżę bez ruchu.

A robiła to znakomicie. Ledwie mógł dostrzec, że poruszała wargami.

– A jeśli leżę nieruchomo – ciągnęła nieco śpiewnie – to prawie nie czuję, że mi się zbiera…

– …na torsje? – dokończył za nią.

– Czułam się, jakbym umierała – wyjaśniła – i jestem pewna, że wciąż jeszcze będę wymiotować.

W mgnieniu oka chwycił nocnik i podał go jej.

– Nie teraz – ciągnęła, wyciągając na oślep rękę, żeby go odsunąć – ale wkrótce.

– Kiedy będę się tego najmniej spodziewał?

– Nie. – Westchnęła z trudem. – Raczej kiedy ja będę się tego najmniej spodziewać.

Usiłował się nie zaśmiać i prawie mu się to udało, ale poczuł, że usłyszała jego parsknięcie. Mniej się o nią martwił niż kilka minut temu. Jeśli zachowała poczucie humoru, to chyba było z nią lepiej. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zyskał tę pewność, ale widział już dosyć zgonów z powodu zatrucia pokarmowego, żeby uznać, że zapewne Cecilia zdrowieje: po prostu zjadła coś, co jej nie posłużyło. Niepokoiła go jednak wysypka. Teraz był całkiem zadowolony, że nie mają lustra. Nie podobałby się jej własny wygląd.

Ostrożnie przysiadł na skraju łóżka i wyciągnął rękę, chcąc dotknąć jej czoła. Gdy jednak ugiął się pod nim materac, Cecilia jęknęła donośnie i machnęła tak energicznie jedną z rąk, że uderzyła go w udo.

– Au! – krzyknął.

– Przykro mi.

– Nie, wcale ci nie jest przykro – powiedział z uśmiechem.

– Proszę cię, nie trzęś łóżkiem.

Strzepnął jej palce ze swojej nogi.

– Zapewne nie cierpisz na morską chorobę?

– Istotnie.

– W takim razie wiesz teraz, jak się wszyscy wtedy czujemy.

– Całkiem mi było dobrze bez tej wiedzy.

– Owszem – mruknął – spodziewałem się tego.

Otworzyła jedno oko.

– Dlaczego mówisz takim tonem, jakbyś się z tego cieszył?

– Och, z pewnością wcale się nie cieszę. Ale zaczynam się zgadzać, że jesteś paskudnym przypadkiem zatrucia pokarmowego. Dlatego, choć bardzo ci współczuję, nie martwię się już o twoje zdrowie.

Burknęła coś pod nosem. Prócz odgłosów torsji był to chyba najmniej stosowny dla damy dźwięk, jaki od niej usłyszał.

Uznał go za cudowny.

– Edwardzie…

– Co?

– Czy mam plamy na twarzy?

– Obawiam się, że tak.

– Swędzą mnie okropnie.

– Staraj się ich nie drapać.

– Wiem.

Uśmiechnął się. Co za wspaniała, choć przyziemna rozmowa.

– Czy mam ci dać wilgotny ręcznik?

– Byłoby to miłe z twojej strony.

Wstał, robiąc to na tyle ostrożnie, by materac się nie zakołysał. Znalazł ręcznik koło umywalki i zanurzył go w wodzie.

Usłyszał, że Cecilia mówi:

– Chyba jesteś dziś mocniejszy.

– Myślę, że tak. – Wyżął ręcznik i wrócił z nim do niej. Dziwne, że jest mocniejszy, kiedy może troszczyć się o nią.

– Przepraszam cię – powiedziała.

– Za co?

Westchnęła, gdy położył jej ręcznik na czole.

– Wiem, że chciałeś dziś pójść do swojej matki chrzestnej na przyjęcie.

– Będą inne przyjęcia. A poza tym, choć chętnie bym się tam pokazał razem z tobą, byłoby ono męczące. Prócz tego musiałbym patrzeć, jak tańczysz z innymi mężczyznami.

Spojrzała ku niemu.

– Lubisz tańczyć?

– Od czasu do czasu.

– Tylko od czasu do czasu?

Dotknął jej nosa.

– To zależy od mojej partnerki.

Uśmiechnęła się, a on przez jedną krótką chwilę sądził, że dostrzegł na jej twarzy cień smutku. Zniknął jednak tak szybko, że nie był pewien, czy naprawdę go widział. A kiedy się odezwała, spojrzenie jej było znużone, lecz spokojne.

– Spodziewam się, że tak samo bywa z wieloma rzeczami w życiu.

Dotknął jej policzka i nagle poczuł wdzięczność za ten krótki moment. Był jej ogromnie wdzięczny.

– Ja też się tego spodziewam – szepnął.

Spojrzał na nią. Już spała.

12

Kiedy próbuję choćby przyłożyć pióro do papieru, zaraz pojawia się Edward i zawraca mi głowę, że gdyby był na tym balu, bardzo chętnie zatańczyłby z tobą.

Pani brat jest nieznośny.

Zabrał mi pióro! Wybaczę mu, ale tylko dlatego, że siedzimy w tym namiocie już tyle dni i nie możemy się ruszyć. Założę się, że leje tu bez przerwy od 1753 roku.

Droga Panno Harcourt, niechże Pani wybaczy swojemu bratu. Obawiam się, że wilgoć rzuciła mu się na mózg. Deszcz nie ustaje, ale dzięki niemu rozkwitają tu dzikie kwiaty, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Łąka zmieniła się w lawendowo-biały dywan. Jestem pewny, że bardzo by się to Pani podobało.

Z listu Thomasa Harcourta (i Edwarda Rokesby'ego) do siostry Cecilii

Cecilia wkrótce doszła do siebie, za wyjątkiem kilku miejsc na nogach, które wciąż ją swędziały. Na nowo podjęła poszukiwania Thomasa, a Edward często jej towarzyszył. Okazało się, że umiarkowany wysiłek dobrze mu robi, więc z wyjątkiem nieznośnie upalnych dni brał ją pod rękę i wędrowali po mieście, rozpytywali ludzi i załatwiali różne sprawy.

Zakochiwali się w sobie coraz bardziej.

W każdym razie Cecilia. Wolała się nie zastanawiać, czy Edward czuł to samo, choć wyraźnie odpowiadało mu jej towarzystwo.

Pragnął jej.

Weszło mu w zwyczaj całowanie jej na dobranoc. I na dzień dobry. I po południu też. Ona zaś z każdym dotykiem, z każdym spojrzeniem czuła, że wikła się coraz bardziej w sieć własnych kłamstw.

Gorąco pragnęła, by były prawdą.

Mogłaby być z nim szczęśliwa. Mogłaby być jego żoną, rodzić mu dzieci. To byłoby cudowne życie.

Tylko że wszystko było kłamstwem. Kiedy się wyda, nie wystarczy połknąć truskawki, żeby się z niego wykręcić.

Zadanie na dziś: nie zakochać się bardziej.

Żadne z zadań, jakie do tej pory sobie stawiała, nie wydawało jej się tak kompletnie nierealne. I żadne nie groziło zawodem miłosnym.

Pewnie niewielkie oznaki wskazywały, że Edwardowi wraca pamięć. Pewnego dnia, kiedy wkładał mundur, odwrócił się do niej i powiedział:

– Od dawna tego nie robiłem.

Cecilia podniosła wzrok znad tomiku wierszy, który przywiozła ze sobą z domu.

– Czego? – zapytała.

Po chwili milczenia odpowiedział, marszcząc brwi, jakby szukał czegoś w myślach.

– Nie wkładałem munduru.

Zaznaczyła wstążką stronę, którą czytała i zamknęła książkę.

– Przecież robisz to co rano.

– Nie teraz, tylko wcześniej. – Przerwał, zamrugał i dodał: – W Connecticut nie chodziłem w mundurze.

Przełknęła ślinę, starając się odsunąć od siebie niepokój.

– Jesteś tego pewny?

Popatrzył na siebie i przesunął prawą ręką po szkarłatnej wełnie, która oznaczała, że jest żołnierzem w Armii Jego Królewskiej Mości.

– Skąd się to wzięło?

Dopiero po chwili zorientowała się, o co pyta.

– Kurtka? Była w kościele.

– Ale nie miałem jej na sobie, kiedy mnie tam przynieśli.

Zdziwiona, zorientowała się, że to nie pytanie, ale stwierdzenie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała. – Nie sądzę. Nie wpadłam na myśl, by o to zapytać.

– Na pewno tak było – stwierdził. – Jest o wiele za czysta.

– Może ktoś ją wyprał?

Pokręcił głową.

– Trzeba zapytać pułkownika Stubbsa.

– Oczywiście.

Spochmurniała.

Edward umilkł, ale Cecilia wiedziała, że jego umysł pracuje na wysokich obrotach, starając się znaleźć rozwiązanie zagadki, pomimo tylu brakujących elementów. Patrzył w okno pustym wzrokiem, postukiwał dłonią po udzie, a ona mogła tylko czekać, aż odwróci się do niej z czujnym wyrazem twarzy i doda:

– Przypomniało mi się coś jeszcze.

– Co takiego?

– Wczoraj, kiedy szliśmy Broad Street, otarł się o mnie kot.

Cecilia nie odezwała się ani słowem. W ogóle nie zauważyła tego kota.

– Otarł się o mnie pyszczkiem, normalnie, jak każdy kot, i nagle coś sobie przypomniałem – powiedział Edward. – Tam też był kot.

– W Connecticut?

– Tak. Nie wiem czemu wydaje mi się, że dotrzymywał mi towarzystwa.

– Kot… – powtórzyła.

Skinął głową.

– To pewnie nie ma żadnego znaczenia, ale… – ucichł i zapatrzył się w przestrzeń.

– To znaczy, że coś sobie przypominasz – powiedziała cicho.

Dopiero po chwili otrząsnął się z zamyślenia.

– Tak.

– Przynajmniej masz miłe wspomnienia o kocie – podsunęła.

Popatrzył na nią pytająco.

– Mógłbyś na przykład pamiętać, że cię ugryzł. Albo podrapał. – Wstała z łóżka. – Zamiast tego pamiętasz tylko, że dotrzymywał ci towarzystwa w samotności.

Głos jej się załamał. Edward zrobił krok w jej stronę.

– Cieszę się – przyznała.

– Z tego, że nie byłem sam?

Skinęła głową.

– Zawsze lubiłem koty – powiedział odruchowo.

– Teraz pewnie lubisz je jeszcze bardziej.

Popatrzył na nią z uśmieszkiem.

– Podsumujmy wszystko, co pamiętam. Nie nosiłem munduru. – Zaginał palce, odliczając. – I był tam jakiś kot.

– Wczoraj powiedziałeś, że byłeś na łodzi – przypomniała mu. Spacerowali w pobliżu rzeki i słona bryza przyniosła mu ulotne wspomnienie. Był na łodzi. Nie na statku, ale na czymś mniejszym, czymś przeznaczonym do pływania przy brzegu. – Chociaż to normalne, że byłeś na łodzi – dodała, zastanawiając się nad tym wspomnieniem trochę bardziej niż wczoraj. – Jak inaczej dostałbyś się na Manhattan? Przecież w tej części wyspy nie ma mostu. Nie sądzę, żebyś dotarł tu wpław.

– To prawda – przyznał.

Cecilia przyglądała mu się przez chwilę, a potem zachichotała, nie mogąc się powstrzymać.

– O co chodzi? – zapytał.

– O twoją minę. Zawsze tak wyglądasz, kiedy próbujesz sobie coś przypomnieć.

– Naprawdę? – odpowiedział z przekąsem. Wiedziała jednak, że udawał.

– Owszem. – Ściągnęła brwi i spojrzała pustym wzrokiem. Miała wrażenie, że nie do końca jej się to udało. Gdyby był bardziej drażliwy, mógłby pomyśleć, że sobie z niego żartuje.

Wpatrywał się w nią.

– Wyglądasz na rozkojarzoną.

– Chciałeś powiedzieć, że ty wyglądasz na rozkojarzonego. – Przesunęła dłonią przed jego twarzą. – Jestem twoim lustrem.

Wybuchnął śmiechem, chwycił ją i przyciągnął do siebie.

– Jestem pewny, że do tej pory nie widywałem w lustrze takiej ślicznej twarzy.

Cecilia uśmiechnęła się mimo woli, choć w głowie rozdzwoniły jej się dzwonki alarmowe. Tak łatwo było czuć się z nim szczęśliwą, tak łatwo było być sobą. Ale to nie było jej życie. Nie była jego żoną. Pożyczyła sobie tę rolę i w końcu będzie musiała ją oddać.

Choć tak bardzo starała się nie przyzwyczajać zanadto do roli pani Rokesby, nie potrafiła oprzeć się uśmiechowi Edwarda. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, aż zetknęli się nosami.

– Czy ci już mówiłem – powiedział ciepłym, pełnym radości głosem – jak bardzo byłem szczęśliwy, że byłaś przy mnie, gdy się obudziłem?

Rozchyliła wargi, chcąc coś powiedzieć, ale słowa dławiły ją w gardle. Nie, nie mówił jej tego, w każdym razie nie tak otwarcie. Potrząsnęła tylko głową. Nie mogła oderwać wzroku od jego błękitnych jasnych oczu.

– Gdybym wiedział, pewnie bym ci powiedział, żebyś tu nie przyjeżdżała. Pewnie nawet bym ci tego zabronił – dodał. Wargi wykrzywił mu półuśmiech, półgrymas. – Chociaż i tak byś mnie nie posłuchała.

– Kiedy wsiadałam na statek, nie byłam twoją żoną – powiedziała cicho. Z żalem pomyślała, że to chyba jedyne prawdziwe słowa, jakie wypowie

tego dnia.

– Oczywiście, że nie – potwierdził. Przechylił głowę i ściągnął brwi w sposób, z którego sobie przed chwilą żartowała, ale wzrok miał dalej bystry. – Co tam znowu? – zapytał, widząc, że mu się przygląda.

– Nic takiego, miałeś prawie taki sam wyraz twarzy jak przedtem. Ściągnąłeś brwi, ale oczy ci się nie zamgliły.

– Co za niezwykle atrakcyjny opis.

Wybuchnęła śmiechem.

– Słuchaj, to jest bardzo ciekawe. Wydaje mi się… – przerwała na chwilę, żeby zebrać myśli. – Tym razem próbowałeś coś sobie sam przypomnieć, prawda?

Potrząsnął głową.

– Zadumałem się tylko nad ważnymi życiowymi prawdami.

– Przestań się wygłupiać. O czym myślałeś?

– Że powinniśmy się zapoznać z prawem o małżeństwach zawieranych przez pełnomocnika. Powinniśmy przecież znać dokładną datę, prawda?

Próbowała przytaknąć, ale niezbyt jej się to udało.

Edward wyciągnął makiety z rękawów surduta i wygładził jego klapy.

– Ty byłaś druga, więc wydaje mi się, że powinien to być dzień, kiedy poprosiłaś kapitana o dopełnienie ceremonii.

Cecilia ledwie zauważalnie skinęła głową, mając wrażenie, że w gardle utkwił jej ogromny głaz.

Edward nie zwrócił uwagi na jej wzburzenie, a nawet jeżeli to zrobił, pewnie pomyślał, że wzruszyło ją wspomnienie ceremonii ślubnej, bo musnął jej wargi lekkim pocałunkiem i wyprostował się.

– Czas zacząć dzień, prawda? Za kilka minut mam spotkanie z pułkownikiem Stubbsem. Nie mogę się spóźnić.

– Spotykasz się z nim? Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

Zmarszczył nos.

– Naprawdę? Pewnie zapomniałem.

Uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Niczego przed nią nie ukrywał. Był wyjątkowo otwarty, a kiedy pytał ją o zdanie, naprawdę słuchał odpowiedzi. Pewnie nie miał innego wyjścia, bo w jego pamięci ziała wielka dziura. Musiał polegać na jej zdaniu.

Tylko że niewielu mężczyzn zachowywałoby się w ten sposób. Zawsze była dumna z tego, że ojciec powierzył jej prowadzenie domu, ale w duchu wiedziała, że nie zrobił tego z przekonania o jej szczególnych zdolnościach. Po prostu nie chciał zawracać sobie tym głowy.

– Zejdziesz ze mną? – spytał Edward.

– Na spotkanie z pułkownikiem? – Uniosła brwi. – Chyba nie byłby z tego zbytnio szczęśliwy.

– Tym bardziej powinnaś to zrobić. Kiedy jest w złym nastroju, wymykają mu się różne informacje.

– To jest argument nie do odparcia.

Edward otworzył drzwi i odsunął się, przepuszczając ją przed sobą.

– To dziwne, że jest taki skryty – powiedziała. – Przecież zależy mu na tym, żebyś odzyskał pamięć.

– Nie uważam, że jest skryty – odpowiedział Edward. Wziął ją pod rękę, kiedy schodzili po schodach, ale tym razem był to dżentelmeński gest, a nie konieczność oparcia się na niej tak jak tydzień temu. Zdumiewająco szybko nabierał sił w ciągu tych paru dni. Głowa wciąż go bolała i pamięć szwankowała, ale skóra straciła szary, niepokojący odcień. Stumilowego marszu pewnie by nie wytrzymał, ale bez trudu radził sobie z codziennymi obowiązkami.

Cecilia czasem niepokoiła się, że się przemęcza, ale twierdził, że to typowa nadopiekuńczość żony.

I ciepło się przy tym uśmiechał.

– Utrzymywanie tajemnic to część jego zawodu – powiedział, wracając do tematu Stubbsa.

– Ale nie przed tobą, prawda?

– Trudno powiedzieć. – Mówiąc to, Edward wzruszył ramionami. – Zastanów się tylko. Nie wie, gdzie byłem i co robiłem przez ostatnich kilka miesięcy. Zanim to wyjaśni, powierzanie mi tajemnic na pewno nie leży w interesie brytyjskiej armii.

– To niedorzeczne!

– Doceniam twoją niezachwianą wiarę we mnie – odpowiedział z uśmiechem. – Ale pułkownik Stubbs musi być pewny mojej lojalności, zanim odsłoni karty.

Nie przekonało jej to.

– To niemożliwe, żeby ci nie wierzył – mruknęła pod nosem. Na pierwszy rzut oka było widać, że Edward jest honorowy i uczciwy z natury. To nie do pojęcia, że ktoś mógłby tego nie zauważyć.

Weszli do jadalni. Pułkownik Stubbs stał przy drzwiach, jak zwykle ze skwaszoną miną.

– Rokesby – powiedział na ich widok. – Przyszedł pan z żoną.

– Była głodna – wyjaśnił Edward.

– Jasne – odpowiedział pułkownik, ale jego nozdrza zadrgały z irytacji. Zacisnął zęby i podprowadził ich do najbliższego stolika.

– Robią tu świetne śniadania – powiedziała słodko.

Popatrzył na nią, a potem mruknął coś w odpowiedzi i zwrócił się do Edwarda.

– Ma pan jakieś nowiny? – zapytał młody człowiek.

– A pan?

– Obawiam się, że nie, ale Cecilia bardzo mi pomaga w pracy nad odzyskaniem pamięci. Ciągle chodzimy po mieście, szukając znajomych miejsc.

Cecilia przybrała pogodny wyraz twarzy.

Pułkownik wyraźnie go zignorował.

– Nie rozumiem, po co szukacie wskazówek w Nowym Jorku. Przecież chodzi o czas, jaki pan spędził w Connecticut.

– À propos, proszę mi powiedzieć, czy byłem wtedy w mundurze? – spytał Edward spokojnie.

– Co takiego? – spytał pułkownik niechętnie, jakby zirytowała go nagła zmiana tematu.

– Dziś rano przypomniało mi się coś dziwnego. Być może nie ma to nic wspólnego ze sprawą, ale kiedy wkładałem mundur, przyszło mi do głowy, że od dawna tego nie robiłem.

Pułkownik wpatrywał się w niego.

– Nie rozumiem.

– Ta kurtka w szpitalu… zresztą to ta sama, którą mam teraz na sobie. – Edward pogładził się po rękawie. – Skąd się wzięła? Wiem, że jest moja, ale chyba nie miałem jej tam ze sobą.

– Przechowałem ją dla pana – odparł szorstko Stubbs. – W Connecticut lepiej się nie pojawiać w barwach homara.

– Czy oni są nielojalni wobec korony? – spytała Cecilia.

– Buntownicy są wszędzie – odparł Stubbs, rzucając jej pełne irytacji spojrzenie. – Są rozproszeni, jak sól po talerzu, i cholernie ciężko się ich pozbyć.

– Pozbyć? – powtórzyła. Nie spodobało jej się to słowo. Od niedawna była w Nowym Jorku, ale zdążyła się już zorientować, że tutejszy krajobraz polityczny jest o wiele bardziej skomplikowany, niż można by się tego spodziewać na podstawie publikacji w brytyjskich gazetach. Była dumną poddaną korony brytyjskiej i zawsze nią będzie, ale nie sposób było nie zauważyć, że niektóre pretensje tutejszych mieszkańców były uzasadnione.

Jednak, zanim zdążyła coś dodać, poczuła na swojej nodze pod stołem dłoń Edwarda, która wyraźnie przestrzegała przed rozwijaniem tego tematu.

– Przepraszam – mruknęła, posłusznie spuszczając wzrok. – Nie znałam tego słowa.

Kłamstwo było tak ewidentne, że aż ją zabolało, ale może rzeczywiście lepiej było udawać przed pułkownikiem, że jest głupsza niż w

rzeczywistości. Poza tym wcale nie chciała okazać się nielojalną wobec korony.

– Jeśli wolno zapytać: czy to, że w Connecticut byłem w cywilnym ubraniu, oznacza, że pojechałem tam jako szpieg? – zapytał Edward, gładko zmieniając temat.

– Tego bym nie powiedział – mruknął pułkownik.

– A co by pan w ogóle powiedział? – wyrwało się Cecilii. Natychmiast ugryzła się w język, bo dłoń Edwarda znowu się zacisnęła na jej udzie. Niełatwo jej było trzymać buzię na kłódkę. Pułkownik był po prostu irytujący. Od czasu do czasu rzucał jakieś informacje, ale nigdy nie mówił Edwardowi wszystkiego, co powinien. – Przepraszam – szepnęła po raz drugi. Edward posłał jej chłodne spojrzenie, ostrzegając, by się nie wtrącała. Nie powinna drażnić pułkownika, i to nie tylko ze względu na Edwarda. Przecież znał on także Thomasa, i choć do tej pory nie pomógł w poszukiwaniach, mógł okazać się przydatny w przyszłości.

– Szpieg to takie brzydkie słowo – odpowiedział, przepraszając ją skinieniem głowy. – Na pewno nie powinno się go używać w obecności damy.

– Zatem powiedzmy zwiadowca – zaproponował Edward. – Czy to będzie bliższe rzeczywistości?

Stubbs zamruczał twierdząco.

Wargi Edwarda zacisnęły się w cienką linię, której nie potrafiła zinterpretować. Nie był rozgniewany, w każdym razie nie tak jak ona. Miała wrażenie, że przesiewa w myślach różne informacje i układa je w schludne stosiki do przyszłych rozważań. Miał bardzo uporządkowaną wizję świata. Tym trudniej było mu się pewnie pogodzić z utratą pamięci.

– Zdaję sobie sprawę, że jest pan w niezwykle trudnym położeniu – powiedział, w zamyśleniu stykając palce obu dłoni ze sobą. – Ale jeśli naprawdę chciałby pan, żebym przypomniał sobie wydarzenia z ostatnich

kilku miesięcy, będzie mi pan musiał pomóc. – Pochylił się ku pułkownikowi. – Gramy po tej samej stronie.

– Nigdy nie wątpiłem w pana lojalność – odparł pułkownik.

Edward z wdziękiem pochylił głowę.

– Ale nie mogę przekazywać panu informacji, które chciałbym usłyszeć od pana – dodał.

– Czy to znaczy, że wie pan, co Edward tam robił? – wtrąciła się Cecilia.

– Cecilio – upomniał ją Edward spokojnie.

Zignorowała to.

– Jeśli pan to wie, musi pan mu powiedzieć. To okrucieństwo zatrzymywać te informacje dla siebie. Przecież dzięki temu mógłby odzyskać pamięć.

– Cecilio – powtórzył Edward, tym razem ostrzej.

Nie mogła milczeć. Nie dbając o ostrzeżenie, wbiła wzrok w pułkownika Stubbsa i dodała:

– Jeśli pan chce, żeby sobie przypomniał to, co zdarzyło się w Connecticut, musi pan mu powiedzieć wszystko, co sam pan wie.

Pułkownik zmierzył się z nią spojrzeniem.

– Wszystko pięknie, pani Rokesby, ale czy wzięła pani pod uwagę, że moje słowa mogą wpłynąć na jego wspomnienia? Nie mogę sobie pozwolić, żeby ubarwić jego wspomnienia moimi informacjami, bo może to je oddalić od prawdy.

– Ja… – Cecilia nieco złagodniała, rozumiejąc, że pułkownik ma rację. Mimo wszystko, spokój Edwarda był najważniejszy.

Edward zacisnął surowo wargi.

– Przepraszam pana za moją żonę – powiedział.

– Nie – przerwała mu. – Sama za siebie przeproszę. Przykro mi. Trudno jest mi spojrzeć na tę sytuację z pana punktu widzenia.

– Chce pani, żeby mąż wyzdrowiał – odpowiedział pułkownik z zaskakującą łagodnością.

– Bardzo – przytaknęła gorąco. – Nawet jeśli…

Zamarła. Nawet jeśli to będzie oznaczało rozstanie? Ten związek był jak domek z kart. Gdy Edward odzyska pamięć, będzie po wszystkim. Co za gorzka ironia. O mało nie roześmiała się na tę myśl. Bez przerwy walczyła z pułkownikiem – walczyła o prawdę, która złamie jej serce.

Nic na to nie mogła poradzić. Przecież chciała, żeby wyzdrowiał. To było najważniejsze. Ważniejsze, niż…

Znowu zamarła. Ważniejsze, niż odnalezienie Thomasa?

Nie. To niemożliwe. Może była takim samym złym człowiekiem jak pułkownik? Może ukrywała fakty, żeby tylko Edwardowi nie wróciła pamięć. Ale Thomas był jej bratem. Edward na pewno to zrozumie.

W każdym razie, tak jej się wydawało.

– Cecilio?

Miała wrażenie, że głos Edwarda dobiega z głębokiego tunelu.

– Kochanie? – Ujął jej dłoń i zaczął ją rozcierać. – Dobrze się czujesz? Ręce masz zimne jak lód.

Powoli wróciła do teraźniejszości. Mrugając oczyma, spojrzała w jego zaniepokojoną twarz.

– Miałem wrażenie, że się dusisz – powiedział.

Popatrzyła na pułkownika, który również przyglądał jej się z niepokojem.

– Przepraszam – powiedziała, uświadamiając sobie, że dźwięk, który usłyszeli, był stłumionym łkaniem. – Nie wiem, co mnie naszło.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział pułkownik, co zdziwiło nie tylko ją, ale i Edwarda, sądząc po jego minie. – Jest pani jego żoną. Przedkłada pani jego dobro nad wszystko inne, tak jak Pan Bóg przykazał.

Po krótkiej chwili milczenia Cecilia zapytała:

– Czy pan jest żonaty, pułkowniku Stubbs?

– Byłem – odpowiedział. Resztę można było wyczytać z jego twarzy.

– Przykro mi – powiedziała.

Pułkownik, zwykle niewzruszony, przełknął ślinę a w jego oczach błysnął ból.

– To było dawno temu – wyznał. – Ale nie ma dnia, żebym o niej nie pomyślał.

Niewiele myśląc, przykryła jego dłoń swoją.

– Jestem pewna, że o tym wie – powiedziała.

Skwitował to krótkim skinieniem głowy, mruknął coś pod nosem i po chwili odzyskał równowagę. Cecilia zabrała dłoń. Moment wzajemnego zrozumienia już minął, więc jej gest byłby krępujący.

– Pójdę już – powiedział pułkownik. Spojrzał na Edwarda. – Modlę się, żeby wróciła panu pamięć. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Nie tylko dlatego, że być może ma pan informacje kluczowe dla naszej sprawy. Nie wiem, jak to jest stracić długie miesiące życia, ale wyobrażam sobie, jaki to ciężar dla duszy.

Edward potwierdził skinieniem głowy. Obaj wstali.

– Powiem tylko tyle, kapitanie Rokesby, że wysłano pana do Connecticut, aby zebrał pan informacje o tamtejszych portach.

Edward ściągnął brwi.

– Marny ze mnie kartograf.

– Raczej nie chodziło o mapy, choć pewnie by się przydały.

– Pułkowniku? – spytała Cecilia, wstając. Kiedy odwrócił się do niej, zapytała: – Czy Edward miał jakieś konkretne zadanie? Czy chodziło raczej o ogólny ogląd sytuacji?

– Obawiam się, że nie mogę powiedzieć.

Więc chodziło o coś konkretnego. To brzmiało sensownie.

– Dziękuję – odpowiedziała uprzejmie i dygnęła.

Uchylił kapelusza.

– Pani Rokesby, kapitanie.

Już miał odejść, kiedy nagle odwrócił się do niej jeszcze raz.

– Czy ma pani jakieś wiadomości o bracie, pani Rokesby?

– Nie – odpowiedziała. – Ale major Wilkins okazał się bardzo pomocny. Razem ze swoim podwładnym przejrzał księgi szpitalne.

– I co?

– Niestety nic. Nie ma tam o nim wzmianki.

Pułkownik powoli skinął głową.

– Tylko Wilkins potrafiłby go odnaleźć.

– Wkrótce wybieramy się do Haarlemu – powiedziała.

– Do Haarlemu? – Stubbs spojrzał na Edwarda. – Dlaczego?

– Do infirmerii. Wiemy, że Thomas był ranny. Być może tam go zawieziono.

– Ale na pewno nikt by go tam nie zostawił.

– Może ktoś tam o nim słyszał – odpowiedziała Cecilia. – Warto to sprawdzić.

– Oczywiście. – Pułkownik znowu skinął głową im obojgu. – Życzę powodzenia.

Patrzyła, jak odchodzi.

– Przepraszam cię – powiedziała do Edwarda, gdy tylko pułkownik znalazł się za progiem.

Uniósł brew.

– Nie powinnam się odzywać. To ty miałeś zadawać pytania, nie ja.

– Nie przejmuj się – odpowiedział. – Z początku byłem z tego niezadowolony, ale udało ci się odwrócić sytuację. Nie wiedziałem, że jest wdowcem.

– Nie mam pojęcia, czemu go o to spytałam – przyznała.

Edward z uśmiechem ujął jej dłoń i poklepał ją uspokajająco.

– Siadajmy i zjedzmy coś w końcu. Jak sama mówiłaś, robią tu świetne śniadania.

Pozwoliła, by poprowadził ją do stolika. Czuła się dziwnie roztrzęsiona. Miała nadzieję, że jedzenie dobrze jej zrobi. Zawsze potrzebowała porządnego śniadania, które dodaje sił na resztę dnia.

– Spodobało mi się, że ktoś tak ostro mnie broni – przyznał, siadając naprzeciwko niej.

Podniosłą wzrok. Chyba nie zasłużyła na ten komplement.

– Nie zdawałem sobie sprawy, ile jest w tobie siły – dodał.

Przełknęła ślinę.

– Dziękuję.

– Idziemy dziś do Haarlemu?

– Dzisiaj? – Spojrzała czujnie. – Jesteś pewny?

– Czuję się o wiele lepiej. Myślę, że starczy mi sił na tę wyprawę.

– Jeśli jesteś tego pewny…

– Zamówię powóz i pojedziemy po śniadaniu.

Dał sygnał właścicielowi, by podano śniadanie i odwrócił się do niej.

– Zajmijmy się dziś Thomasem. Szczerze mówiąc, chętnie oderwę się od własnych tematów. Przynajmniej na ten jeden dzień.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Nie spodziewam się niczego szczególnego, ale nie wybaczyłabym sobie, gdybyśmy chociaż nie spróbowali.

– Zgadzam się z tym. Powinniśmy… Aha! Boczek! – Edward rozpromienił się na widok talerza z tostami i boczkiem, który gospodarz postawił na środku stołu. Danie trochę ostygło, ale miał taki apetyt, że ani trochę mu to nie przeszkadzało. – Słowo honoru – powiedział, zapominając o manierach przy stole. – Czyż to nie jest najlepsze jedzenie na świecie?

– Najlepsze? – spytała z powątpiewaniem.

Zbył ją machnięciem ręki.

– To boczek. Czy można się martwić, mając przed sobą talerz boczku?

– Interesująca filozofia.

Uśmiechał się zawadiacko.

– Ale bardzo skuteczna.

Cecilii udzielił się jego dobry humor. Sięgnęła po plasterek. Jeśli boczek jest naprawdę bramą do szczęścia, czemuż by go nie spróbować?

– Wiesz – powiedziała z pełnymi ustami (jeśli on nie dbał o maniery, to ona też nie musi, prawda?) – To wcale nie jest najlepszy boczek.

– Ale czujesz się już lepiej, prawda?

Przestała przeżuwać, przechyliła głowę na bok i zastanowiła się nad tym.

– Masz rację – musiała przyznać.

– Jak zwykle zresztą – odpowiedział z bezczelnym uśmieszkiem.

Kiedy tak siedzieli przy stole i zajadali się śniadaniem, uświadomiła sobie, że to nie boczek jest źródłem jej szczęścia, tylko mężczyzna naprzeciwko niej.

Szkoda, że do niej nie należał.

13

Zwykle czekam, aż przyjdzie list od ciebie, a potem dopiero odpowiadam, ale ponieważ minęło już klika tygodni bez wieści od ciebie, Edward nalega, żeby przejąć inicjatywę i napisać do ciebie. Nie mam wiele do powiedzenia. To zdumiewające, jak wiele czasu tkwimy w miejscu, nic nie robiąc. Albo maszerujemy. Podejrzewam jednak, że nie masz ochoty czytać dłuższego wykładu o sztuce, teorii i praktyce maszerowania.

Z listu Thomasa Harcourta do siostry Cecilii

Haarlem był dokładnie taki, jak Edward się spodziewał.

Infirmeria była spartańska, zgodnie z ostrzeżeniami majora Wilkinsa, ale na szczęście większość łóżek była pusta. Widać było, że Cecilię i tak przeraziły panujące tam warunki.

Po dłuższej chwili znaleźli szefa placówki. Sporo czasu zajęło im przekonanie go, by przejrzał księgi. Niestety, zgodnie z przewidywaniami Wilkinsa, nie było w nich wzmianki o Thomasie Harcourcie. Cecilia zastanawiała się, czy na pewno wpisują tam wszystkich pacjentów. Trudno było się temu dziwić. Ogólny poziom czystości nie budził zaufania do organizacji tej placówki.

Tyle że rejestry były prawdziwą świętością w brytyjskiej armii. Lista pacjentów była chyba jedyną rzeczą, której poświęcano uwagę w tej infirmerii. Każdą ze stron pokrywały wyraźne linijki pisma. Oprócz nazwisk wszędzie wpisywano stopnie wojskowe, daty przyjęcia, daty wypisu i sposób opuszczenia szpitala oraz krótki opis urazu lub choroby. Dzięki temu dowiedzieli się, że szeregowy Roger Gunnerly z Kornwalii właśnie dochodził do siebie po wrzodzie na lewym udzie, a szeregowy Henry Witherwax z Manchesteru zmarł w wyniku rany postrzałowej w brzuch.

Ale o Thomasie Harcourcie nie było żadnej wzmianki.

Mieli za sobą długi dzień. Drogi z Nowego Jorku do Haarlemu były okropne, a powóz, który udało im się wynająć, był niewiele lepszy. Dopiero po solidnej kolacji we Fraunces Tavern poczuli się lepiej. Powietrze było nieco mniej wilgotne niż poprzednio, a wieczorem powiała lekka bryza, niosąc ze sobą słony posmak morza, więc ruszyli w długi spacer do Devil’s Head. Szli powoli pustoszejącymi o tej porze ulicami Manhattanu. Cecilia wzięła Edwarda pod rękę i choć utrzymywali przyzwoitą odległość, każdy krok zbliżał ich do siebie.

Gdyby nie byli tak daleko od domu, gdyby wokół nie szalała wojna, byłby to cudowny wieczór.

Szli w milczeniu nadbrzeżnym bulwarem, obserwując, jak mewy nurkują za rybami. Nagle Cecilia odezwała się:

– Chciałabym…

Zamilkła.

– Co byś chciała? – zapytał Edward.

Odezwała się dopiero po dłuższej chwili, ze smutkiem kręcąc głową.

– Chciałabym wiedzieć, kiedy się poddać.

Wiedział, co powinien zrobić. Gdyby byli postaciami na scenie albo w powieści o bohaterach, powinien jej powiedzieć, że nigdy nie wolno się

poddawać, że muszą zachować wiarę w sercu i siłę, i poszukiwać Thomasa, aż sprawdzą wszystkie tropy.

Tyle że nie miał ochoty kłamać ani dawać jej fałszywej nadziei, więc powiedział tylko:

– Sam tego nie wiem.

Zatrzymali się pod wpływem tego samego impulsu i zapatrzyli w morze, w gasnącym blasku dnia.

Cecilia odezwała się pierwsza:

– Myślisz, że nie żyje, prawda?

– Myślę, że… – Nie chciał tego wypowiadać na głos ani nawet myśleć. – Myślę, że najprawdopodobniej nie żyje.

Skinęła głową. W jej wzroku malowała się rezygnacja. Pomyślał, że to jest dużo gorsze niż smutek.

– Zastanawiam się, czy byłoby nam łatwiej, gdybyśmy to wiedzieli na pewno.

– Sam nie wiem. Utrata nadziei albo świadomość prawdy. Niełatwy wybór.

– Nie. – Zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę, nie odwracając spojrzenia od horyzontu. W końcu, kiedy pomyślał, że odechciało jej się rozmowy, powiedziała: – Chyba wolałabym wiedzieć na pewno.

Skinął głową, choć na niego nie patrzyła.

– Chyba zgadzam się z tobą.

Dopiero wtedy odwróciła się ku niemu.

– Chyba? Nie jesteś pewny?

– Nie.

– Ja też nie.

– To był dzień pełen rozczarowań – mruknął.

– Nie. – Jej słowa go zaskoczyły. – Rozczarowanie oznacza, że spodziewaliśmy się czegoś innego.

Spojrzał na nią. Nie musiał o nic pytać.

– Wiedziałam, że prawdopodobnie nie dowiemy się niczego o Thomasie – powiedziała. – Ale trzeba było spróbować, prawda?

Ujął jej dłoń.

– Tak, trzeba było spróbować – zgodził się z nią. A potem przypomniało mu się coś jeszcze. – Dzisiaj wcale nie bolała mnie głowa.

W jej oczach błysnęła radość.

– Naprawdę? To cudownie. Trzeba było mi wcześniej powiedzieć.

W zamyśleniu podrapał się w szyję.

– Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę.

– To naprawdę cudownie – powtórzyła. – Tak się cieszę. Ja… – Stanęła na palcach i impulsywnie pocałowała go w policzek. – Jestem szczęśliwa. Nie lubię patrzeć na twój ból.

Podniósł jej dłoń do ust.

– Nie wytrzymałbym, gdyby nasze role się odwróciły – wyznał.

To była prawda. Na samą myśl, że mogłoby ją coś zaboleć, czuł, jak lodowata pięść ściska mu serce.

Zaśmiała się cicho.

– Byłeś świetnym pielęgniarzem, kiedy w zeszłym tygodniu się pochorowałam.

– Tak, ale wolałbym, żeby się to nie powtarzało, więc nie choruj, dobrze?

Spuściła wzrok z nieomalże nieśmiałą miną, a potem zadygotała.

– Zimno ci? – spytał.

– Trochę.

– Wracajmy do domu.

– To ma być dom?

Zaśmiał się.

– Przyznam szczerze, że nigdy nie myślałem, że zamieszkam w miejscu o diabelskiej nazwie.

– Wyobrażasz sobie – zaczęła ze złośliwym uśmieszkiem – że ktoś w Anglii mógłby nazwać swoją posiadłość Diabelski Dwór?

– Albo Chata Lucyfera?

– Szatańskie Opactwo?

Wybuchnęli oboje śmiechem. Potem Cecilia spojrzała w górę.

– Czekasz na grom z jasnego nieba?

– Owszem. Albo na plagę szarańczy.

Edward wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę zajazdu. Byli już blisko, kilka minut spacerem.

– Oboje jesteśmy w miarę przyzwoitymi ludźmi – powiedział, pochylając się ku niej, jakby dzielił się szczególnie smakowitą plotką. – Myślę, że biblijne plagi nas nie dotyczą.

– Miejmy nadzieję.

– Szarańczę pewnie bym jakoś wytrzymał. – Zadumał się. – Ale nie odpowiadałbym za siebie, gdyby woda zmieniła się w krew.

Zaśmiała się na tę myśl i odpowiedziała:

– Ja osobiście wolałabym uniknąć wrzodów.

– I wszy. – Zadygotał. – Przepraszam za słowo, ale to paskudne draństwo.

Spojrzała na niego.

– Miałeś wszy?

– Wszyscy żołnierze je mają – przyznał. – Ryzyko zawodowe.

Miał wrażenie, że ogarnęło ją lekkie obrzydzenie.

Pochylił się ku niej przekornie.

– Teraz jestem już czysty.

– Mam nadzieję. Od tygodnia mieszkam z tobą w jednym pokoju.

– À propos… – zamruczał. Choć nie zwracali na to uwagi, nogi same zaniosły ich do Devil’s Head.

– Znowu w domku – rzuciła z przekąsem.

Przepuścił ją w drzwiach.

– A jakże.

Tłumek gości na dole wydawał się bardziej hałaśliwy niż zwykle, więc objął ją w pasie i poprowadził ku schodom. Wiedział, że w tym mieście trudno byłoby znaleźć lepsze lokum, ale mimo wszystko nie było to miejsce dla damy. Gdyby byli w Anglii, nawet do głowy by mu nie przyszło…

Odsunął od siebie tę myśl. Nie byli w Anglii. Tu nie obowiązywały normalne zasady.

Normalne. Nie pamiętał już nawet, co znaczy to słowo. Krwiak w jego głowie pochłonął trzy miesiące życia. Jego najlepszy przyjaciel zniknął bez śladu, tak że armia nawet nie zauważyła jego braku, a całkiem niedawno poślubił kobietę przez pełnomocnika.

Małżeństwo *per procura*. Wielki Boże, jego rodzice byliby w szoku. On sam zresztą też z trudem to zaakceptował. Nie był w gorącej wodzie kąpany jak Andrew, jego młodszy brat, który łamał zasady dla czystej przyjemności. Lubił mieć porządek w ważnych życiowych sprawach. Wcale nie był pewny, czy małżeństwo *per procura* zostanie uznane w Anglii za legalne.

I jeszcze jedno: cała ta sytuacja wydawała mu się dziwna. Nie był pewny, jakim sposobem Thomas nakłonił go do małżeństwa z Cecilią. Miał wrażenie, że nie wszystko mu powiedziała. Pewnie sama nie wszystko wiedziała, ale cała prawda wyjdzie na jaw dopiero, gdy on odzyska pamięć.

Albo gdy odnajdą Thomasa.

Trudno powiedzieć, co było mniej prawdopodobne.

– Edwardzie?

Zamrugał oczyma i skupił wzrok na Cecilii. Stała przy drzwiach ich pokoju, z lekko rozbawioną miną.

– Znowu zrobiłeś tę minę – powiedziała. – Nie tę od wspomnień, tylko tę od głębokiego zamyślenia.

Wcale go to nie zdziwiło.

– Zamyśliłem się głęboko o niczym – skłamał i wyjął klucz. Nie chciał ujawniać przed nią swoich podejrzeń. Było na to jeszcze za wcześnie. Nie

wątpił, że Thomas miał ważne powody, by go namówić do tego małżeństwa – był dobrym człowiekiem i na pewno pragnął dobra siostry – ale jeśli namówiono ją do małżeństwa podstępem, będzie wściekła.

Może powinien bardziej się starać by wydobyć prawdę na światło dzienne, ale szczerze mówiąc, miał teraz poważniejsze sprawy na głowie, a poza tym cieszył się z tego małżeństwa.

Dlaczego, u licha, zakłócać tę równowagę i spokój, które stały się ich udziałem?

Chyba że…

Był tylko jeden powód, dla którego należało to zrobić.

Upływ czasu. Na pewno o to chodziło. Pożądanie… pragnienia… Groziły wybuchem od chwili, kiedy ją zobaczył.

Może dlatego, że domyślił się, kim jest, kiedy rozmawiała z pułkownikiem Stubbsem. Może dlatego, że nawet leżąc w szpitalnym łóżku, wyczuwał jej troskę i oddanie, a kiedy otworzył oczy i zobaczył po raz pierwszy jej zielone oczy pełne niepokoju a potem zaskoczenia, ogarnęła go lekkość, jakby wszystko wokół szeptało mu do ucha:

To ona.

Ta jedyna.

Choć był wtedy bardzo słaby, od razu jej zapragnął.

Tylko że teraz…

Jeszcze nie wróciła mu pełnia sił, ale na to na pewno ich starczy.

Popatrzył na nią. Wciąż się uśmiechała, spoglądając na niego, jakby ukrywała jakiś uroczy sekrecik. Albo myślała, że on to robi. Tak czy owak, z rozbawieniem przechyliła głowę na bok i spytała:

– Otwierasz te drzwi, czy nie?

Posłusznie przekręcił klucz.

– Dalej dumasz o niczym? – zażartowała, kiedy przepuszczał ją w drzwiach.

Nie. Zastanawiał się, czy ona jest świadoma, że co wieczór, przed położeniem się spać, odgrywają tę samą pantomimę. Ona nerwowo przełyka ślinę, on spogląda na nią ukradkiem. Ona łapie jedną jedyną książkę, która jest w pokoju, on strzepuje nieistniejący kurz ze swej szkarłatnej kurtki. Co wieczór Cecilia wypełnia pokój nerwową paplaniną. Uspokaja się dopiero, kiedy on wsunie się pod kołdrę z przeciwnej strony i powie jej dobranoc. Oboje wiedzą, co znaczą te słowa.

Nie dziś.

Jeszcze nie.

Czy ona wie, że on także czeka na sygnał? Na spojrzenie, na dotyk… na znak, że jest gotowa.

Bo on jest już gotów. Aż za bardzo. I być może… ona też.

Tylko sama o tym nie wie.

Gdy tylko weszli do ciasnego pokoiku, Cecilia podeszła do miednicy stojącej na bocznym stoliku. Poprosiła, by służba napełniała ją co wieczór.

– Ochlapię tylko twarz – powiedziała, jakby nie wiedziała, że robi to co wieczór.

Kiedy się myła, on rozpiął mankiety a potem usiadł na łóżku, żeby ściągnąć buty.

– Dzisiejsza kolacja była doskonała – powiedziała, rzucając przez ramię błyskawiczne spojrzenie, zanim sięgnęła po szczotkę do włosów.

– Owszem – przytaknął. To była część ich duetu, skomplikowana choreografia, która prowadziła ich do łóżka. Kładli się każde po swojej stronie a rano udawali, że wcale nie obudziła się w jego ramionach. Stale sprawdzała, czy on przypadkiem nie zachowuje się inaczej, obserwowała jego twarz i ruchy.

Tym razem nie potrzebował jej w roli lustra – sam wiedział, że to prawda.

Oczy miała przejrzyste, bladozielone i jasne. Żadna emocja by się w nich nie ukryła. Nie wyobrażał sobie, żeby Cecilia mogła mieć jakieś tajemnice.

Na pewno zdradziłby ją wyraz twarzy, te pełne wargi, które ani na chwilę nie zaznały spokoju. Nawet gdy była spokojna, jej ruchliwa twarz zdradzała emocje. Brwi wędrowały w dół, wargi się rozchylały odrobinę, żeby wydobyło się z nich westchnienie. Ciekawe, czy inni też to zauważają. Na pierwszy rzut oka wydawała się taka spokojna. Ale jeśli przyjrzeć się bliżej, co kryje się za tą owalną twarzyczką i spokojnymi rysami, które utrwalono na kiepskiej miniaturze, w którą wpatrywał się tak często… Wtedy można było to dostrzec. Ledwie dostrzegalny ruch, taniec do wtóru jej myśli.

Mógłby jej się przyglądać długie lata i nigdy by się tym nie znudził.

– Edwardzie?

Zamrugał oczyma. Siedziała przy toaletce i przyglądała mu się ciekawie.

– Zapatrzyłeś się w przestrzeń – powiedziała. Rozpuściła włosy. Nie były aż tak długie, jak myślał wtedy w szpitalu, gdy zobaczył, jak wymykają się spod szpilek. Co noc patrzył, jak je szczotkuje, a jej wargi poruszają się milcząco przy szczotkowaniu. Obserwował zafascynowany, jak zmieniają się i lśnią, gdy przeciąga szczotką po pasmach. – Edwardzie?

Znowu go przyłapała.

– Przepraszam – powiedział. – Błądzę myślami.

– Pewnie jesteś bardzo zmęczony.

Wolał nie szukać podtekstów w jej słowach.

– Owszem, jestem zmęczony.

To proste zdanie można było zrozumieć na tak wiele sposobów. Najprostsza interpretacja to: „Rzeczywiście jestem zmęczony. To był długi dzień”.

Wiedział jednak, że to nie wszystko. Cecilia zawsze dbała, żeby się nie przemęczał, więc na pewno pomyślała: „Jeśli ja jestem zmęczona, to ty również”.

Do tego dochodził jeszcze prawdziwy sens jej słów. Najprostszy i najbardziej oczywisty: „Jeśli ci powiem, że jestem zmęczona… Jeśli pomyślisz, że nie mam ochoty…”

– Mogę? – mruknął, sięgając po szczotkę.

– Co takiego? – Na szyi zadrgał jej puls. – Och, nie trzeba, prawie skończyłam.

– Tylko trochę ponad połowę.

Zmarszczyła brwi, zakłopotana.

– Słucham?

– Wyszczotkowałaś je dwadzieścia osiem razy. Normalnie szczotkujesz pięćdziesiąt.

– Liczysz, ile razy przeciągam wieczorem szczotką po włosach?

Wzruszył ramionami, choć jego ciało napięło się całe, gdy zwilżyła językiem wyschnięte miejsce na górnej wardze, nieco po lewej.

– Masz swoje nawyki – powiedział. – A ja jestem dobrym obserwatorem.

Odłożyła szczotkę, jakby rezygnacja z rutyny miała uczynić ją inną osobą.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem aż tak przewidywalna.

– Nie jesteś przewidywalna – poprawił. Ujął srebrną szczotkę. – Tylko konsekwentna.

– Konsek…

– Uprzedzając twoje pytanie: to jest komplement – przerwał jej spokojnie.

– Nie musisz szczotkować mi włosów.

– Oczywiście, że muszę. Ty mnie goliłaś, jeśli sobie przypominasz. Przynajmniej tak ci się odwdzięczę.

– Tak, ale ja…

– Cicho – skarcił ją i przeciągnął szczotką po lśniących, rozczesanych już lokach.

– Edwardzie, ja…

– Dwadzieścia dziewięć – powiedział, uprzedzając jej protesty. – Trzydzieści.

Dokładnie wiedział, kiedy się wreszcie poddała. Jej sztywna jak kij sylwetka zmiękła, a z warg wymknęło się westchnienie. Albo prawie westchnienie.

Liczył w pamięci: trzydzieści dwa, trzydzieści trzy, trzydzieści cztery.

– Przyjemnie, prawda?

– Mmm.

Uśmiechnął się. Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć. Ciekawe, czy zauważy, kiedy przekroczą pięćdziesiąt.

– Czy ktoś się kiedyś o ciebie troszczył?

Ziewnęła.

– To głupie pytanie.

– Wcale nie. Każdemu należy się troska i opieka. Niektórym nawet bardziej niż innym.

– Thomas się mną opiekuje – odpowiedziała w końcu. – A raczej opiekował się. Tak dawno go już nie widziałam.

Teraz ja to będę robił, przysiągł sobie Edward w duchu.

– A ty opiekowałaś się mną, kiedy byłem chory.

Odwróciła się na tyle, że dostrzegł jej zdziwioną minę.

– Oczywiście.

– Nie każdy by to zrobił – dodał.

– Jestem twoją… – nie dokończyła zdania.

Czterdzieści dwa, czterdzieści trzy…

– Jesteś prawie moją żoną – powiedział cicho.

Widział tylko zarys jej twarzy, nawet nie pełny profil. Ale wiedział, że wstrzymała oddech. Natychmiast to wyczuł.

– Czterdzieści osiem – mruknął. – Czterdzieści dziewięć.

Położyła dłoń na jego ręce i przytrzymała ją. Czy chciała przedłużyć tę chwilę? Zatrzymać czas, żeby nie nadszedł nieunikniony moment intymności?

Pragnęła go. Wiedział o tym. Słyszał, jak cicho jęczy, kiedy się całują. Pewnie sama nie wiedziała, że wydaje te słodkie dźwięki. Czuł jej pożądanie w każdym dotyku ciekawskich, bezpretensjonalnych warg.

Ujął jej dłoń, która wciąż spoczywała na jego ręce i uniósł ją do ust.

– Pięćdziesiąt – szepnął.

Nie poruszyła się.

Cicho, miękko obszedł ją dookoła, ujął jej dłoń drugą ręką i odłożył szczotkę na toaletkę. Znowu uniósł jej palce do warg, ale tym razem pociągnął ją łagodnie, by stanęła na nogi.

– Jesteś taka piękna – szepnął, wiedząc, że te słowa to za mało. Była czymś więcej niż śliczną twarzyczką. Chciał jej to powiedzieć, ale nie był poetą, więc nie wiedział jak. Tym bardziej, że powietrze wokół nich zgęstniało i zapłonęło pożądaniem.

Dotknął jej policzka, zachwycając się miękką, jedwabistą skórą pod szorstkimi palcami. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Wyczuwał jej napięcie, o wiele większe, niż się spodziewał. Przecież przez ostatni tydzień stali się sobie tak bliscy. Nigdy jeszcze nie był z dziewicą. Może wszystkie są takie same.

– To nie jest nasz pierwszy pocałunek – przypomniał, miękko dotykając jej warg swoimi.

Dalej stała nieruchomo, ale przysiągłby, że czuje, jak mocno biło jej serce. Może słyszał je przez skórę, przez stykające się ze sobą ręce.

Połączenie serc.

Czyżby się w niej zakochał? Jakież inne uczucie sprawiłoby, że nie liczył się żaden dzień bez jej uśmiechu?

Naprawdę się w niej zakochał. Był do tego na dobrej drodze, zanim się jeszcze spotkali. Może nigdy sobie nie przypomni wydarzeń, które doprowadziły do ich związku, ale to będzie pamiętał zawsze. Ten pocałunek. Ten dotyk.

– Nie bój się – zamruczał, całując ją znowu. Tym razem zaczął pieścić jej wargi językiem.

– Ja się nie boję – odpowiedziała. Jej głos brzmiał tak dziwnie, że na chwilę przerwał. Dotknął jej podbródka, uniósł twarz do góry i zajrzał w oczy, szukając czegoś, czego nie potrafił nawet określić.

O wiele łatwiej byłoby, gdyby wiedział, co to ma być.

– Czy ktoś cię kiedyś skrzywdził? – spytał, choć wolałby tego nie robić.

Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Odezwała się dopiero, gdy wziął oddech, żeby tłumaczyć dalej.

– Nie – powiedziała szybko, gdy nagle dotarło do niej znaczenie jego słów. – Słowo daję, że nie – dodała.

Ogarnęła go fala przemożnej ulgi, Gdyby ktoś ją skrzywdził, zgwałcił… Nieważne, czy była dziewicą, czy nie, ale spędziłby resztę życia, szukając tego łajdaka, żeby wymierzyć mu sprawiedliwość.

Jego serce – nie, jego dusza – nie zgodziłoby się na nic innego.

– Będę delikatny – obiecał, przesuwając dłonią po jej szyi ku obojczykowi. Nie przebrała się jeszcze w koszulę nocną. Tkanina jej sukni była grubsza i wszędzie pełno było kłopotliwych guzików i sznurówek, ale za to odsłaniała cały dekolt, od ramion aż po miękkość piersi.

Pocałował ją tam, gdzie wstążki sukni stykały się z ciałem. Jęknęła a jej ciało instynktownie wygięło się ku niemu.

– Edwardzie, ja…

Pocałował ją znowu, bliżej rowka między piersiami.

– No, nie wiem, czy…

A potem z drugiej strony. Każdy pocałunek był jak błogosławieństwo, jak cień namiętności, którą trzymał w karbach.

Jego palce odnalazły sznurówki z tyłu sukni. Dotknął jej ust swoimi, powoli uwalniając jej ciało z tkaniny. Chciał tylko odwrócić jej uwagę, ale ponieważ wariował z namiętności, przepadł bez reszty, kiedy tylko rozchyliła wargi.

Ona zresztą też. Z początku wydawało się jej, że to zabawa, ale po chwili upili się sobą, jakby miało to być pierwsze i ostatnie zbliżenie. Edward cudem nie zerwał z niej sukni. Pewnie resztki zdrowego rozsądku przypomniały mu, że Cecilia zabrała w podróż tylko dwie i że obie będą jej potrzebne.

Miała na sobie cienką koszulkę, luźno zawiązaną z przodu. Palce mu dygotały, gdy ją rozwiązywał. Pociągnął za wstążki powoli, patrząc, jak jeden koniec wysuwa się z węzła.

Ściągnął koszulkę z jej ramienia. Jego oddech przyspieszył na widok brzoskwiniowej skóry, która się pod nią kryła.

– Odwrotnie – powiedziała.

– Co takiego? – mówiła tak cicho, że nie dosłyszał.

– Koszulka – wytłumaczyła, spuszczając wzrok. – Zdejmuje się ją przez głowę.

Jego dłoń znieruchomiała. Poczuł, że kącik ust unosi mu się w uśmiechu. Chciał być taki delikatny, taki dżentelmeński, a tu ona sama wydaje mu instrukcje, jak ma ją rozbierać.

Była taka cudowna. Nie. Była po prostu wspaniała. To nie do pojęcia, że przedtem wydawało mu się, że żyje pełnią życia.

Podniosła wzrok i przechyliła głowę, pytając:

– Co się dzieje?

Tylko pokręcił głową.

– Uśmiechasz się – powiedziała oskarżycielsko.

– To prawda.

Teraz i ona się uśmiechnęła.

– Dlaczego?

– Bo jesteś doskonałością.

– Edwardzie, ja wcale…

Przecząco kręciła głową, kiedy wziął ją w ramiona. Łóżko było o kilka kroków, a ona była jego żoną i wreszcie będzie mógł się z nią kochać. Na

Boga, chwyci ją na ręce i zaniesie tam zaraz.

Całował ją bez opamiętania, błądząc dłońmi po jej ciele, najpierw przez koszulkę a potem odważnie wsuwając je pod tkaninę. Była jak marzenie, taka czuła i ciepła. Poczuł nagle jej stopę na nodze. Przyciągnęła go do siebie. Cały świat eksplodował, jakby słońce wybuchło. To już nie było uwiedzenie. Ona również go pragnęła. Chciała, żeby był bliżej, chciała czuć jego ciało na swoim. Serce mu śpiewało z radości i spełnienia.

Odsunął się, na tyle tylko, żeby ściągnąć koszulę przez głowę.

– Inaczej wyglądasz – powiedziała, spoglądając namiętnie.

Uniósł brwi.

– Ostatni raz widziałam cię w dniu wyjścia ze szpitala – powiedziała, wyciągając dłoń i dotykając jego piersi czubkami palców.

Pewnie tak było. Zawsze odwracała się, kiedy się przebierał. A on zawsze ją obserwował i zastanawiał się, co sobie myślała i czy nie kusiło ją, żeby się odwrócić.

– Mam nadzieję, że lepiej – mruknął.

Przewróciła oczami. W sumie miała rację. Jeszcze nie odzyskał dawnej wagi, ale był już sprawniejszy. Kiedy przesuwał dłońmi po rękach, wyczuwał mięśnie, które zaczynały się powoli odbudowywać, przydając mu sił.

Ale na to na pewno wystarczy mu energii. Zdecydowanie.

– Nie myślałam, że mężczyźni też mogą być piękni – powiedziała.

Oparł obie dłonie na jej ramieniu, pochylił się nad nią i ostrzegł:

– Jeśli sprawisz, że zacznę się rumienić, będę musiał użyć mężowskiej władzy.

– Mężowskiej władzy? A co to takiego?

– Nie jestem pewny – przyznał. – Ale zdaje mi się, że przyrzekałaś mi posłuszeństwo.

Gdyby nie był tak zapatrzony w jej twarz, może by nie zauważył, że zacisnęła zęby i przełknęła ślinę, poruszając grdyką. O mało co nie

zażartował sobie z niej. Żadna z kobiet, które znał – a już na pewno żadna z tych, które szanował i cenił – nie traktowała tego przyrzeczenia na serio.

Ciekaw był, czy skrzyżowała palce, wypowiadając przysięgę na statku. Albo czy ta chytra lisiczka znalazła jakiś sposób, by je obejść. A teraz była zbyt zakłopotana, by się przyznać.

– Nie oczekuję, że będziesz mnie słuchać – mruknął z uśmiechem, całując ją znowu. – Po prostu zgadzaj się ze mną we wszystkim.

Próbowała odepchnąć jego ramię, ale tylko się roześmiał. Nawet kiedy przetoczył się na bok i przyciągnął ją do siebie, nie potrafił powstrzymać cichej wesołości, która udzieliła się też Cecilii.

Czy kiedykolwiek przedtem śmiał się, będąc w łóżku z kobietą? Kto by powiedział, że to może być takie cudowne.

– Dzięki tobie jestem szczęśliwy – powiedział a potem w końcu posłuchał jej rady i zdjął z niej tę koszulkę. Uniosła ramiona, kiedy ściągał ją przez głowę.

Jej widok zaparł mu dech w piersiach. Była całkiem naga i choć kołdra zasłaniała dolną część jej ciała, obie piersi były na widoku. Nigdy nie widział piękniejszej kobiety, ale to nie wszystko. Oprócz tego, że kręciło mu się w głowie z namiętności, że nigdy nie był tak twardy i gotowy, było coś jeszcze.

Coś głębszego.

Coś boskiego.

Dotknął jej piersi i pogładził kciukiem śliczny różowy sutek. Westchnęła, a on nie potrafił powstrzymać pomruku męskiej dumy. Był szczęśliwy, że budzi w niej pożądanie, że ona tego chce. Wspaniale było wiedzieć, że na pewno jest już wilgotna, że jej ciało budzi się do życia, i to dzięki niemu.

– Taka śliczna – szepnął, układając ją na plecach i klękając nad jej ciałem. Teraz, gdy była naga, jego pozycja miała oczywiste, erotyczne zabarwienie. Różowe pączki sutków dumnie prężyły się na piersiach, nieco

spłaszczonych pod własnym ciężarem. Jakby błagały o dotyk. – Mógłbym tak patrzeć cały dzień – powiedział.

Jej oddech stał się szybszy.

– A może i nie – poprawił się i pochylił, by liznąć prawy sutek. – Chyba nie mógłbym tylko się przyglądać i niczego nie dotykać.

– Edward… – szepnęła.

– Ani nie całować – dodał. Zajął się drugą piersią, obejmując sutek wargami.

Wygięła się w łuk, a z jej ust wyrwał się cichy okrzyk pod wpływem tej rozkosznej tortury.

– Mogę go też skubnąć – zamruczał i dotknął zębami drugiego.

– Boże – jęknęła. – Co ty wyprawiasz? Czuję to aż…

Zaśmiał się.

– O to mi chodziło.

– Nie, ja to czuję w…

Poczekał chwilę, a potem głosem mrocznym z pożądania zapytał:

– Czujesz to gdzie indziej?

Skinęła głową.

Pewnego dnia, kiedy będą kochali się po raz setny, namówi, ją by powiedziała, gdzie to czuje. Namówi ją, by wypowiedziała słowa, od których jego twardy członek jeszcze bardziej stwardnieje, jakby był ze stali. Ale dzisiaj to on będzie niegrzeczny. Użyje każdej broni w swoim arsenale, by obudzić w niej namiętność, by pragnęła mieć go w sobie.

Nauczy ją, co to jest adoracja. I męski zachwyt. Dobrze wiedział, że jego największą przyjemnością będzie doprowadzić ją do rozkoszy.

Ujął w dłoń wzgórek jej piersi i ścisnął ją, szepcząc prosto w ucho:

– Ciekaw jestem bardzo, gdzie ty to czujesz.

Skubnął ją zębami. Przetoczył się na bok, oparł na łokciu i przesunął dłoń z jej piersi na biodro.

– Może tutaj?

Jej oddech stał się głośniejszy.

– A może… – Dłoń przesunęła się na brzuch. Połaskotał ją palcem w pępek. – Może tutaj?

Dygotała pod jego dotykiem.

– Chyba jednak nie tutaj… – powiedział, kreśląc leniwe kręgi na jej skórze. – Myślę, że to jest trochę niżej…

Płaską dłonią, powoli, leniwie, przesunął po jej brzuchu w dół, aż palce zagłębiły się w miękkie runo wokół jej kobiecości. Poczuł, jak znieruchomiała, jakby nie wiedziała, co robić. Uśmiechnął się tylko, słysząc jej urywany, chrapliwy oddech.

Delikatnie rozchylił jej wargi i masował to miejsce, aż jej ciało zmiękło i otworzyło się przed nim.

– Podoba ci się? – szepnął, choć wiedział, że tak jest. Kiedy skinęła głową, poczuł się jak król świata. To, że mógł dać jej rozkosz, napełniało jego serce dumą.

Dalej się z nią drażnił, prowadził coraz dalej na szczyt, choć jego ciało rozpaczliwie dopominało się spełnienia. Z początku wcale nie zamierzał doprowadzić jej do rozkoszy, ale kiedy jej dotknął, kiedy poczuł, jak jej ciało śpiewa mu pod palcami, wiedział już, co ma robić. Chciał, żeby rozpadła się na drobne kawałeczki, żeby zapomniała o wszystkim i przekonała się, że nie ma na świecie większej rozkoszy.

A on jej potem pokaże, że jednak jest.

– Co ty wyprawiasz? – szepnęła, ale to było chyba retoryczne pytanie. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu i całe ciało wygięła w łuk. Cudowne piersi mierzyły prosto w niebo. Nigdy w życiu nie widział tak pięknego, erotycznego obrazu.

– Kocham się z tobą.

Otworzyła oczy.

– Ale…

Przyłożył palec do jej warg.

– Nie przeszkadzaj mi.

Była mądrą dziewczynką, więc na pewno wiedziała, co odbywa się między mężczyzną a kobietą i wiedziała też, że bierze w tym udział coś większego niż palec. Ale wyraźnie nikt jej nie powiedział o różnych przyjemnościach, których można doznać po drodze.

– Słyszałaś o *la petite mort*? – zapytał.

Spojrzała, nie rozumiejąc, o co chodzi i potrząsnęła głową.

– O małej śmierci?

– Tak na to mówią Francuzi. Zapewniam cię, że to tylko metafora. Dla mnie zawsze był to hymn na cześć życia. – Pochylił się i wziął jej sutek do ust. – Albo nawet sens życia.

Potem, z przekornym, obiecującym spojrzeniem, które było odbiciem jego stanu ducha, popatrzył na nią przez rzęsy i szepnął:

– Pokazać ci, co to jest?

14

Tęsknię za czasami w Londynie, kiedy mogliśmy do siebie pisywać dzień w dzień, jakbyśmy prowadzili rozmowę. Teraz jesteśmy na łasce oceanicznych pływów. Nasze listy spotykają się w podróży przez wielką wodę. Pani Pentwhistle mówi, że to piękna myśl. Wyobraża sobie, że mają dłonie i machają do siebie, unosząc się na falach. Zdaje mi się jednak, że pani Pentwhistle pije za dużo wina mszalnego pastora Pentwhistle'a.

Powiedz kapitanowi Rokesby, że ten fioletowy kwiatek, który zasuszył w liście, dotarł do mnie w doskonałym stanie. Czy to nie cudowne, że taka drobina potrafi przetrwać podróż z Massachusetts do Derbyshire? Obawiam się, że nigdy nie będę miała okazji, by mu osobiście za to podziękować. Powiedz mu, proszę, że zachowam go na zawsze. To wyjątkowe uczucie mieć przy sobie kawałeczek waszego świata.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Mała śmierć.

Francuzi dobrze wiedzieli, o co chodzi, gdy ukuli ten zwrot. Bo to napięcie, które ogarnęło jej ciało… ta pulsująca, nieodparta potrzeba

czegoś, czego nie rozumiała… miała wrażenie, że nie przeżyje tego, co zdarzy się już za chwilę.

– Edward… – jęknęła. – Ja nie wytrzymam…

– Wytrzymasz – zapewnił ją, ale mniej zwróciła uwagę na to słowo niż na jego głos, od którego wibrowała jej skóra tam, gdzie jego przewrotne usta leniwie odkrywały sekrety jej piersi.

Dotykał ją i całował w miejscach, których sama nie odważyła się poznać. Była oszołomiona. A raczej rozbudzona. Przeżyła w tym ciele dwadzieścia dwa lata i dopiero teraz dowiedziała się, po co ono jest.

– Odpręż się – szepnął.

Chyba zwariował. Przy tym nie sposób było się odprężyć. Wcale tego nie chciała. Chciałaby coś chwytać w palce, w pazury i krzyczeć, wdzierając się aż na szczyt.

Tylko że nie wiedziała, co jest tym szczytem i co czeka ją po drugiej stronie.

– Proszę cię – błagała, choć nie wiedziała o co. Ale to nie miało znaczenia, bo on wiedział wszystko. Przynajmniej taką miała nadzieję. W przeciwnym razie chybaby go zabiła.

Wargami i palcami przywiódł ją na szczyt namiętności. A potem, kiedy uniosła biodra, w milczeniu błagając o więcej, wsunął w nią palec i musnął językiem pierś.

Rozpadła się na drobne kawałeczki.

Wykrzyknęła jego imię, kiedy jakaś siła poderwała jej biodra z pościeli. Wszystkie mięśnie zacisnęły się naraz, jakby cała orkiestra symfoniczna zagrała naraz tę samą nutę. Ciało naprężyło się jak deska, a potem opadło na materac, gdy do płuc napłynęło powietrze.

Edward cofnął dłoń i położył się obok niej, oparty na łokciu. Kiedy miała już dość siły, żeby otworzyć oczy, zobaczyła, że śmieje się jak kot nad miską śmietanki.

– Co to było? – spytała bez tchu.

Odsunął wilgotne pasmo włosów z jej czoła, pochylił się i pocałował jej brew.

– *La petite mort* – szepnął.

– Och… – W tym jednym dźwięku zawierał się bezmiar zdziwienia. – Tak przypuszczałam.

Rozbawiło go to wyraźnie, ale w tak miły sposób, że zarumieniła się z radości. Potrafiła sprawić, że się uśmiechał. Że był szczęśliwy. To na pewno będzie miało znaczenie, gdy nadejdzie ostateczne rozliczenie.

Ale jeszcze nie skonsumowali małżeństwa.

Zamknęła oczy. Nie wolno jej myśleć w ten sposób. Nie było żadnego małżeństwa. Nie będzie żadnego skonsumowania, będzie…

– Co się dzieje?

Podniosła wzrok. Edward wpatrywał się w nią błękitnymi oczyma, które pozostały jasne nawet w wieczornym półmroku.

– Cecilia? – W jego głosie nie było niepokoju, ale wyczuwał, że coś się zmieniło.

– Ja tylko… – szukała właściwych słów, żeby powiedzieć coś, co będzie prawdą. W końcu znalazła: – To mnie przerasta.

Uśmiechnął się lekko, ale ten uśmiech na zawsze zapadł jej w serce.

– To chyba dobrze, prawda?

Skinęła głową. Owszem, to było dobre, przynajmniej na razie. Za to w przyszłym tygodniu albo w przyszłym miesiącu, kiedy jej życie się zawali…

Och, zajmie się tym wszystkim, kiedy nadejdzie czas.

Pieszczotliwie przesunął palcami po jej policzku i wpatrywał się w nią dalej, jakby chciał dowiedzieć się, co kryje jej dusza.

– O czym myślisz?

O czym myślała? O tym, że go pragnie. Że go kocha. Że czuje się, jakby byli małżeństwem, choć to nieprawda, i że bardzo pragnie, żeby to było prawdą, choćby na tę jedną noc.

– Pocałuj mnie – powiedziała, żeby wrócić do rzeczywistości. Chciała żyć tą chwilą, zamiast przenosić się myślą w przyszłość, w świat, w którym uśmiech Edwarda nie będzie należał do niej.

– Ale się zrobiłaś władcza – zażartował.

Nie dała się wciągnąć w sprzeczkę.

– Pocałuj mnie – powtórzyła, obejmując go za szyję. – I to już.

Przyciągnęła go do siebie. Kiedy ich wargi się spotkały, nagle ogarnął ich nienasycony apetyt. Całowała go, jakby był powietrzem, jedzeniem i wodą. Dawała mu wszystko, co miała, wszystko, o czym nigdy mu nie będzie mogła powiedzieć. To było wyznanie i przeprosiny zarazem – kobiece pragnienie spełnienia, które nagle może stać się jej udziałem.

Odpowiedział na to z równą namiętnością.

Nie miała pojęcia, co ją naszło, skąd jej ręce wiedziały, co mają robić, dlaczego przyciągała go do siebie i dlaczego rozwiązała troki spodni, które w dalszym ciągu miał na sobie.

Kiedy odsunął się, wydała okrzyk frustracji, ale on zeskoczył z łóżka tylko po to, by pozbyć się tej irytującej odzieży. Ani na chwilę nie odwróciła od niego wzroku. Na Boga, był taki piękny. Piękny i tak duży, że jej oczy rozszerzyły się z niepokoju.

Kiedy zauważył jej minę, zaśmiał się cicho. Położył się na łóżku z dzikim, zawadiackim wyrazem twarzy.

– Zmieści się – szepnął jej gardłowo do ucha.

Dopiero kiedy wsunął dłoń między jej nogi, uświadomiła sobie, jak jest gorąca i wilgotna. Rozpalona pożądaniem. Czy taki był cel jego pieszczot? Czy przygotowywał ją dla siebie?

Jeśli tak, to udało mu się to, bo była go niesłychanie głodna, pragnęła wziąć go w siebie, połączyć się z jego ciałem i zostać tak już na zawsze.

Poczuła, jak na nią napiera samym czubkiem i wstrzymała oddech.

– Będę uważał – obiecał.

– Nie wiem, czy tego chcę.

Zadygotał. Kiedy spojrzała mu w twarz, miał zaciśnięte szczęki, jakby walczył o panowanie nad sobą.

– Nie mów tak – wykrztusił.

Wygięła się ku niemu, żeby być jeszcze bliżej.

– Ale to prawda.

Poruszył się, a ona poczuła, jak otwiera się przed nim.

– Boli? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała – …ale to takie dziwne.

– Dziwne i przyjemne, czy dziwne i niedobre?

Zamrugała oczyma, próbując ocenić to, co czuje.

– Tylko dziwne.

– Nie jestem pewny, czy podoba mi się ta odpowiedź – zamruczał.

Podłożył ręce pod jej pośladki, rozszerzył nogi. Sapnęła, gdy wsunął się głębiej.

– Nie chcę, żeby to było dla ciebie dziwne – usłyszała tuż nad uchem. – Zdaje się, że będziemy to robić bardzo często.

Jego głos brzmiał inaczej – tak dziko, że obudził w niej nieznany, kobiecy ton. To ona sprawiła, że ten duży, silny mężczyzna tracił panowanie nad sobą. Tak bardzo jej pragnął.

Nigdy w życiu nie czuła się tak potężna.

Czuła się inaczej niż przedtem, gdy zaspokajał ją tylko dłońmi i wargami a mimo to zaprowadził ją na szczyt, a potem zepchnął w otchłań rozkoszy. Teraz musiała do niego przywyknąć, wpuścić go w siebie. To nie bolało, ale nie było aż tak przyjemne jak przedtem. W każdym razie nie dla niej.

Za to dla Edwarda… Widziała na jego twarzy odbicie emocji, które targały nią przedtem. Był wniebowzięty. To jej wystarczyło.

Ale jemu wyraźnie nie, bo spochmurniał i przestał się poruszać.

Spojrzała pytająco.

– To za mało – powiedział, całując ją w czubek nosa.

– Nie jest ci ze mną dobrze? – Wydawało jej się, że tak, ale może się myliła.

– Jeszcze trochę, a spłonę na popiół – powiedział z przekąsem. – Chodzi o to, że tobie nie jest ze mną dobrze

– Jest. Przecież wiesz, że tak było. – Zarumieniła się, ale za wszelką cenę chciała, żeby to wiedział.

– Myślisz, że dwa razy nie da się osiągnąć takiej rozkoszy?

Jej oczy stały się okrągłe i wielkie.

Wsunął dłoń między ich ciała i odnalazł najbardziej pobudliwe miejsce.

– Och!

Poczuła, jak go dotyka, a potem poddała się przemożnemu impulsowi, który kazał jej krzyknąć ze zdziwienia.

– Tak już lepiej – mruknął.

Wtedy napięcie znowu zaczęło wzrastać. Pożądanie i pragnienie były tak potężne, że nawet nie czuła coraz dłuższych pchnięć. Za każdym razem wydawało się, że już więcej się nie zmieści, ale kiedy wysuwał się nieco i znowu napierał, wnikał coraz głębiej w jej duszę.

Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że można być z kimś tak blisko i pragnąć jeszcze większej bliskości.

Wygięła plecy, chwyciła go za ramiona, a ich ciała połączyły się ze sobą.

– Wielki Boże – szepnął. – Czuję się, jakbym wrócił do domu.

Spojrzał na nią. Oczy zalśniły mu wilgocią, gdy zamknął jej wargi namiętnym pocałunkiem.

A potem znowu zaczął się poruszać.

Najpierw powoli, łagodnie, dając jej cudowne poczucie bliskości. Ale po chwili zaczął gwałtownie, urywanie oddychać i napierać na nią w szaleńczym rytmie. W niej także narastało napięcie i razem pędzili ku przepaści. Panowała nad sobą dużo lepiej niż Edward, do chwili, kiedy chwycił wargami jej sutek.

Krzyknęła, zaskoczona tym niezwykłym połączeniem między piersią a łonem. Naprawdę je czuła… Na Boga, kiedy zajął się drugim sutkiem, poczuła to między nogami, zaczęła dygotać i zaciskać się wokół niego.

– Tak! – warknął. – Jeszcze, obejmij mnie sobą.

Chwycił jej pierś. Pewnie zabolałoby ją to w normalnych warunkach, ale teraz napełniło ją to taką rozkoszą, że krzyknęła i znowu rozpadła się na drobne kawałki.

– Boże… – jęczał. – Boże, Boże, och, Boże.

Poruszał się w niej jak szaleniec, napierając coraz mocniej, aż wreszcie znieruchomiał w połowie ruchu. Wyszeptał jej imię i opadł na jej ciało.

– Cecilia – powtórzył cicho. – Cecilia.

– Jestem z tobą. – Pogładziła go po plecach, kreśląc palcem leniwe koła w ich zagłębieniu.

– Cecilia. – A potem znowu: – Cecilia.

Spodobało jej się, że Edward nie może powiedzieć nic innego, tylko jej imię. Szczerze mówiąc, ona też myślała tylko o nim.

– Przygniotłem cię – wymamrotał.

Owszem, ale nie przeszkadzało jej to. Jego ciężar był przyjemny.

Stoczył się z niej, ale tylko trochę. Otoczył ją ramieniem i nogą.

– Nigdy się od ciebie nie oderwę – powiedział sennie.

Odwróciła się, by na niego popatrzeć. Zamknął oczy, jakby zasypiał i rzeczywiście tak było. Oddychał coraz równiej, a jego gęste, ciemne rzęsy rzucały cień na policzki.

Nagle uświadomiła sobie, że jeszcze nie widziała, jak zasypia. Dzielili łóżko od tygodnia, ale co noc układała się po swojej stronie i odwracała plecami. Słuchała tylko jego oddechu, niemal wstrzymując własny. Chciała wiedzieć, kiedy zasypia, ale zwykle sama odpływała wcześniej.

Rano zawsze budził się przed nią. Kiedy otwierała oczy i zaczynała dzień od ziewnięcia, zwykle był już ubrany.

Ta chwila była więc niezwykła. Edward spał spokojnie, ale jego wargi lekko się poruszały, jakby szeptał modlitwę. Bardzo pragnęła dotknąć jego policzka, ale nie chciała go budzić. Choć przed chwilą był tak silny i wytrzymały, wiedziała, że jeszcze nie doszedł do siebie i potrzebuje odpoczynku.

Patrzyła więc i czekała. Czekała, aż jej serce ogarnie poczucie winy. Najchętniej okłamałaby siebie samą i powiedziała, że Edward ją po prostu uwiódł, ale wiedziała, że to nieprawda. Owszem, porwała ją namiętność, ale przecież w każdej chwili mogła go powstrzymać. Wystarczyłoby otworzyć usta i wyznać swoje grzechy.

Stłumiła śmiech, wtykając sobie pięść do ust. Gdyby powiedziała mu prawdę, wyniósłby się z pokoju jak wystrzelony z armaty. Byłby wściekły. A potem zaciągnąłby ją pewnie przed ołtarz i natychmiast poślubił. Taki już był.

Ale nie mogła się na to zgodzić. Był przecież niemal zaręczony z jakąś dziewczyną w Anglii. Z Billie Bridgerton. Sam jej o tym powiedział. Wiedziała, że bardzo ją lubi. Zawsze mówił o niej z uśmiechem. Zawsze. A może naprawdę byli zaręczeni? A może dał jej słowo i zapomniał o tym, tak jak o wszystkim, co zdarzyło się przez ostatnie miesiące?

A może ją kochał? O tym także mógł zapomnieć.

Niczego jednak nie żałowała, nawet teraz, gdy poczucie winy krążyło w jej żyłach. Kiedyś zostaną jej tylko wspomnienia o tym mężczyźnie, więc, do diabła, powinny być jak najpiękniejsze.

A jeśli urodzi się dziecko…

Dotknęła dłonią brzucha, w którym być może kiełkowało teraz jego nasienie. Jeśli będzie dziecko…

Nie. To niemożliwe. Jej przyjaciółka Eliza zaszła w ciążę dopiero po roku małżeństwa. A żona pastora jeszcze później. Lepiej jednak nie kusić losu. Może powinna powiedzieć Edwardowi, że boi się zajść w ciążę tak

daleko od domu. Wcale by zresztą nie kłamała, mówiąc, że przeprawa przez ocean nie najlepiej robi kobietom w ciąży.

Dzieciom zresztą też nie. Wielki Boże, podróż w tę stronę była wystarczająco okropna. Cecilia nie chorowała, ale nudziła się okropnie, a czasem się bała. A gdyby płynęła z niemowlęciem?

Zadygotała. To byłoby piekło.

– Co się dzieje?

Drgnęła na dźwięk jego głosu.

– Myślałam, że śpisz.

– Bo spałem. – Ziewnął. – Albo prawie spałem.

Jedna noga w dalszym ciągu przygniatała ją do materaca, więc zabrał ją, a potem przyciągnął Cecilię bliżej, układając ją plecami do siebie.

– Jesteś przygnębiona – powiedział.

– Co za bzdura.

Pocałował ją w tył głowy.

– Zauważyłem, że coś cię niepokoi.

– Pomimo że spałeś?

– Prawie spałem – sprostował. – Boli cię?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze.

– Dam ci ręcznik. – Puścił ją i wstał z łóżka. Przekręciła szyję, żeby patrzeć, jak idzie przez pokój do miednicy z wodą. Dlaczego on się nie krępuje, że jest nago? Czy każdy mężczyzna jest taki? – Proszę – powiedział i zaczął ją delikatnie wycierać wilgotnym ręcznikiem.

Tego było już za wiele. O mało nie wybuchnęła płaczem.

Kiedy skończył, odłożył ręcznik i ułożył się tak jak wcześniej. Oparł się na łokciu, a drugą ręką zaczął bawić jej włosami.

– Powiedz mi, co cię tak dręczy – szepnął.

Przełknęła ślinę i zdobyła się na odwagę.

– Nie chcę zajść w ciążę – powiedziała.

Znieruchomiał. Ucieszyła się, że w pokoju panuje półmrok, bo dzięki temu nie widziała, jakie emocje malowały się na jego twarzy.

– Na to może już być za późno – odpowiedział.

– Wiem. Tylko…

– Nie chcesz być matką?

– Nie! – wykrzyknęła, zdziwiona siłą własnych emocji. Chciała być matką. Urodzić mu dziecko… Chciała tego tak bardzo, że chciało jej się płakać. – Nie chcę zajść w ciążę tutaj – wyjaśniła. – W Ameryce Północnej. Wiem, że są tu i lekarze, i położne, ale chciałabym w końcu wrócić do domu. I nie wyobrażam sobie rejsu z dzieckiem.

– Nie. Oczywiście, że nie – przytaknął, marszcząc brwi w zadumie.

– W ciąży też nie. Przecież mogłoby się przytrafić coś złego.

– Zawsze może się zdarzyć coś złego, Cecilio.

– Wiem. Ale w domu byłabym spokojniejsza. W Anglii.

To była sama prawda. Tylko że nie cała.

Dalej gładził jej włosy, łagodnie i kojąco.

– Jesteś taka zdenerwowana – powiedział. – Wprawdzie powiedziałem ci, że może być już a późno, ale są pewne środki zapobiegawcze.

– Naprawdę? – Jej serce podskoczyło z radości, zanim przypomniała sobie, że nie jest to najpoważniejszy z jej problemów.

Uśmiechnął się, dotknął jej podbródka i uniósł twarz ku sobie.

– Oczywiście, że tak. Chętnie bym ci je od razu pokazał, ale zdaje mi się, że powinnaś odpocząć. Śpij – powiedział. – Rano wszystko będzie łatwiejsze.

Doskonale wiedziała, że tak się nie stanie. Ale i tak zasnęła.

15

Przepraszam tysiąckrotnie. Nie pisałem od miesiąca, ale szczerze mówiąc, nie było o czym. Albo się nudzimy, albo bijemy. Nie mam ochoty pisać ci ani o jednym, ani o drugim. Ale wczoraj dotarliśmy do Newport, więc po kąpieli i dobrym posiłku zaczynam znowu być sobą.

Z listu Thomasa Harcourta do siostry Cecilii

Droga Panno Harcourt,

dziękuję za miły list. Znowu zrobiło się chłodniej, a kiedy Pani dostanie ten list, my będziemy szczerze wdzięczni za wełniane kurty. Newport najbardziej z tutejszych osad przypomina prawdziwe miasto i obaj korzystamy z tutejszych wygód. Dostaliśmy kwatery w prywatnym domu, ale naszych ludzi rozlokowano w domach modlitwy – połowę w kościele, a drugą w synagodze. Niektórzy z tych ostatnich bali się, że za nocowanie w grzesznej świątyni trafi ich grom z jasnego nieba. Moim zdaniem tawerna, w której przesiadywali poprzedniej nocy, była znacznie bardziej grzeszna. Na szczęście nie muszę nikomu służyć poradami religijnymi. Choć przyznam szczerze, że rozbawiła mnie Pani powieść o psalmie, który zszedł na psy.

Ponieważ wiem, że będzie Pani o to pytać, od razu powiem, że nigdy przedtem nie byłem w synagodze. Szczerze mówiąc, wygląda kubek w kubek jak kościół.

Z załączonego listu Edwarda Rokesby'egodo Cecilii Harcourt

Następnego dnia Edward jak zwykle obudził się przed Cecilią. Była tak zmęczona, że nawet nie drgnęła, kiedy wstawał.

Uśmiechnął się, zadowolony, że to on był powodem jej zmęczenia.

Pewnie będzie też głodna. Śniadanie było zwykle jej największym posiłkiem. Choć w Devil's Head na śniadanie zawsze były jajka, bo w ogrodzie hodowano kury, Edward pomyślał, że Cecilii należy się coś specjalnego. Jakieś słodycze. Może bułeczki. Albo *speculaas*.

Albo jedno i drugie. Czemu nie?

Ubrał się, napisał na kartce, że zaraz wróci i wyszedł na miasto. Obie piekarnie były całkiem blisko. Wróci w niespełna godzinę, jeśli nie spotka nikogo znajomego.

Bliżej była piekarnia Rooijakkersów, więc poszedł tam najpierw.

Uśmiechnął się, gdy nad jego głową zadźwięczał dzwonek, ogłaszając nadejście klienta. Tym razem za ladą nie pojawił się pan Rooijakkers, ale jego rudowłosa córka. Ta sama, z którą zaprzyjaźniła się Cecilia. Edward też ją pamiętał, jeszcze sprzed wyjazdu do Connecticut. I on, i Thomas woleli tę piekarnię od angielskiej, która mieściła się tuż za rogiem.

W uśmiechu Edwarda pojawił się cień smutku. Thomas lubił słodycze. Tak samo jak jego siostra.

– Dzień dobry panu – zawołała i wyszła z zaplecza, wycierając dłonie w fartuch.

– Dzień dobry – powitał ją lekkim ukłonem. Szkoda, że nie zapamiętywał jej imienia. Ale tym razem było to zwykłe zapomnienie, a nie

czarna dziura, która ziała w jego wspomnieniach. Zawsze miał kiepską pamięć do imion.

– Miło pana znowu widzieć – powiedziała. – Dawno tu pana nie było.

– Od miesięcy – przytaknął. – Byłem w podróży.

Skinęła głową z beztroskim uśmiechem.

– Trudno dziś o stałych klientów, armia ciągle gdzieś was wysyła.

– Byłem tylko w Connecticut – odpowiedział.

Zaśmiała się znowu.

– Jak się miewa pański przyjaciel?

– Mój przyjaciel? – powtórzył, choć doskonale wiedział, że mówi o Thomasie. Mimo wszystko, było to niepokojące. Nikt już o niego nie pytał, a nawet jeśli ktoś to robił, zawsze robił to przyciszonym, smutnym głosem. – Nie widziałem go od dłuższego czasu – odpowiedział.

– Szkoda. – Przyjaźnie przechyliła głowę w bok. – To był jeden z naszych najlepszych klientów. Uwielbiał słodycze.

– Tak jak jego siostra – mruknął Edward.

Spojrzała z zaciekawieniem.

– Ożeniłem się z jego siostrą – wyjaśnił, zastanawiając się, czemu jej to mówi. Pewnie dlatego, że sprawiało mu to przyjemność. Ożenił się z Cecilią. I naprawdę stał się jej mężem.

Córka pana Rooijakkersa na moment znieruchomiała, a potem ściągając rude brwi, powiedziała:

– Przepraszam ale nie przypominam sobie pana nazwiska…

– Kapitan Edward Rokesby. Poznała już pani moją niedawno poślubioną żonę Cecilię.

– Oczywiście. Przepraszam, ale nie skojarzyłam, kiedy wcześniej mi się przedstawiła. Rzeczywiście jest podobna do brata, prawda? Nie tyle rysami twarzy, ile…

– Jej wyrazem – dokończył Edward.

Uśmiechnęła się.

– W takim razie przyszedł pan pewno po *speculaas*.

– Owszem, poproszę tuzin.

– Wyraźnie nie zostaliśmy sobie przedstawieni – powiedziała, pochylając się po blachę z ciasteczkami, stojącą na dolnej półce. – Jestem Beatrix Leverett.

– Cecilia bardzo miło się o pani wyrażała. – Czekał cierpliwie, aż pani Leverett odliczy ciastka. Miał wielką ochotę zobaczyć, jak zareaguje Cecilia, kiedy poda jej śniadanie do łóżka. A raczej same ciasteczka. Pewnie jeszcze bardziej je się to spodoba.

Tylko te okruszki. To naprawdę może być kłopot.

– Czy brat pani Rokesby jest dalej w Connecticut?

Jej pytanie wytrąciło go z rozkosznych marzeń.

– Słucham?

– Pytałam o brata pani Rokesby – powtórzyła, podnosząc wzrok znad ciastek. – Myślałam, że razem byliście w Connecticut.

Edward stanął jak wryty.

– Pani wie o tym?

– A czemuż by nie?

– Thomas rzeczywiście był ze mną w Connecticut – powiedział cicho. Przymierzał się do tego zdania, jakby było nową kurtką.

Pasuje czy nie? No chyba.

– Ja… – Do diabła. Jak jej to powiedzieć? Nie miał ochoty dzielić się swoimi kłopotami z obcą osobą, ale ona mogła wiedzieć coś o Thomasie. – Mam kłopoty z pamięcią – wyjaśnił w końcu. Dotknął głowy tuż przy rondzie kapelusza. Obrzęk był o wiele mniejszy, ale skóra pozostała wrażliwa. – Uderzono mnie w głowę.

– Tak mi przykro. – W jej oczach zabłysło współczucie. – To musi być strasznie niewygodne.

– Owszem – przytaknął. Ale to nie o ranie chciał z nią porozmawiać. Spojrzał jej prosto w oczy. – Zaczęła pani mówić o kapitanie Harcourcie.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, niewiele wiem. Tylko tyle, że kilka miesięcy temu obaj pojechaliście do Connecticut. Zajrzeliście tutaj tuż przed wyjazdem. Po zapasy.

– Po zapasy – powtórzył Edward.

– Pan kupił chleb – zaśmiała się. – Ale pana przyjaciel lubi słodycze. Powiedziałam mu…

– …że *speculaas* nie wytrzymają podróży – dokończył.

– Właśnie. Pokruszą się.

– Tak się stało – powiedział cicho. – Wszystkie się pokruszyły. Co do jednego.

I nagle cała pamięć napłynęła jak powrotna fala.

– Stubbs!

Siedzący przy biurku pułkownik podniósł wzrok znad papierów, wyraźnie zaskoczony pełnym wściekłości okrzykiem Edwarda.

– Witam, kaptanie Rokesby. Co się dzieje, do diabła?

Co się dzieje? Co się dzieje? Edward z trudem opanowywał furię. Wypadł z holenderskiej piekarni, zapominając o zakupach i pędził przez ulice Nowego Jorku, żeby jak najszybciej dotrzeć do biura pułkownika Stubbsa w budynku, gdzie aktualnie mieściła się główna kwatera brytyjskiej armii. Dłonie zacisnął na piersi, a krew huczała mu w głowie jak podczas bitwy. Na Boga, tylko perspektywa sądu wojennego powstrzymała go przed rzuceniem się na przełożonego.

– Wiedział pan – warknął, głosem dygocącym z wściekłości. – Wiedział pan wszystko o Thomasie Harcourcie.

Stubbs wstał powoli. Jego twarz pod bokobrodami przybrała purpurowy odcień

– O co konkretnie panu chodzi?

– O to, że razem pojechaliśmy do Connecticut. Do diabła, dlaczego mi pan tego nie przypomniał?

– Mówiłem panu dlaczego – odparł sztywno Stubbs. – Nie mogłem wpływać na pana pamięć. To za duże ryzyko.

– Gówno prawda. Dobrze pan o tym wie – rzucił pogardliwie Edward. – Proszę powiedzieć mi prawdę.

– To jest prawda – syknął Stubbs, podszedł do drzwi i zamknął je cicho. – Myśli pan, że miło mi było kłamać przy pana żonie?

– Przy mojej żonie – powtórzył Edward. To również sobie przypomniał. Pamięć jeszcze nie całkiem mu wróciła, ale pamiętał już prawie wszystko i był zupełnie pewny, że nie uczestniczył w żadnej ceremonii na odległość. Thomas nigdy go o to nie prosił.

Nie miał pojęcia, dlaczego Cecilia dopuściła się tego oszustwa, ale uznał, że na rozwiązanie tej koszmarnej zagadki przyjdzie czas później. Popatrzył na Stubbsa, ledwie panując nad wściekłością.

– Ma pan dziesięć sekund na wytłumaczenie, dlaczego okłamał mnie pan w sprawie Thomasa.

– Na litość boską, Rokesby – powiedział pułkownik, przeczesując palcami rzednące włosy. – Nie jestem potworem. Za nic nie chciałem jej dawać fałszywej nadziei.

Edward znieruchomiał.

– Fałszywej nadziei?

Stubbs wbił w niego spojrzenie.

– Nie wie pan o tym.

To nie było pytanie.

– Zdaje mi się, że już wcześniej ustaliliśmy, że nie wiem o bardzo wielu rzeczach – odpowiedział Edward głosem pełnym napięcia. – Proszę mnie oświecić.

– Kapitan Harcourt nie żyje – odpowiedział pułkownik. Pokręcił głową i ze szczerym żalem w głosie dodał: – Postrzelono go w brzuch. Przykro mi.

– Co takiego? – Edward odchylił się do tyłu, jakimś cudem wyczuł za sobą krzesło i opadł na nie ciężko. – Jak to się stało? I kiedy?

– W marcu – odpowiedział Stubbs. Podszedł do szafki pod ścianą i wyjął butelkę brandy. – W niespełna tydzień po waszym wyjeździe. Przysłał wiadomość, żebym się z nim spotkał w New Rochelle.

Edward patrzył, jak pułkownik trzęsącymi się rękami nalewa bursztynowy płyn do szklanek.

– Kto do niego pojechał?

– Ja sam.

– Sam? – W głosie Edwarda zabrzmiało wyraźne niedowierzanie.

– Nie było innego wyjścia – odparł Stubbs, podając mu szklankę.

Edward westchnął głęboko, gdy w jego umyśle pojawiały się wspomnienia, dawne, a jednak dziwnie świeże. Rzeczywiście pojechali razem z Thomasem do Connecticut, z zadaniem ocenienia szans zaatakowania sił nieprzyjaciela od morza. Rozkaz wydał sam gubernator Tryon. Powiedział wprost, że wybrał Edwarda, bo wiedział, że może mu bez reszty zaufać. Edward z kolei wybrał Thomasa z tego samego powodu.

Jednak rozstali się już po kilku dniach podróży, bo Thomas wyruszył do Nowego Jorku z informacjami, jakie zebrali na temat Norwalk. Edward ruszył dalej, do New Haven.

Więcej się nie widzieli.

Wychylił brandy jednym haustem.

Stubbs zrobił to samo, a potem powiedział:

– To znaczy, że odzyskał pan pamięć, prawda?

Edward przytaknął szybkim skinieniem głowy. Wiedział, że pułkownik od razu będzie chciał go przesłuchać. Postanowił jednak nie mówić nic, dopóki nie dowie się wszystkiego o Thomasie.

– Dlaczego generał Garth wysłał do jego rodziny list z wiadomością, że jest tylko ranny?

– Bo wtedy naprawdę był tylko ranny – odpowiedział pułkownik. – Postrzelono go dwa razy, w odstępie kilku dni.

– Co takiego? – Edward nic nie rozumiał. – Jak się to stało, do diabła?

Stubbs jęknął i padł na krzesło, opierając się ciężko o biurko.

– Nie mogłem go tu przywieźć, dopóki nie byłem pewny jego lojalności.

– Thomas Harcourt nie był zdrajcą – wypluł z siebie Edward.

– Co do tego nie było pewności – warknął Stubbs w odpowiedzi. – Jak wytłumaczyć, że gdy tylko przyjechałem do tego cholernego New Rochelle, tak jak sobie tego życzył, od razu zaczęli do nas strzelać? Ledwie zdążył wypowiedzieć moje nazwisko?

– Nie do was, tylko do niego – poprawił Edward. W końcu to Thomas zginął od kuli.

Stubbs wychylił drugą brandy i nalał sobie następną.

– Nie mam pojęcia, do kogo, psiakrew, strzelali. O ile sobie przypominam, do mnie, tylko że nikt mnie nie trafił. Większość tutejszych wojaków to niewyszkoleni ochotnicy. W ścianę by nie trafili.

Edward zamilkł na moment, żeby to wszystko przyswoić. Był święcie przekonany, że Thomas nie był zdrajcą, ale rozumiał, że pułkownik Stubbs mógł w to wątpić, bo nie znał go aż tak dobrze.

– Kapitana Harcourta trafili w ramię – dodał ponuro Stubbs. – Kula przeszła na wylot. Krwawienie dało się łatwo zatamować, ale ból był duży.

Edward zamknął oczy i wziął głęboki oddech, ale wcale go to nie uspokoiło. Widział w życiu zbyt wiele ran od kuli.

– Zabrałem go do Dobbs Ferry – ciągnął Stubbs. – Mamy tam niewielką stanicę nad rzeką. Blisko frontu, ale nie za linią wojsk nieprzyjacielskich.

Edward doskonale znał Dobbs Ferry. Od czasu bitwy pod White Plains, którą stoczono przed trzema laty, Brytyjczycy wykorzystywali to miejsce jako punkt spotkań.

– Co się stało potem? – zapytał.

Pułkownik popatrzył na niego z kamienną twarzą.

– Wróciłem tutaj.

– Zostawił go pan tam – stwierdził Edward z niesmakiem. Co za człowiek zostawia rannego żołnierza w takiej dziczy?

– Nie był sam. Trzech ludzi go pilnowało.

– Był więźniem?

– Chodziło głównie o jego bezpieczeństwo. Nie wiedziałem, czy pilnować go, żeby nie uciekł, czy strzec go przed napaścią buntowników. – Stubbs patrzył na Edwarda z rosnącym zniecierpliwieniem. – Na litość boską, Rokesby, to nie ja jestem twoim wrogiem.

Edward ugryzł się w język.

– Taki czy owak, nie dałoby się go przewieźć do Nowego Jorku – dodał Stubbs, kręcąc głową. – Za bardzo cierpiał.

– Mógł pan z nim zostać.

– Nie, nie mogłem – zdenerwował się Stubbs. – Musiałem wrócić do kwatery głównej. Czekali tam na mnie. Nikt nie wiedział, że wymknąłem się na tę misję. Proszę mi uwierzyć, wróciłem po niego, gdy tylko znalazłem pierwszy lepszy pretekst. Już po dwóch dniach. – Przełknął ślinę i zbladł jak ściana, po raz pierwszy od chwili, gdy Edward wpadł do jego biura. – Ale kiedy tam dotarłem, wszyscy byli martwi.

– Wszyscy?

– Harcourt i trzech strażników. Nikt nie przeżył.

Edward zapatrzył się w trzymaną w dłoni szklankę. Zapomniał, że ją ściska w palcach. Obserwował swoją dłoń, gdy odstawiał naczynie, jakby to mogło powstrzymać drżenie palców.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie wiem. – Stubbs zamknął oczy, a na jego twarzy odmalowała się rozpacz na wspomnienie tamtych chwil. – Zastrzelili ich wszystkich – szepnął.

Żółć podeszła Edwardowi do gardła.

– To była egzekucja? – zapytał.

– Nie. Widać było, że stoczyli walkę – odparł Stubbs, potrząsając głową.

– Nawet Thomas? Choć był pod strażą?

– Nie związaliśmy go. Widać było, że też walczył, pomimo rany. Tylko… – Stubbs przełknął ślinę. Odwrócił twarz.

– Tylko co?

– Nie sposób było stwierdzić, po której stronie walczył.

– Przecież pan go znał – powiedział cicho Edward.

– Na pewno? A pan znał go aż tak dobrze!

– Znałem, do ciężkiej cholery! – ryknął i stanął na równe nogi.

– Ja nie – odparł Stubbs. – Płacą mi za to, żebym podejrzewał każdego. – Chwycił się za głowę, mocno przyciskając palce do skroni. – Niedobrze mi się robi od tego wszystkiego.

Edward cofnął się o krok. Nigdy nie widział pułkownika w takim stanie. Nie był pewny, czy w ogóle kogokolwiek widział w takiej rozterce.

– Zdaje pan sobie sprawę, co to robi z człowieka? – zapytał Stubbs niemal szeptem. – Taka nieufność wobec wszystkich?

Edward nie odpowiedział. Nie pozwalały mu na to gniew, furia i wściekłość. Nie miał pojęcia, przeciw komu je teraz skierować. Wiedział tylko, że nie chodzi o Stubbsa. Wyjął szklankę z drżących palców pułkownika, podszedł do karafki i nalał im po jeszcze jednej. Nieważne, że była ledwie ósma rano. Lepiej, żeby nie myśleli teraz zbyt jasno.

Podejrzewał, że żaden z nich by tego nie chciał.

– Co się stało z ciałami? – spytał cicho.

– Pochowałem je.

– Wszystkie?

Pułkownik zamknął oczy.

– To nie był przyjemny dzień.

– Ma pan na to świadków?

Stubbs poderwał głowę.

– Nie ufa mi pan?

– Proszę mi wybaczyć – odparł Edward, bo przecież mu ufał. W tym… i we wszystkim. Nie miał pojęcia, jakim cudem ten człowiek był w stanie zachować swoją tajemnicę. Chyba wypaliła mu dziurę w sercu.

– Przy kopaniu grobów miałem pomoc – wyjaśnił Stubbs. Był wyraźnie wyczerpany. Nawet głos miał bezdźwięczny. – Jeśli pan chce, podam panu nazwiska ludzi, którzy to robili.

Edward przyglądał mu się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

– Nie, dziękuję.

Potem potrząsnął głową, jakby chciał poukładać w niej myśli.

– Dlaczego wysłał pan ten list?

Stubbs zamrugał.

– Jaki list?

– Od generała Gartha. Z informacją, że Thomas jest ranny. Rozumiem, że generał zrobił to na pańską prośbę.

– Wtedy tak było – odparł pułkownik. – Chciałem szybko zawiadomić rodzinę. Tego dnia, kiedy zostawiłem go w Dobbs Ferry, z portu odpływał statek. Kiedy teraz o tym myślę… – Przeczesał palcami włosy i westchnął, jakby uchodziły z niego resztki siły. – Byłem taki zadowolony, że udało mi się go wysłać tak szybko.

– Nie pomyślał pan, że należy naprawić pomyłkę i wysłać jeszcze jeden?

– Wtedy już było zbyt wiele pytań bez odpowiedzi.

– Przecież chodziło tylko o zawiadomienie rodziny – rzucił Edward z niedowierzaniem.

– Planowałem go wysłać, kiedy będziemy już wszystko wiedzieli – odparł sztywno Stubbs. – Do głowy mi nie przyszło, że jego siostra przeprawi się dla niego przez Atlantyk. Choć z drugiej strony, być może zrobiła to dla pana.

Mało prawdopodobne.

Stubbs podszedł do biurka i otworzył szufladę.

– Mam tu jego sygnet.

Edward obserwował, jak pułkownik ostrożnie wyjmuje pudełko, otwiera je i wyjmuje pierścień. Podał mu go.

– Pomyślałem sobie, że rodzina zechce go mieć.

Edward spojrzał na złoty przedmiot, który upadł mu na dłoń. Prawdę mówiąc, nie rozpoznał go. Nigdy nie przyglądał się zbyt dokładnie sygnetowi Thomasa. Wiedział jednak, że Cecilia go pozna.

To złamie jej serce.

Stubbs odchrząknął.

– Co pan powie żonie?

Żonie. Znowu do słowo. Do jasnej cholery. Nie była jego żoną. Nie wiadomo, czym dla niego była, ale na pewno nie żoną.

– Rokesby?

Podniósł wzrok. Później spróbuje zrozumieć to jej oszustwo. Na razie postara się odnaleźć w duszy odrobinę życzliwości i pozwolić jej na żałobę po bracie. Na zdemaskowanie kłamstw przyjdzie czas później.

Wziął głęboki oddech, spojrzał pułkownikowi w oczy i powiedział:

– Powiem, że jej brat zginął śmiercią bohatera, a pan żałuje, że nie mógł jej powiedzieć prawdy, kiedy o nią pytała. Powodem była tajemnica wojskowa, związana z niezwykle ważnym zadaniem, jakie mu powierzono. – Zrobił krok w stronę pułkownika. Potem drugi. – Powiem, że chce pan z nią porozmawiać, przeprosić za ból, który pan jej sprawił, i osobiście przekazać jej wszelkie pośmiertne odznaczenia, które dostał jej brat.

– Nie było żadnych…

– Niech pan je załatwi – warknął Edward.

Pułkownik wpatrywał się w niego przez kilka sekund, a potem powiedział:

– Postaram się, żeby przyznano mu medal.

Edward skinął głową i ruszył ku drzwiom. Głos pułkownika zatrzymał go w pół drogi.

– Na pewno chce ją pan okłamywać?

Edward odwrócił się powoli.

– Przepraszam?

– Ostatnio przekonałem się, jak mało wiem – westchnął jego rozmówca. – Ale o małżeństwie wiem dużo. Lepiej go nie zaczynać od kłamstw.

– Naprawdę?

Pułkownik przyjrzał mu się z dziwną miną.

– Czy pan coś ukrywa, kapitanie Rokesby?

Edward otworzył drzwi i wyszedł. Kiedy znalazł się co najmniej trzy kroki poza zasięgiem słuchu pułkownika, mruknął:

– Za cholerę nie zgadłby pan, co.

16

Od bardzo dawna nie miałam od ciebie wieści. Staram się nie denerwować, ale to niełatwe.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Kiedy Edward nie wrócił do dziewiątej, Cecilia zaczęła się zastanawiać.

Kiedy zrobiło się wpół do dziesiątej, ciekawość zastąpił niepokój.

O dziesiątej, kiedy dzwony pobliskiego kościoła zaczęły wybijać godzinę, jeszcze raz wzięła do ręki jego wiadomość, żeby się upewnić, czy niczego nie przeoczyła.

Poszedłem kupić śniadanie. Wrócę, zanim się obudzisz.

Zagryzła dolną wargę. Notatka była aż nazbyt oczywista.

Zaczęła podejrzewać, czy jakiś znajomy nie zatrzymał go na dole. To się często zdarzało. Wszyscy go tu znali i chcieli pogratulować mu powrotu do zdrowia. Żołnierze bywają bardzo przyjacielscy, szczególnie gdy się nudzą. Ostatnio wszyscy się nudzili, choć sami przyznawali, że wolą to niż bitwy.

Zeszła więc na dół, żeby pomóc Edwardowi wykręcić się od niechcianej rozmowy. Przypomni mu, że ma „ważne spotkanie” a potem może wrócą razem na górę.

Ale w dużym salonie go nie było. W małym też nie.

„Wrócę, zanim się obudzisz”.

Coś musiało się zdarzyć. Edward zawsze budził się przed nią, ale ona również wstawała dość wcześnie. Wiedział o tym. O wpół do dziewiątej zawsze była ubrana i gotowa do zejścia na śniadanie.

Miała ochotę iść go poszukać, ale wiedziała, że jeśli wyjdzie z zajazdu, on pojawi się tam pięć minut później, sam zacznie jej szukać i zmarnują całe rano, bo się nie spotkają.

Więc czekała.

– Późno zeszła pani na dół – powiedział gospodarz, zauważywszy jej niezdecydowanie. – Nie chce pani nic zjeść?

– Nie, dziękuję. Mój mąż poszedł po… – Zmarszczyła brwi. – Czy widział pan może kapitana Rokesby'ego dziś rano?

– Przed kilkoma godzinami, proszę pani. Przywitał się ze mną i wyszedł. Wydawało mi się, że jest bardzo szczęśliwy. – Gospodarz uśmiechnął się krzywo, wycierając kufel. – Gwizdał sobie coś pod nosem.

Cecilia była tak rozkojarzona, że nie odczuła nawet odrobiny skrępowania na tę wieść. Popatrzyła w okno wychodzące na ulicę, ale nierówne szkło pozwalało dostrzec na zewnątrz jedynie niewyraźnie kształty.

– Myślałem, że wróci wcześniej – powiedziała niemal do siebie.

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Zaraz przyjdzie, zobaczy pani. Na pewno nie chce pani teraz nic zjeść?

– Dziękuję, ale nie. Zaraz…

Drzwi wejściowe zazgrzytały znajomo, kiedy ktoś je otworzył. Cecilia odwróciła się jak fryga, pewna, że to Edward.

Ale to nie był on.

– Kapitan Monthy – powiedziała, robiąc lekki dyg, kiedy rozpoznała młodego oficera, który tydzień temu oddał jej swój pokój. Wyjechał na kilka dni, potem wrócił i dzielił pokój z jakimś innym żołnierzem. Kilka razy dziękowała mu za ten szczodry gest, a on zawsze odpowiadał, że był to zaszczyt i jego obowiązek jako dżentelmena. Poza tym połowa pokoju tutaj

była i tak o wiele lepsza niż kwatery przydzielane większości brytyjskich żołnierzy.

– Pani Rokesby – odpowiedział. Pochylił głowę i uśmiechnął się. – Piękny dzień dziś mamy. Idzie pani do męża?

Cecilia spojrzała czujnie.

– Wie pan, gdzie on jest?

Kapitan Monthy wskazał głową ogólny kierunek.

– Przed chwilą widziałem go we Fraunces Tavern.

– Co takiego?!

Jej głos musiał zabrzmieć przenikliwie, bo kapitan cofnął się nieco, zanim jej odpowiedział:

– Owszem, jest tam. Widziałem go tylko, nie rozmawiałem, ale jestem przekonany, że to on.

– Jest we Fraunces? Na pewno?

– Tak mi się wydawało – powiedział kapitan ostrożnym tonem osoby, która nie chce się wplątywać w domowe niesnaski.

– Czy był z kimś?

– Kiedy go widziałem, był sam.

Wargi Cecilii zacisnęły się w cienką kreskę, gdy ruszyła ku drzwiom, zatrzymując się jedynie po to, by podziękować kapitanowi za pomoc. Nie miała pojęcia, co Edward robi we Fraunces. Nawet jeśli poszedł tam po śniadanie – co byłoby bez sensu, bo podawano tam dokładnie to samo co tutaj – to powinien już dawno wrócić.

Z kompletnie wystygłym śniadaniem.

Do tego był sam. Co oznaczało, że… szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, co to oznaczało.

Powtarzała sobie, że wcale się na niego nie gniewa. Miał prawo chodzić, gdzie mu się żywnie podoba. Niepotrzebnie napisał, że zaraz wróci. Gdyby wiedziała, że zejdzie mu tyle czasu, mogłaby sobie coś zaplanować.

Trudno wprawdzie powiedzieć, co takiego mogłaby zaplanować, bo tkwiła na zupełnie obcym kontynencie i nie znała tu prawie nikogo. Ale nie o to chodziło.

Tawerna Fraunces była nieopodal Devil's Head. Wszystkie miejscowe gospody mieściły się blisko siebie. Po niespełna pięciu minutach w słońcu, które świeciło coraz jaśniej, Cecilia znalazła się u celu.

Pchnęła ciężkie drewniane drzwi i weszła do środka. Trudno jej było dostrzec cokolwiek w zadymionym, ciemnym wnętrzu, więc zamrugała, żeby oczy przywykły do mroku. Rzeczywiście, na drugim końcu sali siedział Edward.

Był sam.

Ogień, który napędzał jej kroki, nagle przygasł. Zatrzymała się, żeby się zastanowić.

Coś tu było nie tak.

Jego dziarska sylwetka gdzieś przepadła. Siedział zgarbiony, czego nigdy nie robił publicznie niezależnie od zmęczenia. Jedna ręka – ta, którą mogła dostrzec ze swego miejsca – była zakrzywiona jak szpony. Gdyby nie przycięte paznokcie, pewnie zostawiłby ślady pazurów na stole.

Przed nim stała pusta szklanka.

Z wahaniem ruszyła przed siebie. Czyżby pił? Na to wyglądało, choć było to zupełnie do niego niepodobne. Jeszcze nie wybiło południe.

Jej serce zamarło… a potem zabiło. Powietrze wokół niej zgęstniało ze strachu.

Tylko dwie rzeczy mogłyby doprowadzić Edwarda do takiego stanu. Dwie rzeczy mogły sprawić, by zapomniał o swojej obietnicy i nie wrócił do pokoju, który dzielili w Devil's Head.

Albo odzyskał pamięć…

Albo Thomas nie żyje.

Edward wcale nie zamierzał się upić.

Wyszedł od pułkownika wściekły, ale wkrótce jego gniew się ulotnił i zastąpiła go… nicość.

Był pusty w środku.

Pozbawiony czucia.

Thomas nie żył. Cecilia go okłamała.

A on sam był kompletnym durniem.

Stał nieruchomo i patrzył w przestrzeń. Był przed budynkiem, gdzie pracowało tak wielu brytyjskich oficerów. I nie widział, gdzie ma się podziać. Nie chciał wracać do Devil’s Head. Nie chciał się z nią jeszcze zobaczyć. Nie dałby rady.

Wielki Boże, nawet myśleć o tym nie chciał. Może… może jej kłamstwa miały jakieś sensowne uzasadnienie. Ale on po prostu… po prostu…

Wziął długi, rozdygotany oddech.

Miała tyle okazji, żeby powiedzieć mu prawdę, tak wiele chwil, w których mogła przerwać ciszę i zwrócić się do niego po imieniu. Mogła wyznać, że skłamała i wyjaśnić dlaczego. Do jasnej cholery, pewnie wybaczyłby jej wszystko, bo był w niej tak zakochany, że chętnie dałby jej gwiazdkę z nieba, byleby tylko była szczęśliwa.

Był przekonany, że ona jest jego żoną.

Myślał, że przysiągł ją szanować i troszczyć się o nią.

Zamiast tego okazał się obrzydliwym wyrodkiem, prawdziwym zdrajcą. Wprawdzie był pewny, że są małżeństwem, ale to nieważne. Tak czy inaczej, bez ślubu poszedł do łóżka z dziewicą. Co gorsza, z siostrą swego najbliższego przyjaciela.

Naturalnie, teraz będzie musiał się z nią ożenić. Może o to właśnie jej chodziło przez cały czas. Tylko że to była jego Cecilia. Myślał, że ją zna. Jeszcze zanim się spotkali.

Przesunął dłonią po czole, wyczuwając wgniecenie na skroni. Głowa go bolała. Mocno zacisnął dłonie, żeby zdusić ból, ale bez skutku. Bo gdy wreszcie udało mu się wyrzucić z myśli Cecilię, pozostał w nich jej brat.

Thomas nie żył. Edward wciąż myślał o tym, że nikt się nigdy nie dowie, co właściwie się wydarzyło, dlaczego zmarł pośród obcych, podejrzewany o zdradę. O tym, że zginął od kuli w brzuch. To straszna śmierć… powolna i potwornie bolesna.

Wciąż zastanawiał się, jakie kłamstwo powiedzieć Cecilii, żeby się o tym nie dowiedziała i myślała, że zginął szybko i bezboleśnie.

Jak bohater.

Doskonale zdawał sobie sprawę z ironii losu. Teraz on będzie musiał jej skłamać.

Wiedział, że sam musi powiedzieć jej o śmierci Thomasa. To jego obowiązek. Nieważne, jak bardzo jest na nią zły – szczerze mówiąc, sam nie potrafił ocenić, co czuje – ale Thomas był jego najbliższym przyjacielem. Nawet, gdyby nigdy w życiu nie spotkał Cecilii Harcourt, pojechałby do Derbyshire, żeby oddać jej sygnet brata do rąk własnych.

Ale na razie nie był gotowy na tę rozmowę. Nie był gotowy na nic, poza kolejną szklanką brandy. Albo wina. Albo nawet wody, pod warunkiem że będzie mógł ją pić w samotności.

Zaszedł więc do Fraunces Tavern, bo tam zaglądało o wiele mniej jego znajomych niż do Devil’s Head. Rano nie było tam ruchu. Przy odrobinie szczęścia można było przesiedzieć długie godziny twarzą do ściany i nie odzywać się do nikogo.

Kiedy wszedł, barman rzucił mu jedno jedyne spojrzenie i w milczeniu nalał pełną szklankę. Edward nie pamiętał nawet, co to było. Coś domowego, pewnie pędzonego nielegalnie i bardzo mocnego.

Potem zamówił jeszcze raz to samo.

Przesiedział całe rano w najciemniejszym zakątku tawerny. Od czasu do czasu ktoś przynosił mu kolejną szklankę. W pewnym momencie jakaś kelnerka postawiła przed nim kromkę chleba, żeby choć trochę zagryzł alkohol. Spróbował kęs. Zaciążył mu w żołądku jak kamień.

Wrócił do picia.

Choć robił, co mógł, nie mógł osiągnąć takiego zamroczenia, żeby zapomnieć o wszystkim. Nieważne, ile mu dolewali. W pewnym momencie zamknął oczy na dłuższą chwilę, w nadziei że otoczy go ciemność albo chociaż szarość i nie będzie musiał o tym wszystkim myśleć. Nic to nie zmieni, Cecilia w dalszym ciągu będzie oszustką, ale może i o tym uda mu się zapomnieć.

Nie udało się.

Nie miał nawet tyle szczęścia.

Wtedy przyszła ona.

Nie musiał nawet podnosić wzroku, żeby to potwierdzić, kiedy otworzyły się drzwi i wpadł przez nie ostry promień światła. Poczuł to w powietrzu, w zaduchu… Wiedział, że to najgorszy dzień jego życia. I że na pewno nie będzie lepszy.

Popatrzył na nią.

Stała w drzwiach, tuż przy oknie, a wpadające przez nie światło dnia lśniło w jej włosach jak aureola.

Wyglądała jak anioł.

Do niedawna myślał, że naprawdę jest jego aniołem.

Przez kilka sekund stała nieruchomo. Wiedział, że powinien wstać, ale zdaje się, że alkohol w końcu zadziałał. Obawiał się, że straci równowagę.

I zdrowy rozsądek.

Gdyby wstał, pewnie podszedłby do niej. A gdyby do niej podszedł, pewnie wziąłby ją w ramiona.

Potem by tego pożałował. Później, pod wieczór, kiedy powróciłaby mu zdolność myślenia.

Zrobiła ostrożny krok w jego stronę. Potem następny. Widział, jak jej wargi układają się, by wypowiedzieć jego imię, ale nic nie usłyszał. Może wyszeptała je bezgłośnie, a może wolał go nie słyszeć. Tego nigdy nie będzie wiedział. W jej oczach wyczytał niepokój – wiedziała, że stało się coś złego.

Sięgnął do kieszeni.

– Co się stało? – Była już tak blisko, że nie mógł dłużej udawać, że nie słyszy jej słów.

Wyjął sygnet i położył go na stole.

Śledziła wzrokiem jego ruchy, ale z początku nie zrozumiała, o co chodzi. Wyciągnęła drżącą rękę i wzięła pierścionek w palce. Podniosła go do twarzy, by mu się przyjrzeć z bliska.

– Nie – wyszeptała.

Milczał.

– Nie, nie. To nie jego sygnet. Jest takich wiele. Na pewno należy do kogoś innego. – Odłożyła pierścień na stół, jakby palił ją w palce. – To nie jego. Powiedz mi, że nie jego.

– Przykro mi – odpowiedział Edward.

Cecilia w dalszym ciągu kręciła głową.

– Nie – powtórzyła głosem zranionego zwierzęcia.

– Należał do niego, Cecilio – powiedział Edward. Nie poruszył się, by ją pocieszyć. Powinien. Zrobiłby to, gdyby sam nie czuł się martwy w środku.

– Skąd go masz?

– Od pułkownika Stubbsa. – Przerwał na chwilę, zastanawiając się, co powinien powiedzieć, a czego nie. – Prosił, żeby cię przeprosić. I przekazać kondolencje.

Wpatrywała się w sygnet, a potem, jakby ktoś wbił w nią szpilkę, nagle podniosła wzrok i spytała:

– Dlaczego chce mnie przeprosić?

Można się tego było spodziewać. Była mądra. Między innymi dlatego tak się w niej zakochał. Natychmiast zorientowała się, która część jego wypowiedzi nie pasuje do reszty. Można się było tego spodziewać.

Edward odchrząknął.

– Przeprasza, że nie powiedział ci tego wcześniej. Nie mógł. Thomas brał udział w bardzo ważnej operacji. To była… tajemnica.

Chwyciła oparcie stojącego obok krzesła, a potem przestała udawać, że ma dość siły i usiadła.

– Więc on to wiedział, przez ten cały czas?

Edward skinął głową.

– To się stało w marcu.

Usłyszał, jak wstrzymała oddech z cichym westchnieniem. Była zszokowana.

– Przecież siedzieliśmy razem przy tobie w kościele, kiedy leżałeś nieprzytomny. Pewnego dnia przesiedział ze mną kilka godzin. Jak mógł mi to zrobić? Przecież wiedział, że szukam Thomasa… Wiedział… – Przyłożyła dłoń do ust, oddychając coraz ciężej. – Jak mógł być taki okrutny?

Edward nie odezwał się ani jednym słowem.

W oczach Cecilii pojawił się ostry błysk. Bladozielone tęczówki nabrały metalicznego połysku.

– Czy ty też wiedziałeś?

– Nie. – Spojrzał jej prosto w oczy wzrokiem bez wyrazu. – Skąd miałbym to wiedzieć?

– Oczywiście – szepnęła. – Przepraszam cię.

Siedziała nieruchomo, jak pomnik żalu i żałoby. Edward mógł się tylko domyślać, co się dzieje w jej głowie. Co jakiś czas trochę mocniej mrugała oczyma albo jej wargi poruszały się, jakby chciała coś powiedzieć.

W końcu nie mógł już tego dłużej znieść.

– Cecilio?

Odwróciła się powoli, i ściągając brwi spytała:

– Czy go pogrzebano? Jak się należy?

– Tak – odpowiedział. – Pułkownik Stubbs sam o to zadbał.

– Czy będę mogła odwiedzić…

– Nie – odparł twardo. – Został pochowany w Dobbs Ferry. Wiesz, gdzie to jest?

Skinęła głową.

– W takim razie wiesz także, że to zbyt niebezpieczne miejsce. Nawet dla mnie, chyba że dostałbym taki rozkaz.

Znowu skinęła głową, ale tym razem z mniejszym przekonaniem.

– Cecilio – ostrzegł ją. Na Boga, nie dałby rady ruszyć w ślad za nią na tereny nieprzyjaciela. Okolice Westchester były ziemią niczyją. Dlatego tak się zdziwił, gdy pułkownik powiedział mu o swojej samotnej wyprawie na spotkanie z Thomasem. – Daj mi słowo – warknął, wbijając palce w blat stołu. – Obiecaj, że tam nie pojedziesz.

Spojrzała na niego ze zdziwioną miną.

– Oczywiście, że nie. Nie jestem… – zacisnęła wargi, przełknęła słowa, które chciała wypowiedzieć i zamiast tego mruknęła: – To nie byłoby w moim stylu.

Skwitował to skinieniem głowy. Nie mógł się zdobyć na więcej, bojąc się, że straci panowanie nad swoim oddechem.

– Pewnie nie ma nawet nagrobka – powiedziała po chwili. – Kto miałby go postawić?

To było retoryczne pytanie, ale ból w jej głosie kazał mu odpowiedzieć.

– Pułkownik powiedział, że usypali stos kamieni.

To było kłamstwo, ale lżej jej będzie z myślą, że mogiła jej brata jest jakoś oznaczona, choćby paroma kamieniami.

Wziął w dłoń pustą szklankę i zaczął się nią bawić. Na dnie zostało kilka kropli. Obserwował, jak toczą się to w jedną, to w drugą stronę, zawsze po tej samej wilgotnej ścieżce. Jak mocno trzeba by przechylić szklankę, by utworzyła się nowa trasa? Czy może to zrobić ze swoim życiem? Przechylić wszystko tak mocno, by uzyskać inny wynik? A jeśli wywróci wszystko do góry nogam? Co wtedy?

Pomimo tych wszystkich myśli, wyraz jego twarzy się nie zmienił. Czuł, że jego rysy skamieniały, nie zdradzając żadnych emocji. To było

konieczne. Jedno ustępstwo i Bóg jeden wie, co wydostałoby się na zewnątrz.

– Powinnaś wziąć ten sygnet – powiedział.

Lekko skinęła głową i wzięła go do ręki, a potem obejrzała z bliska, mrugając, by odpędzić łzy. Harcourtowie nie mieli herbu, więc na płaskiej powierzchni wygrawerowano tylko literę H, eleganckim pismem z zawadiackim zawijasem u dołu.

Ale Cecilia nie patrzyła na sygnet, tylko do środka. Edward wyprostował się nieco, zaciekawiony. Sam nie pomyślał, by szukać jakiegoś napisu. Może to wcale nie był sygnet Thomasa. Może pułkownik Stubbs go okłamał. Może…

Nagle Cecila załkała rozpaczliwie – tak nagle i chrapliwie, jakby ten dźwięk nie wydobył się z jej gardła. Zacisnęła dłoń z sygnetem w pięść i zapadła się w sobie. Oparła głowę na rękach i zaniosła się płaczem.

Modląc się w duchu o boskie zmiłowanie, wziął ją za rękę.

Nieważne, co zrobiła i z jakiego powodu… nie będzie teraz poruszał z nią tego tematu.

– Wiedziałam… – łkała. – Wiedziałam, że najprawdopodobniej nie żyje. Ale moja głowa i serce… nie były w tym samym miejscu. – Spojrzała na niego błyszczącymi od łez oczyma. – Rozumiesz, o co mi chodzi?

Za mało sobie ufał, by powiedzieć choć słowo, więc tylko skinął głową. Sam nie był pewny, czy jego serce i głowa kiedykolwiek spotkają się ze sobą.

Wziął sygnet, ciekaw, co jest na nim na pisane. Odwrócił go do światła.

THOMAS HORATIO

– Wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie mają takie same sygnety – wyjaśniła. – Imiona są wygrawerowane po to, żeby było wiadomo, który do kogo należy.

– „Horatio” – przeczytał. – Nie wiedziałem.

– Dziadek mojego ojca miał na imię Horace – wyjaśniła. Chyba się trochę uspokoiła. Rozmowa na zwyczajne tematy zazwyczaj w tym pomaga. – Ale moja matka nienawidziła tego imienia. A teraz… – zaśmiała się urywanie, a potem nieelegancko wytarła twarz wierzchem dłoni. Edward podałby jej chusteczkę, gdyby sam ją miał. Ale wychodząc rano, za bardzo się śpieszył, tak chciał zrobić jej niespodziankę tymi słodyczami. Myślał, że wróci po niespełna dwudziestu minutach.

– Mój kuzyn ma na imię Horace – dodała, wznosząc oczy do sufitu. – Ten, który chciał się ze mną ożenić.

Edward popatrzył na swoje palce, uświadamiając sobie, że bawi się sygnetem. Położył go na stole.

– Nienawidzę go – powiedziała z takim żarem, że musiał na nią spojrzeć. Oczy jej płonęły. Nie przypuszczał, że taki blady odcień potrafi się tak jarzyć, ale po chwili przypomniał sobie, że jeśli ogień rozpali się bardzo mocno, to nabiera zimnej barwy. – Naprawdę go nienawidzę – ciągnęła. – Gdyby nie on, nie musiałabym… – wydała nagłe rozdzierające westchnienie. Zupełnie nieoczekiwane, sądząc po jej minie.

– Czego byś nie musiała? – zapytał cicho.

Nie odpowiedziała od razu. W końcu przełknęła ślinę i powiedziała:

– Pewnie nie musiałabym tu przyjeżdżać.

– Ani wychodzić za mnie za mąż.

Spojrzał jej prosto w oczy. Jeśli będzie chciała wyznać prawdę, zrobi to teraz. Według wersji, którą mu opowiedziała, ceremonia zaślubin z jej strony odbyła się na statku.

– Gdybyś nie wyruszyła w podróż do Nowego Jorku, kiedy byś za mnie wyszła? – drążył temat.

– Nie wiem – przyznała.

– Więc może wszystko się dobrze złożyło.

Ciekaw był, czy ona też słyszy ton, który zabrzmiał w jego głosie. Trochę za cichy, trochę za układny.

To była przynęta. Nie mógł się powstrzymać.

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

– Gdyby kuzyn Horace cię tak nie dręczył, nie bylibyśmy małżeństwem – ciągnął. – Chociaż przypuszczam, że… – celowo nie dokończył zdania, czekając, aż sama go do tego zachęci.

– Podejrzewasz…

– Podejrzewam, że i tak bylibyśmy małżeństwem – odpowiedział. – W końcu moja część ceremonii odbyła się kilka miesięcy temu. Pomyśl o tym. Przez cały ten czas byłbym kawalerem i nawet bym o tym nie wiedział.

Rzucił jej szybkie spojrzenie. Powiedz coś w końcu.

Nic nie powiedziała.

Edward podniósł szklankę i wychylił ostatnie krople. Zresztą i tak niewiele w niej było.

– Co teraz będzie? – szepnęła.

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien.

– Zostały po nim jakieś rzeczy? Oprócz sygnetu?

Wrócił pamięcią do dnia, kiedy obaj z Thomasem ruszyli do Connecticut. Nie wiedzieli, jak długo ich nie będzie, więc pułkownik zabrał gdzieś ich rzeczy na przechowanie.

– Są u pułkownika Stubbsa – powiedział. – Poproszę, żeby ci je przynieśli.

– Dziękuję.

– Miał twoją miniaturę – wyznał.

– Przepraszam?

– Miniaturę. Wszędzie ją ze sobą brał. To znaczy, nie miał jej cały czas przy sobie, ale kiedy zmienialiśmy kwaterę, zawsze o niej pamiętał.

Wargi jej zadrgały w ulotnym uśmiechu.

– Ja też mam jego miniaturę. Nie pokazywałam ci jej?

Pokręcił głową.

– Och. Przepraszam. Powinnam to wcześniej zrobić. – Znowu posmutniała. Wyglądała tak żałośnie. Była kompletnie zagubiona i załamana. – Namalowano je w tym samym czasie. Miałam wtedy chyba szesnaście lat.

– Tak, wyglądasz na niej dużo młodziej.

Przez chwilę była nieco zmieszana, ale potem zamrugała i powiedziała:

– Widziałeś ją. Oczywiście. Thomas mi napisał, że ci ją pokazywał.

Edward skinął głową.

– Raz czy dwa – skłamał. Nie musiała wiedzieć, ile czasu spędził, wpatrując się w ten portrecik, zastanawiając się, czy rzeczywiście jest tak miła i pogodna jak jej listy.

– Moim zdaniem wcale nie jest podobna. Malarz za bardzo rozjaśnił mi włosy. I wcale się tak nie uśmiecham.

Miała rację. Ale nie mógł przytaknąć, bo przyznałby się, że oglądał miniaturę dużo częściej.

Cecilia ujęła sygnet kciukami i wskazującymi palcami obu dłoni.

Wpatrywała się w niego. Bardzo, bardzo długo.

– Chcesz już wrócić do tawerny? – spytała w końcu.

Ale nie podniosła wzroku.

Ponieważ nie ufał sobie na tyle, by zostać z nią sam na sam, powiedział tylko:

– Muszę trochę pobyć sam ze sobą.

– Oczywiście. – Powiedziała to zbyt szybko. I zbyt szybko poderwała się od stołu. Zacisnęła sygnet w dłoni. – Ja też.

To było kłamstwo. Oboje dobrze o tym wiedzieli.

– Wrócę sama – powiedziała, niepotrzebnie wskazując na drzwi. – Chyba muszę się położyć.

Skinął głową.

– Zostanę tu jeszcze, jeżeli ci to nie przeszkadza.

Wskazała na pustą szklankę.

– Może nie powinieneś już…

Uniósł brwi, jakby rzucał jej wyzwanie.

– Nieważne.

Mądra dziewczynka.

Odeszła od stołu i zatrzymała się.

– Czy ty?

Nareszcie. Zaraz mu powie. Wytłumaczy mu, co się stało i wszystko będzie dobrze, nie będzie musiał znienawidzić siebie ani jej, i…

Dopiero gdy uderzył się o stół, zdał sobie sprawę, że wstaje.

– Co takiego?

Pokręciła głową.

– Nieważne.

– Powiedz mi to.

Spojrzała na niego dziwnie a potem odpowiedziała:

– Chciałam cię tylko zapytać, czy mam ci coś przynieść z piekarni. Tylko że nie mam ochoty w tej chwili z nikim rozmawiać, więc wrócę prosto do gospody.

Piekarnia.

Opadł na krzesło i zanim zdołał się opanować, wybuchnął gardłowym, gniewnym śmiechem.

Cecilia otworzyła szeroko oczy.

– Mogę tam zajrzeć, jeśli chcesz. Jeśli jesteś głodny, mogę…

– Nie – uciął. – Wracaj do domu.

– Do domu… – powtórzyła jak echo.

Poczuł, jak kącik ust unosi mu się w niewesołym uśmiechu.

– Do Szatańskiego Opactwa.

Skinęła głową. Wargi jej drżały, jakby nie wiedziała, czy ma na to odpowiedzieć uśmiechem.

– Do domu – powtórzyła jeszcze raz. Spojrzała na drzwi, potem znowu na niego. – Dobrze.

Wciąż się jednak wahała. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, jakby na coś czekała. Jakby miała nadzieję.

Nic jej nie dał. Nie miał już nic do oddania.

Więc odeszła.

A Edward zamówił kolejną szklankę brandy.

17

W końcu dotarliśmy do Nowego Jorku! Najwyższy czas. Przypłynęliśmy statkiem z Rhode Island. Znowu okazało się, że z Edwarda jest kiepski marynarz. Powiedziałem mu, że to dla równowagi, bo we wszystkim innym jest świetny.

Aha, teraz patrzy na mnie spod oka. Mam brzydki zwyczaj powtarzania na głos tego, co piszę, i widać mu się to nie spodobało. Nie lękam się jednak. On ma bardzo dobry charakter i nigdy na długo się nie obraża.

Tylko to spojrzenie! Co za spojrzenie!

Kiedyś zabiję Pani brata.

Z listu Thomasa Harcourta (i Edwarda Rokesby'ego) do Cecilii Harcourt

Cecilia wracała do Devil's Head kompletnie oszołomiona.

Thomas nie żył.

Naprawdę nie żył.

Wydawało jej się, że jest na to przygotowana. Przecież mijały długie tygodnie bez żadnych wieści. Wiedziała, że coraz bardziej maleją szanse, że go odnajdą żywego. A jednak teraz… kiedy miała w kieszeni dowód jego śmierci…

Była kompletnie rozbita.

Nie będzie nawet mogła pójść na jego grób. Edward powiedział, że jest za daleko od Manhattanu, za blisko generała Waszyngtona i jego armii.

Odważniejsza kobieta pewnie by tam pojechała. Ktoś bardziej awanturniczy pewnie potrząsnąłby włosami, tupnął nogą i uparł się, że musi położyć kwiaty w miejscu ostatniego spoczynku swego brata.

Billie Bridgerton pewnie by tak postąpiła.

Cecilia na moment zamknęła oczy i zaklęła pod nosem. Musi przestać myśleć o tej cholernej Billie Bridgerton. Zaczynała popadać w obsesję na punkcie tej kobiety.

W sumie to nie jej wina. Edward cały czas opowiadał o tej dziewczynie.

No, może nie cały czas. W sumie wspomniał o niej ze dwa razy. Może trochę częściej. Tak czy owak, Cecilia uznała, że aż za dużo wie o najstarszej córce lorda Bridgertona i więcej sobie nie życzy. Edward pewnie nawet nie zauważył, że Billie pojawiała się we wszystkich jego opowieściach o dzieciństwie w Kent. Zarządzała majątkiem swego ojca. Jeździła na polowania z mężczyznami. A kiedy Cecilia spytała Edwarda, jak ona wygląda, odpowiedział:

– W sumie jest bardzo ładna. Tyle że przez te wszystkie lata tego nie zauważałem. Zresztą, dopiero jako ośmiolatek zauważyłem, że to dziewczyna.

I co Cecilia na to odpowiedziała?

– Aha…

Jak zwykle okazała się wyjątkowo wymowna i przewidująca. Cóż za niesłychanie elokwentna odpowiedź. Z drugiej strony, nie mogła mu przecież powiedzieć, że po tych wszystkich opowieściach o zdumiewającej superkobiecie Billie Bridgerton, która z pewnością mogłaby galopować konno, siedząc przodem do ogona, wyobrażała ją sobie jako dwujardową Amazonkę o wielkich dłoniach, męskim karku i krzywych zębach.

Wprawdzie Edward nie wspominał o krzywych zębach, ale Cecilia od dawna pogodziła się z tym, że bywa małostkowa i mściwa. Więc, do jasnej

cholery, miała prawo wyobrażać sobie Billie Bridgerton z paskudnym zgryzem. I męskim karkiem.

Niestety, Bille Bridgerton była śliczna. I silna. Gdyby to jej brat zginął na wojnie, na pewno wyruszyłaby na terytorium wroga i upewniła się, że ktoś oznaczył jego mogiłę, jak należy.

Cecilia tego nie umiała. Wykorzystała resztki odwagi, wchodząc na pokład „Lady Mirandy" i patrząc, jak na wschodzie znika angielski brzeg. W dodatku, w ciągu minionych tygodni dowiedziała się o sobie czegoś naprawdę ważnego: nie umie wkroczyć na cudze terytorium, chyba że od tego zależy czyjeś życie.

Więc teraz pozostało jej tylko jedno…

Wrócić do domu.

Wiedziała, że Nowy Jork to nie miejsce dla niej. A Edward nie jest jej mężczyzną. Ani ona jego kobietą. Jest tylko jedna rzecz, która mogłaby ich naprawdę połączyć…

Znieruchomiała i dotknęła dłonią płaskiego brzucha, tuż nad łonem.

Być może jest w ciąży. To mało prawdopodobne, ale jednak możliwe.

Nagle uświadomiła sobie, że to może być prawda. Wiedziała, że raczej nie poczęła dziecka, ale w jej sercu zrobiło się miejsce dla nowej osoby – cudownej miniaturki Edwarda a może i jej samej. Wyobraziła sobie dziecko zupełnie podobne do niego – o ciemnej czuprynie i oczach błękitnych jak niebo.

– Panienko?

Podniosła wzrok i zamrugała. Okazało się, że zatrzymała się na środku ulicy. Jakaś starsza pani w wykrochmalonym czepku przyglądała jej się z troską i dobrocią.

– Dobrze się panienka czuje?

Cecilia skinęła głową i ruszyła przed siebie.

– Przepraszam panią – powiedziała, schodząc na pobocze. W głowie miała pustkę, więc z pewnym trudem skupiła się na dobrej samarytance,

która stała tuż przed nią. – Ja po prostu… dostałam złą wiadomość.

Kobieta spojrzała na jej dłoń, która wciąż spoczywała na brzuchu. Dłoń bez obrączki. Popatrzyła na Cecilię z pożałowaniem i współczuciem. To było okropne połączenie.

– Muszę już iść – wymamrotała Cecilia i niemal biegiem ruszyła w stronę Devil’s Head, pośpiesznie weszła na schody i dotarła do pokoju. Rzuciła się na łóżko i rozpłakała się, na poły z żalu, na poły z rozczarowania.

Spotkana na ulicy kobieta pomyślała na pewno, że Cecilia jest w ciąży. Niezamężna i w ciąży. Spojrzała na palec bez obrączki i wyrobiła sobie zdanie na jej temat. Boże wielki, cóż za ironia.

Przecież Edward chciał kupić jej obrączkę. Ślubną obrączkę, choć ślubu przecież nie było.

Roześmiała się. Wybuchnęła śmiechem przez łzy, wciąż leżąc na tym łóżku.

To nie był miły dźwięk.

Jeśli była w ciąży, przynajmniej ojciec dziecka będzie myślał, że jest ślubne. On i wszyscy inni.

Za wyjątkiem tej kobiety, którą spotkała na ulicy.

W jednej chwili z młodej damy, która potrzebowała dobrego słowa, zmieniła się w upadłą ladacznicę, która wkrótce znajdzie się na marginesie społeczeństwa.

Może przesadziła, interpretując wyraz twarzy tej kobiety, ale wiedziała przecież jak to się odbywa w świecie. Jeśli jest w ciąży, jej życie legnie w ruinie. Nigdy nie zostanie zaakceptowana w towarzystwie. Przyjaciółki, które zechcą utrzymywać z nią kontakty będą musiały odwiedzać ją ukradkiem, żeby również nie utracić dobrego imienia.

Kilka lat temu pewna dziewczyna w Matlock też zaszła w ciążę. Nazywała się Verity Markham. Cecilia prawie jej nie znała. Nikt nie wiedział, kto jest ojcem, ale to nie miało znaczenia. Gdy tylko stan Verity

wyszedł na jaw, ojciec Cecilii zabronił jej kontaktów ze znajomą. Cecilia była zaskoczona jego gwałtowną reakcją. Do tej pory nie przejmował się lokalnymi plotkami. Tym razem jednak zrobił wyjątek.

Nie sprzeciwiała się temu zakazowi. Nie przyszło jej do głowy, by go kwestionować. Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy odważyłaby się sprzeciwić ojcu, gdyby Verity była jej przyjaciółką albo nieco bliższą znajomą? Chciała myśleć, że tak, ale w sercu wiedziała, że to musiałaby być bardzo serdeczna przyjaźń. Nie chodzi o to, że Cecilia była nielojalna. Po prostu nie przyszłoby jej do głowy, że może zachować się niezgodnie z oczekiwaniami.

Zasady życia społecznego mają swoje uzasadnienie. W każdym razie zawsze jej się tak wydawało. Może powinna raczej powiedzieć, że do tej pory nie zastanawiała się nad tymi zasadami. Po prostu ich przestrzegała.

Ale teraz, gdy istniało ryzyko, że sama zostanie upadłą dziewczyną…

Szkoda, że nie była milsza dla Verity. Szkoda, że jej nie odwiedziła, że nie ofiarowała jej swojej przyjaźni. Mogła przecież publicznie okazać jej wsparcie. Verity w końcu wyjechała z wioski. Rodzice wszystkim powtarzali, że zamieszkała u ciotecznej babki w Kornwalii, ale nikt w Matlock im nie wierzył. Cecilia nie miała pojęcia, dokąd ją wywieziono i czy pozwolono jej zatrzymać dziecko.

Z gardła wyrwało jej się łkanie, tak nieoczekiwane i silne, że musiała sobie zatkać usta pięścią. Może jakoś by to zniosła, gdyby chodziło tylko o nią. Ale przecież będzie jeszcze dziecko. Jej dziecko. Nie miała pojęcia, jak to jest być matką. Ledwie wiedziała, jak to jest mieć matkę. Była pewna tylko jednego: nie może skazać swojego dziecka na żywot bastarda.

Obrabowała Edwarda z tylu rzeczy: ufności, a nawet nazwiska. Nie może mu teraz ukraść dziecka. To byłoby skrajne okrucieństwo. Będzie z niego dobry ojciec. Nie, on będzie wspaniały. I będzie z tego szczęśliwy.

Jeżeli okaże się, że jest w ciąży, będzie musiała mu o tym powiedzieć.

Przysięgła to sobie. Jeżeli jest w ciąży, zostanie. Powie Edwardowi wszystko i ze względu na dziecko przyjmie wszelkie konsekwencje.

Ale jeśli nie poczęła i jeżeli miesiączka pojawi się o czasie, co będzie wiadome za tydzień – odejdzie. Edward zasługuje na wolność i takie życie, jakie sobie sam zaplanował. Nie na takie, jakie ona mu narzuciła.

Wyzna mu wszystko, ale w liście.

Może to będzie tchórzostwo, ale trudno. Nawet Billie Bridgerton nie starczyłoby odwagi, żeby wyznać komuś taką rzecz prosto w oczy.

Edward dopiero po kilku godzinach odzyskał dość panowania nad sobą, by wrócić do Devil’s Head.

Do Cecilii.

Która nie była jego żoną.

Przestał pić niemal od razu po jej wyjściu, więc był trzeźwy albo prawie trzeźwy. Cały czas wbijał sobie do głowy, że na razie nie będzie więcej o niej myślał. Ten dzień należał do Thomasa. Tak powinno być.

Wprawdzie życie Edwarda rozpadło się w jeden dzień, ale spróbuje, do jasnej cholery, uporać się z tymi katastrofami osobno, dzień po dniu.

Nie można bez końca wałkować tego, co Cecilia zrobiła i co powiedziała, a już na pewno szkoda energii na rozważanie tego, czego nie powiedziała. Trzeba przestać się nad tym zastanawiać. Natychmiast.

W ogóle go to nie obchodzi.

Najchętniej by na nią nakrzyczał. Złapał ją za ramiona, potrząsnął a potem błagał, żeby mu wytłumaczyła przyczyny.

Najchętniej umyłby ręce i zapomniał o niej na zawsze.

Najchętniej przywiązałby ją do siebie na wieczność.

Do jasnej cholery, trzeba o tym przestać myśleć.

Dzisiaj jest dzień żałoby po przyjacielu. Trzeba połączyć się w żałobie z kobietą, która nie była jego żoną. Ponieważ była siostrą Thomasa. A on był wyjątkowym człowiekiem.

Do diabła z tym wszystkim.

Podszedł do pokoju numer dwanaście, wziął głęboki oddech i ujął klamkę.

Może nie będzie w stanie pocieszyć Cecilii tak jak powinien, ale powinien dać jej przynajmniej kilka dni spokoju, zanim zapyta ją, dlaczego go okłamała. Pierwszy raz w życiu stracił bliską osobę. Thomas był jego przyjacielem, ale nie rodziną, więc rozpacz Cecilii musiała być nieporównywanie głębsza. Potrafił to sobie wyobrazić. Gdyby coś stało się Andrew… albo Mary… albo nawet George'owi, albo Nicholasowi, z którymi nie był aż tak blisko związany…

Byłby kompletnie rozbity.

Poza tym trzeba przemyśleć kilka spraw. Cecilia nigdzie się przecież nie wybiera. Nie warto podejmować pośpiesznych, głupich decyzji.

Otworzył drzwi, mrugając oczyma, gdy korytarz zalało jasne światło dnia. Za każdym razem, pomyślał głupio. Za każdym razem, gdy otwieram te cholerne drzwi, oślepia mnie słońce.

– Wróciłeś – powiedziała Cecilia. Siedziała na łóżku, oparta o wezgłowie, z wyprostowanymi nogami. Wciąż miała na sobie tę niebieską suknię. W sumie słusznie, bo nie nadeszła nawet pora kolacji.

Będzie musiał wyjść z pokoju, kiedy ona postanowi się przebrać w tę białą, bawełnianą koszulę nocną, przypominającą habit. Na pewno będzie wolała to zrobić na osobności.

Nie jest przecież jego żoną.

Nie było żadnego ślubu na odległość. Nie podpisał żadnego dokumentu. Cecilia była siostrą jego serdecznego przyjaciela i nikim więcej.

Co chciała zyskać, podszywając się pod jego żonę? To było zupełnie bez sensu. Przecież nie wiedziała, że stracił pamięć. Dopóki nie odzyskał przytomności, mogła wszystkim wkoło opowiadać, że jest jego żoną. Ale wiedziała przecież, że jej kłamstwo wyjdzie na jaw, gdy tylko Edward dojdzie do siebie.

Chyba, że postanowiła zaryzykować. Postawiła wszystko na jedną kartę: że on się nie obudzi. Że umrze, podczas gdy wszyscy będą przekonani, że się z nią ożenił…

Małżeństwo z Rokesbym to przecież niezgorszy interes.

Jego rodzice serdecznie by ją przyjęli po powrocie do Anglii. Wiedzieli o jego przyjaźni z Thomasem. Do diabła, przecież go nawet poznali. Odwiedził ich w Boże Narodzenie. Nie mieliby powodu wątpić w słowa Cecilii, gdyby pojawiła się, twierdząc, że poślubiła ich syna.

Tylko że to byłaby wykalkulowana intryga. Zupełnie do niej niepodobna.

Ale czy na pewno?

Zamknął za sobą drzwi, skinął jej głową i usiadł w ich jedynym fotelu, żeby zdjąć buty.

– Pomóc ci? – spytała.

– Nie – odpowiedział i spuścił wzrok, żeby nie widzieć, jak przełyka ślinę. Zawsze to robiła w podobnych sytuacjach, kiedy nie wiedziała, co powiedzieć. Kiedyś uwielbiał się jej przyglądać. Obserwował delikatną linię szyi i wdzięcznie opadające ramiona. Przełykając, zaciskała wargi. Trochę to przypominało pocałunek, więc zawsze miał ochotę pochylić się i go skraść.

Tego wieczoru nie chciał na to patrzeć.

– Ja…

Poderwał głowę na dźwięk jej głosu.

– Co takiego?

Cecilia tylko pokręciła głową.

– Nieważne.

Spojrzał jej w oczy, zadowolony, że zapadł już półmrok. Było za ciemno, by dostrzec ich wyraz, by się w nich zagubić. Mógł udawać, że wcale nie mają barwy morza na płyciźnie, a o świcie, kiedy niebo zaczyna się rumienić, nie nabierają koloru pierwszych wiosennych liści.

Ściągnął buty, a potem wstał, żeby ustawić je schludnie obok swego kufra. W pokoju panowało ciężkie milczenie. Wyczuwał, że Cecilia obserwuje jego codzienną krzątaninę. Zazwyczaj gawędziliby sobie. Zapytałby, jak jej minął dzień, a gdyby spędzili go wspólnie, pewnie rozmawialiby o tym co robili i co widzieli. Może przypomniałaby sobie coś zabawnego. On też by się z tego śmiał a potem, wieszając kurtkę w szafie, zastanawiałaby się, dlaczego całe jego ciało przeszywa dziwny dreszcz.

Zresztą, długo by się nad tym nie zastanawiał. Wiedziałby, co to jest.

Szczęście.

Miłość.

Dzięki Bogu, nigdy jej tego nie wyznał.

– Ja…

Podniósł wzrok. Znowu chciała coś o sobie powiedzieć i przerwała z wahaniem.

– Co takiego, Cecilio?

Zamrugała oczami, słysząc ton jego głosu, choć nie był szorstki, tylko zdawkowy.

– Nie wiem, co zrobić z sygnetem Thomasa – powiedziała cicho.

Aha. Więc to zamierzała powiedzieć. Wzruszył ramionami.

– Możesz go nosić na łańcuszku na szyi.

Gładziła palcami wytarty koc.

– Pewnie tak.

– Możesz go zachować na pamiątkę dla swoich dzieci.

Uświadomił sobie, co powiedział. Dla swoich dzieci. Nie dla naszych dzieci.

Czy zauważyła to przejęzyczenie? Raczej nie. Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Wciąż była blada i oszołomiona. Nic dziwnego. Przecież niedawno dowiedziała się o śmierci ukochanego brata.

Kłamała, to prawda, ale jej uczucie dla brata było autentyczne. To było widać.

Nagle poczuł się jak ostatni łajdak. Przecież ona była w żałobie, cierpiała.

Pragnął ją znienawidzić. Może z czasem mu się to uda. Ale na razie może tylko ulżyć jej w bólu.

Z głębokim, znużonym westchnieniem podszedł do łóżka i usiadł obok niej.

– Tak mi przykro – powiedział i objął ją ramieniem.

Jej ciało nie od razu się rozluźniło. Było całe napięte z rozpaczy i niepewności. Nie zachowywał się jak kochający mąż. Bóg jeden wie, że był nim – aż do porannego spotkania z kapitanem Stubbsem.

Ciekawe, co by się stało, gdyby nie dowiedział się o śmierci Thomasa i oszustwie Cecilii jednocześnie.

Co by zrobił? Jak by zareagował?

Pewnie odłożyłby własną żałobę na później.

Pewnie by ją pocieszał i koił jej rozpacz.

Pewnie tuliłby ją, aż by zasnęła i wypłakała wszystkie łzy, a potem pocałowałby ją w czoło i przykrył kocem.

– Jak mam ci pomóc? – zapytał szorstko. Wiele go kosztowało wypowiedzenie tych słów. Tylko tyle był w stanie jej dać.

– Nie wiem.

Jej głos był stłumiony, bo wtuliła twarz w jego ramię.

– Czy możesz po prostu… ze mną zostać? Trochę ze mną posiedzieć?

Skinął głową. Tak, z tym sobie poradzi. Będzie cierpiał w głębi serca, ale jakoś sobie poradzi.

Przesiedzieli razem kilka godzin. Edward zamówił kolację do pokoju, ale żadne z nich jej nie tknęło. Wyszedł z pokoju, żeby mogła się przebrać a ona odwróciła się do ściany, kiedy on się przebierał.

Tak, jakby ta jedyna noc namiętności nigdy się nie zdarzyła.

Cały ten żar, cały zachwyt gdzieś zniknęły.

Nagle pomyślał sobie, jak bardzo go drażni ten potok światła po otwarciu drzwi do pokoju. Jak bardzo jest na to nieprzygotowany.

Ależ był głupi. Nieprawdopodobnie głupi.

18

Ten list jest do Was obu. Tak się cieszę, że macie siebie nawzajem. Kiedy można się podzielić ciężarem z kimś bliskim, świat staje się lepszym miejscem.

Z listu Cecilii Harcourt do Thomasa Harcourta i Edwarda Rokesby'ego

Następnego dnia Edward obudził się pierwszy.

Zawsze tak było, ale nigdy jeszcze nie był z tego aż tak zadowolony. Już świtało, choć od niedawna, sądząc po barwie światła, które przenikało przez zasłony. Za oknem Nowy Jork już budził się do życia, ale codzienne odgłosy były w dalszym ciągu stłumione i nie tak częste. Gdzieś zaskrzypiał wóz. Zapiał jakiś kogut. Od czasu do czasu słychać było głośne „dzień dobry".

Dźwięki te wprawdzie przedostawały się przez grube ściany gospody, ale były zbyt ciche, by przerwać mocny sen Cecilii.

Edward zwykle wykorzystywał takie spokojne poranki żeby zająć się jakąś pracą. Zawsze go zdumiewało, ile można zrobić w samotności.

Ale ostatnio – a konkretnie od kiedy Cecilia pojawiła się w jego życiu – początek dnia stał się dla niego porą do przemyśleń. Tym bardziej, że łóżko było tak wygodne. I ciepłe.

I była w nim Cecilia.

W nocy zawsze przytulała się do niego jak przyciągana niewidzialną siłą. Zawsze przez kilka minut rozkoszował się jej obecnością, zanim wstał, żeby się ubrać. Czasem przerzucała ramię przez jego pierś i ramiona. Kiedy indziej wsuwała stopę pod jego łydki.

Zawsze jednak wstawał, zanim się obudziła, chociaż nie wiedział, dlaczego tak robi. Może nie chciał, żeby dowiedziała się, jak bardzo zależy mu na tej bliskości. Może nie chciał sam przed sobą przyznać, jaki spokój ogarnia go podczas tych kradzionych chwil.

Poprzedniego dnia było inaczej: szybko wyskoczył z łóżka, żeby kupić coś dobrego w piekarni.

To była dobra motywacja.

Ale teraz to on szukał jej bliskości. Spała przytulona do niego, z twarzą wtuloną w jego pierś. Obejmowała go ramieniem i była tak blisko, że czuł jej oddech na skórze.

A on głaskał ją przez sen po włosach.

Jego dłoń znieruchomiała, kiedy sobie to uświadomił, ale nie odsunął się od niej. Nie miał dość sił. Gdyby leżał zupełnie nieruchomo, mógłby wyobrazić sobie, że wydarzeń wczorajszego dnia po prostu nie było. Gdyby nie otwierał oczu, mógłby udawać, że Thomas wciąż żyje. A jego małżeństwo z Cecilią… jest rzeczywiste. Jej miejsce było w jego ramionach. Delikatny, kobiecy zapach łaskotał go w nos. Gdyby przetoczył ją na plecy i znalazł pociechę w jej ciele, byłoby to coś więcej niż skorzystanie z praw mężowskich – błogosławieństwo i sakrament.

Zamiast tego był tylko mężczyzną, który uwiódł niewinną panienkę.

To ona go do tego doprowadziła.

Chciał ją znienawidzić. Czasem miał wrażenie, że mu się to udało. Ale to wcale nie było takie pewne.

Cecilia zaczęła się budzić.

– Edwardzie? – spytała. – Śpisz?

Czy udawanie snu jest kłamstwem? Pewnie tak. Ale w porównaniu z niedawną lawiną kłamstw, wydawało się mało znaczące.

To nie była świadoma decyzja. Przecież sobie tego nie zaplanował. Ale kiedy poczuł jej lekki oddech na uchu, gdy szeptała te słowa, obudziła się w nim uraza. Nie miał ochoty odpowiadać.

Nie i już.

Potem, kiedy zamruczała coś z zaskoczeniem i powoli podciągnęła się do pozycji siedzącej, ogarnęło go dziwne poczucie mocy. Uwierzyła, że on śpi.

Że jest inaczej niż naprawdę.

Zrobił to samo, co ona wcześniej, choć w nieporównywalnie mniejszej skali. Ona nie powiedziała mu prawdy i przez to miała nad nim władzę.

Może po prostu chciał się zemścić. Może miał poczucie krzywdy. Jego zachowanie nie było szczególnie szlachetne, ale udało mu się wziąć nad nią górę – też ją oszukał.

– Co ja mam teraz zrobić? – szepnęła. Przewróciła się na bok, odsuwając się od niego. Ale w dalszym ciągu była blisko.

A on w dalszym ciągu jej pragnął.

Co by się stało, gdyby jej powiedział, że odzyskał pamięć? W końcu i tak będzie musiał wyznać prawdę, ale nie trzeba tego przecież robić od razu. Zresztą jego wspomnienia w większości nie miały z nią nic wspólnego. Dotyczyły podróży do Connecticut, konno, w zimnym, obrzydliwym deszczu. Najgorszy był moment, kiedy farmer, niejaki pan McClellan, przyłapał go na myszkowaniu przy nabrzeżu w Norwalk. Edward sięgnął po broń, ale kiedy z cienia wychynęło jeszcze dwóch mężczyzn – synów McClellana, jak się później okazało – szybko uznał, że opór nie będzie miał sensu. Pozwolił się odprowadzić do stodoły McClellana. Jeden z nich groził mu przy tym widłami, a drugi trzymał na muszce pistoletu. Związali go i trzymali go tam przez długie tygodnie.

Właśnie tam zawarł znajomość z kotem – tym samym, o którym wspominał Cecilii. Wyleniały kociak był jego jedynym towarzyszem przez

mniej więcej dwadzieścia trzy godziny na dobę. Biedactwo musiało wysłuchać historii życia Edwarda, ze wszystkimi szczegółami.

I to ładnych parę razy.

Zdaje się jednak, że gawędziarskie zdolności Edwarda przypadły futrzakowi do gustu, bo przynosił mu w nagrodę mnóstwo zdechłych ptaków i myszy. Edward próbował docenić te dary i żeby nie urazić swego dobrodzieja, zawsze czekał, aż kot się oddali i dopiero potem kopniakiem odrzucał truchełka pod drzwi stodoły.

To, że farmer McClellan wlazł w co najmniej sześć zdechłych gryzoni, było dodatkową korzyścią. Był dziwnie strachliwy jak na człowieka, który przez cały dzień pracował ze zwierzętami. Jego piski i kwiki za każdym razem, gdy drobne kostki chrupnęły pod jego butami, były jednym z nielicznych źródeł rozrywki dla Edwarda.

Tyle, że McClellan raczej rzadko zaglądał do stodoły. Szczerze mówiąc, Edward do końca nie wiedział, co ci ludzie zamierzają z nim zrobić. Pewnie pochwycili go dla okupu. Ani McClellan, ani jego synowie nie byli szczególnie zagorzałymi zwolennikami Waszyngtona. Z całą pewnością nie byli też lojalistami.

Wojna potrafi jednak zrobić z ludzi najemników, szczególnie z tych, którzy są chciwi z natury.

W końcu to żona McClellana wypuściła Edwarda. Bynajmniej nie ze względu na jego urok osobisty, choć bardzo się starał być ujmująco miły w stosunku do kobiet z tej rodziny. Powiedziała mu po prostu, że ma po dziurki w nosie dzielenia się z nim jedzeniem przeznaczonym dla rodziny. Urodziła dziewięcioro dzieci i ani jedno nie raczyło umrzeć w młodym wieku. W związku z tym miała za dużo gąb do wyżywienia.

Edward mógłby się odciąć, mówiąc, że raczej go tu nie przekarmiali. Ale właśnie wtedy luzowała sznur, którym miał związane kostki.

– Poczekaj pan z ucieczką do zmierzchu – poradziła. – I ruszaj na wschód. Wszystkie chłopaki będą wtedy w mieście.

Nie powiedziała mu, dlaczego tam się wybierali, a on nie pytał. Zrobił tak, jak mu doradziła i ruszył na wschód, choć to był kierunek przeciwny do jego celu. Wędrował nocami i pieszo, więc zajęło mu to tydzień. Przedostał się przez cieśninę na Long Island i bez większych wypadków dotarł do Williamsburga. Dopiero tam…

Zmarszczył brwi, zapominając, że udaje sen. Ale Cecilia tego nie zauważyła. Była w dalszym ciągu odwrócona do niego tyłem.

Co się wydarzyło w Williamsburgu? W dalszym ciągu osnuwała to mgła. Oddał rybakowi kurtkę, żeby zapłacić za przewiezienie go na drugi brzeg rzeki. Wsiadł do łodzi…

Rybak pewnie walnął go w głowę. Nie wiadomo dlaczego. Przecież Edward nie miał przy sobie niczego wartościowego.

Nawet kurtki już nie miał.

Pewnie powinien być wdzięczny, że ten drań zostawił go na brzegu zatoki Kip’s Bay. Mógłby go z łatwością przerzucić przez burtę i pozwolić spocząć w podwodnej mogile. Nikt by się nigdy nie dowiedział, co się z nim stało.

Ciekawe, jak długo rodzina wstrzymywała by się z uznaniem go za zmarłego.

Skarcił się za te ponure myśli. Żył przecież. Powinien być szczęśliwy z tego powodu.

I będzie szczęśliwy. Tyle, że jeszcze nie dziś rano. Zasłużył sobie przecież na szczęście.

– Edwardzie?

Jasna cholera. Pewnie te pokrętne myśli odbiły się na jego twarzy. Otworzył oczy.

– Dzień dobry – powiedziała Cecilia. W jej głosie zabrzmiał dziwny ton. Raczej nie była to nieśmiałość. W sumie mogła się poczuć skrępowana po spędzonej z nim miłosnej nocy. Pewnie wczoraj też taka była, ale przecież

wstał i wyszedł, zanim zdążyła się obudzić. – Długo spałeś – powiedziała z lekkim uśmiechem. – Zawsze się budzisz przede mną.

Wzruszył ramionami.

– Byłem zmęczony.

– Nic dziwnego – odpowiedziała cicho. Spuściła wzrok, potem spojrzała w bok, westchnęła i powiedziała w końcu: – Muszę wstać.

– Dlaczego?

Zamrugała ze zdziwieniem i wyjaśniła:

– Mam parę rzeczy do zrobienia.

– Naprawdę?

– Ja… – przełknęła ślinę. – Naprawdę. Nie mogę… Nie.

Co miała do roboty teraz, kiedy ustały poszukiwania Thomasa? Przecież tylko z jego powodu przybyła do Nowego Jorku.

Edward czekał. Serce mu pękało, kiedy obserwował, jak jej twarz ogarnia żałość, gdy uświadamiała sobie, że wszystko, co do tej pory robiła, wszystkie sprawy i spotkania miały na celu odnalezienie brata.

A teraz ten cel przestał istnieć.

Poza tym sporo czasu poświęciła opiekowaniu się nim, Edwardem. Niezależnie od swoich przewinień, wiernie troszczyła się o niego, w szpitalu i poza nim.

Prawdopodobnie zawdzięczał jej życie.

Nie potrafił jej znienawidzić. Chociaż bardzo chciał.

Cecilia zmarszczyła brew.

– Dobrze się czujesz?

– Czemu pytasz?

– Nie wiem. Miałeś dziwną minę.

Nie wątpił w to.

Kiedy Cecilia zorientowała się, że nie ma co czekać na odpowiedź, westchnęła głęboko. Jakby uszło z niej powietrze.

– Tak czy owak, powinnam wstać. Choć nie mam nic do zrobienia.

Mylisz się, pomyślał.

Byli przecież w łóżku. W łóżku można robić dużo różnych rzeczy.

– Mogę cię czymś zająć – zamruczał.

– Słucham?

Zanim zdążyła powiedzieć więcej, zamknął jej usta pocałunkiem.

Nie myślał o tym. W ogóle przestał myśleć, bo w przeciwnym razie zabroniłby sobie tego. Ale wtedy pewnie by zwariował, a przecież przytomność umysłu była jedynym, co mu pozostało.

Pocałował ją, bo pragnął tego całym sobą. Jakaś prymitywna część jego osobowości w dalszym ciągu uważała ją za żonę i rościła sobie prawo dotykania jej w ten sposób.

Sama mu powiedziała, że są małżeństwem. Wmówiła mu, że złożył przysięgę.

Był już na tylu ślubach, że znał przysięgę na pamięć

I będę cię wielbił mym ciałem.

Pragnął ją wielbić.

Bezgranicznie.

Położył dłoń z tyłu jej głowy, przyciągnął ją do siebie i przytrzymał.

Nie walczyła. Nie próbowała ucieczki. Zamiast tego otoczyła go ramionami i oddała mu pocałunek. Przecież wie, że nie jesteśmy małżeństwem, pomyślał ze złością. Mimo to płonęła równą namiętnością, jak on. Jej usta były chętne i jęczała z pożądania, wyginając plecy w łuk i przyciskając się do niego.

Iskra, która ciągle w nim się tliła, przemieniła się w niepohamowany pożar. Ułożył ją pod sobą, a jego wargi zaczęły wędrować po jej szyi, aż po dekolt tej okropnej nocnej koszuli.

Najchętniej ściągnąłby ją z niej zębami.

– Edward! – wykrztusiła. Mógł myśleć tylko o jednym: że ta kobieta należy do niego. Powiedziała to przecież sama, a kimże on był, żeby zaprzeczać?

Chciał ją wziąć w posiadanie, w lenno.

Podciągnął rąbek koszuli, pomrukując z zadowoleniem, kiedy rozsunęła dla niego nogi. Może i był brutalny, ale gdy chwycił sutek wargami przez płótno koszuli, ona zacisnęła palce na jego ramionach tak mocno, że na pewno zostawiła na nich siniaki. A jej jęki…

To był głos kobiety, która chce więcej.

– Proszę cię… – błagała.

– Czego chcesz? – Spojrzał na nią z szatańskim uśmiechem.

Popatrzyła na niego, zbita z tropu.

– Przecież wiesz.

Powoli pokręcił głową.

– Musisz mi to powiedzieć.

Był wciąż w kalesonach, ale kiedy ocierał się o nią, czuła, jak bardzo jej pożąda.

– Powiedz to – zażądał.

Zarumieniła się, nie tylko z namiętności.

– Pragnę cię – wykrzyknęła. – Przecież wiesz…

– Dobrze – powiedział powoli. – Więc będziesz mnie miała.

Ściągnął jej koszulę nocną przez głowę, aż została naga w świetle poranka. Na moment zapomniał o wszystkim, co się zdarzyło. O swoim gniewie… o pragnieniu… wszystko rozwiało się, gdy zapatrzył się w jej piękno. Mógł tylko sycić się jej doskonałością.

– Jesteś taka śliczna – szepnął. Jego pocałunki złagodniały, wciąż były rozpaczliwe, ale już nie tak gniewne. Smakował jej skórę, tę słono-słodką esencję jej urody, wędrując wargami od ramion ku piersi.

Chciał mieć ją całą. Chciał się w niej zatracić.

Nie. Chciał, żeby to ona się zatraciła. Chciał doprowadzić ją na bolesny skraj rozkoszy, a potem posłać ją na drugą stronę.

Chciał, żeby zapomniała nawet, jak ma na imię.

Przesunął dłonią po sutku, zachwycony, że stwardniał z pożądania, ale nie poprzestał na tym. Jego wargi przesunęły się w dół, ku brzuchowi, a potem na łagodny łuk biodra.

– Edwardzie?

Zignorował jej słowa. Doskonale wiedział, co robi. Wiedział, że jej się to spodoba.

I wiedział, że umrze, jeśli nie pozna jej smaku.

Znowu wyszeptała jego imię, tym razem z niepokojem.

– Co ty robisz?

– Cśś – odpowiedział, szeroko rozsuwając jej nogi. Poprawiła się, przysuwając do jego twarzy. Jej ciało wiedziało, czego chce, nawet jeśli umysł był zmieszany tym, co się dzieje.

– Nie patrz tam – napomniała go.

Pocałował ją poniżej pępka, bo wiedział, że będzie tym wstrząśnięta.

– Jesteś piękna.

– Ale nie tam!

– Mam na ten temat inne zdanie. – Przesunął palcami po miękkim owłosieniu, coraz bliżej jej kobiecości, rozchylając ją, by popatrzeć. Potem lekko dmuchnął na miękkie ciało.

Cicho krzyknęła z rozkoszy.

Zakreślił palcem leniwe kółko na jej skórze.

– Podoba ci się?

– Nie wiem…

– To zrobię coś jeszcze – zamruczał. – Wtedy będziesz wiedziała.

– Ja nie… och…

Uśmiechnął się. Prosto w nią. Do tego miejsca, które liznął.

– Podobało ci się? – zapytał.

– Tak – wyszeptała.

Polizał ją jeszcze raz, tym razem szeroko i chciwie. Całe jego ciało mruczało z zadowolenia, kiedy poderwała biodra z materaca.

– Nie ruszaj się – szepnął, wiedząc, że ją dręczy. – Trzeba to zrobić porządnie.

– Nie mogę – jęknęła.

– Na pewno możesz. – Żeby jej pomóc, położył dłonie na wewnętrznej powierzchni jej ud, żeby móc je w razie czego przytrzymać.

Potem pocałował ją tam. Pocałował tak, jak przedtem całował usta – mocno i głęboko. Upijał się nią, zachwycony, że cała dygoce i drży. Ona też się upiła swoim pożądaniem.

Upiła się nim. A on był z tego szczęśliwy.

– Chcesz jeszcze? – zamruczał, unosząc głowę, by zajrzeć jej w twarz.

I jeszcze trochę ją podręczyć. Tylko troszeczkę.

– Tak – jęknęła. – Tak! Nie przerywaj.

Dotyk warg zastąpiły palce i zaczęły ją łaskotać, gdy szepnął przekornie:

– Jak bardzo tego chcesz?

Nie odpowiedziała, ale wcale nie musiała. Widział zmieszanie na jej twarzy.

– Jak bardzo, Cecilio? – zapytał. Pocałował ją znowu, ale tylko na moment, na czas wystarczający, by połaskotać ją tam językiem.

– Bardzo, bardzo! – dosłownie krzyczała.

O to mu chodziło.

Wrócił do swego zajęcia. Wielbił ją językiem.

Wielbił ją jak jasna cholera.

Całował ją, aż osiągnęła spełnienie pod jego ustami. Poderwała się do góry z taką siłą, że niemal zrzuciła go z siebie. Chwyciła go gorączkowo za głowę, ścisnęła nogami jak imadłem.

Trzymała go tak, aż z nim skończyła. Był wniebowzięty. Kiedy wreszcie opadła bez siły, ulokował się znowu na niej, oparł na łokciach i spojrzał na jej ciało. Zamknęła oczy i dygotała. W pokoju rzeczywiście było chłodno.

– Zimno ci? – szepnął.

Lekko skinęła głową, więc nakrył jej lśniące od potu ciało swoim.

Jej głowa opadła w tył, gdy poczuła go na sobie, jakby jego ciężar był ostatnim etapem rozkoszy, wiodącym w niebyt. Pocałował napiętą skórę jej szyi i wgłębienie przy obojczyku. Smakowała pożądaniem.

Jej własnym.

I jego też.

Wsunął dłoń między ich ciała i rozwiązał tasiemki kalesonów. Nawet cienkie płótno między ich ciałami wydawało się świętokradztwem. Po sekundzie już leżało przy łóżku w towarzystwie koszuli nocnej, a on z powrotem ułożył się w ciepłej kołysce jej ciała.

Zatrzymał się przy wejściu, znieruchomiał na moment, a potem pchnął do końca, aż znalazł się w domu.

Wtedy zapomniał o wszystkim. Nie istniało nic, poza tą chwilą, poza tym łóżkiem. Poruszał się instynktownie, wyzbyty wszelkich myśli. Dostosowała się do jego rytmu i za każdym pchnięciem stykała się z nim biodrami. Rozkosz, która w nim nabrzmiewała, była tak ostra i głęboka jak ból. Nagle Cecilia drgnęła i z paniką w oczach wykrzyknęła:

– Przestań!

Znieruchomiał, a serce przeszył mu strach.

– Zabolało cię?

Pokręciła głową.

– Nie, ale musimy przerwać. Ja… ja nie mogę zajść w ciążę.

Wpatrywał się w nią, próbując zrozumieć sens tych słów.

– Nie pamiętasz? – przełknęła ślinę z żałosną miną. – Rozmawialiśmy przecież o tym.

Pamiętał. Ale przedtem wyglądało to zupełnie inaczej. Powiedziała, że nie chce być w ciąży, gdy będą wracać do Europy. I nie chce rodzić dziecka w Nowym Jorku.

W rzeczywistości chodziło jej o to, ze nie może mieć dziecka. Nie może sobie na nie pozwolić. Przecież nie było żadnego ślubu.

Przez moment pomyślał, by odmówić jej prośbie. Mógł skończyć w niej, mógł spróbować spłodzić nowe życie.

Wtedy ich małżeństwo stałoby się rzeczywistością.

Ale ona szepnęła:

– Proszę cię…

Wysunął się z niej. Było to sprzeczne z instynktem, ale zrobi to. Ułożył się na boku, z daleka od niej i skupił się na oddychaniu.

– Edwardzie? – dotknęła jego ramienia.

Strząsnął jej rękę.

– Ja… potrzebuję chwili spokoju.

– Oczywiście. – Odsunęła się od niego nerwowo. Usłyszał, jak jej stopy dotknęły podłogi. – Czy… czy mogę coś zrobić? – spytała z wahaniem. Jej wzrok padł na jego męskość, która w dalszym ciągu dzielnie się prężyła. – Mogę ci jakoś pomóc?

Zastanowił się nad tym.

– Edwardzie?

Był zdumiony, że słyszy ten cichutki szept przez głośne bicie swego serca.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie przepraszaj – warknął.

Nie chciał żadnych przeprosin. Odwrócił się na plecy i wziął głęboki oddech. Wciąż był twardy jak skała. Był tak blisko wytrysku w niej, a teraz…

Zaklął.

– Może powinnam wyjść – powiedziała pośpiesznie.

– To świetny pomysł. – Jego głos nie zabrzmiał łagodnie, ale na nic innego nie potrafił się zdobyć. Mógłby ręką doprowadzić do wytrysku, ale był pewny, że była zbyt wrażliwa, by na to patrzeć.

Ubrała się szybko i wypadła z pokoju jak błyskawica, ale do tego czasu sytuacja już była prawie pod kontrolą, więc nie musiał się sobą zajmować.

Całe szczęście, bo to byłoby po prostu żałosne.

Usiadł na łóżku, oparł łokcie na kolanach, a podbródek, na dłoniach. Przez całe życie zawsze wiedział, co ma robić. Nie był ideałem, co to, to nie. Ale zawsze potrafił wytyczyć sobie drogę między dobrem a złem.

Dobro kraju stawiał ponad dobrem rodziny.

Dobro rodziny nad własnym.

Do czego go to doprowadziło? Zakochał się w marzeniu. Ożenił się z duchem.

Nie, wcale się nie ożenił. Nie wolno o tym zapominać. Nie był żonaty z Cecilią Harcourt. To, co się wydarzyło przed chwilą…

W jednym miała rację. To się nie może powtórzyć. Przynajmniej przed ich prawdziwym ślubem.

Bo musi się z nią ożenić. Nie ma wyjścia. Powtarzał to sobie i nie zamierzał zbyt drobiazgowo analizować tego zakątka serca, który był z tego zadowolony. To był ten sam zakątek, który tak bardzo się cieszył, że są małżeństwem.

Ten zakątek serca… był taki naiwny, taki ufny. Niezbyt wierzył jego osądom, tym bardziej że inny cichy głos doradzał, żeby poczekać i dać sobie czas.

Niech Cecilia pomęczy się choć przez parę dni.

Z jego gardła wydobył się jęk pełen desperacji. Wsunął dłonie we włosy i szarpnął solidnie. To nie była najprzyjemniejsza godzina jego życia.

Jęknął znowu, wstał i podszedł do szafy, żeby się ubrać. W odróżnieniu od Cecilii miał parę rzeczy do zrobienia tego dnia.

Po pierwsze: trzeba spotkać się ze Stubbsem. Wprawdzie nie dowiedział się zbyt wiele o portach w stanie Connecticut, ale miał obowiązek ujawnić swoje odkrycia. Nie wspominając o tym, że powinien wytłumaczyć pułkownikowi, gdzie się podziewał przez ten długi czas. Że tkwił związany w stodole w towarzystwie kota. Nie był to szczególnie bohaterski wyczyn, ale nie miał nic wspólnego ze zdradą.

Poza tym powinien odzyskać rzeczy Thomasa. Kiedy odjeżdżali, zostawili u pułkownika obydwa swoje kufry. Teraz, gdy Thomas został oficjalnie uznany za zmarłego, należało oddać jego rzeczy Cecilii.

Ciekawe, czy będzie tam jej miniatura.

Zaburczało mu w brzuchu i przypomniał sobie, że nic nie jadł prawie przez cały dzień. Cecilia pewnie już zamówiła śniadanie. Jak dobrze pójdzie, gorący posiłek będzie czekał na niego, gdy tylko zejdzie na dół, do jadalni.

Najpierw jedzenie, potem pułkownik. O wiele lepiej się czuł, kiedy miał jakiś plan.

Przynajmniej na najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

19

Wreszcie pojawiły się pierwsze oznaki wiosny, za co jestem wdzięczna. Przekaż kapitanowi Rokesby'emu jeden z tych krokusów. Mam nadzieję, że je dobrze zasuszyłam. Pomyślałam sobie, że obaj ucieszycie się z tego małego kawałeczka Anglii.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Nieco później tego poranka Cecilia wybrała się na spacer do portu. Edward powiedział jej przy śniadaniu, że idzie na spotkanie z pułkownikiem Stubbsem i nie wie, kiedy wróci. Została więc sama, prawdopodobnie na cały dzień. Wróciła do pokoju, chcąc skończyć tomik wierszy, który kartkowała przez cały zeszły tydzień, ale po kilku minutach nabrała ochoty, by wyjść na dwór.

W pokoju było jej za ciasno, ściany były za blisko, a za każdym razem, gdy próbowała się skupić na wierszach, oczy napełniały się łzami.

Czuła się okropnie.

Z wielu różnych powodów.

Postanowiła więc wybrać się na spacer. Świeże powietrze zrobi jej dobrze, a przy ludziach na pewno nie przydarzy jej się wybuch płaczu.

Zadanie na dziś: Nie rozpłakać się przy świadkach.

Chyba do wykonania.

Pogoda była wspaniała: nie za gorąca, z lekką bryzą od morza. Powietrze pachniało solą i wodorostami, co było miłym zaskoczeniem, bo zazwyczaj wiatr niósł ze sobą smród więziennych statków, które kotwiczyły tuż przy samym brzegu.

Cecilia była w Nowym Jorku wystarczająco długo, by poznać rytm pracy portu. Statki przypływały niemal każdego dnia, ale bardzo rzadko przybywali nimi cywile. W większości były to transportowce przywożące upragnione zapasy dla brytyjskiej armii. Kilka z nich wyposażono w kabiny pasażerskie. Właśnie w ten sposób Cecilia dostała się tu z Liverpoolu. Głównym zadaniem „Lady Mirandy" był transport żywności i broni dla żołnierzy stacjonujących w Nowym Jorku, ale przypłynęło na niej też czternastu pasażerów. Nie trzeba dodawać, że Cecilia wszystkich doskonale poznała podczas trwającej pięć tygodni podróży. Mieli ze sobą niewiele wspólnego, oprócz tego że zdecydowali się na niebezpieczną podróż przez burzliwy ocean do nadmorskiego, zmilitaryzowanego miasta i kraju, gdzie toczyła się wojna.

Innymi słowy, wszyscy byli kompletnie stuknięci.

Niemal uśmiechnęła się na tę myśl. W dalszym ciągu trudno jej było uwierzyć, że odważyła się na tę podróż. Gnała ją desperacja, nie bardzo miała inne wyjście, ale jednak…

Była z siebie dumna. Przynajmniej z tej jednej rzeczy.

Tego dnia w porcie cumowało kilka statków, w tym jeden, który podobno należał do tej samej kategorii co „Lady Miranda". Nazywał się „Rhiannon" i przypłynął do Nowego Jorku z Cork w Irlandii. Przybyła nim żona jednego z oficerów, która jadała kolacje w Devil's Head. Cecilia nie spotkała się z nią osobiście, ale o jej przyjeździe plotkowano na mieście i strojono sobie z niego żarty. Zresztą, w jadalni co wieczór plotkowano tak zawzięcie, że nie sposób byłoby o tym nie słyszeć.

Ruszyła w stronę doków, biorąc kurs na wysoki maszt „Rhiannon" jak na Wielką Niedźwiedzicę. Oczywiście znała drogę, ale bawiło ją to

uproszczone nawigowanie. Ciekawe, od kiedy „Rhiannon” stoi w Nowym Jorku? Pewnie nie dłużej niż tydzień, o ile dobrze pamiętała. To znaczy, że za kilka dni wyruszy w powrotną podróż przez ocean. Najpierw trzeba opróżnić ładownie, a potem napełnić je nowymi towarami. Nie wspominając o marynarzach, którym należy się odpoczynek na suchym lądzie po długiej podróży.

Gdy dotarła do portu, świat zaczął otwierać się przed nią jak wiosenny kwiat. Nabrzeże opromieniało jasne południowe światło, niezatrzymywane przez trzy- i czteropiętrowe budynki. Woda dawała poczucie, że świat nigdzie się nie kończy, choć z portu nie wychodziło się przecież na otwarty ocean. W dali majaczył Brooklyn. Cecilia doskonale wiedziała, jak szybko statki potrafią przepłynąć przez zatokę i znaleźć się na Atlantyku.

Spodobał jej się ten obrazek, choć był zbyt odmienny od domowych pejzaży, żeby wryć się w jej serce. Ale i tak zachwycała się pienistymi falami, które wzbierały, a potem uderzały w falochron jak niecierpliwa niania.

Ocean był tu szary, ale wiedziała, że za horyzontem jego toń pociemnieje i zmieni się w niezmierzony błękit. Czasem, w burzowe dni, bywała nawet zielona.

Tego również by nie wiedziała, gdyby nie odważyła się zostawić bezpiecznego domu w Derbyshire. Cieszyła się, że tu przyjechała. Naprawdę. Wyjedzie wprawdzie ze złamanym sercem – i to z wielu powodów – ale warto było. Stała się lepszą osobą – a raczej silniejszą.

Lepsza osoba nie potrafiłaby tak długo żyć w kłamstwie.

W każdym razie dobrze, że przyjechała. I dla niej, i może nawet dla Edwarda. Zanim doszedł do przytomności, miał bardzo wysoką gorączkę. Przesiedziała przy nim przez całą noc, zmieniając chłodzące okłady na skórze. Nigdy nie będzie wiedziała, czy to uratowało mu życie, ale jeśli tak, to warto było przekroczyć ocean i przeżyć to wszystko.

Trzeba się tego trzymać. Ta myśl będzie jej towarzyszyć przez resztę życia.

Nagle zorientowała się, że zachowuje się, jakby już wyjeżdżała. Spojrzała na swój brzuch. Być może jest w ciąży. Na razie jeszcze nie ma dowodu, że nie. Ale to było raczej mało prawdopodobne, więc trzeba zacząć przygotowania do podróży.

Właśnie dlatego wybrała się do portu. Nie zrobiła tego świadomie, same nogi powiodły ją nad ocean, ale teraz, gdy obserwowała, jak dwóch robotników opuszcza skrzynie do ładowni „Rhiannon", stało się oczywiste, że musi się dowiedzieć paru rzeczy.

– Dzień dobry panu! – zawołała do nadzorcy załadunku. – Kiedy odpływacie?

Uniósł krzaczaste brwi, słysząc to pytanie, a potem skinął głową w stronę statku i zapytał:

– Pyta pani o „Rhiannon"?

– Tak jest. Wracacie do Wielkiej Brytanii? – Wiedziała, że wiele statków zawija po drodze do Indii Zachodnich, choć zwykle robiły to, płynąc do Ameryki, a nie z powrotem.

– Do Irlandii – potwierdził. – Do Cork. Odpływamy w piątek wieczorem, jeśli pogoda będzie dalej sprzyjać.

– W piątek – zamruczała do siebie. To już za klika dni. – Przewozicie pasażerów? – spytała, choć wiedziała, że mieli kilku w drodze na zachód.

– Owszem – powiedział, żwawo kiwając głową. – Chce się pani zabrać?

– Bardzo możliwe.

To go rozbawiło.

– Możliwe? Jeszcze pani tego nie wie?

Cecilia nie zniżyła się, by odpowiedzieć. Zamiast tego zastosowała chłodne spojrzenie – jakie jeszcze niedawno uznała za godne żony arystokraty – i poczekała chwilę, aż jej rozmówca wskaże ruchem głowy marynarza stojącego na wybrzeżu.

– Niech pani zapyta Timminsa. On będzie wiedział, czy są jeszcze miejsca.

– Dziękuję – odpowiedziała i ruszyła w stronę dwóch mężczyzn stojących przy dziobie statku. Jeden oparł ręce na biodrach, drugi wskazywał kotwice. Rozmowa chyba nie była ważna, więc Cecilia podeszła i zawołała: – Przepraszam, panowie. Czy jeden z was to pan Timmins?

Ten, który wskazywał kotwicę, zdjął kapelusz.

– To ja, proszę pani. Czym mogę służyć?

– Tamten pan – wskazała na ładownię – mówił, że może znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego pasażera?

– Dla mężczyzny czy kobiety?

– Dla kobiety. – Cecilia przełknęła ślinę. – To ja.

Skinął głową. Spodobał jej się, bo spoglądał uczciwie.

– Mamy miejsce dla kobiety – przytaknął. – We wspólnej kabinie.

– Oczywiście – zgodziła się. I tak nie byłoby jej stać na osobną, Nawet wspólna będzie dużym wysiłkiem finansowym, ale pilnowała się, żeby zachować odpowiednią kwotę na powrót. Nie było to łatwe; nie miała prawie nic na życie, dopóki Edward nie doszedł do siebie. Nigdy przedtem nie była tak głodna, bo pozwalała sobie tylko na jeden posiłek dziennie. – Jaka jest cena, proszę pana?

Kiedy podał kwotę, upadła na duchu. A może wręcz przeciwnie. Opłata była niemal o połowę wyższa niż podróż do Nowego Jorku. Nie udało jej się tyle zaoszczędzić. Nie miała pojęcia, dlaczego rejs na wschód jest o wiele droższy niż na zachód. Pewnie dlatego, że klienci są gotowi tyle zapłacić. Nowojorczycy byli lojalni wobec korony. Niektórym pasażerom pewnie bardziej zależało na powrocie niż na przyjeździe.

Zresztą nie miało to większego znaczenia, bo i tak nie było ją stać na podróż.

– Chce pani kupić bilet? – spytał pan Timmins.

– Nie, dziękuję – powiedziała. – Jeszcze nie teraz.

Może na następny statek. Jeśli uda jej się odłożyć co nieco za każdym razem, gdy Edward będzie jej dawał pieniądze na zakupy…

Westchnęła. I tak już była oszustką, więc w sumie może też zostać złodziejką.

Kufer Thomasa był ciężki, więc Edward polecił, żeby dostarczono go do Devil’s Head na wozie. Wiedział, że w jadalni będzie mnóstwo osób chętnych, by pomóc przy wnoszeniu go na górę.

Kiedy wszedł do pokoju, okazało się, że Cecilii jeszcze tam nie ma. Nie zdziwiło go to. Wprawdzie nie wspominała przy śniadaniu, że gdzieś się wybiera, ale przecież nie będzie siedziała w czterech ścianach przez cały dzień. Mimo wszystko, czuł się rozczarowany, siedząc sam w pokoju obok kufra jej brata. Przecież przywiózł go dla niej. Wyobrażał sobie, jak wejdzie niczym jakiś bohater i przekaże go jej niby trofeum zdobyte w pocie czoła.

Zamiast tego siedział teraz na łóżku i patrzył na tego grata, który zajmował połowę wolnej podłogi.

Przejrzał już zawartość. Pułkownik otworzył wieko, zanim Edward zdążył pomyśleć, że być może naruszają w ten sposób czyjąś prywatność.

– Trzeba się upewnić, czy wszystko jest na miejscu – powiedział Stubbs. – Wie pan, co on w nim trzymał?

– Mniej więcej – odpowiedział Edward, choć w rzeczywistości zaglądał tam częściej, niż powinien. Nieraz przeglądał jego zawartość w poszukiwaniu listów od Cecilii, bo chciał je jeszcze raz przeczytać.

Czasami wcale nie musiał ich czytać. Czasem tylko patrzył na jej pismo.

Czasem to mu w zupełności wystarczało.

Boże, jaki był głupi.

Głupi? Mało powiedziane.

Bo kiedy Stubbs otworzył kufer i poprosił Edwarda, żeby sprawdził, co jest w środku, pierwszą rzeczą, na którą padł jego wzrok, była miniatura Cecilii. Ta, która nie całkiem była do niej podobna. A może podobna, jeśli

się jej dobrze nie znało. Nie odzwierciedlała, ile życia jest w jej uśmiechu i jak niezwykłą barwę mają jej oczy.

Nie wiadomo, czy w ogóle istniały farby, które potrafiłyby oddać ten odcień.

Pułkownik z powrotem usiadł za biurkiem. Kiedy Edward podniósł wzrok, okazało się, że jego uwagę pochłonęły leżące na blacie dokumenty, a nie kufer.

Edward wsunął miniaturę do kieszeni.

Nie wyjął jej stamtąd, nawet gdy Cecilia wróciła ze spaceru. Tkwiła w kieszeni jego surduta, który wisiał grzecznie w garderobie.

Tak więc Edward okazał się głupcem i złodziejem. Choć czuł się jak idiota, wcale nie żałował swego zachowania.

– Masz kufer Thomasa! – wykrzyknęła cicho, gdy weszła do pokoju.

Włosy miała lekko zwichrzone od wiatru i na moment zahipnotyzował go loczek, który opadł jej na policzek. Wyglądał jak malutka blond fala, o wiele mocniej skręcona niż reszta włosów, nawet gdy je rozpuściła.

Niektórzy potrafią wygrać nawet z grawitacją.

Co za bzdurna, bezsensowna myśl.

Wstał z łóżka i odchrząknął, stając na baczność.

– Pułkownikowi udało się go szybko odzyskać.

Z ociąganiem podeszła do kufra. Wyciągnęła rękę, ale zatrzymała się, zanim dotknęła zamka.

– Zaglądałeś do środka?

– Tak. – Przytaknął skinieniem głowy. – Pułkownik poprosił mnie, żebym się upewnił, czy wszystko jest w porządku.

– I jest?

Co tu odpowiedzieć na takie pytanie? Może i było, ale teraz nie jest, bo pewna miniatura znalazła się w jego kieszeni.

– Tak, na ile zdołałem się zorientować – powiedział w końcu.

Przełknęła ślinę. Na jej twarzy odmalowały się smutek, tęsknota i napięcie.

Marzył, by ją wziąć w objęcia. Mało brakowało; już zrobił ku niej krok, ale się zreflektował i zatrzymał.

Nie powinien zapominać, co mu zrobiła.

Nie wolno mu sobie pozwolić, żeby zapomnieć.

Jest to pewna różnica.

Mimo wszystko, kiedy obserwował ją, jak stała przed kufrem jej zmarłego brata, tak beznadziejnie smutna, wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

– Otwórz go. Poczujesz się lepiej – powiedział.

Skinęła głową z wdzięcznością i wysunęła palce z jego dłoni, żeby podnieść wieko obiema rękami.

– Jego ubrania – szepnęła, dotykając białej koszuli ułożonej porządnie na wierzchu. – Co mam z nimi zrobić?

Edward nie miał pojęcia.

– Na ciebie nie będą pasować – zastanawiała się. – Nie był aż tak szeroki w ramionach. Zresztą, twoje są lepiej uszyte.

– Na pewno znajdziemy kogoś w potrzebie – powiedział.

– Tak. To dobry pomysł. Spodobałoby mu się to. – Zaśmiała się i potrząsając głową, odsunęła z oczu zbuntowany kosmyk. – Co ja wygaduję? Nie obchodziłoby go to.

Zaskoczony Edward zamrugał oczyma.

– Kocham mojego bra… – Odchrząknęła i poprawiła się: – Kochałam mojego brata, ale faktem jest, że los biednych mało go pochodził. Nie myślał o nich źle – wyjaśniła pospiesznie. – Zdaje mi się, że w ogóle o nich nie myślał.

Edward skinął głową, bo nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Traktował ubogich z równą obojętnością. Podobnie jak większość mężczyzn.

– Ale ja poczuję się lepiej, jeśli jego koszule jeszcze komuś posłużą – dodała twardo.

– To by mu się spodobało – odpowiedział Edward i wyjaśnił: – Że jesteś z tego zadowolona.

Posłała mu kwaśny półuśmiech i odwróciła się do kufra.

– Pewnie trzeba będzie też znaleźć jakiegoś chętnego na mundur. Na pewno komuś się przyda. – Pogładziła dłonią kurtkę Thomasa. Szczupłe, białe palce odcinały się żywo od szkarłatnej wełny. – Kiedy byłam z tobą w szpitalu, widziałam też innych żołnierzy. Ja… – Spuściła wzrok, jakby oddawała im cześć. – Ja czasem przy tobie pomagałam. Nie tyle, ile powinnam, ale nie chciałam zostawić cię bez opieki.

Chciał jej podziękować, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wyprostowała się i dodała energicznie:

– Widziałam ich mundury. Wiele nie nadawało się już nawet do naprawy. Więc na pewno ten komuś się przyda.

Jej głos zabrzmiał pytająco, więc Edward skinął głową. Oczekiwano, że żołnierze sami będą utrzymywać mundury w doskonałym stanie, co nie było wcale łatwe, zważywszy, że ciągle maszerowali po błotnistych drogach.

I ciągle ktoś do nich strzelał.

Dziury po kulach były trudne do zaszycia, ale te po bagnetach były po prostu okropne. Zresztą, nie tylko w płótnie i wełnie. W ciele również. Wolał jednak myśleć tylko o tkaninach, bo w przeciwnym razie by zwariował.

To miło, że chce oddać mundur Thomasa innemu żołnierzowi. Wiele rodzin chciało zatrzymać mundury dla siebie jako dotykalny dowód heroizmu i poświęcenia.

Edward przełknął ślinę i odszedł o krok, by się od niej odsunąć. Nie rozumiał jej. Poza tym był wściekły na siebie, że nie potrafi jej już nienawidzić. Przecież minął zaledwie jeden dzień. Tylko dwadzieścia cztery

godziny od chwili, gdy wróciła mu pamięć, przynosząc lawinę barw, światła, słów i miejsc… i w żadnym nie było Cecilii Harcourt.

Nie była jego żoną. Powinien się na nią gniewać. Miał do tego prawo.

Szkoda, że nie może jej teraz zadać tych wszystkich pytań, które stale dudnią mu w głowie jak bębny. Nie w chwili, gdy z taką miłością rozpakowuje kufer zmarłego brata. Nie teraz, gdy odwraca głowę i przesuwa dłonią po twarzy, ocierając łzy.

Odłożyła kurtkę na bok, a potem zajrzała głębiej.

– Myślisz, że zachował moje listy?

– Wiem, że to robił.

Na moment podniosła wzrok.

– Och, naturalnie. Przecież ty pierwszy przeglądałeś jego rzeczy.

Wiedział o tym z innego powodu, ale nie miał ochoty jej tego wyjaśniać.

Oparł się o łóżko i przyglądał się jej z uwagą, gdy porządkowała rzeczy Thomasa. W pewnym momencie uklękła dla wygody i teraz przekładała wszystko z takim uśmiechem, jakiego nie spodziewał się już nigdy ujrzeć na jej twarzy.

Może tylko nie spodziewał się, że tak cholernie pragnie go zobaczyć.

W dalszym ciągu był w niej zakochany.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew logice… wciąż był w niej zakochany.

Westchnął.

Podniosła wzrok.

– Coś się stało?

Owszem.

– Nie.

Ale odwróciła się, zanim usłyszała odpowiedź. Szkoda… Może, gdyby tego nie zrobiła, gdyby spojrzała na jego twarz…

Czy dostrzegłaby w jego oczach prawdę?

O mało co znowu nie westchnął.

Usłyszał zaciekawione „hm” i aż się pochylił, żeby zobaczyć, co robi.

– Co tam masz? – zapytał.

Zmarszczyła brwi, przeglądając starannie poskładane koszule i spodnie.

– Nigdzie nie widzę miniatury.

Edward otworzył usta, ale nic nie powiedział. Choć powinien. Myślał, że powie, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

Chciał zatrzymać ten cholerny portrecik. Może go nazwą tyranem, a może i złodziejem. Chciał go mieć dla siebie, i już.

– Może zabrał ją ze sobą do Connecticut – powiedziała. – To byłoby miłe.

– Zawsze byłaś w jego myślach – odparł.

Podniosła wzrok.

– Dziękuję… to takie piękne słowa.

– To prawda. Dużo o tobie opowiadał. Miałem wrażenie, że cię znam osobiście.

W jej oczach błysnęło ciepło, choć wciąż miały ten nieobecny wyraz.

– To zabawne – odpowiedziała cicho. – Ja myślałam to samo o tobie.

Może teraz powinien jej powiedzieć, że odzyskał pamięć. Tak byłoby najlepiej. Wtedy zachowałby się zgodnie z kodeksem dżentelmena.

– Och! – wykrzyknęła, przerywając tok jego myśli. Wstała płynnym ruchem. – Byłabym zapomniała. Miałam ci przecież pokazać miniaturę Thomasa, którą mam ze sobą, prawda?

Nie musiał odpowiadać, bo od razu zaczęła przeglądać swoją jedną jedyną torbę. Była duża, ale Edward i tak był zdumiony, że tak niewiele rzeczy zabrała ze sobą w tę długą podróż do Nowego Jorku.

– Jest – powiedziała, odsuwając niedużą kameę. Popatrzyła na nią ze smutkiem i podała mu ją. – Co o niej myślisz?

– Widać, że malował ją ten sam artysta – powiedział bez zastanowienia.

Zaskoczona, cofnęła podbródek.

– Tak dobrze pamiętasz mój portret?

– Thomas często pokazywał go różnym osobom.

To nie było kłamstwo. Thomas rzeczywiście często pokazywał jej portret przyjaciołom. Tylko, że Edward nie dlatego pamiętał go tak dobrze.

– Naprawdę? – W jej oczach błysnęło szczęście. – To bardzo… sama nie wiem, jakie to jest. Pewnie miłe. Miło wiedzieć, że za mną tęsknił.

Edward skinął głową, choć wcale na niego nie patrzyła. Wróciła do swego zajęcia, z uwagą przeglądając resztę rzeczy. Edward czuł się obco i nieswojo jak widz.

Nie podobało mu się to.

– Hm, a co to takiego? – zamruczała.

Pochylił się, by popatrzeć.

Wyciągnęła niewielką sakiewkę i odwróciła się do Edwarda.

– Czy to możliwe, żeby trzymał pieniądze w kufrze?

Edward nie miał pojęcia.

– Otwórz i zobacz.

Kiedy to zrobiła, z sakiewki wysypało się kilkanaście złotych monet.

– Ojej – wykrzyknęła zaskoczona, patrząc na leżące na dłoni pieniądze.

Nie było to dużo, przynajmniej dla Edwarda. Przypomniał sobie jednak, w jakim niedostatku była, kiedy doszedł do przytomności. Próbowała ukryć przed nim swoje ubóstwo, ale nie umiała kłamać. Przynajmniej wtedy tak mu się wydawało. Wymykały jej się drobne szczegóły, na przykład to, że jada tylko jeden posiłek dziennie. Znał też pensjonat, gdzie wynajmowała pokój. Nocowanie tam niewiele się różniło od spania na ulicy. Zadygotał na myśl, co by się z nią stało, gdyby nie odnalazła go w tym szpitalu.

Bardzo możliwe, że uratowali się nawzajem.

Cecila była dziwnie milcząca. Wpatrywała się w złoto leżące na jej dłoni, jakby było jakąś zagadką.

Albo tematem do rozmyślań.

– To należy do ciebie – powiedział, domyślając się, że zastanawia się, co ma z tym zrobić.

Skinęła głową w zamyśleniu, przyglądając się monetom z bardzo dziwną miną.

– Dołóż je do reszty twoich pieniędzy – doradził.

Wiedział, że ma jakąś niewielką kwotę. Trzymała je w osobnym przedziale sakiewki. Dwa razy widział, jak je liczy. Za każdym razem, kiedy zauważała jego wzrok, spoglądała na niego z dziwnie pokorną miną.

– Jasne – mruknęła i wstała niezgrabnie, a potem otworzyła szafę i zajrzała do swojej torebki. Podejrzewał, że wyciągnęła sakiewkę, ale nie widział dokładnie, co robi, bo była odwrócona tyłem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała, może trochę zbyt pośpiesznie, niż się spodziewał. – Ja tylko… – Odwróciła się do niego profilem. – Nie spodziewałam się, że Thomas będzie trzymał pieniądze w kufrze. To znaczy, że mam…

Nie dokończyła zdania.

– Że co masz? – podpowiedział.

Zamrugała i dopiero po chwili ciszy odpowiedziała:

– Nic takiego. Po prostu mam teraz więcej, niż myślałam.

Wydało mu się to oczywistością.

– Myślałam…

Czekał, ale znowu nie dokończyła zdania i odwróciła się do otwartego kufra. Na podłodze obok niego leżało kilka koszul, a czerwona kurtka Thomasa była przewieszona na ściance, ale poza tym pozostawiła wszystko na miejscu.

– Jestem zmęczona – powiedziała nagle. – Chyba… Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli się położę?

– Oczywiście, że nie – powiedział, wstając.

Spuściła wzrok, ale kiedy przemykała obok niego, dostrzegł w jej twarzy nieznośny smutek. Skuliła się na łóżku, podciągając kolana pod brodę i układając się jak najdalej od niego.

Popatrzył na jej ramiona. Nie wiedział czemu. Może dlatego, że były tak bardzo napięte z żalu. Nie płakała. W każdym razie tak mu się wydawało, ale oddychała urywanie, jakby z trudem panowała nad sobą.

Wyciągnął dłoń, choć Cecilia leżała za daleko, by mógł ją dotknąć. Nie mógł się powstrzymać. To był czysty instynkt. Serce mu biło, płuca oddychały, a jeśli kobieta cierpiała, należało ją dotknąć i pocieszył.

Zatrzymał się w pół gestu. Ręka opadła na jego bok i stał jak pomnik, bezradny wobec zamętu we własnej głowie.

Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, pragnął się nią opiekować. Nawet gdy był tak słaby, że ledwie mógł chodzić bez pomocy, pragnął być jej podporą. Ale teraz, kiedy wreszcie go potrzebowała, ogarnął go lęk.

Zrozumiał, że jeśli zacznie ją wspierać, jeśli pomoże jej dźwigać ten ciężar, który tak ją dręczył, to zatraci się w tym całkowicie. Prysną ostatnie nitki, które powstrzymują go przed rozkochaniem się w niej nieodwołalnie i po uszy.

Wtedy do reszty pęknie mu serce.

Cicho szepnął jej imię, mając nadzieję, że go dosłyszy.

– Chyba powinnam zostać sama – powiedziała, nie odwracając się do niego.

– W żadnym wypadku – odpowiedział szorstko, położył się przy niej i mocno ją przytulił.

20

Ojca ostatnio wszystko irytuje. Mnie zresztą też. Marzec zawsze bywa zimny i wilgotny, ale tego roku jest gorszy niż zwykle. Ojciec drzemie całymi popołudniami. Ja chyba też zacznę.

Z listu Cecylii Harcourt do brata Thomasa, który nie dotarł do adresata

W dwa dni później Cecylia dostała okresu.

Wiedziała, że tak będzie. Zawsze dzień przed miesiączką była senna, bolał ją brzuch i czuła się, jakby zjadła za dużo soli.

Mimo to, próbowała sobie wytłumaczyć, że źle interpretuje te oznaki. Może to po prostu zwykłe zmęczenie. Ostatnio kiepsko spała. Jak miała się odprężyć, jeśli na drugiej połowie łóżka spał Edward?

Ból brzucha można było wytłumaczyć tym, że w gospodzie od tygodnia podawano babeczki. Obsługa zaklinała się, że w nadzieniu nie ma truskawek, ale kto by tam wierzył szesnastoletniej barmance, która nie mogła oderwać oczu od barwnych żołnierskich mundurów? Pewnie dołożyli te truskawki. Wystarczyło jedno nasionko, żeby podrażnić jej żołądek.

Tylko soli nie potrafiła w żaden sposób wytłumaczyć. Ale przecież byli tuż nad oceanem. Może po prostu jej się nawdychała.

Ale potem przyszła miesiączka. Kiedy starannie prała szmatki, próbowała zignorować lekkie ukłucie w piersi, który pojawiło się wraz ze świadomością, że jednak nie jest w ciąży.

Poczuła ulgę. To oczywiste. Dziecko oznaczałoby, że musi złapać Edwarda na męża. Wprawdzie wciąż gorąco marzyła o wiejskim domeczku w Kent i gromadce błękitnookich dzieci, ale zdążyła już sobie uświadomić, że to marzenie ma jeszcze mniej szans na realizację, niż jej się kiedyś wydawało.

Trudno sobie wyobrazić miesiąc miodowy w takim oszukańczym związku, ale od kiedy dowiedzieli się o śmierci Thomasa, wszystko się zmieniło. Cecilia nie była idiotką. Zdawała sobie sprawę, że oboje są w żałobie, ale nie rozumiała, dlaczego z tego powodu pojawiła się między nimi przepaść i czemu ich świat rozpadł się na kawałki.

Kiedy spotkała Edwarda, wszystko nagle stało się takie łatwe. Tak, jakby całe życie czekała, by zrozumieć, kim naprawdę jest i nagle się tego dowiedziała w chwili, kiedy on po raz pierwszy otworzył oczy. A raczej po ich pierwszej poważniejszej rozmowie. To było naprawdę dziwne, bo przecież cały ten związek był zbudowany na kłamstwie. Mimo wszystko jednak w jego towarzystwie czuła się o wiele bardziej sobą niż przez całe swoje życie.

Takich rzeczy zwykle nie zauważa się od razu, tylko gdy ich zabraknie.

Właśnie teraz jej tego zabrakło. Nawet gdy próbował ją pocieszać po rozpakowaniu kufra Thomasa, czegoś w tym brakowało. Nie potrafiła odprężyć się w jego ramionach. Wiedziała, że to także jest oszustwem. On myślał, że jest smutna z powodu brata, ale w rzeczywistości serce jej pękało na myśl, że ma teraz dość pieniędzy, by kupić bilet na „Rhiannon”.

A teraz, gdy dowiedziała się, że nie jest w ciąży…

Podeszła do okna i oparła się biodrem o parapet. Lekki wiatr od morza na szczęście rozpraszał nieco wilgoć, którą czuło się w całej okolicy. Patrzyła, jak liście trzepocą na drzewach. Nie było ich wiele; ta część Nowego Jorku

była dość gęsto zabudowana. Podobało jej się, że były z jednej strony ciemniejsze niż z drugiej. Bawiło ją, że ich odcień zmienia się co chwila: zieleń jest raz jasna, raz głęboka.

Był piątek. Błękit nad jej głową oznaczał, że tego wieczoru „Rhiannon” wyruszy w drogę powrotną.

Z Cecilią na pokładzie.

Nie miała nic do roboty w Nowym Jorku. Brat zginął gdzieś w lasach Westchester i tam go pochowano. Nie mogła nawet odwiedzić jego mogiły. Było to zbyt niebezpieczne, a poza tym pułkownik Stubbs przyznał, że grobu właściwie nie oznaczono w żaden sposób. Nie było nagrobka z imieniem, nazwiskiem i wiekiem Thomasa oraz podpisem, że był kochającym bratem albo posłusznym synem.

Wróciła myślami do tego strasznego dnia, kiedy dostała list od generała Gartha. Później okazało się, że właściwie napisał go pułkownik Stubbs, ale to było mało ważne. Dopiero co zmarł jej ojciec. Bała się otworzyć ten list. Pomyślała wtedy, że jeśli Thomas nie żyje, to na całym świecie nie będzie już nikogo, kogo mogłaby kochać.

Zdawała sobie sprawę, że Edward wkrótce odzyska pamięć. Już zaczęły wracać różne fragmenty jego wspomnień. A kiedy to się stanie…

Lepiej wyznać mu prawdę, zanim sam ją odkryje.

Miał przecież w Anglii swoje życie, a ona nie była jego częścią. Miał rodzinę, która go uwielbiała i dziewczynę, z którą miał się ożenić. Dziewczynę, która podobnie jak on była prawdziwą arystokratką. Kiedy przypomni sobie tę niepowtarzalną Billie Bridgerton, przypomni też sobie, dlaczego tak świetnie do siebie pasują.

Cecilia odsunęła się od parapetu, wyjęła sakiewkę i ruszyła ku drzwiom. Jeśli dziś ma odpłynąć, trzeba będzie pozałatwiać mnóstwo spraw, zanim Edward wróci ze sztabu.

Przede wszystkim trzeba kupić bilet na statek. Potem spakować się, choć to akurat nie zabierze zbyt wiele czasu. Na koniec trzeba napisać list do

Edwarda.

Musi mu powiedzieć, że jest wolny, że ona wyjeżdża, a on może wrócić do życia, jakie było mu przeznaczone. I którego pragnął. Może jeszcze sobie z tego nie zdawał sprawy, ale wcześniej czy później to zrozumie. Najlepiej, żeby Cecilii wtedy przy nim nie było. Jest tyle sposobów, żeby złamać komuś serce. Co by się stało, gdyby zobaczyła jego twarz, kiedy uświadomi sobie, że wolałby być z kimś innym?

To by ją załamało do reszty.

Spojrzała na kieszonkowy zegarek, który Edward położył na stole, bo w pokoju nie było ściennego zegara. Miała jeszcze sporo czasu. Tego dnia wyszedł wcześniej. Powiedział, że spotkanie z pułkownikiem potrwa cały dzień. Mimo wszystko, należało się ruszyć.

Bardzo dobrze się ułożyło, powiedziała do siebie, zbiegając po schodach. Wszystko jest na dobrej drodze. Nie zaszła w ciążę i ma dość pieniędzy. To znaczy, że tak miało być.

Zadanie na dziś: uwierzyć w zrządzenia losu.

Ale kiedy zeszła na dół, usłyszała, jak ktoś głośno ją woła po imieniu.

– Pani Rokesby!

Odwróciła się. Tym razem los dziwnie przypominał gospodarza Devil’s Head.

Wyszedł zza lady i ruszył ku niej. Na jego twarzy malowało się napięcie. Za nim szła elegancko ubrana kobieta.

Odsunął się na bok.

– Ta dama chciała się spotkać z kapitanem Rokesbym.

Cecilia przesunęła się nieco, by przyjrzeć się kobiecie, którą przesłaniała krępa sylwetka gospodarza.

– Czym mogę pani służyć? – spytała z grzecznym dygiem. – Jestem żoną kapitana Rokesby’ego.

To dziwne, jak łatwo było wypowiedzieć to kłamstwo.

– Witam – odpowiedziała krótko kobieta i gestem odprawiła gospodarza.

Natychmiast zniknął.

– Nazywam się Tryon. I jestem matką chrzestną kapitana – przedstawiła się.

Kiedy Cecilia miała dwanaście lat, zmuszono ją do odegrania roli Matki Boskiej w kościelnych jasełkach. Musiała stanąć przed wszystkimi swoimi znajomymi i sąsiadami i wypowiedzieć aż dwadzieścia linijek tekstu, który wbiła jej do głowy żona pastora. Ale kiedy nadszedł czas, żeby otworzyć usta i ogłosić, że przecież nie ma męża, więc nie rozumie, dlaczego jest w ciąży, zamarła. Otworzyła usta, ale gardło tak jej się ścisnęło, że choć nieszczęsna pani Pentwhistle scenicznym szeptem powtarzała jej rolę zza kulisy, Cecilia w żaden sposób nie mogła przetworzyć w głowie tego, co usłyszała i wypowiedzieć tego ustami.

To wspomnienie błyskawicznie przebiegło jej przez myśl, gdy spojrzała na twarz szacownej Margaret Tryon, żony królewskiego gubernatora Nowego Jorku i matki chrzestnej człowieka, którego Cecilia oszukała, że są małżeństwem.

To był jeszcze gorszy koszmar.

– Pani Tryon – wykrztusiła w końcu i złożyła kolejny, jeszcze głębszy ukłon.

– Pani jest pewnie Cecilią – powiedziała pani Tryon.

– Tak. Ja… – Cecilia bezradnie rozejrzała się po pustawej jadalni.

To nie był jej dom, więc nie musiała pełnić funkcji gospodyni. Zdaje się, że jednak powinna jakoś zająć się gościem.

W końcu przykleiła do twarzy najbardziej promienny uśmiech, na jaki ją było stać i zapytała:

– Może zechce pani usiąść?

Niesmak na twarzy damy zastąpiła rezygnacja. Krótkim ruchem głowy wskazała Cecilii stolik pod ścianą. Podeszły do niego.

– Chciałam się zobaczyć z Edwardem – powiedziała pani Tryon, gdy już się usadowiły.

– Tak, gospodarz już mi to powtórzył – odpowiedziała ostrożnie Cecilia.

– Był chory – stwierdziła dama.

– Owszem. W zasadzie nie tyle chory, ile ranny.

– Czy odzyskał już pamięć?

– Nie.

Pani Tryon zmrużyła oczy.

– Nie wykorzystuje go pani, prawda?

– Nie! – wykrzyknęła Cecilia, bo rzeczywiście tego nie robiła. A raczej wkrótce miała tego zaprzestać. Na samą myśl o wykorzystywaniu szczodrości i szlachetności Edwarda miała wrażenie, że ktoś wbija jej w serce rozżarzony pogrzebacz.

– Mój chrześniak jest mi bardzo drogi.

– Mnie również – odparła cicho Cecilia.

– Domyślam się tego.

Cecilia nie miała pojęcia, jak należy to rozumieć.

Pani Tryon zaczęła z wojskową precyzją ściągać rękawiczki. Przerwała na moment, tylko po to, by powiedzieć:

– Czy zdaje sobie pani sprawę, że był związany z pewną młodą damą w Kent?

Cecilia przełknęła ślinę.

– Chodzi o pannę Bridgerton?

Pani Tryon podniosła głowę a w jej oczach błysnął niechętny podziw, prawdopodobnie dla uczciwości Cecilii.

– Tak – powiedziała. – To nie były oficjalne zaręczyny, ale wszyscy się tego spodziewali.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziała Cecilia, uznając, że szczerość będzie najlepszym wyjściem.

– To byłby wspaniały związek – ciągnęła pani Tryon tonem towarzyskiej pogawędki. Nieomalże towarzyskiej. W jej głosie pobrzmiewał ton

wyższości i ostrzeżenia, jakby chciała powiedzieć: „Panuję nad wszystkim i nie zamierzam z tego rezygnować”.

Cecilia w to nie wątpiła.

– Rodziny Bridgertonów i Rokesbych przyjaźnią się i sąsiadują ze sobą od pokoleń – mówiła dalej dama. – Matka Edwarda często mi powtarzała, że nade wszystko marzy o tym, by obie rodziny się połączyły.

Cecilia ugryzła się w język. Każda odpowiedź postawiłaby ją w złym świetle.

Pani Tryon skończyła ściągać drugą rękawiczkę, a potem wydała z siebie ni to westchnienie, ni zirytowany pomruk, który oznaczał chyba niezadowolenie ze zmiany tematu.

– Niestety, teraz nic z tego nie wyjdzie – podsumowała.

Cecilia czekała dłuższą chwilę, czy pani Tryon doda coś jeszcze, ale dama milczała. W końcu Cecilia zmusiła się, by zapytać:

– Czy mogę pani służyć jakąś konkretną pomocą?

– Nie.

Znowu cisza. Cecilia uświadomiła sobie, że pani Tryon posługuje się milczeniem jak bronią.

– Ja… – Cecilia wskazała drzwi. Coś w tej kobiecie kompletnie zbijało ją z tropu. – Mam kilka spraw do załatwienia – powiedziała w końcu.

– Ja również – powiedziała dama i żwawo wstała od stołu.

Cecilia ruszyła za nią ku drzwiom, ale zanim zdążyła się odezwać, pani Tryon powiedziała:

– Cecilio, mogę cię teraz tak nazywać, prawda?

Cecilia przymrużyła oczy, żeby nie raziło ich słońce.

– Oczywiście.

– Ponieważ los sprawił, że spotkałyśmy się tu dzisiaj, chciałabym udzielić ci pewnej rady jako matka chrzestna twojego męża.

Spotkały się wzrokiem.

– Nie zrań go. – Jej słowa były proste i wymowne.

– Nie zamierzam – odpowiedziała Cecilia z całą szczerością.

– Tak myślałam. Ale nigdy nie zapominaj, że był przeznaczony dla kogoś innego.

Jej słowa były okrutne, ale nie złośliwe. Cecilia była tego pewna, choć nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że oczy pani gubernatorowej stały się podejrzanie wilgotne. A może była to tylko intuicja.

Albo dzieło wyobraźni.

W każdym razie całe to zdarzenie należało odczytać jako znak od losu, że postępuje słusznie.

Kiedy Edward zakończył wszystkie spotkania w kwaterze głównej, było już wczesne popołudnie. Sam gubernator Tryon zażyczył sobie pełnego sprawozdania ze wszystkiego, co zdarzyło się w Connecticut i nie wystarczył mu pisemny raport, który Edward złożył pułkownikowi Stubbsowi dzień wcześniej. Zasiadł więc w biurze gubernatora i powtórzył mu wszystko, co już trzykrotnie opowiadał różnym przełożonym. Pewnie było to potrzebne, bo Tryon planował serię ataków na wybrzeże Connecticut już za kilka tygodni.

Kiedy zbierał się już do wyjścia, czekała go niespodzianka. Pułkownik Stubbs zatrzymał go przy drzwiach i podał mu list napisany na eleganckim papierze, złożony na czworo i zapieczętowany woskiem.

– To od kapitana Harcourta – powiedział szorstko. – Zostawił go u mnie, na wypadek gdyby nie wrócił.

Edward zdumiony wpatrywał się w kopertę.

– Dla mnie? – zapytał oszołomiony.

– Pytałem, czy chce zostawić coś dla ojca, ale powiedział, że nie. Zresztą, może i słusznie, bo ojciec odszedł przed nim. – Stubbs westchnął ze znużeniem i podrapał się po głowie. – Szczerze mówiąc, nie wiem, który z nich zmarł pierwszy, ale to w sumie nie ma znaczenia.

– Nie – zgodził się Edward, spoglądając na swoje imię wypisane na kopercie nieporządnym pismem Thomasa. Żołnierze zawsze pisali takie listy, ale zazwyczaj do rodziny.

– Jeśli chce pan przeczytać go na osobności, proszę skorzystać z biura po drugiej stronie korytarza – zaproponował Stubbs. – Greene ma wolny dzień, Monthy też wyszedł, więc nikt tam panu nie będzie przeszkadzał.

– Dziękuję – odparł Edward z wdzięcznością. Rzeczywiście chciał przeczytać ten list w samotności. Nie codziennie dostaje się wiadomości od zmarłych przyjaciół, więc sam nie wiedział, jak na to zareaguje.

Stubbs zaprowadził go do niewielkiego biura i nawet posunął się do tego, że otworzył okno, by wywietrzyć panujący w nim zaduch. Mruknął coś pod nosem, wyszedł i zamknął za sobą drzwi, ale Edward nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się tylko w kopertę. Wziął głęboki oddech i dopiero potem wsunął palce pod woskową pieczęć, by ją przełamać.

Kochany Edwardzie,

jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że nie żyję. Dziwnie się czuję, pisząc to do ciebie. Nigdy nie wierzyłem w duchy, ale teraz ta myśl jest dla mnie pociechą. Chętnie bym wrócił z zaświatów i cię postraszył. Zasłużyłeś sobie na to tym numerem na Rhode Island z Herr Farmerem i jajami.

Edward uśmiechnął się na wspomnienie. To był długi, nudny dzień, a wyprawa w poszukiwaniu omletu skończyła się awanturą z farmerem, który nawrzeszczał na nich po niemiecku i obrzucił ich jajkami. Powinni być zrozpaczeni, bo od wielu dni jadali tylko nudne, niesmacznie posiłki, ale Edward w życiu nie uśmiał się tak serdecznie. Thomas cały dzień spędził na wyciskaniu żółtek z wełnianego surduta, a Edward przez całą noc wydłubywał skorupki z włosów.

Ale to ja będę się śmiał ostatni, ponieważ zamierzam teraz być ohydnie łzawy i sentymentalny. Może nawet cię zmuszę, żebyś uronił łezkę na moją

intencję. Uśmiałbym się z tego, wiesz? Zawsze byłeś takim stoikiem. Wytrzymywałem z tobą tylko dlatego, że masz poczucie humoru.

Jakoś jednak wytrzymywałem, więc chciałbym ci podziękować za ten dar prawdziwej przyjaźni. Obdarzyłeś mnie nią, nie zastanawiając się ani przez chwilę. To było coś, co płynęło prosto z serca. Nie wstydzę się przyznać, że przez większość czasu spędzonego tu, w koloniach, koszmarnie się bałem. Strasznie tu łatwo o śmierć. Nie potrafię wyrazić, jaką pociechą była świadomość, że zawsze będę miał twoje wsparcie.

Edward odetchnął głęboko i dopiero wtedy uświadomił sobie, że rzeczywiście jest bliski płaczu. Mógłby napisać do Thomasa dokładnie to samo. Tylko przyjaźń i świadomość, że jest ktoś, kto ceni sobie twoje życie na równi z własnym, pozwalały jakoś przetrwać tę wojnę.

Teraz po raz ostatni zamierzam odwołać się do twojej przyjaźni. Proszę cię, zaopiekuj się Cecilią. Teraz będzie zupełnie sama. Ojciec się właściwie nie liczy. Napisz do niej, jeśli będziesz mógł. Powiedz jej, co się ze mną stało, żeby dowiedziała się o tym nie tylko z oficjalnego listu z wojska. Odwiedź ją, jeśli zdarzy się po temu okazja. Może mógłbyś zapoznać ją ze swoją siostrą? Pewnie by się z tego ucieszyła. Będę miał spokojniejszy spoczynek, wiedząc, że moja siostra spotka nowych ludzi i wyrwie się z Matlock Bath. Po śmierci ojca nic jej nie będzie łączyło z tym miejscem. Właścicielem Marswell zostanie nasz kuzyn. Zawsze był śliski jak węgorz. Nie chciałbym, żeby los Cecilii zależał od jego szczodrości i dobrej woli.

Edward też tego nie chciał. Cecilia opowiedziała mu o Horasie. Określenie „śliski jak węgorz” pasowało do niego jak ulał.

Wiem, że proszę cię o wiele. Derbyshire nie jest na końcu świata, ale tak nam się wydaje tylko teraz, gdy jesteśmy w Nowym Jorku. Kiedy wrócisz do Anglii, wcale nie będzie chciało ci się podróżować na północ.

To prawda. Z tym, że wcale nie musiał tego robić. Ależ Thomas by się zdziwił na wieść, że Cecilia jest tuż obok, w pokoju numer dwanaście w Devil’s Head, niespełna milę stąd. Dała dowód wielkiej odwagi, przeprawiając się za ocean, by odnaleźć brata. Chyba nawet Thomas nie spodziewałby się, że jest do tego zdolna.

Żegnaj więc. I dziękuję. Nikomu poza tobą nie zawierzyłbym dobra mojej siostry. Może zresztą nie będzie ci przykro z tego powodu. Wiem, że czytałeś jej listy, kiedy mnie nie było. Naprawdę myślałeś, że tego nie zauważam?

Edward roześmiał się. Nie mógł uwierzyć, że Thomas cały czas o tym wiedział.

Oddaję ci w spadku jej miniaturę. Myślę, że chciałaby, żeby należała do ciebie. W każdym razie ja tego chcę.
Niech cię Bóg błogosławi, przyjacielu.
Twój serdeczny druh
Thomas Harcourt

Edward wpatrywał się w list tak długo, że zaćmiło mu się w oczach. Thomas nigdy się nie przyznał, że wie o jego zauroczeniu Cecilią. Czuł się tym teraz nieomal skrępowany. Ale Thomasa wyraźnie to bawiło. Bawiło i może…

Może napełniało nadzieją?

Czyżby w głębi ducha chciał ich wyswatać? Wyraźnie to wynikało z jego listu. A jeśli Thomas chciał, żeby Edward ożenił się z Cecilią…

Może pisał do niej w tym duchu? Powiedziała, że to on zorganizował to małżeństwo. A jeśli…

Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. A jeśli Cecilia naprawdę myślała, że wzięli ten ślub? A jeśli wcale nie kłamała?

Zaczął rozpaczliwie przeglądać list, na próżno szukając jego daty. Kiedy Thomas mógł go napisać? Czy mógł polecić Cecilii, żeby zorganizowała

ceremonię na odległość, a potem umarł, zanim zdążył go poprosić, by zrobił to samo?

Wstał. Musiał szybko wrócić do zajazdu. Wiedział, że jego rozumowanie jest naciągane, ale to by bardzo wiele wyjaśniło. Poza tym, już dawno powinien wyznać Cecilii, że wróciła mu pamięć. Czas już przestać się zadręczać. Trzeba zapytać ją wprost, co się dzieje.

Ruszył w stronę Devil’s Head. Wprawdzie nie biegiem, ale naprawdę szybkim marszem.

– Cecilio!

Pchnął drzwi do ich pokoju mocniej niż należało. Zanim wbiegł na piętro, krew pulsowała w nim tak mocno, że o mało nie wyskoczyła ze skóry. Głowę miał pełna pytań a serce namiętności. W pewnym momencie doszedł do wniosku, że nie obchodzi go, co zrobiła. Jeśli go oszukała, prawdopodobnie miała jakiś powód. Przecież ją znał. Naprawdę ją znał. Była najlepszą, najszlachetniejszą osobą na świecie. Kochała go, choć nigdy mu tego nie powiedziała.

Prawie tak mocno, jak on ją kochał.

– Cecilio?

Wypowiedział jej imię po raz drugi, choć wiedział już, że nie ma jej w pokoju. Do diabła. Znowu będzie musiał na nią czekać. Diabli wiedzą, dokąd poszła. Często wychodziła na miasto załatwiać różne sprawy albo po prostu na spacer. Ostatnio rzadziej, bo poszukiwania Thomasa dobiegły końca, ale mimo wszystko nie lubiła siedzieć w czterech ścianach przez cały dzień.

Może zostawiła wiadomość. Czasami to robiła.

Rozejrzał się po pokoju, skupiając wzrok na stolikach. Jest! Złożona na trzy kartka papieru wsunięta pod pustą miednicę, żeby nigdzie nie odfrunęła.

Cecilia, wychodząc, zawsze zostawiała otwarte okno.

Edward rozłożył list. Zdziwiło go, że napisała aż tyle. Przecież wystarczyłoby parę słów, żeby zawiadomić go kiedy będzie z powrotem.

Zabrał się do czytania.

Kochany Edwardzie,

jestem tchórzem i to strasznym, bo wiem, że powinnam Ci to wszystko powiedzieć osobiście. Ale nie mogę. Chyba nie wykrztusiłabym ani słowa, a poza tym nie mam już na to czasu.

Muszę Ci wyznać tak wiele, że sama nie wiem, od czego zacząć. Pewnie od najważniejszej rzeczy: Że nie jesteśmy małżeństwem.

Nie chciałam cię oszukiwać. Daję Ci słowo, że wszystko zaczęło się z zupełnie nieegoistycznych motywów. Kiedy się dowiedziałam, że jesteś w szpitalu, wiedziałam, że muszę się Tobą zaopiekować, ale odesłano mnie stamtąd i powiedziano, że ze względu na Twoją rangę i stanowisko nie może Cię odwiedzać nikt poza rodziną. Nie mam pojęcia, co mnie naszło. Sama się po sobie nie spodziewałam takiej impulsywności. Choć w sumie raz już postawiłam wszystko na jedną kartę i wyruszyłam przez ocean do Nowego Jorku. Byłam wściekła. Przecież chciałam tylko pomóc. I zanim się spostrzegłam, wykrzyknęłam na cały głos, że jestem przecież twoją żoną. Do dziś dnia nie mam pojęcia, dlaczego mi uwierzyli.

Powtarzałam sobie, że wyznam prawdę, gdy tylko dojdziesz do siebie. Ale wtedy wszystko poszło nie tak. To było takie niezwykłe. Oprzytomniałeś, ale straciłeś pamięć. Co jeszcze dziwniejsze, wiedziałeś, kim jestem. Kiedy wreszcie odzyskasz pamięć – jestem przekonana, że tak się stanie, musisz w to wierzyć – sam będziesz wiedział, że nigdy przedtem się nie spotkaliśmy. W każdym razie nie osobiście. Wiem, że Thomas pokazywał Ci moją miniaturę, ale ona naprawdę jest niezbyt do mnie podobna. Nie mam pojęcia, dlaczego rozpoznałeś mnie, gdy tylko otworzyłeś oczy.

Nie chciałam mówić Ci prawdy przy lekarzu i pułkowniku Stubbsie. Obawiałam się, że nie pozwolą mi wtedy zostać przy Tobie, a miałam poczucie, że wciąż potrzebujesz mojej opieki. Potem, tej samej nocy, wyszło

na jaw jeszcze jedno. Że dla pani Rokesby armia jest gotowa znacznie bardziej przyłożyć się do poszukiwań brata niż dla panny Harcourt.

Wykorzystałam Cię. Wykorzystałam Twoje nazwisko. Przepraszam Cię za to. Ale wyznam, że choć będę się czuła winna do końca moich dni, niczego nie żałuję. Musiałam odnaleźć Thomasa.

Tylko on mi został na świecie.

Ale teraz go nie ma, więc nie istnieją też żadne powody, dla których miałabym pozostać w Nowym Jorku. Ponieważ nie jesteśmy małżeństwem, uważam, że najlepiej będzie, jeśli wrócę do Derbyshire. Zapewniam Cię, że nie wyjdę za Horace'a. Nie upadnę tak nisko, żeby nie wiem co. Przed wyjazdem zakopałam w ogrodzie srebra. Należały do mojej matki, więc nie są częścią dziedzicznego majątku. Znajdę na nie kupca. Nie musisz się więc o mnie martwić.

Edwardzie, jesteś prawdziwym dżentelmenem i najbardziej honorowym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Gdybym została w Nowym Jorku, upierałbyś się, że mnie wykorzystałeś i że musisz się ze mną ożenić. Ale nie mogę tego od Ciebie żądać. Nic z tego, co się zdarzyło, nie było Twoją winą. Myślałeś, że jesteśmy po ślubie i zachowywałeś się jak mąż. Nie możesz ponosić kary za moje oszustwa. W Anglii czeka na Ciebie wymarzone życie, a ja nie jestem jego częścią.

Proszę Cię, nie rozmawiaj z nikim na temat tego, co się tu wydarzyło. Może kiedyś będę chciała wyjść za mąż. Wyznam wtedy wszystko mojemu narzeczonemu. Ale do tego czasu myślę, że świat powinien dostrzegać we mnie tylko

Twoją przyjaciółkę,
Cecilię Harcourt

Postscriptum: Nie musisz się obawiać, że nasze wspólne chwile będą miały długotrwałe konsekwencje.

Edward stał na środku pokoju nieruchomy jak głaz. Co to było, do ciężkiej cholery? Co ona chciała powiedzieć przez…

Przejrzał list jeszcze raz, żeby znaleźć odpowiednie miejsce. O, tu właśnie. Napisała, że nie ma już czasu, żeby z nim porozmawiać osobiście.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

„Rhiannon”. Jeszcze stoi w porcie. Ma odpłynąć dziś wieczorem.

Cecilia jest na pokładzie. Był tego pewny.

Sprawdził godzinę na leżącym na stole zegarku. Jeszcze jest czas. Niewiele, ale wystarczy.

Będzie musiało.

Bo od tego zależy całe jego życie.

21

Od dawna nie mam o tobie wieści, Thomasie. Wiem, że nie powinnam się martwić i że twój list może dotrzeć do mnie z opóźnieniem z wielu różnych powodów, ale nie mogę już wytrzymać. Czy wiesz, że odznaczam naszą korespondencję w kalendarzu? W tydzień od wysłania mój list dociera na statek, potem przez pięć tygodni płynie przez Atlantyk, a po następnym tygodniu jest już u ciebie. Po następnym tygodniu twój list jest na statku, potem przez trzy tygodnie płynie przez Atlantyk – widzisz? Dobrze słuchałam, kiedy tłumaczyłeś mi, że podróż na wschód trwa krócej. – Potem jeszcze tydzień i już jest u mnie. Trzy miesiące, żeby otrzymać odpowiedź na proste pytanie!

Zresztą, chyba nie ma czegoś takiego jak proste pytania. A jeśli istnieją, to nie ma na nie prostych odpowiedzi.

Z listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa, który nie dotarł do adresata

„Rhiannon” była niezwykle podobna do „Lady Mirandy”, więc Cecila bez trudu odnalazła swoją kabinę. Gdy przed kilkoma godzinami kupowała bilet, powiedziano jej, że będzie ją dzielić z niejaką panną Aletheą Finch,

która pracowała jako guwernantka u szanowanej nowojorskiej rodziny i teraz wracała do domu. Podczas atlantyckich rejsów często się zdarzało, że zupełnie obce osoby musiały nocować w jednej kabinie. Tak samo było podczas podróży do Ameryki. Cecilia polubiła swoją współtowarzyszkę i z żalem żegnała się z nią, gdy przycumowali do nabrzeża w Nowym Jorku.

Zastanawiała się, czy panna Finch jest Irlandką, czy też podobnie jak ona sama po prostu wsiadła na pierwszy lepszy statek płynący na Wyspy Brytyjskie, nie przejmując się przystankiem po drodze do Anglii. Sama nie była pewna, jak dotrze z Cork do domu, ale ta przeszkoda wydawała jej się drobnostką w porównaniu z wyzwaniem, jakim była przeprawa przez Atlantyk. Pewnie między Cork a Liverpoolem kursują jakieś statki, a jeśli nie, to dojedzie do Dublina i stamtąd pożegluje do Anglii.

Na litość boską, przecież niedawno udało jej się dotrzeć z Derbyshire do Nowego Jorku. Jeśli poradziła sobie z tym, to da sobie radę ze wszystkim. Jest silna. Jest mocna.

I płacze.

Do diabła, trzeba przestać płakać.

Zatrzymała się w wąskim korytarzyku prowadzącym do jej kabiny, żeby uspokoić oddech. Przynajmniej nie łkała. W dalszym ciągu panowała nad sobą na tyle, by nie zwracać powszechnej uwagi. Ale za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że trzyma uczucia na wodzy, płuca się dziwnie ściskały, potem brała nieoczekiwany oddech, który brzmiał, jakby się krztusiła, potem oczy zachodziły łzami i wreszcie…

Dość tego. Nie wolno o tym myśleć.

Zadanie na dziś: nie płakać przy ludziach.

Westchnęła. Przydałby się jakiś inny cel.

Trzeba żyć dalej. Wzięła głęboki oddech, otarła oczy dłonią i nacisnęła klamkę na drzwiach do kabiny.

Były zamknięte.

Zaskoczona, zamrugała. Potem zapukała, zrozumiawszy, że jej towarzyszka podróży zjawiła się przed nią. Sama by się tak zachowała.

Odczekała chwilę a potem zastukała drugi raz. Drzwi uchyliły się, ale tylko odrobinę. Wyjrzała z nich chuda kobieta w średnim wieku. Stała w drzwiach, więc Cecilia prawie nie widziała wnętrza kabiny. Chyba były tam dwie koje umieszczone jedna nad drugą i otwarty kufer na podłodze. Na stoliku stała zapalona lampa. Panna Finch wyraźnie rozpakowywała swoje rzeczy.

– Czym mogę pani służyć? – zapytała.

Cecilia przybrała przyjazny wyraz twarzy i powiedziała;

– O ile się orientuję, będziemy razem mieszkać w tej kabinie.

Panna Finch przyjrzała jej się z wyższością i odpowiedziała:

– Myli się pani.

Aha. To było nieoczekiwane. Cecilia jeszcze raz spojrzała na drzwi, które panna Finch blokowała biodrem. Do ich drewnianej powierzchni przybito miedzianą cyfrę osiem.

– Kabina numer osiem – powiedziała Cecilia. – Pani jest pewnie panną Finch. Będziemy towarzyszkami podróży.

Niełatwo jej było wykrzesać z siebie dość energii, by być miłą, ale wiedziała, że musi spróbować, więc złożyła uprzejmy dyg i przedstawiła się.

– Jestem Cecilia Harcourt. Miło mi panią poznać.

Starsza kobieta zacisnęła wargi.

– Powiedziano mi, że nie będę musiała dzielić tej kabiny z nikim.

Cecilia zajrzała do środka. Były tam dwie koje, więc kabina była ewidentnie dwuosobowa.

– Czy zarezerwowała ją pani całą dla siebie? – zapytała. Słyszała, że niektórzy tak robią, płacąc podwójną cenę.

– Powiedziano mi, że nikt nie będzie ze mną mieszkał.

To nie była odpowiedź na jej pytanie. Choć nastrój Cecilii oscylował między rozpaczą a furią, trzymała temperament na wodzy. Wiedziała, że przez następne trzy tygodnie będzie dzielić z tą kobietą ciasne pomieszczenie. Wykrzesała więc z siebie najlepszą imitację uśmiechu, na jaką mogła się zdobyć i powiedziała:

– Kupiłam bilet dziś po południu.

Panna Finch cofnęła się z wyraźną dezaprobatą.

– Jaki gatunek kobiet kupuje bilet na rejs przez Atlantyk w dniu odpłynięcia?

Cecilia zacisnęła szczękę.

– Taki jak ja. Moje plany nagle się zmieniły i szczęśliwie się złożyło, że akurat z portu odpływał statek.

Panna Finch pociągnęła nosem. Cecilia nie była pewna, jak to interpretować, ale ewidentnie nie był to komplement. Jednak starsza kobieta w końcu cofnęła się o krok i wpuściła ją do maleńkiej kabiny.

– Jak pani widzi – powiedziała – rozpakowałam swoje rzeczy na dolnej koi.

– Chętnie będę spać na górze.

Panna Finch prychnęła nieco głośniej.

– Jeśli pani będzie miała chorobę morską, będzie musiała pani wyjść. Nie zniosę tego zapachu.

Cecilię nagle opuściła ochota, by być uprzejmą.

– Zgoda. Pod warunkiem że pani zrobi to samo.

– Mam nadzieję, że pani nie chrapie.

– Nawet jeśli, nikt mi o tym jeszcze nie powiedział.

Panna Finch znowu otworzyła usta, ale Cecilia uprzedziła jej słowa:

– Jestem pewna, że pani na pewno mi to powie. – A potem dodała jeszcze: – A ja będę pani za to wdzięczna. Powinno się wiedzieć o sobie takie rzeczy, prawda?

Panna Finch cofnęła się.

– Pani jest impertynentką.

– A pani stoi mi na drodze.

Kabina była maleńka, więc Cecilia jeszcze do niej całkiem nie weszła. Było to prawie niemożliwie, gdy na podłodze stał otwarty kufer.

– To moja kabina – powiedziała panna Finch.

– To nasza kabina. – Cecilia niemal warknęła. – Będę wdzięczna, jeśli przesunie pani swój kufer tak, bym mogła do niej wejść.

– No cóż! – Panna Finch zatrzasnęła skrzynię i wsunęła ją pod swoją koję. – Nie wiem, gdzie pani postawi swój, ale na pewno nie na środku podłogi, skoro ja nie mogę tego zrobić.

Cecilia nie miała kufra, tylko dużą podróżną torbę, ale nie miała ochoty poruszać tego tematu.

– To wszystko, co pani ma ze sobą?

Zwłaszcza że panna Finch zrobiła to za nią.

Cecilia wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

– Jak już wspominałam, podjęłam nagłą decyzję. Nie było czasu na pakowanie kufra.

Panna Finch spojrzała na nią z góry i znowu prychnęła. Cecilia przyrzekła sobie, że większość czasu będzie spędzać na pokładzie.

W nogach łóżka był niewielki stolik, a pod nim akurat tyle miejsca, by wsunąć tam jej torbę. Wyjęła kilka rzeczy, które mogły jej się przydać na koi a potem przesunęła się obok panny Finch, żeby wspiąć się na drabinkę i obejrzeć łóżko.

– Proszę nie stawać na moim łóżku, wchodząc na koję.

Cecilia zatrzymała się, policzyła w myślach do trzech a potem odpowiedziała:

– Ograniczę swoje poruszenia do drabinki.

– Poskarżę się na panią u kapitana.

– Bardzo proszę – odparła Cecilia, podkreślając swe słowa obszernym gestem. Wspięła się na kolejny szczebel i spojrzała na koję. Pościel była

czysta, łóżko wygodne, i choć nad głową pozostało niezbyt dużo miejsca, przynajmniej nie będzie musiała patrzeć na pannę Finch.

– Czy pani jest ladacznicą?

Cecilia odwróciła się jak fryga, niemal nie spadając z drabinki.

– Co pani powiedziała?

– Czy pani jest ladacznicą? – powtórzyła panna Finch, robiąc dramatyczne przerwy między słowami. – Nie wyobrażam sobie innego powodu…

– Nie, nie jestem ladacznicą – warknęła Cecilia, doskonale zdając sobie sprawę, że ta wstrętna kobieta z pewnością by się z tym nie zgodziła, gdyby znała historię minionych miesięcy.

– Bo nie zamierzam dzielić kabiny z dziwką.

Cecilia nie wytrzymała. Po prostu coś w niej pękło. Zachowała spokój, gdy zawiadomiono ją o śmierci brata, dowiadując się, że pułkownik Stubbs kłamał, pomimo jej rozpaczy i strachu. Udało jej się utrzymać w ryzach gdy opuszczała jedynego człowieka, którego pokochała w życiu, gdy wyruszyła za ocean, by być od niego z daleka, gdy żyła w przekonaniu, że on ją wkrótce znienawidzi, a teraz ta koszmarna baba nazwała ją dziwką?

Zeskoczyła z drabinki, podeszła do panny Finch i złapała ją za kołnierz.

– Nie mam pojęcia, co za truciznę zjadła pani dziś rano – warknęła – ale mam już tego dość. Zapłaciłam sporą sumę za połowę tej kabiny i w zamian za to oczekuję zwykłej przyzwoitości i dobrego wychowania.

– I kto mówi o dobrym wychowaniu?! Kobieta, która nawet nie ma kufra?

– Co to ma znaczyć, do diabła?

Panna Finch podniosła ręce i zawyła jak upiór:

– A teraz wzywa pani imienia szatana!

Dobry Boże. Cecilia właśnie znalazła się w piekle. Co do tego nie było dwóch zdań. Może to była kara za oszukanie Edwarda. Trzy tygodnie… Może nawet cały miesiąc z tą zarazą.

– Nie życzę sobie dzielić z panią kabiny! – zapiała panna Finch.

– Zapewniam panią, że chętnie spełniłabym pani życzenie, ale….

Nagle rozległo się stukanie do drzwi.

– Mam nadzieję, że to kapitan – warknęła jej współlokatorka. – Pewnie usłyszał pani wrzaski.

Cecilia popatrzyła na nią niesmakiem.

– Skąd miałby tu się wziąć kapitan?

W kabinie nie było bulaja, ale sądząc po ruchu statku, wyszli już z portu. Kapitan na pewno miał lepsze rzeczy do roboty niż sędziowanie w babskim pojedynku.

Stukanie zastąpiły uderzenia pięścią a potem donośny okrzyk:

– Otwierać!

Cecilia doskonale znała ten głos.

Zbladła jak ściana. Naprawdę poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Wargi jej zbielały ze strachu, gdy spojrzała na dygocące drwi.

– Otwórz te cholerne drzwi, Cecilio!

Panna Finch zrobiła gwałtowny wdech i odwróciła się do niej.

– To nie kapitan.

– Nie…

– Kto to jest? Wie pani, kto to jest? Pewnie chce na nas napaść. Słodki Boże, najświętsza Panienko… – Z zaskakującą szybkością znalazła się za Cecilią, traktując ją jak żywą tarczę osłaniająca ją przed potworem, który według jej mniemania miał za chwilę wpaść do kajuty.

– Nic nam nie zrobi – uspokoiła ją Cecilia słabym głosem. Wiedziała, że musi coś zrobić, odsunąć pannę Finch, otworzyć te drzwi, ale zamarła na miejscu, próbując przyjąć do wiadomości coś, co było oczywistą niemożliwością.

Edward był tutaj. Na statku. Na statku, który odpłynął już z portu.

– Wielki Boże – westchnęła.

– Aha, teraz się pani boi – warknęła panna Finch.

Statek płynął. Płynął przed siebie. Przecież, idąc do kabiny, widziała, jak załoga zdejmuje ciężkie liny z polerów. Widziała, jak ciągną je po pokładzie. A potem rozpoznała znajome kołysanie, gdy ruszyli przez zatokę na ocean.

Edward był na statku. I raczej nie wróci wpław do brzegu. To znaczy, że zdezerterował i…

Kolejne uderzenia, jeszcze gwałtowniejsze.

– Otwórz te drzwi, bo przysięgam, że je wyważę.

Panna Finch jęczała coś o swojej cnocie.

A Cecilia w końcu wyszeptała jego imię.

– Zna go pani? – spytała tamta oskarżająco.

– Tak, to mój… – Kim on właściwie był? Przecież nie mężem.

– To niech pani otworzy te drzwi. – Panna Finch pchnęła ją mocno, wytrącając ją nieoczekiwanie z równowagi. Cecilia zatoczyła się na ścianę. – Ale niech go pani tu nie wpuszcza – szczeknęła. – Nie życzę sobie tu mężczyzn. Niech go pani stąd wyprowadzi i załatwi z nim swoje… swoje… – Jej palce z niesmakiem przebierały w powietrzu, jakby grała na pianinie. – Swoje interesy – dokończyła wreszcie. – Gdzie indziej, nie tu.

– Cecilio! – ryknął Edward.

– Wyważy drzwi! – zaskrzeczała panna Finch. – Szybko!

– Śpieszę się przecież!

Kabina była niewielka – za mała, żeby pośpiech miał sens, ale Cecilia podeszła do drzwi i położyła palce na zasuwce.

A potem zamarła.

– Na co pani czeka? – zdenerwowała się panna Finch.

Edward tu był. Przyszedł tu za nią. Co to mogło oznaczać?

– Cecilio!

Otworzyła drzwi i wtedy czas się zatrzymał, na jedną błogosławioną chwilę. Chłonęła jego widok, gdy stał tak na progu, z pięścią wzniesioną do kolejnego uderzenia. Był bez kapelusza, włosy miał potargane i splątane.

Wyglądał… jak dzikus.

– Jesteś w mundurze – powiedziała głupio.

– A ty jesteś w kłopotach – powiedział, wskazując ją palcem.

Panna Finch prychnęła radośnie.

– Zaaresztuje ją pan?

Edward oderwał wzrok od Cecilii na tyle tylko, by warknąć z niedowierzaniem:

– Co takiego?

– Zaaresztuje ją pan? – Panna Finch przydreptała bliżej i stanęła tuż obok Cecilii. – Myślę, że ona jest…

Cecilia wymierzyła jej kuksańca. Dla jej własnego dobra. Nie wiadomo, co Edward by jej zrobił, gdyby nazwała ją teraz dziwką.

Edward posłał pannie Finch niecierpliwe spojrzenie.

– Kto to jest?

– A kim pan jest? – odpaliła starsza pani.

Edward wskazał Cecilię ruchem głowy.

– Jej mężem.

Cecilia próbowała zaprzeczyć.

– Nie, ty nie …

– Ale będę – warknął.

– To bardzo podejrzane – skomentowała panna Finch, pociągając nosem.

Cecilia odwróciła się jak fryga.

– Odsunie się pani wreszcie? – syknęła.

– No cóż! – sapnęła tamta. Z teatralną przesadą zrobiła trzy kroki w stronę swojej koi.

Edward wskazał ją ruchem głowy.

– Twoja przyjaciółka?

– Nie – odparła Cecilia z naciskiem.

– W żadnym razie – potwierdziła panna Finch.

Cecilia rzuciła jej gniewne spojrzenie, a potem odwróciła się z powrotem do Edwarda.

– Nie znalazłeś mojego listu?

– Oczywiście, że znalazłem. Jakim cudem pojawiłbym się tutaj, gdyby nie to?

– Nie napisałam, którym statkiem…

– Nietrudno było się domyślić.

– Ale ty… twoje rozkazy… – Z trudem znajdowała słowa. Przecież był oficerem królewskiej armii. Nie mógł tak po prostu odejść. Czeka go sąd wojenny. Wielki Boże, czy go powieszą? Oficerów chyba nie karzą tak za dezercję, prawda? A już na pewno nie z takich rodów jak jego.

– Starczyło mi czasu, by dogadać się z pułkownikiem Stubbsem – rzucił z urazą. – Ledwo zdążyłem.

– Ja… nie wiem, co powiedzieć.

Objął ją za ramiona.

– Powiedz mi tylko jedno – szepnął.

Na moment straciła oddech.

Wtedy Edward spojrzał przez ramię na pannę Finch, która z żywym zainteresowaniem śledziła rozwój wydarzeń.

– Czy zechciałaby pani zapewnić nam trochę prywatności? – wycedził.

– To moja kabina – odpowiedziała tamta. – Jeśli chcecie mieć prywatność, poszukajcie jej gdzie indziej.

– Och, na litość boską – wybuchnęła Cecilia, odwracając się do tej odrażającej kobiety. – Niechże pani znajdzie w swoim kamiennym sercu choć trochę uprzejmości, by dać mi chwilę na osobności z… – Przełknęła ślinę i coś ścisnęło ją w gardle. – Z nim – dokończyła, wskazując Edwarda ruchem głowy.

– Jesteście małżeństwem? – spytała cnotliwie panna Finch.

– Nie – odparła Cecilia, ale nie miało to większego znaczenia, bo Edward w tym samym momencie powiedział: – Tak.

Panna Finch spoglądała wyłupiastymi oczyma to na jedno, to na drugie. Zacisnęła wargi, a jej brwi uniosły się w nieprzyjemnym grymasie.

– Idę zawołać kapitana – oświadczyła.

– Świetnie – odpalił Edward, praktycznie wypychając ją za drzwi.

Panna Finch wydała przenikliwy okrzyk, potknęła się w progu i wyszła. Nawet jeśli dodała coś jeszcze, nie było już tego słychać, bo Edward zamknął jej drzwi przed nosem.

A potem przekręcił klucz w zamku.

22

Jadę, żeby cię odnaleźć.

Z niewysłanego listu Cecilii Harcourt do brata Thomasa

Ogólnie rzecz biorąc, Edward nie był w najlepszym humorze.

Zazwyczaj ludzie potrzebują nieco więcej czasu niż trzy godziny, żeby postawić całe swoje życie na głowie i wyjechać na inny kontynent. Ledwie zdążył spakować kufer i uzyskać zgodę na wyjazd z Nowego Jorku.

Gdy znalazł się na nabrzeżu, załoga „Rhiannon” już przygotowywała się do odpłynięcia. Musiał dosłownie przeskoczyć z brzegu na pokład. Pewnie usunięto by go stamtąd siłą, gdyby nie pomachał pierwszemu oficerowi przed nosem pośpiesznie wypisanym dokumentem. Był to rozkaz pułkownika Stubbsa, by zapewnić mu kabinę na statku.

A może po prostu miejsce do spania na pokładzie. Oficer nie był pewny, czy mają choć jeden hamak na zbyciu.

Nieważne. Edward nie potrzebował dużo miejsca. Miał ze sobą tylko ubrania i parę funtów w kieszeniach.

Oraz wielką czarną dziurę w miejscu, gdzie niegdyś była cierpliwość.

Więc kiedy otworzyły się drzwi do kabiny Cecilii…

Można by pomyśleć, że z ulgą powita jej widok. Zważywszy głębię jego uczuć i panikę, która gnała go przez całe popołudnie, można by się

spodziewać, że opadnie z sił na widok tych pięknych oczu o barwie morskiej pianki, które patrzyły na niego z takim zdziwieniem.

Ale nie.

Musiał się powstrzymać, by jej nie udusić.

– Po co tu przyszedłeś? – szepnęła, kiedy wreszcie pozbyli się z kabiny tej przeklętej panny Finch.

Przez chwilę mógł tylko na nią patrzeć.

– Chyba nie pytasz na serio.

– Ja…

– Zostawiłaś mnie.

Pokręciła głową.

– Zwróciłam ci wolność.

Tylko parsknął.

– Trzymasz mnie w niewoli od ponad roku.

– Co takiego? – Odpowiedziała bardziej ciałem niż słowami. Nie miał ochoty jej tego tłumaczyć. Odwrócił się, oddychając urywanie i przeczesał włosy palcami. Do diabła, nie miał nawet kapelusza. Jak to się mogło stać? Zapomniał go ze sobą zabrać? Wiatr zdmuchnął mu go z głowy, kiedy pędził na statek?

Ta przeklęta kobieta owinęła go sobie dookoła palca. Nie był nawet pewny, czy załadowano na pokład jego kufer. Bardzo możliwe, że wyruszył w miesięczną podróż, nie mając ze sobą nawet bielizny na zmianę.

– Edwardzie? – usłyszał z tyłu jej cichy, pełen wahania głos.

– Jesteś w ciąży? – zapytał.

– Co takiego?

Odwrócił się i powtórzył głośno i wyraźnie:

– Czy. Jesteś. W ciąży.

– Nie! – Gwałtownie pokręciła głową. – Przecież ci napisałam, że nie.

– Nie wiedziałem, czy nie… – przerwał. Ugryzł się w język.

– Czego nie wiedziałeś?

Nie wiedziałem, czy ci mogę ufać. To właśnie chciał jej powiedzieć. Tylko, że to nie była prawda. Ufał jej przecież. Przynajmniej w tej sprawie. A raczej szczególnie w tej sprawie. Ten pierwszy odruch pełen niedowierzania był sprawką diablika, który siedział mu na ramieniu i wyrywał się do działania. Do tego, by ją zranić.

Dlatego, że ona wcześniej zraniła jego. Nie dlatego, że go okłamała. Teraz lepiej rozumiał, skąd wzięła się ta cała sytuacja. Ale Cecilii zabrakło wiary w niego. Nie zaufała mu. Jak mogła uznać, że najlepszym wyjściem będzie ucieczka? Jak mogła pomyśleć, że jemu na niej nie zależy?

– Nie jestem w ciąży – powiedziała głosem tak pełnym emocji, że niemal przeradzał się w szept. – Daję ci słowo honoru. Nie okłamałabym cię w tej sprawie.

– Nie? – Diablik z jego ramienia wyraźnie nie chciał zamilknąć.

– Słowo honoru – powtórzyła. – Nie zrobiłabym ci tego.

– Ale to potrafiłaś zrobić?

– To? – powtórzyła jak echo.

Postąpił ku niej, w dalszym ciągu wściekły.

– Zostawiłaś mnie. Bez słowa.

– Napisałam przecież list!

– Wyjechałaś na inny kontynent.

– Ale ja…

– Uciekłaś!

– Nie! – wykrzyknęła. – Wcale nie. Ja tylko…

– Jesteś na statku – wybuchnął. – To oznacza ucieczkę i kropka.

– Zrobiłam to dla ciebie!

Jej głos był tak przenikliwy i pełen przemożnego smutku, że Edward zamilkł na chwilę. Wyglądała jak drewniana figurka z opuszczonymi szczupłymi rękami i dłońmi zaciśniętymi w pięść.

– Zrobiłam to dla ciebie – powtórzyła łagodniejszym tonem.

Pokręcił głową.

– W takim razie powinnaś się ze mną porozumieć i sprawdzić, czy na pewno tego chcę.

– Gdybym została – powiedziała powoli i ciężko jak osoba, która koniecznie chce trafić komuś do przekonania – uparłbyś się, żeby się ze mną ożenić.

– To oczywiste.

– Myślisz, że tego chciałam? – wykrzyczała. – Myślisz, że cieszyło mnie, kiedy wymykałam się z domu podczas twojej nieobecności? Chciałam cię oszczędzić, żebyś nie musiał zrobić tego, co należy!

– Posłuchaj sama siebie – przerwał ostro. – Chciałaś mnie oszczędzić, żebym nie musiał robić tego, co należy? Jak mogłaś nawet pomyśleć, że chciałbym zachować się inaczej? Czy ty mnie w ogóle nie znasz?

– Edwardzie, ja…

– Jeśli coś należy zrobić, ja to robię – warknął.

– Edwardzie, proszę cię, musisz mi uwierzyć. Kiedy odzyskasz pamięć, zrozumiesz…

– Odzyskałem ją kilka dni temu – uciął.

Zamarła bez ruchu.

Chyba jednak nie był tak do końca szlachetny, bo na ten widok odczuł pewną satysfakcję.

– Co takiego? – powiedziała w końcu.

– Odzyskałem…

– I nic mi nie powiedziałeś? – Jej głos był spokojny. I groźny.

– Tego samego dnia, kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci Thomasa.

– I nic mi nie powiedziałeś?

– Byłaś w żałobie…

Uderzyła go w ramię.

– Jak mogłeś to przede mną ukrywać?

– Byłem wściekły! – ryknął. – Dlaczego nie mam prawa dla odmiany ukrywać czegoś przed tobą?

Odsunęła się o krok i obronnym gestem otoczyła się ramionami. Widać było, że jest zrozpaczona, ale Edward nie potrafił się powstrzymać. Zrobił ku niej krok i dźgnął ją wyciągniętym palcem w obojczyk.

– Byłem na ciebie tak cholernie wściekły, że straciłem zdrowy rozsądek. Poza tym chciałem się właśnie zachować tak, jak należy. Pomyślałem, że porozmawiamy o tym za kilka dni… żeby dać ci czas na żałobę po bracie.

Jej oczy stały się jeszcze większe, wargi zadrgały i cała jej postać – napięta i wiotka zarazem – przywołała wspomnienie łani, której kiedyś o mało nie zastrzelił. To było wiele lat temu. Był z ojcem na polowaniu. Jeden z nich nastąpił na gałązkę i zwierzę poruszyło uszami, odwracając ku nim głowę. Nie uciekło jednak. Stało nieruchomo przez wieczność – a przynajmniej tak się wydawało Edwardowi. Miał wrażenie, że łania patrzy, jak całe życie przebiega jej przed oczami.

Nie strzelił wtedy. Nie potrafił się do tego zmusić.

A teraz…

Diabełek na jego ramieniu uciekł, gdzie pieprz rośnie.

– Powinnaś zostać ze mną – powiedział cicho. – Powinnaś wyznać mi prawdę.

– Bałam się.

Oniemiał ze zdziwienia.

– Mnie?

Nie!

Spuściła głowę, ale i tak usłyszał jej szept.

– Siebie samej.

Zanim jednak zdążył zapytać, co chce przez to powiedzieć, rozdygotana przełknęła ślinę i dodała:

– Nie musisz się ze mną żenić.

To nie do wiary. W dalszym ciągu myślała, że to jest możliwe.

– Nie muszę? Na pewno?

– Nie będę cię trzymać za słowo – wymamrotała. – Przecież go nie dawałeś.

– Czy aby na pewno? – Zrobił krok w jej stronę, bo już dawno powinni być bliżej siebie, ale zatrzymał się, kiedy w końcu dotarło do niego, co migoce w jej oczach.

Smutek.

Była tak niewyobrażalnie smutna, że serce mu pękło na ten widok.

– Ty kochasz inną – szepnęła.

Zaraz… Co takiego?

Dopiero po chwili zorientował się, że nie powiedział tego na głos. Czy ona zwariowała?

– O czym ty mówisz?

– O Billie Bridgerton. Masz się z nią ożenić. Pewnie tego nie pamiętasz, ale…

– Nie jestem zakochany w Billie – przerwał jej. Przeczesał włosy palcami, a potem odwrócił się do ściany i wydał zdesperowany okrzyk. Wielki Boże, czy o to jej chodziło przez cały czas? O jego sąsiadkę z Anglii?

Wtedy Cecilia zapytała:

– Jesteś pewny?

Naprawdę to powiedziała.

– Oczywiście, że jestem pewny – odparł. – W żadnym razie nie zamierzam się z nią żenić.

– A mnie się zdaje, że tak – zaprzeczyła. – Myślę, że nie w pełni odzyskałeś pamięć. Pisałeś o tym w listach. W każdym razie Thomas mi o tym pisał, a potem twoja matka chrzestna…

– Co takiego? – Odwrócił się ku niej gwałtownie. – Kiedy rozmawiałaś z ciocią Margaret?

– Dzisiaj. Ale ja…

– Przyszła do ciebie? – Na Boga, jeśli jego ciotka obraziła Cecilię choćby jednym słowem…

– Nie. To było przypadkowe spotkanie. Przyszła, żeby się z tobą zobaczyć, a ja akurat wychodziłam, żeby kupić bilet.

Jęknął.

Odsunęła się od niego. To znaczy, próbowała. Wyraźnie zapomniała, że opiera się o koję.

– Uznałam, że grzeczność wymaga, żebym z nią porozmawiała – wyjaśniła. – Chociaż muszę przyznać, że niełatwo jest pełnić honory domu w gospodzie.

Edward na moment znieruchomiał a potem ku swemu zdziwieniu poczuł, że się uśmiecha.

– Boże, szkoda, że tego nie widziałem.

Cecilia spojrzała spod oka.

– Z perspektywy czasu rzeczywiście wydaje się to zabawniejsze.

– Jasne.

– To straszna kobieta.

– To prawda.

– Moja matka chrzestna była słodką staruszką, która przesiadywała w kościele i zawsze dawała mi na urodziny wydziergane przez siebie skarpetki – mruknęła Cecilia.

Zastanowił się nad tym.

– Jestem pewny, że Margaret Tryon w życiu nie wzięła drutów do ręki.

Cecilia zamruczała coś do siebie, a potem powiedziała na głos:

– Gdyby jednak postanowiła je wziąć, pewnie zaraz okazałaby się niekwestionowaną mistrzynią.

Edward skinął głową. Uśmiech objął już jego oczy.

– Pewnie tak.

Trącił ją lekko, tak że usiadła na koi a potem usiadł obok.

– Wiesz przecież, że się z tobą ożenię – powiedział. – To nie do wiary, że mogłaś myśleć inaczej.

– Skądże. Wiedziałam, że będziesz się przy tym upierał – odpowiedziała. – Właśnie dlatego wyjechałam. Żebyś nie musiał tego robić.

– To najbardziej bzdurna…

Położyła mu dłoń na ramieniu, żeby go uciszyć.

– Nie kochałbyś się ze mną, gdybyś nie był przekonany, że jesteśmy małżeństwem.

Nie zaprzeczył.

Ze smutkiem pokręciła głową.

– Zwabiłam cię do łóżka podstępem.

Próbował powstrzymać wybuch wesołości. Naprawdę się starał, ale już po sekundzie koja się trzęsła od jego śmiechu.

– Czy ty się śmiejesz? – zapytała.

Skinął głową, trzymając się za brzuch, bo to pytanie wywołało kolejną falę rozbawienia.

– „Zwabiłam cię do łóżka podstępem” – rechotał.

Cecilia zmarszczyła brwi, kompletnie zbita z tropu.

– Przecież tak było – powiedziała.

– Może i tak, ale kogo to obchodzi? – Wymierzył jej przyjaznego kuksańca. – Bierzemy ślub.

– Ale Billie…

Złapał ją za ramiona.

– Mówię to po raz ostatni. Nie chcę się żenić z Billie. Chcę wziąć ślub z tobą.

– Ale…

– Kocham cię, głuptasku. Kocham cię od paru lat.

Może to była miłość własna, ale przysiągłby, że usłyszał, jak jej serce na moment się zatrzymało.

– Przecież mnie nie znałeś – szepnęła.

– Znałem – odpowiedział. Ujął jej dłoń i podniósł do ust. – Znam cię lepiej, niż… – przerwał na moment, żeby opanować emocje. – Czy ty wiesz, ile razy czytywałem twoje listy?

Potrząsnęła głową.

– Każdy z nich. Mój Boże, Cecilio, nie masz pojęcia, ile one dla mnie znaczyły. Chociaż nie były pisane do mnie…

– Były – poprawiła go cicho.

Znieruchomiał, nie odwracając od niej wzroku i bez słów zapytał, co chciała przez to powiedzieć.

– Pisałam do Thomasa, ale zawsze myślałam o tobie. Ja… – przełknęła ślinę i choć było zbyt ciemno, żeby zobaczyć jej rumieniec, domyślił się, że jej twarz się zaczerwieniła. – Ja za każdym razem miałam do siebie o to pretensję.

Dotknął jej policzka.

– To czemu się uśmiechasz?

– Wcale nie. To znaczy, może się uśmiecham, ale to z zakłopotania. Czułam się jak głupia, tęskniąc do mężczyzny, którego nigdy nie miałam spotkać.

– Nie głupsza niż ja – odpowiedział. Wsunął dłoń do kieszeni. – Muszę ci się do czegoś przyznać.

Cecila patrzyła, jak otwiera dłoń. Leżała na niej miniatura – jej miniatura. Wydała cichy okrzyk i spojrzała mu w oczy.

– Ale… jakim cudem…

– Ukradłem ją – powiedział wprost. – Kiedy pułkownik Stubbs poprosił, żebym przejrzał rzeczy Thomasa.

Później jej wyjaśni, że Thomas pragnął mu ją przekazać. W sumie i tak nie miało to znaczenia. Kiedy ją wsuwał do kieszeni, nie miał przecież o tym pojęcia.

Jej oczy wędrowały z maleńkiego obrazka na jego twarz i z powrotem.

Dotknął jej podbródka, tak żeby patrzyła mu w oczy.

– Nigdy przedtem niczego nie ukradłem, wiesz?

– Domyślam się – mruknęła, wciąż zdziwiona. – Nie podejrzewałam cię o nic innego.

– Ale bez tego nie mógłbym się obejść – wyznał, zaciskając miniaturę w dłoni.

– To tylko obrazek.

– Portret kobiety, którą kocham.

– Ty mnie kochasz – szepnęła. Ciekaw był, ile razy będzie jej to musiał powtórzyć, żeby uwierzyła. – Ty mnie kochasz.

– Do szaleństwa – zapewnił.

Spojrzała na miniaturkę w jego dłoni.

– Nie jest podobna – powiedziała.

– Wiem – odparł i wyciągnął ku niej drżącą rękę. Założył jej za ucho pasemko włosów, a potem dotknął dużą dłonią policzka. – Ty jesteś dużo piękniejsza.

– Okłamałam cię.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– A mnie się zdaje, że tak.

– Czy zrobiłaś to, żeby mnie skrzywdzić?

– Skądże znowu, ja tylko…

– Czy chciałaś sprzeniewierzyć…

– Nie!

Wzruszył ramionami.

– Więc, tak jak już ci mówiłem, nic mnie to nie obchodzi.

Przez moment wydawało się, że zaprzestanie protestów. Ale po chwili znowu rozchyliła usta, wzięła lekki oddech, więc Edward uznał, że czas położyć kres tym nonsensom.

Pocałował ją.

Ale niezbyt długo. Wprawdzie najchętniej wziąłby ją tu, na tej koi, mieli jednak parę pilniejszych spraw do załatwienia.

– Mogłabyś mi odpowiedzieć tym samym, wiesz? – powiedział.

Uśmiechnęła się. Wręcz rozpromieniła.

– Też cię kocham – wyznała.

W tym momencie wszystkie kawałki jego serca wskoczyły na miejsce.

– Wyjdziesz za mnie? Tak na serio?

Skinęła głową. A potem jeszcze raz, z większym zapałem.

– Tak – powiedziała. – Tak, tak i jeszcze raz tak!

Ponieważ Edward był człowiekiem czynów, wstał, złapał ją za rękę i pomógł jej wstać.

– To dobrze, że jesteśmy na statku – powiedział.

Mruknęła coś zakłopotana, ale jej słowa zagłuszył dobrze im już znany piskliwy głos.

– Twoja przyjaciółka? – spytał Edward, z rozbawieniem unosząc brwi.

– Żadna przyjaciółka – odparowała natychmiast Cecilia.

– Są tutaj – zazgrzytał głos panny Finch. – W kabinie numer osiem.

Do drzwi ktoś ostro zastukał. Głęboki męski głos zapytał:

– Tu kapitan Wolverton. Czy wszystko w porządku?

Edward otworzył drzwi.

– Bardzo przepraszam, sir.

Na twarzy kapitana odmalowała się radość na widok starego znajomego.

– Kapitan Rokesby! – wykrzyknął. – Nie wiedziałem, że płyniesz z nami.

Panna Finch rozdziawiła usta.

– Pan go zna?

– Byliśmy razem w Eton – wyjaśnił kapitan.

– Jasne. – Cecilia usłyszała własny pomruk.

– Rzucił się na nią – powiedziała panna Finch, wskazując palcem Cecilię.

– Kapitan Rokesby? – W głosie kapitana brzmiało wyraźne niedowierzanie.

– Mało brakowało, a i na mnie by się rzucił – dodała panna Finch, pociągając nosem.

– Niechże pani da spokój – zirytowała się Cecilia.

– Dobrze cię widzieć, Kenneth – powiedział Edward, potrząsając serdecznie jego prawicą. – Czy mógłbym cię poprosić o przysługę? Zechciałbyś dać nam ślub?

Kapitan Wolverton uśmiechnął się szeroko.

– Teraz?

– Jak tylko będziesz miał wolną chwilę.

– Czy to jest legalne? – spytała Cecilia.

Edward spojrzał na nią z ukosa.

– Będziesz się teraz targować?

– Owszem, legalne na czas rejsu moim statkiem – potwierdził kapitan Wolverton. – Radzę jednak przeprowadzić powtórną ceremonię na suchym lądzie.

– Panna Finch może być naszym świadkiem – oświadczyła Cecilia, zaciskając mocno wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– No cóż, czemu nie… – Panna Finch zamrugała z siedem razy w ciągu jednej sekundy. – Na pewno będę zaszczycona.

– Na drugiego świadka weźmiemy nawigatora – uzupełnił kapitan Wolverton. – On uwielbia takie historie.

Potem popatrzył na Edwarda z braterską troską.

– Naturalnie dam wam swoją kabinę – dodał. – Znajdę sobie koję gdzie indziej.

Edward podziękował mu – wylewnie – i wszyscy wymaszerowali na pokład, który, zdaniem kapitana, zapewniał o wiele lepszą ślubną scenerię.

Ale kiedy stanęli pod masztem i cała załoga zebrała się na tę uroczystość, Edward odwrócił się do kapitana i powiedział:

– Jedno pytanie, zanim zaczniemy…

Kapitan Wolverton, wyraźnie rozbawiony, poprosił go gestem, by mówił dalej.

– Czy mogę najpierw pocałować pannę młodą?

Epilog

Cecilia Rokesby była zdenerwowana.

Poprawka: była bardzo zdenerwowana.

Za niespełna pięć minut miała po raz pierwszy spotkać rodzinę swojego męża.

Bardzo arystokratyczną rodzinę.

Która nie wiedziała, że się z nią ożenił.

Ich małżeństwo było już całkiem legalne. Okazało się, że biskup Cork i Ross błyskawicznie wydaje specjalne licencje ślubne. Nie byli pierwszym morskim małżeństwem, które chciało uprawomocnić swój związek na lądzie. Ślub odbył się od razu, a świadkami byli kapitan Wolverton i miejscowy wikary.

Potem postanowili ruszyć prosto do Kentu. Rodzina bardzo tęskniła za Edwardem, a Cecilia nie miała nikogo bliskiego w Derbyshire. Uznali, że później będzie mnóstwo czasu, żeby wrócić do Marswell i zabrać osobiste rzeczy Cecilii, przed przekazaniem domu Horace'owi. Nie mógł on nic zrobić bez oficjalnego stwierdzenia zgonu Thomasa, a ponieważ Cecilia i Edward byli jedynymi ludźmi w Anglii, którzy mogli to potwierdzić…

Horace będzie się musiał nauczyć szlachetnej sztuki czekania.

Na razie byli jednak na podjeździe Crake House, rodowej siedziby Rokesbych. Edward opisał go Cecilii ze szczegółami, wiedziała więc, że dom będzie duży. Jednak, kiedy wyjechali zza zakrętu, wydała okrzyk zaskoczenia.

– Jest ogromny! – powiedziała.

Edward uśmiechnął się z roztargnieniem, skupiając się na widoku domu, który rósł z każdym obrotem kół powozu.

On również się denerwuje, uświadomiła sobie Cecilia. Zauważyła, jak postukiwał palcami w udo i od czasu do czasu zagryzał dolną wargę.

Jej duży, silny, utalentowany mężczyzna się denerwował.

Przez to pokochała go jeszcze bardziej.

Powóz zatrzymał się w końcu i Edward zeskoczył na ziemię, zanim służba zbliżyła się, by im pomóc. Kiedy zsadził Cecilię na ziemię, wziął ją pod rękę i poprowadził ku domowi.

– Jestem zaskoczony, że nikt jeszcze nie wyszedł na powitanie – mruknął.

– Może nikt akurat nie patrzył na podjazd?

Edward pokręcił głową.

– Zawsze jest…

Drzwi otworzyły się nagle i wyszedł z nich lokaj.

– Sir? – zapytał. Cecilia domyśliła się, że jest nowy, bo nie rozpoznał Edwarda.

– Czy rodzina jest w domu? – zapytał jej mąż.

– Tak, proszę pana. Kogo mam zaanonsować?

– Edwarda. Powiedz im, że Edward wrócił do domu.

Lokaj szeroko otworzył oczy. Pracował już wystarczająco długo, żeby wiedzieć, co to oznacza, więc rączo wbiegł do wnętrza domu. Cecilia ukryła uśmiech. W dalszym ciągu była zdenerwowana, a raczej bardzo zdenerwowana. W całej tej sytuacji było jednak coś radosnego, co szło do głowy jak wino.

– Wejdziemy do środka? – zapytała.

Edward skinął głową i weszli do wielkiego foyer. Nie było w nim nikogo, nawet służby, do chwili, gdy…

– Edward!

Na górze rozległ się przenikliwy, głośny, kobiecy okrzyk kogoś, kto jest tak szczęśliwy, że w każdej chwili może wybuchnąć łzami.

– Edward, Edward, Edward! O mój Boże! Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty!

Cecilia uniosła brwi, gdy ciemnowłosa kobieta dosłownie sfrunęła ze schodów. Ostatnie stopnie pokonała jednym susem. Dopiero wtedy Cecilia spostrzegła, że ma na sobie męskie spodnie.

– Edward! – Z tym ostatnim okrzykiem rzuciła się w jego ramiona i objęła go z takim uczuciem, że oczy Cecilii zaszły łzami. – Och, Edwardzie – powtórzyła, dotykając jego policzków, jakby chciała się upewnić, że to naprawdę on. – Byliśmy zrozpaczeni.

– Billie? – powiedział Edward.

Billie? Billie Bridgerton? Cecilia upadła na duchu. Dobry Boże. To będzie straszne. Pewnie wciąż ma nadzieję, że Edward się z nią ożeni. Powiedział, że nie zawarli żadnej oficjalnej umowy i że Billie wcale nie chce być jego żoną, tak samo jak on nie chce być jej mężem, ale Cecilia podejrzewała, że to zwyczajne męskie maskowanie problemu. Nie ma chyba kobiety, która nie chciałaby za niego wyjść, szczególnie gdy od kołyski jej powtarzano, że kiedyś będzie jej.

– Dobrze cię widzieć – powiedział, składając braterski pocałunek na jej policzku. – Ale co ty tu robisz?

Słysząc to, Billie wybuchnęła śmiechem. Był to śmiech przez łzy, ale brzmiała w nim nieskrywana radość.

– Nic nie wiesz – powiedziała. – No oczywiście, ty nic nie wiesz.

– O czym nie wiem?

Do rozmowy włączył się inny głos. Męski.

– Ożeniłem się z nią.

Edward odwrócił się na pięcie.

– George?

Jego brat. To na pewno on. Jego włosy miały nieco inny odcień brązu, ale te oczy… te jasne, błękitne oczy… Musiał należeć do rodziny Rokesbych.

– Ożeniłeś się z Billie? – Edward wyglądał… szczerze mówiąc, był po prostu zszokowany.

– Tak jest. – George był wyraźnie z tego dumny, choć Cecilia ledwie zdążyła dostrzec wyraz jego twarzy, bo zaraz porwał Edwarda w objęcia.

– Ale… ale…

Cecilia obserwowała to z zainteresowaniem. Nie sposób było się nie uśmiechnąć. Za tym wszystkim musiała się kryć niezła historia. Poza tym wiadomość, że Billie Bridgerton jest zakochana w kim innym, napełniała ją niekłamaną ulgą.

– Ale przecież wy się nienawidzicie – zaprotestował Edward.

– Tak, ale bardziej się kochamy – wyjaśniła Billie.

– Dobry Boże. Ty i Billie? – Edward spoglądał to na jedno, to na drugie. – Jesteś pewny?

– Dość dokładnie przypominam sobie tę ceremonię – zaśmiał się George z przekąsem. Pochylił głowę przed Cecilią. – Przedstawisz nas sobie w końcu?

Edward ujął ją pod ramię i podprowadził bliżej.

– Moja żona – powiedział z wyraźną dumą. – Cecilia Rokesby.

– Z domu Harcourt? – spytała Billie. – To pani do nas napisała! Och, dziękuję! Bardzo, bardzo dziękuję!

Zarzuciła jej ramiona na szyję i objęła tak mocno, że Cecilia słyszała, jak łamie jej się głos, gdy powtarzała:

– Jeszcze raz bardzo, bardzo dziękuję. Nie ma pani pojęcia, ile to dla nas znaczyło.

– Mama i tata są we wsi – powiedział George. – Wrócą za godzinę.

Edward uśmiechnął się szeroko.

– Świetnie. A pozostali?

– Nicholas jest w szkole – odpowiedziała Billie. – Mary jest naturalnie u siebie w domu.

– A Andrew?

Andrew. Trzeci brat. Edward mówił jej, że służy w marynarce wojennej.

– Jest tutaj? – spytał Edward.

George mruknął coś, czego nie potrafiła odgadnąć. Można powiedzieć, że to śmiech… gdyby nie był pełen rezygnacji i skrępowania.

– Opowiesz mu sam, czy ja mam to zrobić? – spytała Billie.

George wziął głęboki oddech.

– No cóż, to dłuższa historia.